

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 6

OBLĘŻENIE

MACINDAW

Rangers Apprentice. The Siege of Macindaw

Tłumaczenie

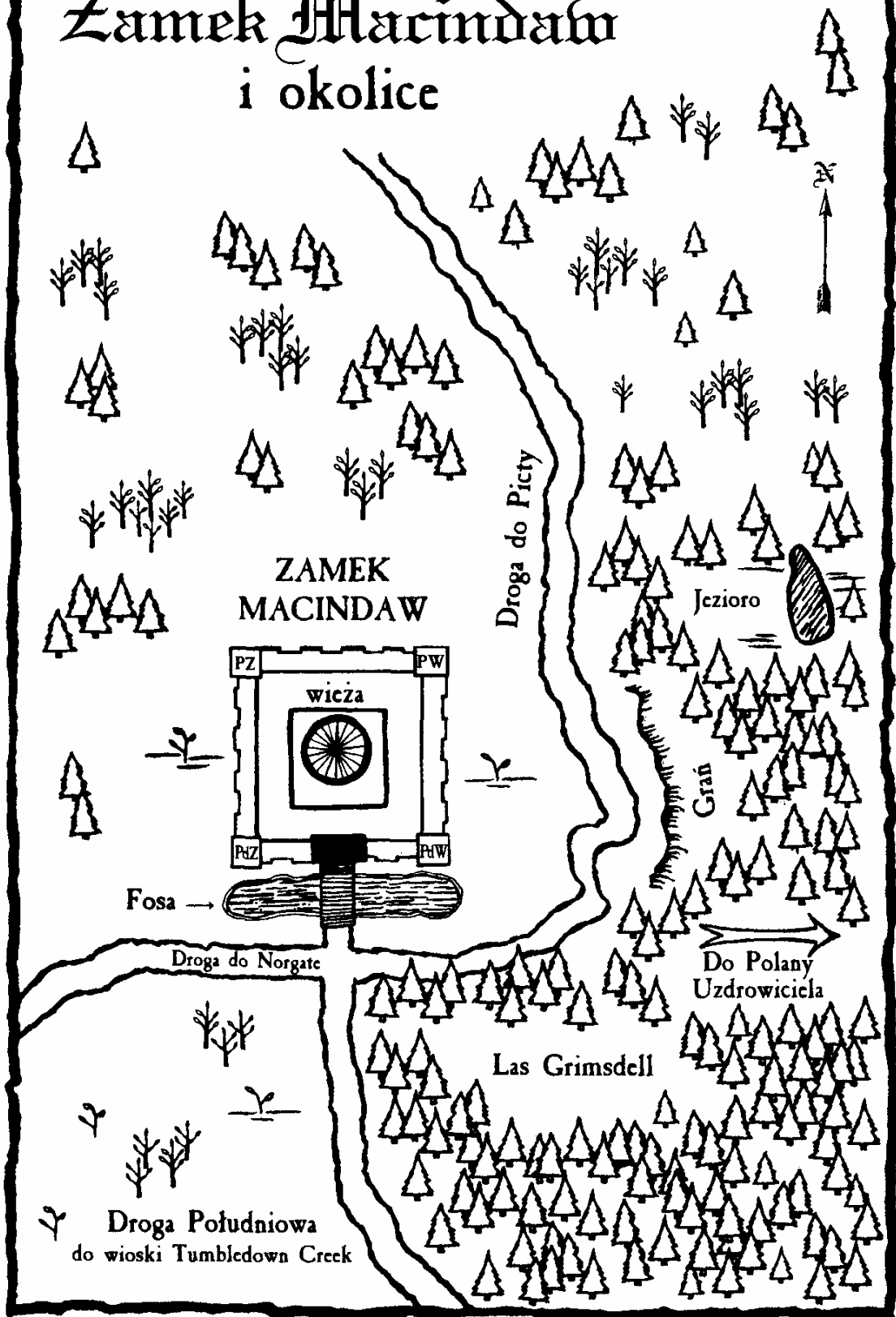
Dorota Strukowska

jaguar



*Dla mojej siostry Joan:
publicystki, felietonistki, autorki
i przewodniczki nas wszystkich*

Zamek Macindaw i okolice



Rozdział 1

Gundar Hardstriker, kapitan oraz sternik skandyjskiego okrętu „Wilcza chmura”, ze strapioną miną przeżuwał żylasty kawałek wędzonej wołowiny.

Ludzie z załogi „Wilczej chmury” kulili się w prowizorycznych szałasach ustawionych między drzewami. Też się posilali, rozmawiając cichcem między sobą. Skupieni wokół małych, kopających ognisk, gdyż tylko takie udawało się rozpalić przy paskudnej pogodzie, starali się nie zamarznąć. Znajdowali się bardzo blisko morza. Tutejsze śnieżyce zmieniały się na ogół koło południa w lodowaty deszcz zmieszany ze śniegiem, który pod wieczór zamarzał. Gundar dobrze rozumiał, czego załoga oczekuje od kapitana. Na nim bowiem spoczywał obowiązek znalezienia jakiegoś wyjścia z opresji. Jednak zdawał sobie też sprawę z czegoś jeszcze. Otóż wkrótce trzeba będzie ludziom oznajmić, że nie przychodzi mu do głowy żadne sensowne rozwiązanie. Utknęli w Araluenu z kretelem.

Pięćdziesiąt metrów dalej, przechylona na bok, wywleczona na brzeg rzeki, leżała „Wilcza chmura”. Nawet z tej odległości wprawne żeglarskie oko potrafiło dostrzec spaczenie w jednej trzeciej długości kadłuba. Widok ten rozdzierał serce. Dla Skandianina okręt to niemalże żywa istota, przedłużenie egzystencji, uzewnętrznienie ducha.

A teraz statek, ze strzaskaną stępką, z wykrzywionym kadłubem, zmienił się we wrak. Nadawał się już wyłącznie do pocięcia na budulec lub porąbania na drewno opałowe, gdy zimowa pogoda jeszcze silniej zaciśnie wokół nich swoje szpony. Jak dotąd Gundar zdołał co prawda uniknąć rozbiórki okrętu, ale miał świadomość, że nie wolno dłużej zwlekać. Będą potrzebowali drewna, żeby zbudować solidniejsze schronienie oraz rozpalić ogień. Jednak, dopóki statek wciąż jeszcze wyglądał jak statek, nawet z tym przeklętym spaczonym kadłubem, Gundar mógł zachować resztki dumy, którą żywił, nosząc tytuł skirla - jak Skandianie określali kapitana okrętu.

Wyprawa od początku do końca okazała się katastrofą, stwierdził ponuro Gundar. Wyruszyli, by grabić nadmorskie wioski Gallii oraz Iberii, trzymając się przy tym z dala od Araluenu. Ostatnimi czasy, odkąd skandyjski oberjarl podpisał traktat z królem Araluenu, napaści na tutejsze wybrzeże zdarzały się rzadko. Ściśle rzecz biorąc, nie zakazano najazdów. Jednak oberjarl Erak zniechęcał do nich rodaków naprawdę usilnie, więc tylko jakiś bardzo głupi albo szalony skirl skłonny byłby narazić się na niezadowolenie Eraka.

Gundar oraz jego ludzie wyruszyli na Morze Wąskie jako ostatnia załoga łupieżczej floty. Zastawali więc albo puste osady, ograbione przez wcześniej przybyłe okręty, albo wioski ostrzeżone zawczasu, gotowe wziąć na samotnym najeźdźcy pomstę za wcześniejsze krzywdy. Doszło do zaciętych walk, Gundar stracił kilku ludzi - w zamian zaś niczego nie zyskał. Na koniec, dobił do półwyspu na odległym południowo-wschodnim wybrzeżu Araluenu, wiedziony rozpaczliwą potrzebą zdobycia zapasów, które umożliwiłyby jemu i jego ludziom przetrwanie zimy podczas długiej drogi powrotnej na północ.

Uśmiechnął się smętnie. Jeżeli w trakcie całej wyprawy przydarzyła się jakaś przyjemniejsza chwila, to właśnie wtedy. Desperacko potrzebowali żywności. Skandyjska załoga gotowa była się bić, nawet kosztem strat własnych. Tymczasem powitał ich młody zwiadowca, który przed kilkoma laty walczył u boku Erika w bitwie przeciwko Temudzeinom.

Ku zaskoczeniu skirla, zwiadowca zaoferował im pożywienie. Zaprosił nawet Skandian na ucztę, która tamtego wieczora odbyła się w zamku, z udziałem miejscowych dygnitarzy oraz ich żon. Gundar uśmiechnął się na wspomnienie owego wieczoru. Przed oczami stanął mu obraz nieokrzesanych żeglarzy, którzy raptem zaprezentowali wyborne maniery. Zwracali się dwornie ku towarzyszom biesiady, prosząc o podanie mięsiva lub o dolanie do kufli odrobiny piwa. A Gundar dowodził przecież osobnikami nawykłymi kłać, ile wlezie, gołymi rękami rwać udźce pieczonych dzików i od czasu do czasu pociągać piwo prosto z baryłki. Ich starania, by sprostać oczekiwaniom dobrze wychowanego towarzystwa, staną się zapewne, po powrocie do Skandii, tematem wielu soczystych opowieści.

Tak. Po powrocie do Skandii. Uśmiech kapitana „Wilczej chmury” zgasł. Gundar nie miał pojęcia, jak zdołają wrócić do Skandii. Ani nawet, czy w ogóle powrócą. Opuścili wyspę Seacliff nakarmieni, sownie zaopatrzeni na długą podróż. Wreszcie, dzięki zwiadowcy, zyskali szansę na niewielki zysk z wyprawy, albowiem ofiarował im niewolnika.

Nazwisko tego mężczyzny brzmiało: Buttle. John Buttle. Był bandytą - złodziejem i mordercą - a jego obecność w Araluenu stanowiła dla zwiadowcy źródło potencjalnych kłopotów. Młodzian poprosił Gundara, by wyświadczył mu przysługę, zabierając zbira do Skandii jako niewolnika. Oczywiście, skirl się zgodził. Mężczyzna odznaczał się krzepą i tryskał zdrowiem, więc gwarantował niezły zysk, gdy dotrą do domu.

Gdy dotrą do domu. Czy kiedykolwiek zobaczą znowu Hallasholm? Wpłynęli prosto w potężny sztorm, tuż przy Point Sentinel, a już wcześniej znosiło ich na południowy zachód.

Kiedy zbliżali się do wybrzeża Araluenu, Gundar rozkazał uwolnić Buttle'a z łańcuchów. Zmierzali ku brzegowi kursem po zawietrznej. Przed takim manewrem drżą

wszyscy żeglarze. Istniało spore ryzyko, że okręt nie przetrwa. Gundar doszedł do wniosku, że jeniec powinien zyskać szansę ocalenia.

Nadal brzmiał mu w uszach ściskający wnętrzości zgrzyt, gdy kadłub „Wilczej chmury” rozrywała ukryta pod wodą skała. Czuł wówczas, jakby to jego własny kręgosłup pękał. Przysiągłby, że słyszy, jak okręt jęczy z bólu. A później statek z trudem już reagował na obroty steru. Ze sposobu, w jaki pokonywał grzbiety i doliny fal, Gundar poznał od razu, że „Wilcza chmura” ma przetrącony kark. Rana powiększała się z każdą kolejną falą. Tylko więc kwestią czasu było, kiedy statek pęknie na dwoje i pójdzie na dno. Jednak „Wilcza chmura” to dzielna jednostka, nie zamierzała się poddawać - jeszcze nie wtedy.

Natomiast zdarzyło się coś, co chyba niebiosa zesłały udręczonemu statkowi w nagrodę za dzielność i wysiłki nekanej przez sztorm załogi. Gundar wypatrzył bowiem lukę w skalistej ścianie wybrzeża, tam gdzie rozszerzało się przed nimi ujście rzeki. Zdołał podpłynąć, choć okrętem okrutnie rzucał sztormowy wicher. Skierował „Wilczą chmurę” na osłonięte wody rzeki. Gdy wiatr ustał, a wściekłe fale zgasły, wyczerpani ludzie ciężko zalegli na ławach obok wiosł.

Wtedy właśnie Buttle wykorzystał nadarżającą się okazję. Z pochwy przy pasie jednego z żeglarzy wyrwał nóż i poderżnął Skandianinowi gardło. Inny wiosłarz usiłował go co prawda zatrzymać, lecz stracił równowagę. Buttle pchnął także jego. Potem, w mgnieniu oka, wyskoczył za burtę i popłynął do odległego brzegu. Nie było sposobu, żeby go gonić. Choć to dziwne, niewielu Skandian potrafiło pływać, a statek nieomal tonął. Klnąc siarczyście, Gundar pozwolił rzezimieszkowi uciec. Nie mieli czasu na pościg, trzeba było znaleźć miejsce, w którym zdołaliby dobić do brzegu.

Za kolejnym zakolem natknęli się na wąską kamienną ławicę. Nadawała się do ich celów, więc Gundar ustawił „Wilczą chmurę” pod niewielkim kątem wobec ławicy i osadził na niej statek. Wtedy właśnie poczuł, jak stępka ostatecznie się poddaje. Zdawało się, że okręt do ostatniej chwili dbał o bezpieczeństwo załogi. Po wykonaniu zadania skonał cicho pod stopami żeglarzy.

Wytoczyli się na plażę, rozbili obozowisko wśród drzew. Gundar uznał, że najlepiej nie rzucać się w oczy. Bądź co bądź, pozbawieni statku, nie zdołaliby umknąć miejscowym. On zaś nie miał pojęcia, jak tubylcy zareagują na ich obecność. Nie wiedział również, ilu zbrojnych zdołaliby wystawić. Skandianie nigdy nie uchylali się przed walką, ale głupotą byłoby prowokować starcie, skoro mieli pozostać w tym kraju jakiś czas.

Dzięki zwiadowcy posiadali na razie dosyć żywności. Gundarowi trzeba było czasu, żeby zastanowić się, jakim sposobem wykaraskają się z fatalnej sytuacji. Może, kiedy pogoda

się poprawi, zdołają ze szczątków „Wilczej chmury” zbudować małą łódź. Westchnął. Po prostu sam nie wiedział. Był sternikiem, nie cieślą okrętowym. Rozejrzył się po małym obozowisku. Na pagórku, za polaną, na której siedział, wspólnie pochowali dwóch ludzi zabitych przez Buttle'a. Skandianie nie mogli nawet ułożyć porządnego stosu pogrzebowego, jak nakazywała ich tradycja. Gundar obwinił się o śmierć żeglarzy. Bądź co bądź, osobiście rozkazał rozkuć więźnia.

Potrząsnął głową i mruknął pod nosem:

- Niech diabli porwą Johna Buttle'a. Należało go wyrzucić za burtę. W łańcuchach czy bez.

- Wiesz co, chyba się z tobą zgadzam - odpowiedział głos za jego plecami.

Gundar poderwał się na równe nogi. Odwrócił się gwałtownie. Dłoń skirla powędrowała do pasa, ku rękojeści miecza.

- Na rogi Thuraka! - wykrzyknął. - A skądżeś ty się, u diabła, wziął?

Dziwna postać, otulona osobliwą czarno-białą cętkowaną opończą, siedziała na pniaku, w odległości kilkunastu kroków. Gundar, wypowiadając słowo „diabeł”, poczuł, że jego dłoń, zadrżała na rękojeści miecza. Skirl uważniej przypatrzył się zjawie. Znajdowali się w prastarym borze, ciemnym, nieprzyjaznym. Być może nawiedził go duch albo upiór strzegący tej okolicy. Wzór na opończy zdawał się migotać, zmieniał się w oczach. Gundar zamrugał. Coś zamajaczyło mu w pamięci. Uświadomił sobie, że już kiedyś oglądał coś podobnego.

Ludzie skirla, słysząc jego zaniepokojony głos, podeszli bliżej. Z zakapturzonej postaci promieniowało istotnie coś niepokojącego. Załoga trzymała się za kapitanem. Oczekiwali, że stanie na czele.

Nieznajomy uniósł się. Gundar mimowolnie postąpił pół kroku w tył, by natychmiast, zły sam na siebie, przesunąć się o pełny krok do przodu. Przemówił, a jego głos brzmiał stanowczo.

- Jeżeliś duchem - sapnął - nie zamierzamy ci w niczym uchybić. A jeśli nie jesteś duchem, gadaj, coś ty za jeden. Albo rychło znajdziesz się wśród duchów.

Osobnik zaśmiał się łagodnie.

- Dobrze powiedziane, Gundarze Hardstrikerze, w rzeczy samej. Słusznie prawisz.

Gundar poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Ton głosu brzmiał całkiem przyjacielsko, ale jakim cudem ten... ktoś... znał jego imię? Stawało się jasne - działają tu jakieś ponadnaturalne moce.

Przybysz uniósł rękę. Zsunął kaptur.

- Och, dajże spokój, Gundarze, nie poznajesz mnie? - spytał wesoły głos.

W pamięci zawrzało. Z całą pewnością przed skirlem nie sterczał żaden udęczonego ducha. Bo nie miałby młodego oblicza ze strzechą potarganych brązowych włosów nad ciemnobrązowymi oczyma ani szerokiego uśmiechu. Znajoma twarz... W mgnieniu oka Gundar przypomniał sobie, gdzie wcześniej widział ów osobliwy, migotliwy wzór na opończy.

- Will Treaty! - wykrzyknął ze zdumieniem. - To naprawdę ty?!

- We własnej osobie. - Will zaśmiał się. Postąpił krok, wyciągając dłoń w znanym na całym świecie geście pokoju i powitania. Gundar chwycił ją i mocno uściskał - i to nie tylko dlatego, że poczuł ulgę, stwierdziwszy, że nie stoi naprzeciw jakiegoś magicznego mieszkańca lasu. Załoga głośnymi okrzykami kwitowała pomyślny obrót wydarzeń. Skirl domyślił się, że jego ludzie odczuli taką samą ulgę jak on.

Will popatrzył na nich. Uśmiechnął się.

- Dostrzegam tu kilka znajomych twarzy - stwierdził. Paru Skandian wykrzyknęło coś na powitanie. Will przyjrzał im się. Zachmurzył się nieco.

- Nie widzę Ulfa Oakbendera? - zwrócił się do Gundara. Ulf walczył w bitwie przeciwko Wschodnim Jeźdźcom. On jako pierwszy rozpoznał Willa na wyspie Seacliff. Siedzieli obok siebie podczas słynnej uczyty, wspominając bitwę. Will zauważył, jak ból ścina twarz Gundara.

- Został zamordowany przez tego węża Buttle'a - warknął.

Uśmiech Willa zgasł.

- Przykro mi to słyszeć. Zaczny był z niego chłop.

Zapadło ponure milczenie. Wspominali poległego towarzysza. Potem Gundar wskazał ogniska.

- Może się do nas przyłączysz? - zapytał. - Mamy żyłastą soloną wołowinę oraz trochę piwa bez smaku. Wszystko dzięki uprzejmości pewnej bardzo szczodrej wyspy na południu.

Will odpowiedział na szyderczą zaczepkę szerokim uśmiechem. Ruszył za Gundarem, który poprowadził go ku skromnemu obozowisku. Kiedy mijali członków załogi „Wilczej chmury”, niektórzy wyciągali ręce i ściskali dłoń młodzieńca.

Widok znajomej twarzy oraz fakt, że twarz ta należała do zwiadowcy, wzbudzał nadzieję, że mimo wszystko znajdzie się jakiś sposób na wydostanie się z obecnych tarapatów.

Will usiadł na pniaku przy jednym z ognisk, pod daszkiem skleconym z wielkiego kwadratowego grotzągla wilczego statku. Przyjął kufel piwa, wysączył ze smakiem,

przepijając do zebranych wokół mężczyzn.

- A zatem, Willu Treaty - odezwał się Gundar - co cię sprowadza?

Will rozejrzał się po brodatych, smagłych twarzach. Znów się do nich uśmiechnął.

- Szukam ludzi zdalnych do walki - oznajmił. - Planuję zdobycie zamku. Słyszałem, że jesteście w tym dobrzy.

Rozdział 2

Gruby śniegowy dywan, zaścielający ziemię, tłumiał odgłos stąpających kopyt. Gniadosz człapał wąskim traktem wzdłuż strumienia. Jeździec prowadził wierzchowca ostrożnie. Trudno zgadnąć, gdzie śnieg leży grubą, puszystą warstwą, a gdzie ledwie przyprószył tafłę śliskiego lodu. Konny, ześlizgnąwszy się w dół po stromym brzegu, niechybnie runąłby wprost do wody. Strumień, choć przegrywał z mrozem, płynął leniwie, niemal dławiąc się miękkim, topniejącym lodem. Jeździec zerknął na tafłę, lekko się wstrząsnął. Gdyby wpadł pod lód w ciężkiej kolczudze, obciążony bronią, miałby niewielkie szanse na przeżycie. Gdyby nawet nie utonął, przesywający mróz z pewnością by go uśmiercił.

Bojowy wierzchowiec oraz ryszczunek jeźdźca jednoznacznie świadczyły, że drogą podróżuje wojownik. Na wsporniku przy prawym strzemienu spoczywał tylec na długiej, jesionowej kopii. Po stronie lewej zwiślał długi miecz, a stożkowy hełm rycerz przytroczył do łąku siodła. Kaptur zbroi kolczej zsunął do tyłu. Jeździec przekonał się w ostatnich dniach, że w tej pokrytej śniegiem krainie nic nie doskwiera bardziej, niż kontakt z lodowatą kolczugą. Dlatego szyję owinał wełnianym szalikiem, a na głowę nacisnął futrzaną czapę. Przy końskim boku kołysał się długi łuk w skórzanych łubach. Ciekawe, bo łuk nie zaliczał się do typowych elementów rycerskiego wyposażenia.

Jednak spośród całego ryszczunku najbardziej chyba rzucała się w oczy tarcza. Zwyczajna, okrągła tarcza, zawieszona z tyłu w taki sposób, aby chronić plecy przed strzałami albo innymi pociskami. Rycerz zdołałby ją w mgnieniu oka przemieścić z pleców na lewe przedramię. Tarcza owa została pomalowana na białą, w jej zaś centrum widniał niebieski kontur zaciśniętej pięści, co w Aralunie oznaczało, że rycerz nie służy obecnie żadnemu panu i szuka zajęcia.

Gdy szlak odbiegł od strumienia, jeździec odprężył się nieco. Pochylił się do przodu, poklepał rumaka po szyi.

- Dobra robota, Kicker - rzucił cicho Horace.

Wierzchowiec wstrząsnął łbem, zgadzając się z pochwałą. Tworzyli zgrany zespół. Ufali sobie bez zastrzeżeń, przeszli wszak razem wiele ciężkich batalii. Nagle koń ostrzegawczo zastrzygł uszami. Rumaki bojowe układano w taki sposób, by każdego obcego

uznawały za potencjalnego wroga.

Na szlaku pojawiło się pięciu obcych. Pomału zmierzali w ich stronę.

- Towarzystwo - mruknął Horace.

W trakcie samotnej podróży nabrał zwyczaju mówienia do wierzchowca. Koń nie odpowiedział. Oczywiście. Horace rozejrzał się dokoła. Wypatrywał jakiegoś miejsca nadającego się do obrony. Tak jak koń, tak i on został wyszkolony, by w żadnym razie nie ufać obcym. Jednak szpaler drzew po obu stronach traktu znajdował się dość daleko, zaś pomiędzy drogą a lasem rosły tylko niskie krzewy janowca. Horace wzruszył ramionami. Wolałby mieć za plecami jakieś potężne drzewo. Tyle, że niczego takiego w pobliżu nie dostrzegał. Trudno. Wiele już lat wcześniej nauczył się nie trwonić czasu na bezsensowne narzekanie.

Porozumiał się z rumakiem, lekko ścisnąwszy łydkami końskie boki. Nieznacznym ruchem przesunął okrągłą tarczę na lewe przedramię. Gest ten świadczył o tym, że pomimo młodego wieku Horace wybornie zgłębił arkana rycerskiego rzemiosła.

Wyglądał na młokosa. Twarz otwarta, szczerą, gładko ogolona i urodziwa. Mocno zarysowana szczęka. Oczy jasnyniebieskie. Wysoko na prawym policzku, który arridyjski sztylet przeorał ponad rok wcześniej, widniała cienka blizna. Wciąż stosunkowo świeża, nadal rzucała się w oczy. Wraz z upływem lat zblednie, stanie się mniej wyraźna.

Skrzywiony nos bynajmniej nie ujmował młodzieńcowi urody. Przeciwnie, wzbogacał jego oblicze o pewien zawiadycki rys. Wcale liczne grono młodych dam królestwa twierdziło, że skaza ta wręcz podnosi atrakcyjność Horace'a.

Jeździec raz jeszcze trącił łydką Kickera. Koń zmienił pozycję. Ustawił się pod kątem w stosunku do zbliżających się jeźdźców. Manewr sprawił, iż tarcza wojownika znalazła się naprzeciw podróżnych. Chroniła oraz jednocześnie wskazywała, kim jest jej posiadacz. Rycerz trzymał kopię uniesioną. Opuszczając drzewce, niepotrzebnie prowokowałby tamtych.

Uważnie przyglądał się pięciu zbliżającym się mężczyznom. Czterech zbrojnych - nosili miecze i tarcze. Lecz żaden nie miał kopii, oznaki rycerskiego stanu. I wszyscy przyodziani byli w opończe, przystrojone identycznym znakiem - zdobnym złotym kluczem umieszczonym w polu podzielonym na niebieskie oraz białe ćwierci. Wszyscy zatem służyli u tego samego pana. Horace rozpoznał herb Macindaw.

Piąty mężczyzna wysforował się o kilka kroków. W dłoni trzymał tarczę, odziany był w skórzany napierśnik, nabijany żelazem, chroniące jego nogi nagolenniki oraz w wełniane ubranie i rajtuzy. Nie nosił hełmu. Tarcza nie nosiła oznak tożsamości. Miecz wisiał na kuli u lęku siodła - ciężka broń, nieco krótsza oraz szersza niż oręż konnych rycerzy, takich jak

Horace. Jednak najbardziej osobliwe ze wszystkiego zdawało się to, że miast kopii dźwigał ciężką bojową włócznię, mierzącą jakieś dwa metry.

Długie czarne włosy oraz broda, a także grube, zmarszczone brwi sprawiały wrażenie, jakby brodacza toczyła nieustanna wściekłość. Temu osobnikowi nie należy ufać, pomyślał Horace.

Gdy Horace'a dzieliły od piątki konnych dwie długości konia, zakrzyknął:

- Miarkujcie dystans, bo coś mi się widzi, że bliżej na razie nie trzeba podjeżdżać.

Przywódca wykonał nieznaczny gest. Czterej zbrojni ściągnęli wodze. Jednak on sam nadal zbliżał się ku Horace'owi. Kiedy dzieliło ich ledwie pięć metrów, Horace zwolnił tylec kopii z uchwytu przy prawym strzemieniu. Opuścił grot, tak że ostrze znalazło się na wysokości gardła intruza.

Horace uznał, że skoro obcy celowo postanowił zachowywać się prowokacyjnie, nie powinien mieć mu za złe, że dba o ostrożność.

Żelazny grot kopii, starannie wyostrzony na kantach, błyskał bezlitośnie, celując w gardło jeźdźca. Obcy wstrzymał konia.

- Dajże spokój, to bez sensu - odezwał się szorstko, a nawet gniewnie.

Horace nieznacznie wzruszył ramionami.

- Równie bez sensu jak i to, byś podjeżdżał bliżej - spokojnie odparł - chyba że najpierw poznamy się lepiej.

Dwaj spośród czterech zbrojnych pchnęli wierzchowce ku prawej i lewej. Horace prześlizgnął się po nich oczami, następnie znów zawiesił wzrok na twarzy mężczyzny naprzeciwko.

- Każ swoim ludziom, żeby zostali tam, gdzie są, jeśli łaska.

Brodacz obrócił się w siodle, łypnął.

- Dosyć - rozkazał towarzyszom, a oni zastygli w bezruchu.

Horace znów zerknął na tych czterech. Już wcześniej przyszło mu do głowy, że coś z nimi nie tak. Nagle pojął, w czym rzecz. Byli niechlujni. Opończe sprawiały wrażenie poplamionych i pomiętych. Broń nie wypolerowana, zbroje też nie błyszczały. Jakby lepiej się czuli w skórze zbójów kryjących się po lasach, czyhających na Bogu ducha winnych podróżnych, niż nosząc lordowskie barwy oraz herb. Na ogół zbrojne załogi zamków pozostawały pod rozkazami i czujnym okiem doświadczonych sierżantów. Rzadko więc się zdarzało, by ktokolwiek pozwalał im tak się zaniedbać.

- Wiesz co, ty chyba uparłeś się mieć ze mną na pieńku - burknął brodaty mężczyzna. W słowach brodacza zabrzmiała otwarta groźba. Nie dbał o pozory. Jeszcze mniej na nie

zważał, gdy po chwili milczenia dodał: - Możesz tego pożałować.

- A niby dlaczego? - zapytał Horace zaczepnie.

Trzymana w pozycji bojowej kopia wyraźnie przemawiała brodatemu do wyobraźni. Horace uniósł grot i na powrót osadził drzewce we wsporniku przy strzemienu.

- No cóż, jeśli naprawdę szukasz zajęcia, nie powinieneś akurat ze mną zadzierać. Oto dlaczego. - odpowiedział ponurak.

Horace uważnie rozważył jego słowa.

- A ja szukam zajęcia? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Ponury nie rzekł wprost, tylko wskazał znak widniejący na tarczy Horace'a. Przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie tamten uznał, że jednak on musi się odezwać.

- Jesteś rycerzem bez pana - rzucił.

Horace skinął głową. Nie podobały mu się maniere tego osobnika. Prezentował arogancję oraz napastliwość właściwe komuś, kto zagarnął władzę nad stan.

- W rzeczy samej - przytaknął. - Chociaż zważ, iż znak na mojej tarczy oznacza jedno tylko: u nikogo nie służę. Nie oznacza natomiast, że akurat w tej chwili szukam zajęcia. - Uśmiechnął się. - Mogę nie pozostawać w niczyjej służbie z powodów osobistych.

Starał się o życzliwy ton, poniechał choćby cienia sarkazmu. Ale brodacz ani myślał okazywać choćby odrobiny sympatii.

- Nie przegaduj się ze mną, chłopcze. Jeśli nawet posiadasz własnego bojowego konia oraz kopię, nie sądz, że wolno ci się szarogęścić. Widzę przed sobą obdartego żebraka, który nie ma roboty. Natomiast ja jestem człowiekiem, który mógłby dać ci zajęcie, gdybyś okazał mi odrobinę szacunku.

Uśmiech zniknął z twarzy Horace'a. Rycerz westchnął w duchu. Nie z powodu sugestii, jakoby był żebrakiem w łachmanach, lecz wyłowiwszy zniewagę, kryjącą się w zwrocie „chłopcze”. Już jako szesnastolatek przywykł, iż potencjalni przeciwnicy lekceważą jego talenty z powodu jego młodego wieku. Większość dopiero poniewczasie miała okazję pojąć, jak bardzo się myliła.

- Dokąd to zmierzasz? - natarczywie dopytywał się brodaty mężczyzna.

Horace nie widział powodu, by nie odpowiadać.

- Pomyślałem, że zajadę do Zamku Macindaw - odparł. - Potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym spędzić resztę zimy.

Mężczyzna zareagował na wyjaśnienie Horace'a szyderczym prychnięciem.

- W takim razie źle się zabrałeś do rzeczy - wycedził. - Gdyż to ja jestem osobą, która najmuje ludzi dla lorda Kerena.

Horace nieznacznie zmarszczył brwi. Lord Keren? Imię to nic mu nie mówiło.

- Lord Keren? - powtórzył głośno. - Sądziłem, że na Macindaw panuje Syron?

Pytanie zostało zbyt lekceważącym machnięciem dłoni.

- Z Syronem koniec - odpowiedział brodac. - Ostatnio obito mi się o uszy, że długo nie pociągnie. Zresztą, jak dla mnie, niech zdycha. Jego syn, Orman, zbiegł, chowa się gdzieś po lasach. Teraz rządzi lord Keren. A ja zostałem dowódcą garnizonu.

- Więc zwą cię...? - Horace starał się zachować całkowicie neutralny ton.

- Jestem sir John Buttle - rzucił brodac.

Horace zachmurzył się lekko. Nazwisko wydało mu się jakby znajome. No, i przysiągłby, iż nieokrzesany, niedbale odziany zbior w żadnym razie nie ma prawa do tytułu rycerskiego. Jednak nie odezwał się. Wyrażając wątpliwości, niewiele by zyskał, jeszcze bardziej zrażając do siebie osobnika, który sprawiał wrażenie kogoś, kto zraża się bardzo łatwo.

- Jak ty się zwiesz, chłopcze? - naciskał Buttle.

Horace raz jeszcze westchnął w duchu. Odpowiadając, ciągle starał się zachowywać pogodny, przyjazny ton.

- Hawken - rzekł. - Hawken Watt, urodzony w Caraway. Ale teraz wolny obywatel całego naszego wielkiego królestwa.

Lekki ton ponownie nie znalazł uznania w uszach Buttle'a. Poirytowana odpowiedź brzmiała opryskliwie.

- Nie tej części królestwa - warknął. - Nie masz czego szukać w Macindaw. Nic po tobie w lennie Norgate. Ruszaj stąd. Znikaj z okolicy przed zachodem słońca, jeżeli dbasz o własną skórę.

- Z pewnością rozważę twoją radę - odpowiedział Horace.

Chmurna mina Buttle'a sponiewiała jeszcze bardziej. Nachylił się w stronę młodego wojownika.

- Bacz, chłopcze, byś się nie oszukał. Skorzystaj z mojej podpowiedzi. Nie trafiłeś na człowieka, z którym warto zadzierać. A teraz w drogę.

Wskazał kciukiem na południowy wschód, gdzie znajdowała się granica lenna. Horace wszelako uznał, że już dość zdołał wyciągnąć od sir Johna Buttle'a. Uśmiechnął się tedy, pozostając w miejscu, na pozór absolutnie nieporuszony. Kicker wyczuł jednak lekkie podniecenie. Jego pan gotował się do starcia. Bojowy rumak zastrzygł uszami. Czuł, że zanosi się na bój, a pochodził z rasy, która istniała po to, by walczyć.

Buttle, niepewny, co dalej trzeba robić, wahał się. Pogroził przecież młokosowi.

Przywykł, że sam jego groźny wygląd na ogół wystarczał, by przyprawić bliźnich o lęk. Widok zbrojnych, czekających w gotowości, miał dodatkowo wesprzeć grozę ostrzeżeń. Lecz ów dobrze uzbrojony młodzik po prostu nadal siedział spokojnie w siodle i gapił się beczelnie. Biła od niego pewność siebie. Jakby wcale nie zważał, że staje sam przeciw pięciu. Buttle pojął, że albo musi spełnić groźbę, siłą wyprawiając wojownika w dalszą drogę, albo ustąpić. Gdy on się zastanawiał, Horace wciąż czekał. Uśmiechał się przy tym od niechcenia. I nagle ustąpienie wydało się Buttle'owi wcale dobrym wyjściem.

Ze złością zawrócił konia. Gestem nakazał ludziom, by poszli w jego ślady.

- Pamiętaj, co ci mówiłem! - rzucił przez ramię, ruszając z kopyta. - Masz czas do zachodu słońca.

Gdy mała kawalkada odjechała, zadumany Horace podrapał Kickera za uchem. Odnosił wrażenie, że gdyby pozwolił Buttle'owi dać się zastraszyć, z miejsca zaoferowano by mu zajęcie. Jednak wykazany hart ducha oraz nieustępliwość wyraźnie przemówiły przeciw niemu. Dziwny mają tu sposób werbowania wojowników - pomyślał. W lennie Norgate wiele rzeczy wydawało się dziwnych.

Rozdział 3

Uzdrowiciel Malcolm, znany bardziej jako czarnoksiężnik Malkallam, na moment oderwał wzrok od pracy, albowiem na niewielką polanę w Lesie Grimsdell wjechał Will.

Każdego przedpołudnia, począwszy od jedenastej, Malcolm zajmował się leczeniem swoich Judzi. Ci, którzy odnieśli jakieś obrażenia albo w ogóle na coś chorowali, ustawiali się przed domem uzdrowiciela w kolejce. Czekali, aż ich przebadają. Uskarżali się na rozmaite dolegliwości: zwichnięte stawy, skaleczenia, rany albo gorączkę. Wielu spośród mieszkańców małej leśnej osady zostało wypędzonych kiedyś z domów jako ludzie ułomni, kalecy, zdeformowani. Problemy ze zdrowiem okazywały się chroniczne, więc nieszczęśnicy nadal wymagali stałej opieki. Kolejka pacjentów zazwyczaj była długa.

Ostatni w tym dniu pacjent Malcolma zgłosił się ze stosunkowo drobną sprawą. Jedenastoletni chłopiec postanowił mianowicie wykorzystać wycieraczkę sprzed matczyego domu w charakterze latającego dywanu, na którym spróbował sfrunąć z czterometrowego drzewa. Malcolm dokończył bandażowanie skręconej kostki, nałożył trochę maści na podrapane łokcie oraz nadgarstki i na koniec potarł włosy pechowego poszukiwacza przygód.

- Zmykaj - rozkazał - i od teraz magię zostaw mnie.

- Jasne, Malcolmie - mruknął jedenastolatek, zwieszając zawstydzoną głowę.

Gdy tylko chłopczyk czmychnął, uzdrowiciel zwrócił się w stronę Willa, który właśnie rozkulbaczał konika. Zwiadowca łagodnie przemawiał do zwierzaka, wycierając go z potu. Konik zdawał się rozumieć słowa swego pana; reagował przyjaznymi parsknięciami i wstrząsał krótką grzywą. Niemłody gospodarz lasu przypatrywał się temu z przyjemnością, gdyż cieszyła go więź między tymi dwoma, widoczna już od pierwszego spojrzenia.

- Słyszałem, że odnalazłeś Skandian? - odezwał się wreszcie.

Will skinął głową.

- Dwudziestu pięciu krzepkich wojowników - odparł. - Obozują dokładnie w tym miejscu, które wskazał twój posłaniec. Na brzegu rzeki Oosel.

Ludzie Malcolma zapuszczali się daleko w wiekowy bór. Niewiele spraw, jakie tam się działy, uchodziło ich uwadze. Jeśli zaś spostrzegli coś niezwykłego, od razu powiadamiali uzdrowiciela. Na wieść o grupie skandyjskich rozbitków, Will od razu wyruszył, by ich

odszukać.

- A oni z radością zaoferowali ci pomoc? - podpytywał Malcolm.

Will wzruszył ramionami, siadając na słonecznej werandzie obok starego uzdrowiciela.

- Z radością to oni przyjmą pieniądze, jakie im zaproponowałem. Poza tym ich kapitan uznał, że jest mi coś winien, ponieważ pozwolił Buttle'owi uciec.

Xander, sekretarz oraz pomocnik Ormana z Macindaw, wyszedł przed dom.

- Jak tam Orman? - zapytał Malcolm.

Keren, pragnący przejąć panowanie w Macindaw, usiłował otruć pana na zamku. Will z Xanderem zdołali ocalić lordowi życie, choć na ukrytą polanę uzdrowiciela dotarli w ostatniej chwili.

- Wszystko zmierza ku lepszemu. Jednak wciąż jest bardzo słaby. Znowu śpi - wyjaśnił Xander.

Malcolm pokiwał głową z namysłem.

- Sen to najlepsze lekarstwo. Trucizna opuściła już organizm. Ciało będzie się leczyć teraz samo. Pozwólmy Ormanowi odpoczywać.

Xander chyba ciągle pozostawał wobec Malcolma nieufny. Starzec uratował jego panu życie, on wszakże nadal traktował uzdrowiciela nieco podejrzliwie. Był zdania, że Malcolm powinien zapewnić lordowi jakąś bardziej konkretną kurację. Tymczasem ograniczał się do zwyczajnego zalecenia, by lord odpoczywał. Jednak sekretarz kłopotał się aktualnie inną sprawą.

- Czy ja dobrze usłyszałem? Obiecałeś tym Skandianom, że im zapłacisz? - zwrócił się do Willa.

Will uśmiechnął się do niego promiennie. Zaprzeczył.

- Nie. Obiecałem, że ty im zapłacisz - odparł. - Za usługi należy się siedemdziesiąt złotych rojali.

Oburzony Xander naskoczył na zwiadowcę.

- Niesłychane! - zachnął się. - Nie masz prawa robić czegoś takiego! Orman jest włodarzem Macindaw. Prowadzenie wszelkich tego rodzaju negocjacji należy do niego. Albo do mnie, pod jego nieobecność!

Sekretarz udowodnił już wcześniej, iż jest człowiekiem odważnym, ogromnie oddanym swemu panu. Jednak odwaga oraz oddanie sprawiały, że czasem Xandera rozdymała nadmierna pycha. Will obrzucił go wiele mówiącym spojrzeniem. Usłyszał wzgardliwe prychnięcie Malcolma.

- W tej chwili - wycedził Will z ostrzegawczą nutą w głosie - Orman nie jest włodarzem zupełnie niczego. Nie włada nawet pożyczonym łóżkiem, w którym spoczywa. Zresztą, w istocie rzeczy ja przewyższam lorda rangą. Chyba zapominasz, że działam z upoważnienia króla.

Xander uświadomił sobie, że młodzieniec ma rację. Bądź co bądź, Will był zwiadowcą, chociaż przybył do Macindaw w przebraniu rybaka. Xanderowi z trudem przychodziła akceptacja faktu, że tak wielkie uprawnienia przekazano komuś tak młodemu. Ustąpił, ale postanowił jeszcze trochę pogrymasić.

- Mimo wszystko - westchnął - aż siedemdziesiąt rojali? Doprawdy, należało się porządniej targować!

Will wstrząsnął czupryną.

- Możesz renegocjować umowę, jeżeli tylko masz na to ochotę. Jestem pewien, że Skandianie z radością ruszą do targu z kimś, kto zamierza się przyglądać z boku, jak oni nadstawiają karku.

Xander spostrzegł, że wkroczył na grząski grunt. Lecz okazał się zbyt uparty, by po prostu poniechać tematu.

- Cóż, zapewne. Jednak, zważ, tym właśnie się trudnią, czyż nie? Walczą dla pieniędzy, nieprawdaż?

- W rzeczy samej - Will przytaknął, i pomyślał, że Xander potrafi być bardzo irytujący. - I dzięki temu dobrze się orientują, ile jest warte ich życie. Zresztą, spójrz na sprawę z jaśniejszej strony. Więcej optymizmu. Może przegramy, a wtedy nie będziesz im winien ani grosza.

W głosie zwiadowcy zadźwięczały ostrzejsze nutki. Ten ton nareszcie przedarł się przez napuszoną dumę Xandera. Sekretarz pojął, że dalsze drażnienie kwestii może się okazać nie najlepszym pomysłem. Prychnął, po czym odszedł. Ale nim odszedł, zadbał uprzednio, by do Willa oraz Malcolma dotarła uwaga, jaką im rzucił na odchodnym: „Siedemdziesiąt rojali, też mi coś! Nigdy nie słyszałem o podobnej rozrzutności!”.

Malcolm, łypnąwszy na Willa, wzruszył ramionami, okazując mu pełne zrozumienie.

- Mam nadzieję, że wkrótce uda ci się wyprawić tego osobnika z powrotem do zamku - mruknął. - Jego zachowanie zaczyna mnie już irytować.

Will uśmiechnął się.

- Przynajmniej jest bardzo oddany. No i stać go, małego uparciucha, na odwagę. Sam zresztą miałeś okazję się o tym przekonać.

Malcolm zastanawiał się przez parę chwil.

- Dziwne, prawda? - zauważył refleksyjnie. - Można by się spodziewać, że odwaga oraz oddanie sprawią, iż kogoś polubisz. A jednak jemu jakoś stale udaje się doprowadzać mnie do szewskiej pasji. - Machnął ręką, odsuwając na bok temat Xandera. - Wejdźmy do środka. Opowiesz mi nieco więcej o tych twoich Skandianach.

Wprowadził Willa do wnętrza domu. Już wcześniej zaparzył dzbanek kawy. Odkąd poznał młodego zwiadowcę, czyli nie tak znów dawno, zauważył jego graniczące z uzależnieniem zamiłowanie do smolistego napoju. Uśmiechnął się, bo Will, posmakowawszy kawy, oblizwał wargi i westchnął z rozkoszą. Rozsiedli się na wygodnych krzesłach przy kuchennym stole Malcolma.

- Przybędą za dzień lub dwa - oświadczył Will. - Zostawiłem ich, żeby zwinęli obozowisko. Potem pociągną za mną. Jeden z twoich ludzi przyprowadzi ich tutaj. Mieliśmy szczęście, że nam się trafili, przyznaję. Trzeba mi bowiem wojowników, a tych w pobliżu jak na lekarstwo.

Malcolm westchnął.

- Prawda - przytaknął. - Moi ludzie to nie wojownicy. Nie są ani wyszkoleni, ani odpowiednio wyekwipowani do takiego akurat zajęcia.

- Okoliczni wieśniacy także raczej się do nas nie przyłączą. Wszyscy śmiertelnie lękają się czarnoksiężnika Malkallama - dodał Will. Uśmiechnął się, by pokazać, iż nie zamierza nikogo obrażać. Malcolm pokiwał głową, przyznając zwiadowcy rację.

- Fakt. Co więc planujesz, kiedy Skandianie tu dotrą?

Młodzian zawahał się, nim odpowiedział.

- Wtedy... Zobaczymy. Trzeba wymyślić sposób na zdobycie zamku i wydostanie stamtąd Alyss.

- Robiłeś już kiedyś coś takiego? - zapytał Malcolm.

Will uśmiechnął się smętnie.

- Właściwie to nie - wyznał. - Tego rodzaju zadań nigdy nie przerabiałem w trakcie zwiadowczych szkoleń.

Nie zamierzał na razie łamać sobie tym głowy. Może Skandianie wpadną na jakiś pomysł. Zajmie się wszystkim, kiedy nadejdzie stosowny czas.

Malcolm w zamyśleniu gładził podbródek.

- Rozważałeś wariant, by posłać po pomoc do Zamku Norgate?

Will niespokojnie poruszył się na krześle.

- Owszem - odparł. - Ale Keren szczelnie zamknął drogi. Żaden konny się nie prześlizgnie.

Obserwatorzy Malcolma donieśli, że jeźdźcy kierujący się na zachód są zatrzymywani i zawracani.

- Żaden, prócz jego własnych - wtrącił Malcolm. - Jakiś jeździec opuścił Macindaw w czasie, gdy cię nie było.

Will ponuro pokiwał głową.

- Keren nie jest głupcem. Założę się, że posłał umyślnego z wiadomością, iż Orman zdradził i zbiegł, porzucając Kerena, na którego barkach spoczywa teraz troska o bezpieczeństwo Macindaw. Zresztą ja sam identycznie postąpiłbym na jego miejscu. Sęk w tym, że on jest lubiany i szanowany. Będą skłonni mu wierzyć. Tymczasem ja jestem przybłądą. Co więcej, zadaję się ze zdrajcą posądzonym o czarnoksiężskie praktyki.

- Wszelako ciągle pozostajesz w randze królewskiego zwiadowcy - zaproponował Malcolm.

- Oni o tym nie wiedzą. Przybyłem tu w tajnej misji. - Will prychnął, gdy o tym pomyślał. - Załóżmy jednak, że zdołałbym przesłać wiadomość i że oni potraktowaliby ją poważnie. Co, twoim zdaniem, powinni w konsekwencji uczynić?

Malcolm przez chwilę rozważał problem.

- Przyślą żołnierzy, żeby nas wsparli? - podsunął.

Will zaproponował.

- Jest zima. Armia się rozproszyła. Żołnierze wrócili do domów. Skrzyknięcie ich zajęłoby ze dwa tygodnie. Spore przedsięwzięcie. Oni nie podejmą go tylko dlatego, że ktoś obcy poprosi. Możemy liczyć, co najwyżej, że wyślą kogoś na przeszpiegi, by zbadał, kto tutaj mówi prawdę. Ale i tak stracimy co najmniej dwa tygodnie. Bo trzeba tygodnia na podróż w każdą stronę.

Malcolm sposepniał.

- Niewiele da się zdziałać, prawda?

- Całkiem bezradni nie jesteśmy - pocieszył uzdrowiciela Will. - Z dwudziestoma pięcioma Skandianami zdołamy nieźle zaleźć Kerenowi za skórę. Później, kiedy już zgromadzę solidne dowody, pošlemy wiadomość do Norgate.

Umilkł. Mocno zmarszczył czoło. Żałował, że nie ma choć odrobinę więcej doświadczenia w takich sprawach. Był najmłodszym zwiadowcą w Korpusie. Prawdę mówiąc, nie miał pewności, czy obiera właściwą drogę. Jednak Halt zawsze mu wpajał, żeby przed podjęciem konkretnego działania zebrał tyle informacji, ile tylko zdoła. Zbierał więc.

Po raz dwudziesty w ciągu ostatnich kilku dni żałował, że nie ma jak skontaktować się z Haltem. Opiekun gołębi Alyss zniknął, nikt go w okolicy ostatnio nie oglądał. Najpewniej

spłoszył go Buttle oraz jego ludzie. Will otrząsnął się z niewesołych myśli.

- Działo się coś jeszcze pod moją nieobecność? - zapytał.

Dopił kawę, z nadzieją lypnął na dzbanek. Malcolm, który był świadom, że jego zapas kawowych ziaren z wolna się kończy, udał, że nie dostrzega niemego zapytania. Zlekceważył także ciche westchnienie, które w konsekwencji nastąpiło. Przerzucił kilka stron z notatkami. Zapiski sporządził na podstawie relacji własnych służb wywiadowczych.

- Wydarzyły się dwie rzeczy - odpowiedział. - Twoja przyjaciółka, Alyss, przez dwie ostatnie noce dawała w swoim oknie jakieś znaki światłem.

Malcolm zauważył, że natychmiast odwrócił uwagę Willa od kawy. Młodzieniec wyprostował się w krześle.

- Światło? - powiedział z ożywieniem. - Jakiego rodzaju światło?

Malcolm wzruszył ramionami.

- Wygląda jak zwyczajna lampa. Jednak chybotnęła się w oknie.

- Od framugi do framugi? - dopytywał się Will.

Malcolm, zaskoczony, podniósł wzrok znad notatek.

- Owszem - potwierdził. - Skąd wiedziałeś?

Will uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Alyss używa kodu kurierów - wyjaśnił. - Domyślam się, że wie, iż wcześniej czy później zauważę znaki. Kiedy to robi?

Tym razem Malcolm nie potrzebował zaglądać do notatek.

- Zwykle po zmianie wart o północy, mniej więcej około trzeciej nad ranem. Księżyc stoi już wtedy nisko, więc łatwiej dostrzec światło.

- Świetnie! - ucieszył się Will. - To mi daje czas na przygotowanie wiadomości. Trochę wyszedłem z wprawy w używaniu kodu - dodał przeproszającym tonem. - Nie posługiwałem się nim od czasu egzaminu po czwartym roku szkolenia. Ale mówiłeś, że wydarzyły się dwie rzeczy? - spytał.

Malcolm ponownie przewertował stronicę.

- Och, tak. Parę dni temu, rankiem, jeden z moich ludzi widział, jak Buttle i jego zbrojni rozmawiają z obcym rycerzem przy potoku Tumbledown Creek. Mój człowiek sądził, że chodzi o werbunek. Ale wyglądało mu na to, że ów wojownik posłał tamtych do diabła. Sam też później odjechał. Jak mi się zdaje, wynajął pokój w oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”.

Malcolm odnotował w myślach, iż to akurat doniesienie mniej pasjonuje zwiadowcę.

Will, który już układał wiadomość dla Alyss, zapytał jeszcze z roztargnieniem:

- Czy twój człowiek rozpoznał herb rycerza?

- Niebieska pięść. Czyli wojownik najmujący się u różnych lordów. Nosi niebieską pięść wymalowaną na białej tarczy. Okrągłej.

Teraz wiadomość zdecydowanie ożywiła Willa. Zwiadowca prędko podniósł wzrok.

- Coś jeszcze? Młody ten rycerz? Stary?

- Całkiem młody. W rzeczy samej, zaskakująco młody. Ale kawał chłopca. Dosiadał potężnego gniadosza. Mój chłopak podszedł na tyle blisko, że usłyszał, jak gada do konia. Nazwał go Nicker albo Whicker. Coś w tym rodzaju.

- Kicker? - podsunął Will. Jasny promień nadziei musnął mu serce.

Malcolm przytaknął.

- No. Bardzo możliwe. Brzmi lepiej niż Nicker, nieprawdaż? Ty go znasz? - dodał.

Reakcja Willa nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Skoro tak się ucieszył, musiał tamtego znać.

- Och, przypuszczam, że znam. Nawet nieźle - odpowiedział. - Jeżeli to osoba, o której myślę, sprawy właśnie przybierają znacznie pomyślniejszy niż dotąd obrót.

Rozdział 4

Uwięziona w pojedynczej celi na szczycie wieży, Alyss czekała, aż zajdzie księżyc. Wedle obliczeń dysponowała trochę więcej niż godziną, by poczynić stosowne przygotowania. Zresztą chodziło o przygotowania niewielkie.

Zapaliła lampkę oliwną, przyciąwszy uprzednio knot tak krótko, jak tylko się dało. Już wcześniej ułożyła zrolowany koc przy szczelinie pod drzwiami, żeby strażnicy pełniący wartę w pokoju położonym bezpośrednio za celą nie dostrzegli światła. Kiedy mały płomyczek przestał filować i płonął spokojnym, równym światłem, ukryła lampkę pod jednym z dziwacznych stożkowych kapeluszy lady Gwendolyn.

- Wiedziałam, że znajdę jakieś zastosowanie dla tych głupich rzeczy - szepnęła sama do siebie.

Tego właśnie dnia zwrócono Alyss jej osobiste przedmioty - wcześniej, rzecz jasna, przeszukane. Mogła więc przebrać się we własną prostą, elegancką białą suknię, porzucając wymyślne kreacje, odpowiednie dla jej przybranej tożsamości. Z ulgą porzuciła fatalaszki lekkomyślnej lady Gwendolyn. Kolejny kamień spadł z serca Alyss, kiedy odkryła, że sakwa z przyborami do pisania - zawierająca karty pergaminu, pióro, inkaust oraz grafitowe rysiki - również znajduje się w bagażu.

Odsunęła ciężką zasłonę, ustawiła lampę na podłodze pod oknem. Cisnęła w kąt stożkowaty kapelusz. Wpatrywała się w ciemność, skupiając się zwłaszcza na nieregularnej linii wyznaczającej miejsce, od którego rozpoczynał się puszczański las. Przez chwilę starała się wysledzić, czy ktoś tam czeka. Jednak nie odnotowała żadnej reakcji na sygnały, które wysyłała już trzecią noc z rzędu. Nauczono ją wszelako cierpliwości, więc trzymała nerwy na wodzy. Wiedziała, że wcześniej czy później Will ponownie spróbuje nawiązać z nią kontakt. Wróciła myślami do wydarzeń kilku ostatnich dni.

Odkąd Will podjął nieudaną próbę, by uwolnić kurierkę, Keren poddał ją jeszcze jednemu przesłuchaniu. Posłużył się znowu niebieskim kamieniem. Starał się zahipnotyzować dziewczynę w celu wydobycia informacji. Sprawdzał, czy nie skrywa więcej tajemnic.

Wyśpiewała wszystko. W każdym razie wszystko, co tylko pragnął wiedzieć Keren i co przyszło mu do głowy. Przy okazji ujawniła się zasadnicza słabość przesłuchań przeprowadzanych pod wpływem hipnozy. Alyss odpowiadała bowiem skwapliwie na każde

zadane pytanie, nie będąc w stanie ukrywać faktów. Nie zdołałyby kłamać. Jednak, w celu otrzymania jakiejś informacji, należało przedtem zapytać. Alyss nie zwlekałyby z odpowiedzią. Keren bez trudu wyciągał z kurierki każdy interesujący go fakt. O tym, jak Willa oraz ją samą wysłano z misją zbadania pogłosek dotyczących czarów w lennie Norgate. O tajemniczej chorobie, która powaliła władającego lennem lorda Syrona. O tym, że Will to zwiadowca, a nie żaden rybałt.

W normalnych okolicznościach Alyss byłaby wstrząśnięta, że zdradza najskrytsze tajemnice. Jednak w gruncie rzeczy Keren uzyskał od niej niewiele. Niewiele więcej ponad to, co i tak już przedtem wiedział. Kiedy Will parę dni wcześniej wspiał się do Alyss po murze wieży, zapewniał, że nic z tego, co ujawni Kerenowi, nie zdoła się już obrócić się przeciw nim. Bo Alyss nie posiadała przecież żadnej szczegółowej wiedzy na temat planów Willa. Wiedziała natomiast, iż zwiadowca wykaże absolutną determinację, starając się ją uwolnić.

Odgrywając scenę buntu, zapowiedziała Kerenowi, że Will z pewnością zdążył już posłać wiadomość do Zamku Norgate, więc tamtejsze władze skrzykną posiadane siły i ruszą na Macindaw. Zdumiał ją fakt, że Keren zlekceważył groźbę jako drobiazg bez znaczenia.

Alyss, przesłuchiwana pod hipnozą, odpowiadała tylko na bezpośrednio zadawane pytania. Nie wspomniała zatem, że flakonik w skórzanej osłonie, zawierający kwas użyty przez Willa do usunięcia prętów w oknie celi, teraz spoczywał, starannie ukryty, wśród jej garderoby. Pręty, rzecz jasna, zastąpiono nowymi. Alyss naturalnie wyjawiała Kerenowi, że Will posłużył się kwasem. Jednak rycerz-renegat sądził, iż zwiadowca zabrał flakon. Nie domyślał się prawdziwego przebiegu wydarzeń. W noc, w którą doszło do próby ucieczki, Alyss bezwiednie położyła buteleczkę na ramie okna. Następnego dnia, kiedy przypominała sobie o niej, ukryła flakon w małej szafce. Szafka dopełniała wyposażenia jej więziennej celi: łóżko, stół, dwa krzesła. Trudno było mówić o luksusach, ale mogło być znacznie gorzej. Co zaś się tyczy kwasu, Alyss pomyślała, że z pewnością nadejdzie chwila, kiedy okaże się przydatny.

Oczy zaczynały jej łzawić od wysiłku, bo uważnie wpatrywała się w półmrok poza wieżą. Na chwilę odeszła od okna. Potarła oczy, mruganiem odpędzając łzy. A potem znów wróciła do obserwacji.

Kiedy księżyc zaszedł, zaczęła nadawać sygnały.

Zadanie pochłonęło Willa bez reszty. Szyfrował wiadomość dla Alyss. Bosymi stopami opierał się na ciepłym futrze owczarka, który rozłożył się pod stołem. Od czasu do

czasu suka aż sapała z rozkoszy, jak to psy mają w zwyczaju. Will, zerkając na nią, chichotał.

- Właściwie to miło, że jeszcze ciągle chcesz mi używać nieco swego czasu - powiedział. - Gdzież to się podziewa twój nowy przyjaciel?

Za nowego przyjaciela suka uznała Trobara, potężnie zbudowanego, choć zdeformowanego olbrzyma, jednego z najwierniejszych pomocników Malcolma. Pies oraz Trobar z miejsca zapalali do siebie sympatią. Olbrzym przełał na sukę ogrom niespełnionego uczucia. Spędził całe lata bez osoby czy stworzenia, które mógłby kochać. Suka wyczuwała jego pragnienie miłości. Odwzajemniała uczucie, każdego dnia godzinami towarzysząc kalece. Z początku Will czuł lekką zazdrość. Później jednak zdał sobie sprawę, jak ważne okazało się jej towarzystwo dla Trobara, więc skarcił sam siebie za małoduszność. Doszedł do wniosku, że suka jest mądrzejsza, a także bardziej życzliwa od niego.

Pracował przy stole Malcolma. Gdy uzdrowiciel wszedł do pokoju, Will podniósł wzrok. Malcolm z ciekawością spojrział na kartki papieru pokryte literami oraz cyframi. Na jednym z arkuszy Will zapisał wiadomość, którą chciał przesłać. Drugiego arkusza użył jako klucza szyfrowego; posłużył mu on do przekładu liter na znaki kodu. Dostrzegł zainteresowanie Malcolma. Nie zamierzał urazić gospodarza, jednak na wszelki wypadek dyskretnie odwrócił zapisaną stronicę tekstem do dołu.

Sekretne kodu kurierów, znanego Służbie Dyplomatycznej oraz Korpusowi Zwiadowców, strzeżono pilnie. Kod szyfrowano całkiem prostym kluczem, więc był łatwy do rozgryzienia. Will ani myślał narażać sprzymierzeńca na pokusę.

Malcolm uśmiechnął się, obserwując te manewry. Rzeczywiście, próbował podejrzeć kod. Miał niemal pewność, że gdyby zdołał spojrzeć na oryginalną wiadomość oraz porównał ją z tekstem wersji zaszyfrowanej, leżącej obok oryginału, potrafiłby przeniknąć sposób szyfrowania. Uznał, iż młodzieniec siedzący przy jego stole, jest nie w ciemni bity.

- Księżyc zajdzie mniej więcej za godzinę - mruknął.

Will skinął głową.

- Wkrótce ruszamy. Prawie skończyłem.

- Jak rozumiem, zamierzasz przesłać wiadomość, posługując się lampą? - domyślił się Malcolm.

- Zgadza się. Piszę krótko, ponieważ teraz akurat nie mam Alyss wiele do przekazania. Po prostu chcę, by wiedziała, że obserwujemy wieżę. Trzeba ponadto uzgodnić sposób dalszego przesyłania wiadomości.

Uzdrowiciel położył na stole inną kartkę papieru oraz mały kamyczek, czarny i lśniący.

- Istnieje jakiś sposób na przekazanie tych rzeczy Alyss? - spytał. - Inaczej mówiąc,

czy zdołasz przywiązać to do strzały i posłać przez okno? Albo coś w tym rodzaju?

Will pokręcił głową z powątpiewaniem. Sięgnął po kołczan. Malcolm już wcześniej zauważył, że młody zwiadowca zawsze trzyma broń w zasięgu ręki.

- Niezbyt pewna metoda. Jeżeli przywiążesz coś do strzały, owo coś zwykle odpada w locie - wyjaśnił. - My postępujemy trochę inaczej.

Wysunął z kołczana strzałę, umieścił ją na stole. Wyglądała nietypowo.

Zamiast szpica, ostrego jak brzytwa, grot strzały stanowił długi, wydrążony w środku cylinder. Malcolm przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Na końcu cylindra przykręcono kapturek, zwieńczony okrągłym ołowianym ciężarkiem.

- Tutaj chowasz zapisane wiadomości? - domyślił się. Will raz jeszcze przytaknął.

Rozprostował się, rozciągając obolałe mięśnie ramion oraz karku. Garbił się nad stołem już od jakiegoś czasu, bo najpierw zapisywał klucz do szyfru, potem wiadomość, a wreszcie sam kod. Gdy się poruszył, suka także drgnęła. Psi ogon pacnął o podłogę.

- Zgadza się. Spróbuję posłużyć się kodem świetlnym, uprzedzając Alyss, by się odsunęła, a potem pošlę strzałę w jej okno.

- To takie łatwe? - Malcolm uśmiechnął się.

Will uniósł jedną brew.

- Łatwe, pod warunkiem jednak, że przez pięć lat wprawiasz się, ćwicząc posyłanie strzał dokładnie tam, gdzie chcesz trafić.

- A kamień? - spytał Malcolm. - Czy zdołasz w ładunku umieścić kamień?

Will chwycił mały czarny kamyk. Zważył go w dłoni.

- Właściwie mogę, czemu nie. Zmniejszę po prostu ołowiany obciążnik, bo muszę uwzględnić ciężar dodatkowego przedmiotu. Strzałę trzeba starannie wyważyć. Przypuszczam, że posiadasz jakąś wagę?

- Oczywiście. Pytasz o podstawowe narzędzie w uzdrowicielskim fachu.

- Tylko wyjaśnij mi - ciągnął Will - dlaczego w ogóle mam posyłać Alyss jakiś kamień?

- Aaach, no tak - mruknął uzdrowiciel, przykładając palec do nosa. - Zastanawiałem się nawet, kiedy wreszcie raczysz zapytać. Kamień pomoże Alyss, gdyby Keren znów usiłował poddawać ją praktykom mesmerycznym.

Wyjaśnienie natychmiast przyciągnęło uwagę Willa. Ponownie spojrzął na kamyk, lecz przyglądał się mu już znacznie uważniej. Na pierwszy rzut oka był to całkiem zwyczajny kamyk. Will zmarszczył brwi.

- Jak działa? - mruknął.

Malcolm delikatnie wyjął mu kamień z dłoni. Uniósł go. Podziwiał przez chwilę intensywny blask.

- Ten kamyk zneutralizuje oddziaływanie kamienia niebieskiego. Wedle słów Alyss niebieskiego kamienia używa Keren - wyjaśnił. - Bo widzisz, mesmeryzm albo hipnotyzm, jak nazywają to niektórzy, polega na umysłowym przyciąganiu. Keren zadbał o stworzenie takich warunków, by niebieski kamień zawładnął umysłem Alyss. Ona ma reagować na wydawane polecenia. Gdyby jednak trzymała w dłoni ten oto mały kamyk i koncentrowała się intensywnie na jakimś obrazie, innym niż podsuwa jej Keren, wtedy zdołałaby skutecznie się opierać, zachowując kontrolę nad własnym umysłem. Jeżeli jest bystra, Keren nigdy się nie zorientuje, że wyrwała się spod jego wpływu. To zaś przyniesie nam pewien pożytek. Alyss mogłaby podsuwać mu wszelkiego rodzaju fałszywe informacje.

Z powrotem podał kamyk Willowi, który obrócił go w dłoni, sprawdzając, czy coś może przeoczył. Gapił się uważnie na lśniąca czarną powierzchnię, lecz nie potrafił dostrzec niczego szczególnego.

- Na czym to wszystko polega? - ponowił pytanie. Zapewne jakieś czary-mary i hokus-pokus. Tylko że Alyss z wielkim przejęciem tłumaczyła mu, jak skutecznie radzi sobie z nią Keren, odwołując się do mocy niebieskiego kamienia. Will przytoczył jej słowa Malcolmowi. Stary uzdrowiciel w lot pojął rolę owej niebieskiej magii.

Teraz, w odpowiedzi na pytanie Willa, Malcolm po prostu wzruszył ramionami.

- W gruncie rzeczy nikt nie wie, na czym polega cała sztuka. Bo widzisz, to stellatyt - oznajmił, jak gdyby nazwa wszystko tłumaczyła. Później, wychytując pytanie formujące się na wargach Willa, dodał: - Gwiazdny kamień. Jedyna pozostałość po spadającej gwiazdzie. Znalazłem go przed wielu laty. Stellatyty ceni się niesłychanie wysoko, zapewne z powodu niezwykłych właściwości. Tak czy owak - podsumował - naprawdę sam nie wiem, jak on działa. Po prostu, wiem, że działa. - Uśmiechnął się. - Człowiek nauki wścieka się, gdy trzeba przyznać coś takiego, ale cóż poradzić?

Will przyznał uzdrowicielowi rację. Uznał się za przekonanego. Spojrzał na kartkę papieru, którą Malcolm położył na stole. Zawierała opis kamienia oraz instrukcję, jak się nim posłużyć. Tyle że format kartki nie pozwalał umieścić jej w strzale. Will sięgnął więc do swojej torby, wyjął cieniutki arkusik specjalnej bibułki.

- Tak czy owak, bierzmy się za przepisywanie - westchnął. - Ja się tym zajmę. Mógłbyś tymczasem zważyć kamień oraz ołowiany ciężarek przy strzale?

Malcolm podniósł strzałę oraz kamyk.

- Się robi - odparł, ruszając w stronę małej pracowni położonej na tyłach domu.

Rozdział 5

W celi na szczycie wieży Alyss rozpoczęła conocny rytuał z lampą. Unosiła ją, przytrzymując przez chwilę w jednym rogu okiennej framugi. Potem, stopniowo, przesuwała źródło światła, prowadząc je do następnych trzech rogów. Kolejno.

Ponowiła sygnał pięć razy. Następnie przerwała. Postawiła lampę na podłodze. Wpiła wzrok w ciemny krajobraz poza zamkowymi murami. Tak samo jak podczas dwóch poprzednich nocy. Lecz znów uczuła rozczarowanie. Sygnał z dołu nie nadchodził. Alyss nie porzucała jednak nadziei. Była absolutnie pewna, że prędzej czy później Will odpowie. Co prawda nadzieja słabła wraz z każdą daremną próbą. Zapewne on...

Światło! Błysnęło daleko, gdzieś po lewej. I poruszało się wśród drzew! Przez moment czuła, jak ogarnia ją podniecenie, które wszakże prędko szczytło. Zdała sobie bowiem sprawę, że światło nie jest białe, lecz czerwone oraz że porusza się, sunąc wysoko nad ziemią, co chwila przygasając, gdy zasłaniały je drzewa, i ponownie rozbłyskując. Alyss dobrze знаła plotki krążące na temat dziwnych światel, jakie często pełgają w Lesie Grimsdell. Zapewne teraz obserwowała takie właśnie pełganie. Nagle, znów po prawej, dostrzegła kolejny rozbłysk. Żółty. Światło wędrowało w górę i w dół, po prostej. Później zniknęło na parę sekund, następnie pojawiło się nieco dalej na lewo, ciągle wędrując. Raz w górę, raz w dół.

Patrzyła uważnie. Żółte światło zgasło, na jego miejsce znowu pojawiło się czerwone, migające pośród drzew. Białego światła nie dostrzegała. Alyss straciła więc nadzieję. Łudziła się przez chwilę, że jej upór przynosi wreszcie konkretny skutek. Ale pewnie się myliła...

Nagle jest! Jaskrawe, białe światło. Między czerwonym i żółtym, mniej więcej pośrodku. Silny blask rysował w powietrzu wyraźny wzór kwadratu. Wcześniej ona kreśliła przecież taki sam - od jednego rogu do kolejnego, w uporządkowanej sekwencji. Górny lewy róg. Górny prawy. Dolny prawy. Dolny lewy.

Z dołu, od strony blanków, docierał do niej przytłumiony gwar. Wartownicy również zauważyli światła. Pojęła natychmiast, co wymyślił Will. Wiedział przecież, że nie zdoła ukryć błysków przed wzrokiem straży. A gdyby wieść o migającym białym świetle dotarła do Kerena, zbuntowany wódz zrozumiałby niechybnie, iż ktoś wysyła sygnały. Istniała zaś tylko jedna osoba, do której takie sygnały mogły być skierowane.

Will postanowił ukryć świetlny sygnał wśród innych światel - takich, które ludzie

spodziewali się ujrzeć na obrzeżach Lasu Grimsdell. Alyss zachichotała. Will wykorzystał fakt, że najlepiej ukryć drzewo w lesie. Jak w starym porzekadle. Rozbłysło jeszcze jedno światło, tym razem niebieskie. Potem znów żółte. Później czerwone. Aż wreszcie znowu białe, pośrodku. Alyss zrozumiała: czerwone, niebieskie oraz żółte trzeba pomijać. Skupiła się na obserwacji wyłącznie białego. Podniosła własną lampę, maskując ją sztywnym kawałkiem zeschniętej starej skóry, który znalazła na dnie szafy.

Umieściła lampę pośrodku okiennego otworu i pięciokrotnie przesunęła kawałek skóry, wysyłając serię pięciu szybkich błysków, czytelnych dla obserwatorów na skraju lasu. Wedle kodu pięć szybkich błysków pośrodku kwadratu oznaczało, że nawiązano kontakt.

Światło z lasu natychmiast podjęło dialog, odpowiadając tym samym. Pięć prędkich błysków, później przerwa. Trzy dłuższe błyski - standardowa odpowiedź oznaczająca: „Czy jesteś gotów odebrać wiadomość?”.

Pospiesznie podbiegła do stołu, chwyciła papier oraz rysik. Wiedziała, że Will zaczeka, aż będzie gotowa. Skoczyła z powrotem do okna, przesunęła lampę pionowo, w górę i w dół, trzy razy. Białe światło błyskające z Lasu Grimsdell powtórzyło jej ruchy. Kątem oka dostrzegła przemieszczające się kolorowe światła, rozbłyskujące, mrugające tu i tam.

Białe światło zaczęło migać. Alyss zapisywała literę po literze w miarę, jak Will nadawał.

Kod kurierów oparty został na prostym, lecz skutecznym systemie. Dwadzieścia cztery litery alfabetu wkodowano w siatkę złożoną z czterech numerowanych linii, po sześć liter w jednej. Aby uzyskać równą siatkę, pominięto litery V oraz X, w razie potrzeby zastępując je W oraz KS.

1. A B C D E F
2. G H I J K L
3. M N O P Q R
4. S T U W Y Z

Czyli: litera A otrzymała oznaczenie 1-1 - jako znajdująca się w pierwszej linii i jako pierwsza w tejże linii.

Według klucza G stawało się więc 2-1, a P - 3-4. Osoba wysyłająca wiadomość, określała numer linii przez przytrzymanie lampy w konkretnym rogu kwadratu. Górny lewy oznaczał 1, górny prawy - 2, dolny lewy - 3, a dolny prawy - 4.

Na przykład, jeżeli światelko sygnałowe przesunęło się do dolnego lewego rogu, a potem z powrotem na środek i mignęło dwa razy, odbiorca wiedział, że ma czytać trzeci rząd, drugą literę - czyli N.

W przeciwieństwie do Willa, który musiał rozrysować sobie siatkę, żeby ułożyć wiadomość - Halt uznałby to za wysoce naganne - Alyss znała system na wyrywki. Mogła zatem zapisywać litery od razu, już w chwili, gdy zostały nadane.

Światło migało rytmicznie. Niewprawne oko notowało wyłącznie przypadkowe rozbłyski, często obserwowane w Lesie Grimsdell. Alyss serię błysków odczytywała z równą łatwością, jak czyta się otwartą księgę. Prędko zapisywała słowa. Prychnęła nawet wyrozumiale. Will nie potrafił szybko nadawać. Każdy kurier z łatwością by go prześcignął. Lecz od razu zdała sobie sprawę, że szybkość okazuje się teraz mniej istotna niż precyzja komunikatu. Zwiadowca koncentrował się, by dobrze wykonać zadanie. Pewnie przy okazji wysuwał koniuszek języka, jak to czynił zawsze, gdy skupiał na czymś uwagę.

Światło przesunęło się kilka razy w linii poziomej, a potem zniknęło, sygnalizując koniec wiadomości. Alyss chwyciła własną lampę, odpowiedziała takim samym sygnałem, po czym przystąpiła do odczytywania tego, co nagryzmoła. Miała absolutną pewność, iż zapisała wszystko jak należy. Ale nigdy nie zaważyła się upewnić. Przesunęła palcem wzdłuż liter. Niewyraźne, nierówne bązgroły, gdyż notowała ze wzrokiem utkwionym w światelku.

STRZALA Z LISTEM DZIESIEC MINUT UWAGA OKNO CALUSY WILL POTW

Oczywiście, kod nie zawierał znaków przestankowych, lecz i tak zrozumiała, że za dziesięć minut Will pošle w jej okno strzałę z listem. Prosił, by odsunęła się na bok oraz by uważała. Wyraz „POTW” wedle reguły kodu oznaczał standardowy skrót od „POTWIERDZENIE”. Natomiast podpis - „CALUSY WILL” był wysoce nieregulaminowy. Tego rodzaju osobistych akcentów nie pochwalano w trakcie szkolenia. Alyss prychnęła jeszcze raz. Przekazane treści dawały się odczytywać na dwa sposoby. Albo ma potwierdzić pełną wiadomość albo tylko te dwa słowa na końcu - całusy od lub dla Willa.

- Tak czy owak - mruknęła do siebie. Pospiesznie uniosła lampę. Poruszyła nią w oknie trzy razy pionowo: w górę, w dół, w górę. Nadała więc standardowy sygnał „POTWIERDZAM”.

Następnie szarpnęła zasłonę, odsłaniając całe okno. Po raz ostatni uważnie spojrzała na las. Różnobarwne światelka wciąż migotały, zaś białe kołysało się półkolem. Zdała sobie sprawę, że na dziś koniec nadawania. Po prostu ktoś w Lesie Grimsdell na wszelki wypadek ciągnął świetlne przedstawienie. Wartownicy na blankach znudzili się już rozbłyskami różnokolorowych światel. Gwar, jaki docierał do Alyss trochę wcześniej, ścichł. Sierzanci

nakazali ludziom powrót do obowiązków.

Alyss złożyła delikatny całus na koniuszkach palców. Posłała go w ciemną noc.

- Dziękuję ci, Willu - szepnęła.

Ustawiła lampę na środku parapetu, żeby zapewnić Willowi punkt, do którego łatwo celować. Usunęła się na bok. Czekwała na jego strzałę.

Alyss potwierdziła. Will ruszył więc naprzód, porzucając stanowisko usytuowane tuż za linią drzew. Tak jak zwykł był czynić, również teraz przemykał niczym duch od jednej plamy cienia do kolejnej, stapiając się z naturalnym rytmem nocy. Stał się częścią krajobrazu.

Po pięciu latach surowego szkolenia pod czujnym okiem Halta - czasami przy udziale Gilana, mistrza sztuki znikania wśród członków Korpusu Zwiadowców - nie potrzebował w ogóle analizować reakcji własnego ciała. Działał instynktownie. Wcześniej wybrał miejsce, z którego wystrzeli strzałę. Powinien się znaleźć nie dalej niż o sto metrów od zamkowych obwarowań, by strzała mogła dotrzeć na szczyt wieży. Mniej więcej dziewięćdziesiąt metrów przed murem wypatrzył niski pagórek, zwieńczony kępą wysokich krzaków. Dzięki pagórkowi zyskuje dodatkowych parę metrów wysokości. Poza tym wykorzysta poszarpane, falujące cienie, utworzone przez zarośla, na których biały śnieg oraz ciemne listowie odcisnęły cętkowany wzór. Will z łatwością wtopi się w przestrzeń koło zamkowych murów, co pozwoli mu wyprostować się i starannie wycelować.

Marszczył brwi, gdy o tym myślał. Będzie musiał mierzyć starannie, tuż nad lampą, którą Alyss ustawiła pośrodku okna. Trzeba trafić dokładnie w szczelinę między grubymi żelaznymi prętami. Mieliby straszliwego pecha, gdyby dotarł aż tutaj tylko po to, by odbita od któregoś z prętów strzała spadła na dziedziniec pod wieżą. Wcześniej rozważał, czy nie zapisać wiadomości szyfrem zamiast tekstem otwartym. Jednak odrzucił ten pomysł. Brakowało czasu na szyfrowanie całego listu. Zresztą, jeżeli strzała chybi celu i zostanie znaleziona, nie będzie miało znaczenia, czy Keren przeczyta o stellatytowym kamyku oraz jego właściwościach. Dla Alyss kamień przepadnie.

Zaszyfrował jednak kilka ostatnich linijek. Ustalał w nich bowiem system dalszego przesyłania sygnałów. Gdyby Keren uzyskał wiedzę na temat kodu, jakim posługują się Will oraz Alyss, zyskałby sposobność wykorzystania kurierki do własnych celów. Poddałby ją zabiegom mesmerycznym, nakazując przesłanie sygnału, dzięki któremu wciągnąłby Willa w jakąś pułapkę.

Zarośla na małym pagórku sięgały pasa. Will, przykucając, przez chwilę odpoczywał. Zbierał myśli. Szykował się do akcji.

Długo, uważnie wpatrywał się w maleńki, oświetlony kwadrat okna celi umieszczonej na szczycie wieży, z jaśniejszym punktem pośrodku dolnej krawędzi, tam gdzie stała lampa. Przyglądał się, szacował odległość oraz wysokość, obliczał kąt, jaki zatoczy strzała, żeby dotrzeć do okna. Należy celować znacznie powyżej miejsca, w które chce się trafić, to oczywiste. Oczywistościami nie zaprzętał sobie głowy. Gdy nadejdzie stosowna pora, instynktownie wybierze trajektorię lotu. Aha, jeszcze jedno. Trzeba pamiętać, że używa obecnie składanego łuku refleksyjnego, w jaki wyposażył go Crowley. Łuk refleksyjny nie posiada takiej siły naciągu, jak długi łuk zwiadowców, którym Will posługiwał się przez ostatnie dwa lata.

- Musisz więc celować odrobinę wyżej niż normalnie - jeszcze raz napomniął sam siebie.

Powtórzył w pamięci wszystkie zmienne. Wiedział, że instynktownie weźmie je pod uwagę, gdy nadejdzie chwila oddania strzału. Zamknął oczy. Śledził w wyobraźni krzywiznę lotu, która powiedzie strzałę wysoko ponad mury i doprowadzi wprost do okna na szczycie wieży. Hält często cytował klasyczne porzekadło łuczniczych mistrzów: *nim wypuścisz strzałę, tysiąc razy sprawdź w wyobraźni, jak ona poleci*. Cóż, uśmiechnął się kwaśno Will, nie przewiduję, że dzisiejszej nocy starczy mi czasu na ponawianie w wyobraźni strzału po raz tysięczny. Wyobraźnia aż tak mi nie pomoże. Starzy mistrzowie zdecydowanie przesadzali. Zresztą, chodziło im raczej o coś innego. Napominali, by strzelec wyrobił w sobie niezachwianą pewność: *wiem, że odniosę sukces. Noś w sobie pewność, wiedz, że osiągniesz cel, a osiągniesz go z pewnością. Nie pozwól, by do twojej głowy wkradły się wątpliwości, bo cię zniszczą. Tak brzmi reguła samosprawdzającej się przepowiedni*.

Will wziął kilka głębokich wdechów. Oczyszczał umysł. Co miał wykonać świadomie, już wykonał. Teraz pozwoli, by przemówił odruch wyćwiczony podczas wielogodzinnych, niekończących się treningów, efekt wypuszczenia tysięcy grotów. Niech instynkt przyniesie upragniony strzał.

Prostował się powoli. Co najmniej tuzin par oczu gapiło się w jego kierunku z zamkowego muru, lecz nikt go nie widział. Will sięgnął do kołczana po bełt zakończony cylindrem zawierającym wiadomość i osadził strzałę na cięciwie. Wiedział, że jej ciężar jest idealny. Malcolm w leśnym domu starannie zważył wszystko oraz zmierzył. Uzdrowiciel przez lata praktyki osiągnął wielką wprawę w precyzyjnych pomiarach. Will wiedział, że cylindryczna strzała pofrunie tak samo lotnie, jak każda inna z jego kołczana.

Podniósł lewą rękę, ujmującą łuk. Równocześnie ręką prawą napinał cięciwę. Odciągnął ją płynnym ruchem, aż wreszcie opuszek wskazującego palca prawej dłoni znalazł

się tuż przy kąciku ust. Szukał jeszcze właściwego kąta wznoszenia, poczuł, że łuk trzyma odrobinę za nisko, więc uniósł go trochę. Gdyby w tej chwili ktoś zapytał Willa, dlaczego dokonał ostatniej korekty, nie byłby w stanie udzielić odpowiedzi. Działał na wycucie. Każdy ruch wynikał teraz z doświadczenia, a nie z wyrachowania.

Wzrok wpił w okno celi. Świeciło wysoko nad jego głową. Strzała wyszukała dla siebie punkt znacznie powyżej celu. Z lewej zawiewał lekki wiatr, Will wziął na to poprawkę. Doświadczenie podszeptowało zwiadowcy, że podmuchy będą się wzmaczać, w miarę jak pocisk zacznie połykać przestrzeń.

Łucznik gubi celność strzału z dwóch powodów. Jeden błąd wynika ze zbyt długiego zwlekania oraz nadmiernej koncentracji. Mięśnie ramion napinają się nad miarę i dygoczą pod wpływem siły naciągu. Drugi błąd bierze się ze zbyt dużego pośpiechu. Kiedy bowiem łucznik pragnie oddać strzał za prędko, palce prawej dłoni zaczepiają o zwalnianą cięciwę.

Ale błędy dadzą się przezwyciężyć. Strzelać należy płynnie, napinając cięciwę nieprzerwanym, jednostajnym ruchem. Idealny strzał oddaje się bez pośpiechu, ale też bez zbędnego ociągania.

Will ciągle jeszcze czekał. Aż wreszcie poczuł, że przyszła odpowiednia chwila. Chwila, kiedy kąt wznoszenia, poprawka na wiatr i naciąg zgrywają się w jeden harmonijny akord. Pozwolił cięciwie łagodnie wysunąć się z palców. Zajęczała głęboko, posyłając strzałę w drogę do celu.

Już w tym momencie, kiedy wypuszczał grot, wiedział, że oddaje strzał idealny. Strzała śmignęła przed oczami łucznika i wślizgnęła się w mrok. A potem stracił ją z oczu. Powoli opuścił łuk. Czekał. Odnotował nieznaczny ruch, właściwie cień ruchu na tle oświetlonego kwadratu okna. Doszedł wszakże do wniosku, iż chyba wyobraźnia płata mu figle, sprawiając, że widzi to, co pragnie zobaczyć.

Czekał. Stał nieruchomy jak posąg, otulony opończę, wtopiony w tło. Po chwili poczuł bezmierną, wszechogarniającą ulgę. Lampa zaczęła się poruszać.

W górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół. Wiadomość odebrana. Will kiwnął głową z satysfakcją. Odwróciwszy się, przemykał z powrotem ku linii drzew. Dzisiejszej nocy nic więcej nie pozostało do zrobienia.

Rozdział 6

Cullum Gelderris, właściciel oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”, wcale nie był uszczęśliwiony obecnością ostatnio przybyłego, a tak naprawdę jedynego gościa.

Gość, młodzik, choć zbrojny, zajechał wczoraj, późnym popołudniem. Szukał pokoju na kilka dni. Gniady rumak został ulokowany w małej stajni obok oberży. Przybysz zatargał rynsztunek oraz zbroję na górę, dołączając do bagażu sakwy, gdzie chował ubranie na zmianę i przybory do mycia. Roztasował się w największym pokoju oberży.

Gdy tylko wczoraj wszedł, oberżysta natychmiast zauważył na białej tarczy znak niebieskiej pięści. Rycerz szukający zajęcia, ocenił Gelderris. W lennie istniało zaś tylko jedno miejsce, gdzie taki ktoś mógłby znaleźć zatrudnienie. Zamek Macindaw.

Cullum wiedział, że nowy pan na zamku, sir Keren, werbuje ochotników zdatnych do walki. Oberżę już parokrotnie odwiedzał zastępca Kerena, wiecznie skory do rękoczynów John Buttle, który przeczesywał okolicę w poszukiwaniu mężczyzn obeznanych z bronią. Chyba nie dowierzał, gdy Cullum tłumaczył mu, że bywalcy oberży to prości wieśniacy. W pobliżu znalazłoby się co prawda kilku gospodarzy, potrafiących jako tako radzić sobie z piką. Ale, podobnie jak oberżysta, podchodzili do ostatnich wydarzeń w Macindaw z najgłębszą podejrzliwością. Od Buttle'a, gdy ten wyruszał na werbunkowe objazdy, trzymali się z dala. Cullum rad był, że ani pary z gęby nie puścił na temat okolicznych gospodarzy.

Wiele pytań nurtowało prostych ludzi mieszkających w pobliżu Tumbledown Creek lub w samej wiosce, położonej kilka kilometrów od oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”.

Po pierwsze, tajemniczo wyglądała choroba lorda Syrona. Po drugie, wybuchły plotki, jakoby czarnoksiężnik Malkallam powrócił z mroku dziejów, żeby dokonać zemsty na rodzie Syrona. Po trzecie, rozeszła się wieść, że Orman, syn pana zamku, tymczasowy dowódca wojsk w Macindaw, zbiegł do Lasu Grimsdell, gdzie sprzymierzył się z Malkallamem.

Zbiegł? Cullum zadawał sobie pytanie, dlaczego niby ktoś miał uciekać z własnego zamku? A jeśli nawet, to dla jakiej osobliwej przyczyny przystał do czarnoksiężnika, który poprzysiągł jego rodowi zagładę?

Cóż, należało ostrożnie przebadać sytuację. Właściwie, dlaczego Keren szuka ochotników zdatnych do walki? Zamek pod rządami Ormana i Syrona utrzymywał przecież niezbędny garnizon, złożony z zawodowych żołnierzy. Tymczasem, kiedy Keren przejął

władzę, niektórzy doświadczeni żołnierze zostali zwolnieni ze służby i wydalen. Wieśniacy pilnie baczili, jakiego pokroju osobnikami Keren zastępował usuniętych. Wojaczka to nie rzemiosło dla ludzi łagodnych, jasna rzecz, ale ci, którzy obecnie służyli w Zamku Macindaw, sprawiali wrażenie wyjątkowo brutalnych awanturników. Cullum domyślał się, że większość załogi, skrzyknięta w nowym zaciągu, to dawni przestępcy albo pospolici zbóje.

Weźmy wspomnianego Buttle'a. Znakomity przykład. Gbur, łatwo wpadający w gniew, wyniosły, arogancki. Podczas wizyt w oberży beczelnie domagał się najlepszego miejsca i najprzedniejszego jadła, wybornego wina oraz piwa. Rachunki zaś zbywał lekceważącym machnięciem dłoni. Życzył sobie, aby je zaność do zamku. A przecież zamek był oddalony od oberży o dobry dzień drogi.

Buttle kazał się tytułować sir Johnem - tytuł ten był jawnie fałszywy. „Jeśli z niego jest rycerz”, tłumaczył Cullum żonie, „to mnie nazywaj wielmożną księżną, wdową Dungully”. Połowica przytakiwała skwapliwie, lecz usilnie nalegała, by oberżysta zachowywał ostrożność.

- Ci ludzie nas przecież nic nie obchodzą - oznajmiła stanowczo. - Każdy sobie rzepkę skrobie, a my róbmy swoje.

Słusznie prawi, przytaknął w duchu Cullum, nakrywając stół do południowego posiłku. Tyle że teraz przypętał się ów obcy młodzik. W dodatku usilnie wypytuje o wydarzenia w zamku.

Oberżysta wszelako coś nie pasowało. Przybysz ulepiony został chyba z innej gliny niż zbóje, których rekrutował Buttle. Zapłacił za pokój z góry. I prezentował doskonale manieri - zwracając się do małżonki Culluma, zawsze nazywał ją „panią Gelderris”. Z kilkoma bywalcami oberży, jeśli wdali się z nim w pogawędkę, także gadał wielce uprzejmie. Nie, żeby od razu zeszłego wieczora zbiegł się tłum ciekawskich. Co prawda wszelkie nowiny rychło rozchodzą się po niezbyt rozległej okolicy, a wieśniacy dobrze wiedzieli, że w oberży zamieszkał obcy rycerz. Juści. Uznali jednak, że obecność zbrojnego zwabi do oberży werbowników, zwłaszcza zaś Buttle'a. A większość gospodarzy starała się trzymać od „sir Johna” z daleka.

- Dzień dobry, oberżysto. Co dzisiaj podajesz? - Głos rozległ się tuż za plecami Culluma, który aż podskoczył. Odwróciwszy się, spostrzegł młodego gościa. Rycerz niepostrzeżenie wszedł do izby. Sterczał ledwie o metr od Gelderrisa, z roześmianą gębą.

- Obawiam się, panie, że wielkiego wyboru nie ma - wybąkał gospodarz. Bardzo się starał odzyskać utraconą równowagę, bowiem gwałtowne wtargnięcie młokosa porządnie go wystraszyło. - Tylko jagnięcina duszona z warzywami, odpowiednimi na zimową porę roku,

oraz sos.

Gość pokiwał głową z uznaniem.

- Brzmi doskonale - stwierdził. - A z wczoraj nie zostało choć trochę tego pysznego ciasta jagodowego upieczonego przez twoją żonkę?

- Zaraz je podam, panie. - Oberżysta pospiesznie zabrał się za przygotowywanie mniejszego, ustawionego bliżej ognia, stołu.

Młodzian powstrzymał krzątanicę Gelderrisa. Zachowywał przez cały czas niezachwianą pogodę ducha.

- Nie rób sobie kłopotu - rzucił, opadając na ławę przy długim stole głównym. - Mogę zjeść tutaj. Lecz skromnego kufelka piwa nie odmówię.

- W te pędy, panie! W te pędy! - Cullum natychmiast odstawił stertę drewnianych talerzy, noży oraz łyżek, które akurat niósł. Okręcił się w stronę kontuaru. Powstrzymał go przyjazny głos:

- Nalej mi, ale dopiero wtedy, kiedy już skończysz swoją robotę! Nie ma potrzeby rzucać wszystkiego tylko dlatego, że ja mam ochotę łyknąć sobie krzynkę. Należesz, kiedy znajdziesz czas. - Wydawał się szczerze rozbawiony, śledząc, jak Cullum kończy nakrywanie stołu, starannie przy tym unikając wymiany spojrzeń.

Cullum postawił ostatni talerz, a obok, po prawej, nóż oraz łyżkę. Wytrzeł dłonie w fartuch.

- Przyniosę ci piwa, panie - powiedział. Wślizgnął się za kontuar i zaczął odmierzać pół dużego kufła. Młodzieniec zawołał w stronę kontuaru:

- Świetnie. I jeszcze jeden. Dla ciebie. Zapraszam.

Cullum zawahał się.

- Ale, hm, panie, bo widzisz, to taka zapracowana pora dnia...

Przybysz pokiwał głową, rozejrzał się po pustej izbie i potraktował oberżystę donośnym rechotem.

- A tak, właśnie widzę. Sala aż pęka w szwach. No chodźże, Cullumie, chodźże, napij się ze mną!

Cullum nie znalazł już żadnej wymówki. Obraza nie wchodziła w grę. Obrażanie rycerza to nie jest dobry pomysł. Zgodził się więc, choć z ociąganiem.

- Tylko na chwilkę. Wkrótce zaczną się schodzić goście.

Jego zwykli goście poprzedniego wieczora trzymali się od oberży z daleka - ludzie zawsze zdołają przetrwać bez kufelka wieczór albo dwa. Jednak południowy posiłek to co innego; muszą gdzieś jadać, a nie mieli innego wyboru niż oberża „Pod Pękniętym

Dzbanem”.

Podszedł do stołu, ustawił na nim dwa duże kufle. Wojownik westchnął z aprobatą, przesuając się na bok. Wskazał zwolnione miejsce na ławie.

- Tym lepszy powód, żebyś sobie odsapnął, póki możesz. Usiądź. I jeszcze coś, Cullumie - dodał. Twarz młodego gościa nagle spoważniała.

- Tak, panie? - Culluma ogarnął niepokój.

- Nieco mniej tego „panie”, dobrze? Mam na imię Hawken. Mówże mi „Hawken”, na miłość boską.

- Dobrze, panie... to znaczy... Hawkenie - przystał Cullum. Usiadł, choć trochę lękliwie. Wolał trzymać się na dystans od dziwacznym rycerzy, bez względu na to, jak przyjaciele pragnęli się wydawać.

Stuknąwszy się kufkami, obaj zaczęli pić. Zapadło milczenie. Cullum nawet pomyślał, że chyba wolno mu już wstać i odejść, gdy Hawken przemówił:

- Słyszałem, że jakiś rybałt przejeżdżał tędy jakiś czas temu. Będzie ze dwa tygodnie?

Cullum, którego podejrzliwość w okamgnieniu wzmogła się, odpowiedział, ważąc każde słowo:

- A tak. Był tu, pamiętam. - Coś tam się gadało, iż rzeczony rybałt zmierza do Macindaw. Chociaż krążyły również pogłoski, że maczał palce w tajemniczej ucieczce lorda Ormana.

- Młody chłopak, nieprawdaż? Mniej więcej w moim wieku, choć nie aż tak wysoki? - Hawken wciąż zachowywał pogodę ducha.

Oberżysta potwierdził skinieniem.

- Tak mi się zdaje. Tak.

- Hmmm - mruknął Hawken, i upił spory łyk piwa. Otarł usta wierzchem dłoni. Rzucił znowu, jakby od niechcenia: - Czy domyślasz się, gdzie mógłby przebywać teraz?

Cullum zawahał się. Po prawdzie, pewności nijakiej nie miał. Postanowił zatem trzymać się tego, co wie.

- Kierował się do zamku, panie... - co rzekłszy, zauważył, że rycerz łypnął spode łba. Pośpiesznie się więc poprawił. - To znaczy, Hawkenie. Chociaż niektórzy prawią, że później zaszył się w Lesie Grimsdell.

Młodzian zacisnął wargi.

- Grimsdell? - powtórzył. - Myślałem, że to siedziba tego waszego Malkallama?

Słyszając imię czarnoksiężnika, Cullum niespokojnie zerknął na boki. Malkallamem lepiej sobie gęby nie wycierać. Szczerze pragnął, żeby stali bywalcy gospody zaczęli się

schodzić. Zyskałby wymówkę, mógłby wstać i umknąć do kuchni.

- Proszę, Hawkenie, my zwykle nie... rozmawiamy o Mal... o tym człowieku - wymamrotał nieskładnie.

Hawken pokiwał głową ze zrozumieniem. Potarł dłonią podbródek, zastanawiając się nad słowami oberżysty.

- Ale - powiedział - co jakiś minstrel miałby do roboty w lesie?

- Powinien tam pilnować własnego nosa. Co zalecam także i tobie, Hawkenie.

Culluma owionął lodowaty podmuch, gdy otwierały się frontowe drzwi. Obaj siedzący przy stole mężczyźni odwrócili się natychmiast. Od oświetlonego wejścia odcinała się zakapturzona, owinięta w opończę sylwetka. Zza ramienia przybysza wychylał się szczyt łuku refleksyjnego. Przez drugie ramię ów ktoś przewiesił kołczan pełen strzał, pierzaste bełty sterczały na zewnątrz. Hawken powoli uniósł się z ławy. Powoli odsunął stół. Twarz zwrócił w kierunku nowo przybyłego, jego lewa dłoń jakby mimochodem oparła się o pochwę długiego miecza. Pochwa nieznacznie przechyliła się ku przodowi, ułatwiając sięgnięcie do głowni.

Cullum poderwał się raptownie, choć niezdarne nogi nagle mu się jakoś poplątały, więc potknął się na równej podłodze.

- Szanowni panowie, bez urazy - odezwał się - nie ma potrzeby, by tak od pierwszej chwili dochodziło do nieporozumień.

W pomieszczeniu zapadła cisza wprost nie do zniesienia. Oberżysta już się szykował, aby ponownie błagać o rozwagę, oczyma wyobraźni już widział zniszczenia, jakie spadną na jego biesiadną izbę. Lecz, nagle, osłupiał, słysząc...

... śmiech.

Zaczęło się od rosnącego szermierza, Hawkena. Potężne barki zatrzęśły się, choć rycerz ze wszystkich sił starał się nad sobą panować. Ale mimo wszystko ryknął niepohamowanym śmiechem. Przybysz zawtórował mu jak echo. Dopiero teraz Cullum rozpoznał rybałta, Willa Bartona - o którym dopiero co z Hawkenem rozprawiali. Obaj młodzi porzucili nagle groźne pozy. Ruszyli ku sobie, wylewnie padli sobie w ramiona, poklepywali się po plecach na powitanie. Aż wreszcie rybałt, drobniejszy, odsunął się i skrzywił.

- Ostrożnie, na niebios! Przestańże mnie okładać tą olbrzymią capią łapą, którą śmiesz nazywać dłonią! Złamiesz mi kręgosłup, niezdaro!

Hawken odskoczył z udawanym przerażeniem.

- Och, czyżby wielki, wściekły brutal śmiał krzywdzić takiego maluteńkiego rybałcika? - zapytał, przybierając szczebiotliwy, zniewieściały ton. Obaj zanieśli się jeszcze

głośniejszym śmiechem.

Cullum spoglądał na nich, całkowicie zdezorientowany. Drzwi od kuchni uchyliły się ostrożnie. Jego żona, usłyszawszy hałas w izbie biesiadnej, zajrzała do środka. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia, gdy ujrzała dwóch uzbrojonych, bardzo młodych mężczyzn, którzy, ustawieni do siebie twarzami, w wojowniczych pozach, chichotali w sposób zupełnie nielicujący z godnością, jaka przystoi wojownikom. Z niemym pytaniem w oczach spojrzała na Culluma, ale oszołomiony oberżysta tylko wzruszył ramionami.

Jednak Hawken kątem oka dostrzegł oberżystkę. Natychmiast zwrócił twarz w jej stronę. Otoczył barki rybałta muskularnym ramieniem i poprowadził go w kierunku kontuaru. Znacznie górował posturą nad drobniejszym młodzieńcem.

- Przybyła jeszcze jedna gęba do wykarmienia, pani Gelderris - zaśmiał się radośnie. - Może ten tu i wygląda jak karzełek, ale apetyt to on ma jak olbrzym.

- Oczywiście, panie - odparła oberżystka, kompletnie zbita z tropu. Wycofała się do kuchni, kręcąc głową. Hawken odwrócił się do jej męża.

- Cullumie, powinieneś sięgnąć po jeszcze jeden kufel. Jeśli łaska.

- Już przynoszę, panie... To znaczy, Hawkenie - odparł Cullum, zmierzając do baryłki, spoczywającej na koźle za kontuarem. Zauważył, że Hawken zaprowadził przyjaciela nie do stołu głównego, ale do mniejszego, stojącego na uboczu, który oberżysta miał nakryć parę minut temu. Po drodze młody rycerz zabrał swój kufel.

- Wielkie nieba, Horace! Jak cudownie cię wiedzieć! - wysapał głośno Will, gdy usiedli. Kiedy Cullum przyniósł kufel również i dla niego, Will pociągnął tęgi łyk pianistego, świeżego piwa. Westchnął z wdzięcznością. Nie potrafił już dłużej trzymać emocji w ryzach.

- Właśnie ciebie mi tu potrzeba! Co cię sprowadza? I czemu służy cała ta niedorzeczna maskarada z jakimś Hawkenem? Od kiedy akurat ty wędrujesz w poszukiwaniu zajęcia? Co z twoim dębowym liściem na tarczy?

- Ostrożnie, Willu! Zważaj, co mówisz! - Hawken podniósł rękę, żeby zatrzymać lawinę pytań. Posłał Willowi ostrzegawcze spojrzenie, gdy druh dopytywał się o jego zmienione imię. Zerknął znacząco w kierunku oberżysty, który pilnie nadstawiał ucha, łasy, by dowiedzieć się czegoś więcej o tych dziwnych młodych ludziach i o tym, co porabiają w lennie Norgate.

Cullum już się porządnie zaciekawiał. Padło imię „Horace”, napomknęli coś o znaku dębowego liścia. Otwierała mu się klapka w głowie. Sir Horace, rycerz Dębowego Liścia, stał się przecież w Aralueni postacią zgoła mityczną. Gadano o nim nawet w miejscu tak odległym jak Norgate. Oczywiście, im bardziej odległa okolica, tym bardziej zniekształcone,

udziwnione wieści. Z tego, co niegdyś słyszał Cullum, sir Horace, jako ledwie szesnastoletni wyrostek, pokonał tyrana Morgaratha w pojedynku - pozbawiając okrutnego lorda głowy jednym potężnym cięciem szerokiego miecza.

Później, w towarzystwie nie mniej legendarnego zwiadowcy Halta, sir Horace przebył Morze Białych Sztormów, żeby zadać klęskę jeźdźcom ze Wschodu i uratować księżniczkę Cassandrę oraz jej towarzysza, imieniem Will, ucznia zwiadowcy.

Will! Nagle oberżysta pojął, co znaczy to imię. Rybałt miał na imię Will. A teraz siedzi w jego oberży, w opończy z kapturem i z łukiem refleksyjnym oraz wypełnionym strzałami kołczanem przewieszonym przez plecy. Oberżysta, przypatrzwszy się rybakowi uważniej, dostrzegł u jego pasa rękojeść ciężkiego noża, saksy. Nie ma cienia wątpliwości, pomyślał Cullum - ci dwaj roześmiani młodzi ludzie zaliczani są w poczet największych bohaterów Araluenu! Usiłował wszakże zachować kamienny spokój. Odwrócił się, jak gdyby nigdy nic, i skierował kroki w stronę kuchni. Nie mógł się już doczekać, aż podzieli się nowiną ze swą połowicą. Horace spostrzegł, co się święci. Wstrząsnął czupryną, zwracając się do Willa:

- Widzisz, coś narobił? - wytknął. - Hawken to moje przybrane imię. Miałem tu przebywać incognito. Właśnie dlatego noszę znak niebieskiej pięści. Bądź co bądź, nie byłoby sensu przybierać fałszywą tożsamość, a potem paradować ze znakiem dębowego liścia, czyż nie?

Will, zbity z tropu, pochylił czoło.

- Przybrane imię? Kto ci nadał przybrane imię? Kto cię tu przysłał?

- Nie dostałeś żadnej wiadomości? - zdziwił się Horace. - Halt z Crowleyem pomyśleli, że możesz potrzebować pomocy...

Zanim zdołał dokończyć, Will przerwał mu, uśmiechając się radośnie i szeroko.

- Wspaniale! Posłali cię zatem, byś mnie powiadomił, iż pomoc nadciąga? - spytał z miną niewiniątka.

Horace obrzucił go cierpiętniczym spojrzeniem. Will natychmiast poczuł się winny.

- Przepraszam. Jedź dalej.

- Jak już ci wyjaśniłem - Horace ciągnął dalej bez pośpiechu - pomyśleli, że może trzeba kogoś dorosłego, żeby się tobą zaopiekował. Przysyłają więc mnie. Uznali, że lepiej, bym podróżował incognito, dopóki nie przekonam się, jak sprawy stoją. Ale przecież... gołąb z wiadomością dla ciebie powinien przyfrunąć chyba z tydzień temu.

Will uniósł dłonie, demonstrując rozczarowanie.

- Straciliśmy kontakt z Haltem - wyjaśnił. - Ostatnio narobiło się tu trochę

zamieszania, więc opiekun gołębi Alyss musiał zwiewać.

- A przy okazji, gdzie Alyss? - zaciekawiał się Horace. Zanim zdołał się pohamować, rozejrzał się dokoła, jak gdyby liczył, że kurierka nagle pojawi się w izbie. Właściwie od razu uświadomił sobie bezsens własnego zachowania. Twarz Willa spochmurniała.

- Uwięziono ją - oznajmił cicho.

Horace zerwał się na równe nogi.

- Uwięziono? - krzyknął. - Kto śmiał? Malkallam? Ruszajmy bez zwłoki, trzeba ją natychmiast uwolnić! Czemu jeszcze trwonimy czas, ciągle stercząc tutaj?

Will położył mu dłoń na ramieniu. Dał przyjacielowi znak, żeby usiadł. Nie potrafił ukryć uśmiechu. Oto cały Horace, pomyślał. Skoro sądzi, że osoba bliska jest w opresji, pierwszym jego odruchem jest gnać na ratunek. Alyss, rzecz jasna, była osobą bliską. Im obu. Wszyscy troje dorastali razem w sierocińcu Zamku Redmont.

- Siadaj - poprosił. - Alyss umieszczono w wieży Macindaw. Przetrzymuje ją tam Keren. Malcolm oraz ja zastanawiamy się, jak ją stamtąd wydostać. Pracujemy nad planem. Teraz, gdy ty tu przybyłeś, nasze szanse wzrastają.

Horace zmarszczył brwi.

- Malcolm? - spytał. - A kimże jest ów Malcolm? I kto to taki ten jakiś Keren? Wciąż o nim słyszę. Wczoraj natknąłem się na draba nazwiskiem Buttle, który twierdził, że Keren rządzi teraz na zamku.

Will przytaknął.

- Mówiłem ci, że narobiło się tu trochę zamieszania. Malcolm to prawdziwe imię Malkallama. Daj spokój - dodał pospiesznie, widząc, że Horace ma zamiar coś wtrącić - żaden z niego czarnoksiężnik. Uzdrowiciel, i tyle. Stoi po naszej stronie. Keren natomiast przejął zamek. Jesteśmy przekonani, że knuje ze Skottami. Ale nie mamy pewności, w czym rzecz.

Przed oberżą zrobiło się głośno i ruchliwie. Drzwi izby biesiadnej otworzyły się, do środka weszło czterech miejscowych, żeby się posilić. Dostrzegli siedzących wewnątrz młodzieńców, więc pierwsi wymamrotali coś na powitanie. Potem zajęli przygotowane przez Culluma siedziska przy długim stole.

- Mimo wszystko - stwierdził Will - nie wydaje mi się, żeby tutaj było dobre miejsce na nasze pogaduszki. - Świetnie zdawał sobie sprawę, iż wieśniacy są niesłychanie ciekawi obcych. Wszystkie uszy w oberży wyostrzyłyby się, pragnąc uchwycić coś z ich rozmowy. - Na razie zjedzmy, a o szczegółach opowiem ci po drodze.

Rozdział 7

Po sutym posiłku w oberży „Pod Pękniętym Dzbanem” Will oraz Horace przygotowali wierzchowce. Zbierali się w drogę do Grimsdell. Jednak zanim wyruszyli, Horace odwiązał zwisające tuż za jego siodłem skórzane pokrowce, zwane łubami. Podał je Willowi.

- Twoje, trzymaj - powiedział. - Halt stwierdził, że możesz tego potrzebować.

Uśmiech zadowolenia rozpromienił twarz Willa, gdy wysuwał z łubów potężny długi łuk zwiadowcy. Przez chwilę ważył go w dłoni. Później zwinnym ruchem wsunął jeden koniec w skórzaną pętelkę z tyłu swego prawego buta. Pochylił się do przodu, wyginając ciężki łuk na własnych barkach, gdy zakładał cięciwę w zagłębienie u szczytu. Napiął cięciwę raz czy dwa, wypróbował siłę naciągu. Potem prędko pozbawił cięciwy łuk refleksyjny, którego dotąd używał, i schował go w łubach.

- Teraz czuję się o wiele lepiej - oznajmił.

Horace wiedział dobrze, o co chodzi. Znajoma broń każdemu dodaje otuchy. Rozumiał więc błogostan przyjaciela. Dosiedli koni i odjechali, strzemię przy strzemieniu.

Horace, na swoim potężnym bojowym rumaku, górował nad Willem, który - jakże by inaczej - dosiadał Wyrwija. Owczarek biegł przed nimi, węsząc tu i tam wzdłuż trasy. Wciąż trafiał na nowe zapachy. Miał świetny powód, by oddawać się tropieniu, i co chwila dokonywał kolejnych odkryć. Suka łaskawie zaszczyciła Willa swoim towarzystwem podczas wyprawy do oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”, ponieważ Trobar był akurat zajęty jakąś pracą dla Malcolma.

- Słyszałem, że sprawiłeś sobie psa - odezwał się Horace. - Jak się wabi?

- To nie pies, tylko suka - sprostował Will. - I jakoś jeszcze nie przyszło mi do głowy żadne imię dla niej.

Horace z namysłem przyjrzał się suce.

- „Blackie” byłoby dobre - zaproponował po chwili.

Will uniósł brew.

- Gratuluję oryginalnego konceptu - zachnął się. - Jak, u licha, na to wpadłeś?

Horace postanowił machnąć ręką na drobne złośliwości.

- W każdym razie to lepsze niż wołać na niego „hej, psie”.

- Na nią - poprawił Will. - Bo on to ona, może jednak łaskawie zapamiętasz?

- Jak zwał, tak zwał - ciągnął Horace niezrażony. - Pies powinien dostać jakieś imię. Krytykuj sobie mój niezbyt oryginalny pomysł, proszę bardzo. Tylko że sam nie wpadłeś na bardziej oryginalny. „Blackie” jest lepsze niż nic.

- Z tym bym się spierał. - Will obstawał przy swoim. Po cichu czuł wielką radość, że znowu, po przyjacielsku, przekomarzają się z Horace'em. Jak za dawnych czasów, pomyślał.

- Cóż, ja osobiście postanawiam nazywać go... przepraszam, ją... Blackie - oznajmił Horace.

Will wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. Tylko zważ, że to inteligentne zwierzę. Wątpię, by reagowała na tak pospolite imię.

Horace łypnął spode łba. Zwiadowca wydawał się bardzo pewny swego. Potężny wojownik gwizdnął przesywając, a potem zawołał:

- Blackie! Stój, maleńka!

Suka zatrzymała się, przerywając węszenie. Odwróciła się ku młodemu rycerzowi, z uniesioną przednią łapą oraz łbem przekrzywionym pytająco. Horace wykonał triumfalny gest w kierunku Willa. Will prychnął lekceważąco.

- To niczego nie dowodzi! - zaprotestował. - Usłyszała gwizd, i wszystko! Mogłeś równie dobrze zawołać... „Bułka z Masłem?”. Też by się zatrzymała!

- Bułka z Masłem? - powtórzył Horace z udawanym niedowierzaniem. - Takie imię wymyśliłeś? Doprawdy? I ty masz czelność krytykować Blackie?

- Ja tylko twierdzę, że zatrzymała się, ponieważ zagwizdałeś - upierał się Will. W przeszłości zwykle to on wygrywał słowne potyczki z Horace'em. Teraz przyjaciel szczyrzył zęby z irytującą wyższością.

Gdy podjechali do owczarka, który wciąż na nich czekał, Will mruknął półgębkiem:

- Zdrajczyń.

Horace, niestety, usłyszał.

- No, zawsze to ładniej niż Bułka z Masłem. Prawda, Blackie?

Ku rozgoryczeniu Willa, pies szczechnął raz, jak gdyby potwierdził. Po czym znowu szurnał do przodu, podejmując myszkowanie. Horace prychnął z satysfakcją. Po chwili jednak uznał, że powinien już przestać drażnić się z Willem.

- A zatem plotki o czarnoksiężniku to zwyczajny stek bzdur? - zapytał, powracając do poważniejszych spraw. W gospodzie zdążyli co prawda omówić niektóre bieżące wydarzenia w hrabstwie, ale nadal istniały szczegóły, które Horace pragnął poznać. Will ucieszył się, że

temat psiego imienia zniknął.

- Nie taki znów stek bzdur - wyjaśnił. - Błyskające światła, dziwne odgłosy, straszliwe wizje, wszystko to naprawdę występowało w lesie. Po prostu Malcolm tworzył dla zmylenia ludzi rozmaite iluzje. Alyss odkryła, w czym rzecz - dodał.

Horace pokiwał głową.

- Alyss błyskawicznie kojarzy fakty, nieprawdaż?

- Prawdaż. Tak czy owak, Malcolm posługiwał się fantomami, żeby odstraszać ludzi, dzięki czemu zapewnił bezpieczeństwo swojej małej gromadce. Bardzo szybko okoliczni mieszkańcy zaczęli wierzyć, że Malkallam powrócił. Wtedy Keren wykorzystał sytuację, by przejąć panowanie nad zamkiem. On dużo wie o truciznach. Pomału truł lorda Syrona, aż biedaczysko całkiem stracił świadomość i popadł w śmiertelne odrętwienie. Keren świetnie się orientował, że Orman, zajmując lordowski fotel, nie zaskarbi sobie sympatii podwładnych. Wykorzystał fakt, iż ludzie chętnie dają wiarę plotkom. Rozpuścił więc stosowne bzdury. Pojawiły się pogłoski, że Orman macza palce w czarnej magii. No, i Keren zyskał okazję do przejęcia władzy.

- To ty wydostałeś Ormana? - upewnił się Horace. Will skinął głową.

- W ostatniej chwili. Keren truł także i jego. Nie udało mu się jednak dokończyć dzieła.

- Co się stało z Syronem? - pytał dalej Horace. - Ten drab Buttle twierdził, że prawowity lord pewnie już nie żyje.

Will wzruszył ramionami.

- Nie wiemy. Może naprawdę nie żyje. Teraz, gdy Keren odkrył karty, nie istnieje żaden powód, by utrzymywał Syrona przy życiu. Jak podejrzewam, już go uśmiercił.

Horace zmarszczył czoło.

- Coś mi wygląda, że ten Keren to nie lada ziółko - mruknął.

- Ale gdy go poznałem, odniosłem z początku doskonałe wrażenie - przyznał Will, nieco zakłopotany. - Potrafił mnie przechytrzyć. Byłem przekonany, że zły Orman stoi za wszelkimi kombinacjami, Keren zaś jest tym dobrym. Myliłem się. Tak czy owak, teraz priorytetem jest wydostanie Alyss z matni.

Horace zgodził się.

- Co zatem wykombinowałeś?

Will zerknął nań spode łba.

- Pomyślałem, że zaatakujemy zamek - odparł. Przez chwilę milczał, wreszcie dodał, jakby od niechcenia: - Znasz się na takich rzeczach, czyż nie?

Horace zastanawiał się przez chwilę. Zrobił kwaśną minę.

- Teorię to ja znam - westchnął. - Nie mogę jednak powiedzieć, bym kiedykolwiek zdobywał zamki.

- Oczywiście, że nie zdobywałeś, jasna sprawa - zgodził się Will. - Ale teoretycznie mój pomysł wygląda całkiem, całkiem, prawda? - W ostatniej chwili udało mu się obrócić pytanie, zawierające solidną porcję wątpliwości, w stwierdzenie oczywistego faktu. Will starał się ukryć przed Horace'em, iż działa zupełnie po omacku. Horace był zaprzątnięty zbieraniem myśli, więc nie zauważył wahania w głosie przyjaciela.

Ludzie często zakładali, że Horace'owi brakuje lotności - a nawet sądzili, że jest nieco ograniczony. Grubo się mylili. On był po prostu systematyczny. Tam, gdzie Will wykazywał skłonność do ujawniania przeblysków intuicyjnego geniuszu, traktując przy okazji fakty niczym konik polny kwiatki, Horace starannie rozważał każdy problem. Postępował logicznie, starał się zawsze kolejne twierdzenie wywodzić z poprzedniego. Zmierzał do celu powoli, krok po kroku.

Horace zmrużył oczy. Przypominał sobie, czego nauczył się pod opieką sir Rodneya w Szkole Rycerskiej. Nawet gdy Horace już został pasowany na rycerza i przydzielony do Zamku Araluen, każdego roku spędzał kilka miesięcy ze swoim pierwszym mistrzem w Zamku Redmont, zgłębiając niuanse rycerskiego rzemiosła.

- Hm - odezwał się wreszcie. - Żeby zaatakować zamek, trzeba użyć machin oblężniczych.

- Machin oblężniczych? - zająknął się Will. Miał bardzo mgliste pojęcie o sprawach, których dotknął Horace. Ale wiedział doskonale, że żadnych machin nie posiada.

- Katapulty. Mangonele. Trebusze. Tego rodzaju rzeczy, które ciskają w obrońców głazami, olbrzymimi włócznie, zdechłymi krowami. Oraz kruszą mury.

- Zdechłymi krowami? - przerwał Will. - Dlaczego ktoś miałby ciskać w mury zdechłymi krowami?

- Nie w mury. Ponad mury. Przerzuca się je ponad murem. To ma na celu rozprzestrzenianie zarazy i podkopywanie morale obrońców - wytłumaczył mu Horace.

Will wstrząsnął czupryną.

- Wydaje mi się, że na morale krów przerzucanie ich przez mur także nie wpływa korzystnie.

Horace zmarszczył brwi. Świetnie wyczuwał, iż odbiegają od sedna problemu.

- Zapomnij o zdechłych krowach. Ciska się głazy i tym podobne przedmioty, żeby zrobić wyłom w murach. - Przypomniało mu się coś jeszcze, więc dodał: - Wieże oblężnicze

też się przydadzą.

- Ale absolutnie konieczne to one jednak nie są? - przerwał Will.

Horace przez chwilę zagryzał dolną wargę.

- Nie. Nie są absolutnie konieczne. O ile posiada się mnóstwo drabin.

- No tak. Będziemy je mieli - oznajmił Will, notując w pamięci: „Zbudować mnóstwo drabin”.

- Jeżeli zaś chodzi o liczby, sir Rodney zawsze uważał, że należy zyskać przewagę co najmniej trzech do jednego.

- Trzech do jednego?! Czy to aby nie lekka przesada? - zdziwił się Will. Rozmowa zmierzała niekoniecznie tam, dokąd by pragnął. Ale Horace nie zauważał jego rosnących wątpliwości.

- Cóż, co najmniej tyle. Bo widzisz, w trakcie oblężenia obrońcy zamku gromadzą wszystkie atuty po swojej stronie: znajdują się wyżej; są ukryci za murami. Dlatego należy najpierw odciągnąć tyłu z nich, ilu tylko się uda, z dala od miejsca, gdzie przypuścisz prawdziwy atak. Do tego potrzeba przynajmniej po trzykroć więcej ludzi, niżli mają oni. A jeszcze lepiej po czterokroć.

- Och. - Tylko tyle Will zdołał z siebie wykrztusić.

Horace zmarszczył brwi. Szukał pod czaszką wszystkiego, czego dowiedział się o Zamku Macindaw, kiedy przed kilkoma tygodniami Crowley z Haltem zapoznawali go z sytuacją.

- Domyślam się, że taka forteca posiada stały garnizon, liczący... ilu, trzydziestu, trzydziestu pięciu ludzi?

Will powoli przytaknął.

- Ta-ak. Coś koło tego.

- A więc będziemy potrzebowali około stu pięciu, może stu dziesięciu ludzi, żeby sobie bez problemów poradzić.

- To dawałoby trzech do jednego, owszem - zgodził się Will.

- Dzięki takiej właśnie liczbie zbrojnych zdołamy spokojnie przypuszczać pozorowane ataki z dwóch stron, odciągając równocześnie większość obrońców od miejsca, w którym naprawdę postanowimy zaatakować.

- A oni nie będą wiedzieli, w czym rzecz? - dopytywał się Will, próbujący udowodnić, że choć troszeczkę wyznaje się w kwestii oblegania twierdz.

- Oczywiście, że będą wiedzieli.

- Czemu więc, na przykład, nie uderzyć w jednym miejscu tak, żeby pomyśleli, iż to

pozorowany atak, mający odciągnąć część z nich, ale potem napierać dalej i przekształcić atak pozorowany w prawdziwy?

Horace zastanowił się.

- Pewnie dałoby się. Jednak oni muszą przecież kalkulować wszelkie ryzyko. Czyli nie wykluczają, że tak właśnie postąpimy. Zatem uwzględniamy w rozumowaniu każdy rodzaj zagrożenia, ten również. W rezultacie będziemy ryzykować nad miarę. Łatwiej jednak postępować wedle reguł, aniżeli atak pozorowany przekształcić w prawdziwy. Postępując zgodnie z regułami sztuki oblężniczej, sprawimy, że rozproszą się po całych murach, biegając z miejsca na miejsce, całkowicie bez ładu i składu. Dopiero wówczas uderzymy na nich, przypuszczając prawdziwy atak.

- Tak. To brzmi sensownie - stwierdził Will. Z rozpaczą w sercu zdał sobie sprawę, że wywód Horace'a rzeczywiście ma sens.

- Bez wątplenia - dodał Horace, zapalając się do tematu. Przypominał sobie coraz więcej szczegółów. - Jakość atakujących oddziałów też ma wielkie znaczenie. Oraz sprawność bojowa obrońców. Jakiego rodzaju ludźmi dysponuje Keren?

- W sumie przedstawiają sobą bardzo kiepski poziom. - W głowie Willa zaświtał promyk nadziei.

- To by się zgadzało. Potwierdzam. Ci, których spotkałem, przypominali raczej grasantów, czających się nocami z majchrem w łapie po zaułkach i napadających na Bogu ducha winnych przechodniów. Nie wyglądali mi na żołnierzy pierwszej klasy. - Will orientował się, o co chodzi Horace'owi, bo już zdążyli omówić przebieg spotkania rycerza z Johnem Buttle'em, do którego doszło poprzedniego dnia.

- Większość doświadczonych żołnierzy z garnizonu odeszła - wyjaśnił Will. - Nie byli zachwyceni rekrutami Kerena.

- Zgodzą się walczyć po naszej stronie? - zapytał Horace.

Will sceptycznie potrząsnął głową.

- Nie, niestety nie. Oni wszyscy myślą, że Malkallam to czarnoksiężnik. Większość już opuściła najbliższą okolicę w poszukiwaniu innego zajęcia.

- Kogo zatem mamy? Dysponujesz wyszkolonymi oddziałami zbrojnych? Twoi ludzie wiedzą, którą ręką trzyma się miecz? Czy też skrzyknąłeś miejscowych gospodarzy wraz z parobczakami?

- Mamy Skandian - powiedział Will.

Horace wydal krótki okrzyk triumfu.

- Skandianie! Niesłychane! Cóż, skoro posiadamy takie wojsko, chyba poradzimy

sobie, oczywiście, zakładając przewagę trzech do jednego. Być może nawet wystarczy nieco mniej. - Umilkł. A potem zadał pytanie, którego tak okropnie obawiał się Will: - Ilu ich?

- Właściwie to nieco mniej niż trzech do jednego. - Will usiłował kluczyć wokół kłopotliwej odpowiedzi.

Horace wzruszył ramionami.

- Mniejsza z tym. Jestem pewien, że damy radę. Wykrztuś wreszcie, ilu ich. Dokładnie?

- To znaczy, wliczając ciebie i mnie? - zwlekał Will. Po raz pierwszy dostrzegł błysk podejrzliwości w oczach Horace'a.

- Tak. Myślę, że lepiej wliczyć ciebie i mnie. Ilu? - Ton głosu Horace'a podpowiedział Willowi, że rycerz nie zamierza tolerować dalszych wykrętów.

Zwiadowca wziął głęboki wdech.

- Wliczając ciebie i mnie, dwudziestu siedmiu.

- Dwudziestu siedmiu... - powtórzył Horace, tonem całkowicie beznamiętnym, pozbawionym wszelkich emocji.

- Jednak to Skandianie, bądź co bądź - podsunął z nadzieją Will. Przyjaciół spojrzał na niego i uniósł brew z niedowierzaniem.

- Lepiej, by twa nadzieja była uzasadniona - stwierdził ponuro.

Rozdział 8

Alyss po raz kolejny wpatrywała się w mały czarny kamyk - stellatyt.

Kiedy ubiegłej nocy strzała Willa ze świstem wpadła przez okno do jej celi, z hałasem uderzając w ścianę, Alyss zdumiała się, gdy znalazła kamyk. Potem przeczytała krótkie wyjaśnienie Malcolma, dotyczące właściwości minerału i poczuła, że wraca jej nadzieja.

Była o wiele bardziej skłonna niż Will uwierzyć, że kamyk pomoże jej odzyskać panowanie nad władzami umysłu. Przecież z własnego doświadczenia poznała już skutek działania niebieskiego minerału, którym posługiwał się Keren. Obserwowała, jak prędko świadomość poddaje się przemożnej sile hipnozy mesmerycznej. Teraz pojęła, że wreszcie istnieje szansa, aby oprzeć się magicznemu wpływowi niezwykle rekwizytu. Alyss zaliczała się do dziewczyn dbających o zachowanie silnej woli, w dodatku cechowała ją nadzwyczajna inteligencja. Myśl, że z taką łatwością została zniewolona, sprawiała, że czuła się bezbronna, naga. Uważnie obracała kamyk w palcach. Okazał się przyjemny w dotyku. Był niezwykle gładki. Lśnił. W jakiś niepojęty sposób dodawał otuchy.

Czy rzeczywiście promieniowało z niego ledwie uchwytnie ciepło? A może to tylko złudzenie? Nie potrafiła orzec. Przeczytała kilka linijek z instrukcji Malcolma, przepisanej starannie przez Willa na cienkiej bibułce.

„Dotykaj stellatytu, gdy Keren spróbuje użyć niebieskiego kamienia. Skup całą uwagę na czymś naprawdę przyjemnym. Wyobraź sobie owo coś. Kiedy padną pytania, mów normalnie. Nie udawaj oszołomienia, bo zorientuje się, że oszukujesz”.

Kilka ostatnich linijek zostało zaszyfrowanych. Alyss odczytała kod. Szyfrem otrzymała harmonogram przekazywania dalszych wiadomości. Will postanowił unikać regularnej pory nadawania sygnałów. W końcu Keren zorientowałby się przecież. Kolorowe światła wśród drzew będą się zatem pojawiać w nieregularnych odstępach, nie każdej nocy, nie zawsze o tej samej porze i nie zawsze w tym samym miejscu. Niekiedy wiadomość nie nadejdzie; migotania białego światełka będą się wówczas różnić od ustalonego wzoru, jakiego wymagał kod.

- Sprytnie to wymyśliłeś, Willu - szepnęła. Że Keren nie jest głupcem, już wiedziała.

Will poinformował także, że na wypadek gdyby Alyss miała do zakomunikowania coś pilnego, każdej nocy ktoś od niego będzie obserwował wieżę.

Alyss spaliła cienką bibułkę w płomieniu lampy. Spopielone resztki roztarła na proch i rozsypała za oknem.

Wiedziała już, co przyjemnego wyobrazi sobie następnym razem, gdy Keren spróbuje poddać ją mesmerycznej hipnozie.

Okazja do wypróbowania instrukcji od Malcolma nadarzyła się przed upływem godziny.

Usłyszała w antyszambrze - pomieszczeniu za drzwiami, pełniącym rolę przedpokoju - głos Kerena oraz gwałtowny rumor, gdy wartownicy podrywali się, wyprężeni na baczność.

W rzeczy samej, Keren nie jest głupcem, pomyślała Alyss. Mogłaby się założyć, że już doniesiono mu o światełkach w lesie; być może nawet sam je obserwował. Znalazł się tutaj, by sprawdzić, czy rzeczywiście chodzi o sprawy bez znaczenia. Gdy klucz obracał się w zamku, Alyss wsunęła czarny kamyk pod ciasny mankiet lewego rękawa, gdzie spoczywał dobrze ukryty, lecz łatwo dostępny.

Keren, wchodząc do celi, energicznie skinął na powitanie. Ruchem głowy wskazał stół.

- Siadaj - polecił. - Mam kilka pytań.

Alyss odetchnęła. Tym razem Keren od razu przeszedł do rzeczy. Najwyraźniej nie dysponował czasem, pewnie dlatego poniechał szyderskiej galanterii oraz małpowania przyjacielskich gestów, czym raczył ją poprzednio. Odczuła ulgę. Jego dobry humor, poparty wyniosłym samozadowoleniem, zaczął działać jej na nerwy już uprzednio. Pozostawali wrogami, więc kurierka wołała, by traktował ją tak, jak się traktuje wrogów - odrzucając grę pozorów, protekcjonalną łaskawość, puszenie się własnym rycerskim urokiem.

Keren sięgnął do skórzanego mieszka przy pasie. Wyciągnął niebieski kamień, pozwalając mu sturlać się na stół między palce. Tym razem nawet wstęp okazywał się zbędny. Sam kamień powinien działać z dostateczną skutecznością. Keren musiał jedynie nakazać, aby patrzyła na klejnot. Po kilku sekundach ulegnie magicznej sile mesmeryzmu.

- Patrz na kamień, Alyss - odezwał się łagodnie.

Wzrok kurierki skierował się ku pięknej, krągłej bryłce. Keren turlał ją delikatnie po stole. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Alyss od razu poczuła przyciąganie kamienia. Jak zawsze. Stopniowo wypełniał jej świadomość. Lecz pamiętała, by ręce trzymać przez cały czas ukryte pod stołem. Palec wskazujący prawej dłoni wsunęła pod mankiet lewego rękawa. Zaczęła gładzić obły kamyk. Właściwie od razu zorientowała się, że skry czarnego blasku przezwyciężają niebieskie głębie klejnotu Kerena. Umysł Alyss cofnął się znad przepaści. Nie

poddawała się już złej magii.

„Skup całą uwagę na czymś naprawdę przyjemnym. Wyobraź sobie owo coś”, tak brzmiała instrukcja Malcolma. Alyss przywołała najmilszy obraz, jaki potrafiła sobie wyobrazić: twarz Willa. Uśmiechnięte oblicze, strzecha zmierzwionych włosów, ciemnobrązowe oczy, błyszczące radością życia.

I umysł Alyss pozostał wolny.

- Patrz na niebieski kamień - powtórzył łagodnie Keren. - Czy jesteś gotowa odpowiedzieć na wszelkie moje pytania?

Nie spuszczała wzroku. Jednak niebieska głębia gdzieś się ulotniła. Klejnot tworzył teraz jedynie mdłe tło, uwypuklając twarz Willa. Uświadomiła sobie, że od zawsze wielbi ten zawadiacki, szeroki uśmiech.

- Tak - odpowiedziała zwyczajnie. Była rada, że Malcolm poinstruował ją, by nie próbowała udawać transu. Bo przecież nie wiedziała, jak zachowywała się w transie, gdy Keren kontrolował jej umysł. Zakładała, że musiało to wyglądać na jakiś trans. Wkrótce jednak okazało się, iż taktyka Malcolma przynosi doskonałe efekty. Keren się w niczym nie zorientował.

- Zeszłej nocy w lesie pojawiały się światła - rzucił.

Wiedział. Dobrze się domyślała.

- Światła - powtórzyła jak echo. Ani nie podważała faktu, ani go nie potwierdzała. Jak dotąd, nie padło żadne pytanie wprost, więc hipnotyzer nie wymagał żadnej konkretnej odpowiedzi.

- Czy je widziałas?

Alyss w jednej chwili ogarnęła przemożną chęć, by wyznać prawdę. Zaraz oznajmi: „Tak. Widziałam je. Przesyłano mi sygnały”. Od razu pogładziła stellatyt. Przymus wyznań ustępował, rosło natomiast zdecydowanie.

- Nie - odparła, a serce skoczyło jej z radości. Przełamała władzę, jaką posiadał nad nią Keren. Mogła pleść cokolwiek, udzielać dowolnej odpowiedzi. O ile tylko uchroni trzeźwość umysłu. Dusza Alyss krzyczała ze szczęścia. Na zewnątrz zachowywała całkowicie obojętną twarz. Szkolenie dyplomatyczne nie poszło, jak widać, na marne.

Keren zmarszczył brwi. Był pewien, że światła stanowiły jakiś rodzaj sygnałów. Wysyłanych do niej. Chociaż równocześnie wiedział doskonale, że nie potrafiłaby skłamać, odpowiadając na pytanie zadane wprost. Spróbował jeszcze raz.

- Jesteś pewna? - dopytywał się. - Między drzewami tańczyły czerwone, niebieskie, żółte oraz białe światełka. Widziałas?

- „Było późno, spałam” - Alyss miała taką odpowiedź na samym końcu języka. Lecz powstrzymała się w samą porę. Skoro nie widziała świateł, skąd niby miała wiedzieć, kiedy się pojawiły. Zdała sobie sprawę, że musi bardzo starannie kontrolować własny umysł. Opierała się uporczywym atakom Kerena. Naciskał na jej myśli, to szalenie wyczerpywało, ona zaś nie mogła sobie pozwolić na żadną nieostrożność.

- Nie widziałam ich - odrzekła. Po chwili dodała spokojnym tonem, jak gdyby gawędzili: - Ale widziałam je wcześniej.

Wzrok miała utkwiony w klejnocie, więc raczej wyczuła, niż zobaczyła, że Keren od razu się ożywił, słysząc takie wyznanie.

- Kiedy? - zapytał natychmiast. - Kiedy je widziałeś?

- Dziesięć dni temu. Will i ja pojechaliśmy do lasu. Tańczyły tam światła.

Wiedziała, że Keren doskonale się orientuje, iż odwiedziła Las Grimsdell w towarzystwie Willa. Jego ludzie śledzili ją wtedy. Co prawda, oboje z Willem sądzili najpierw, że śledzić kazał ich Orman. Ale dla istoty sprawy nie miało to przecież żadnego znaczenia. Ludzie Kerena na własne oczy nie widzieli, ani jak wchodzili do lasu, ani jak zeń wychodzili. Wszelako Keren i tak musi podejrzewać, że właśnie tam się udali. Jeśli więc teraz wspomniała o wyprawie do lasu Grimsdell i tak już nikomu nie zaszkodzi. Za to chyba zdoła odciągnąć uwagę od pytań, które hipnotyzer zamierzał wciąż jeszcze zadawać.

Zabębnił palcami po stole. Wyznanie Alyss rozproszyło Kerena. Kurierka spostrzegła, iż w takiej sytuacji kontrola nad własnymi słowami oraz myślami przychodzi jej łatwiej.

Keren podjął ostatnią próbę. Alyss wyczuwała, że jego stanowczość słabnie.

- Co oznaczają te światła?

Wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że Malkallam ich używa - stwierdziła. - Odstraszają ludzi od lasu.

Palce Kerena znów zaczęły wystukiwać rytm. Renegat mruknął z roztargnieniem:

- Tak. Rzeczywiście. Moi ludzie nie zamierzają się tam zbliżyć.

Alyss pomyślała, że właśnie wyciągnęła z Kerena nadzwyczaj cenną informację. Kiedy Will umknął do lasu wraz z Ormanem, sądziła, że Keren być może przejrzał sztuczkę Malkallama. Wtedy zdołałby przekonać własnych ludzi, by ruszyli tropem uciekinierów.

Uzurpator powoli wypuścił wstrzymywane powietrze. Nerwy miał napięte jak postronki. Alyss wyczuwała, że czegoś się spodziewał, jakiegoś wydarzenia, które miało nastąpić. Następne słowa potwierdziły domysły.

- Cóż, nie warto już marnować czasu na bzdury. Generał MacHaddish przybędzie tutaj za dzień lub dwa. - Mruczał tak sam do siebie. Z pewnością czuł się bezpiecznie, bo sądził, że

Alyss nie zapamięta jego słów, znajdując się pod wpływem mesmerycznej hipnozy. Przyturlał niebieski kamień ku sobie. Ściągnął go ze stołu. - W porządku, Alyss. Do następnego spotkania. Teraz możesz się wybudzić.

Domyśliła się, że nie powinna udawać wychodzenia z transu. Po prostu, należy podjąć zwyczajną rozmowę. Niełatwa sprawa, skoro umysł kurierki pracował na najwyższych obrotach. MacHaddish to nazwisko typowe w Skottii. A zatem generał Skottów ma się tu zjawić najdalej za parę dni. Wieść o tym trzeba koniecznie przekazać Willowi.

- Słuchaj - odezwała się, jak gdyby nigdy nic - o czym ty właściwie życzysz sobie rozmawiać?

Keren uśmiechnął się do niej.

- Już porozmawialiśmy - odpowiedział. - Lecz, oczywiście, niczego nie pamiętasz.

„Tak ci się tylko wydaje”, Alyss uśmiechnęła się sama do siebie.

Rozdział 9

Will z Horace'em podążali konno ścieżką wijącą się wśród Lasu Grimsdell. Prowadził ich nieomylny owczarek. Horace z podziwem kręcił głową na widok napierającej zewsząd, nieprzeniknionej ściany drzew.

- Nic dziwnego, że Malcolm krył się tu bezpiecznie przez tyle lat - odezwał się.

Will uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Las najlepiej go chroni - zgodził się. - Oczywiście, gospodarz ma w zanadrzu także inne sposoby zniechęcania gości.

- Chyba ich nawet nie potrzebuje. Tutaj można bez trudu wytracić całą armię. Gdyby zabłądzili, nigdy nie odnaleźliby drogi powrotnej... Wielkie nieba!

Okrzyk trwogi wyrwał się z ust Horace'a, kiedy minęli zakręt. Bo z przodu wyrosło nagle posepne ostrzeżenie. Spomiędzy drzew szczyrzyła się do nich czaszka. Jednak po chwili w młodym rycerzu wezbrała nieufność. Zapewne Will, ciekaw, jak przyjaciel zareaguje na widok czaszki, specjalnie o niczym nie uprzedził. Podejrzenia wkrótce zmieniły się w pewność, bowiem Will, obserwując reakcję Horace'a, ryknął ucieszony:

- Och, to Trevor. Nie zwracaj na niego uwagi. Jest nieszkodliwy.

Jechali dalej. Will ukradkiem podśmiewał się z przyjaciela.

- Tylko boki zrywać - mruknął sam do siebie Horace.

Całkiem niespodziewanie znaleźli się na polanie pośród drzew. W jednej chwili nurkowali jeszcze w półmroku traktu, przebijającego się niczym tunel między ponurymi starymi drzewami, a już w następnej spływały po nich słoneczne promienie. Przed oczami przybyszów wyrosła kryta strzechą chatka Malcolma, skąpana w ciepłe popołudniowe słońca.

Komin dymił, stół czekał nakryty. Will dostrzegł Malcolma, Xandera oraz, ku swemu zaskoczeniu, Ormana. Zauważył również dwa puste krzesła. Najwyraźniej Malcolm postanowił odwlec posiłek do chwili ich przybycia. Will domyślał się, że uzdrowiciel na bieżąco otrzymywał informacje o tym, jak daleko się znajdują.

Przywitawszy się ze wszystkimi, Will i Horace zajęli miejsca przy stole. Pies pomknął niczym strzała, gdy tylko dojrzał Trobara na drugim krańcu polany.

- Nie przeszkadzajcie sobie - odezwał się Will po dłuższej chwili.

- Czekaliśmy z obiadem - oznajmił Malcolm.

Will machnął ręką.

- Zjedliśmy w oberży... - zaczął.

Horace, wiecznie głodny, przerwał bez ceremonii:

- Tak czy siak, wczesna kolacja nie zawadzi - oświadczył. Nikt, kto spoglądał na smukłą, muskularną sylwetkę, nie wierzył, ile ten młodzik potrafi zjeść.

- Cieszę się, panie, żeś jest wreszcie bezpieczny i w pełni zdrowy. - Will pozdrowił Ormana. Włodarz zamku skrzywił się kwaśno.

- Bezpieczny? Owszem, Willu Bartonie. Lecz do pełni zdrowia sporo mi brakuje.

- Bardzo mnie cieszy poprawa stanu pacjenta - wtrącił Malcolm.

Will wskazał na Horace'a, który już zaczął pochłaniać bułkę.

- Mnie również. Lecz cieszy mnie jeszcze coś. Przywożę dobre wieści, panie. Z pomocą tego oto Horace'a wkrótce znowu wprowadzimy cię do zamku.

Od pochwał Willa wychowanek Szkoły Rycerskiej w Redmont spłonął się jak panienka. Will zdał zaś sobie sprawę, że chyba zbyt mocno koloryzuje... Ale mając przy boku wypróbowanego towarzysza, naprawdę odczuwał szaloną radość i ulgę. Zorientował się, że inni nie pojmują, czemu obecność Horace'a uważa za tak istotną, więc dodał:

- Być może znacie go wszyscy lepiej pod zawołaniem: Rycerz Dębowego Liścia.

Nawet to miano, powszechnie doceniane w całym królestwie, nic nie mówiło Xanderowi. Sekretarz Ormana skrzywił się i sarknął tak cichutko, że ledwie dało się słyszeć:

- Zastanawiam się, ile musimy temu tutaj zapłacić?

Horace spurpurowiał, lecz zdołał opanować się i zmilczał. Orman posłał Xanderowi ostrzegawcze spojrzenie. Mały człowieczek skulił się w krześle, choć nadal ciągle coś do siebie pod nosem mamrotał. Naraz Orman doznał olśnienia.

- Rycerz Dębowego Liścia? - spytał po krótkim namyśle. - Zaraz, to ty maczałeś palce w awanturze z Morgarathem kilka lat temu? A także otarłeś się o Skandian, jeśli dobrze pamiętam.

Horace wzruszył ramionami.

- Panie, we wszelkich opowieściach warto odróżniać ziarno od plew.

Ormanowi świtało w głowie coraz bardziej. Przeniósł wzrok na Willa.

- Jeszcze jedno. Otóż Rycerz Dębowego Liścia przyjaźni się z pewnym zwiadowcą - powiedział. - Z tobą, z tobą, nie zaprzeczaj! Will Barton, też wymyśliłeś! Ciebie przecież zwał Will Treaty?

Tym razem Will wzruszył ramionami.

- Panie, we wszelkich opowieściach warto odróżniać ziarno od plew.

Zauważył, że Malcolm wciąż nie rozumie, skąd się wzięło nagłe poruszenie Ormana. Jasna sprawa, pomyślał Will. Uzdrowiciel od lat kryje się w leśnej głuszy. Jednakże Xander, zorientowawszy się, w czym rzecz, zareagował inaczej. Gdy doń dotarło, że właśnie ośmielił się naruszyć cześć jednego z najznamienitszych wojowników Królestwa, wyraźnie się zmieszał. Will, który poczuł sporą satysfakcję, prychnął w duchu. Dobrze mu tak, pomyślał.

Horace uprzejmie odchrząknął. Głowę rycerza zaprzętały ważniejsze sprawy niż gburowata zniewaga, która wyszła z ust sługi Ormana.

- Ktoś tu wspominał o posiłku? - przymówił się. Albowiem Horace zawsze świetnie wiedział, czym warto zająć się najpierw.

Rozdział 10

Zjedli wyborny obiad, złożony z pieczonej dziczyzny, podawanej na zimno, tłustych leśnych kaczek oraz z nieco gorzkawych, bo na zimę kopcowanych, warzyw. Jako dodatek do dań głównych pożywiali się świeżym chlebem z chrupiącą skórką. Posiłek przeszedł wszelkie oczekiwania Horace'a. Rycerz z zadowoleniem odsunął krzesło. Uśmiechnął się do Willa od ucha do ucha.

- Pyszny obiadek - sapnął. - A co tam mamy na deser?

Will wzniosł oczy do nieba.

Malcolm uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Dajże spokój, ten chłopiec wciąż rośnie.

Był pod wrażeniem skromnej postawy oraz pogody ducha Horace'a. Domyślał się, że rycerz, choć młodzik, już cieszył się nie lada sławą w całym Królestwie. Doświadczenie podpowiadało uzdrowicielowi, iż ludzie sławni zwykle zachowywali się tak, jak gdyby świat miał na ich widok oniemieć z zachwytu. W przypadku Horace'a rzecz przedstawiała się zupełnie inaczej.

W dodatku potrafił okazać bliźnim szacunek. O klasie Horace'a najlepiej przekonywał fakt, że młody wojownik, nazwany przez uczonego uzdrowiciela „chłopcem”, nie zachnął się ani nie naburmuszył, słysząc żartobliwe miano.

Zdawał sobie bowiem sprawę, że gospodarz nie czyni żadnych złośliwych przytyków do jego młodego wieku, lecz po prostu żartuje. Horace sięgnął na drugi kraniec stołu, nalał sobie jeszcze jeden kubek czarnej kawy. Podobnie jak Will, pijał ją porządnie słodzoną miodem; nawyk, który przejął od zwiadowcy, gdy przed laty podróżowali razem do Celtii.

Malcolm skrzywił się nieznacznie. Pomyślał, że miły ten chłopiec, bo miły, ale jeżeli obaj ze zwiadowcą zamierzają niszczyć kawę w takim tempie, to wkrótce naparu zabraknie. Odnotował w pamięci, by posłać któregoś ze swoich ludzi do oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”, niech się potarguje o więcej kawowego ziarna.

Na odległym krańcu polany nastąpiło jakieś poruszenie. Wszyscy podnieśli wzrok.

Grupa zbrojnych, odzianych w ciężkie pancerze, zachowując szyk marszowy, wyłaniała się z lasu. Nadciągali Skandianie.

Nowo przybyli niepewnie rozglądali się dokoła. Po długich godzinach spędzonych w

leśnym półmroku osłaniali oczy przed rażącym źrenice światłem. Niektórzy z ludzi Malcolma na widok oddziału zbrojnych, wrzeszcząc, popędzili w głąb lasu. Z kolei Skandianie we własnym gronie wymieniali mrukliwe komentarze. Każdego z mieszkańców osady Malcolma dotknęło takie lub inne kalectwo. Wilki morskie ze Skandii wierzyły, że leśne obszary pełne są duchów i ogrów. A przecież znaleźli się w puszczańskiej głuszy. Przesądni żeglarze na wszelki wypadek zwarli odrobinę szeregi, przy okazji upewniając się, że gotowa do użycia broń czeka na podorędziu.

Trobar, w przeciwieństwie do pozostałych, wcale nie próbował się ukrywać. Nawet przeciwnie, od razu przesunął się ku przodowi, zajmując pozycję między przybyszami a swoim przywódcą. Na widok olbrzyma niepewne z początku pomruki wśród potężnie zbudowanych Skandian wezbrały. Trobar górował posturą nad każdym z nich.

Spędziwszy jakiś czas w towarzystwie Malcolma, Will zorientował się już, że pomimo przerażającego wyglądu Trobar ma złote serce. Jednak olbrzym biłby się do upadłego, gdyby ktokolwiek próbował wyrządzić krzywdę człowiekowi, który się nim zaopiekował i zapewnił kalece dom. Will wiedział o tym doskonale. U boku Trobara przeżył się owczarek. Wyczuwając niepokój giganta, suka zjeżyła sierść, a futro wokół jej szyi zdawało się tworzyć kołnierz dwakroć obszerniejszy niż normalnie.

Młody zwiadowca zerwał się na równe nogi. Pospiesznie ruszył naprzód, żeby zapobiec wszelkim możliwym nieporozumieniom.

- Wszystko w porządku, Trobarze - rzucił cicho. - To swoi. - Donośnym zaś głosem zakrzyknął: - Gundarze Hardstrikerze, witaj na Polanie Uzdrowiciela.

Polanę Uzdrowiciela wymyślił naprędce. Uznał, iż tak niegroźna nazwa dopomoże w rozładowaniu napiętej sytuacji. Gdy tylko się odezwał i gdy Skandianie go rozpoznali, spostrzegł, że niepokój przybyszów nieco zelżał. Trobar zatrzymał się, odsunął na bok. Will wyszedł naprzeciw skandyjskich żeglarzy, aby ich powitać. Horace podązał o krok czy dwa za druhem.

- Jeśli dobrze rozumiem, nadeszli właśnie nasi ludzie? - zapytał cicho.

Will obejrzał się przez ramię.

- Twoi ludzie - poprawił. - Ty obejmujesz nad nimi dowództwo, nie ja.

Horace uśmiechnął się szeroko. Ani na moment nie pozwolił się zwiść.

- Ja obejmuję dowództwo - chichnął - lecz ty każesz nam wszystkim tak tańczyć, jak sam zagrasz, prawda?

Miał doświadczenie we współpracy ze zwiadowcami, znał ich styl działania. Utrzymywali zazwyczaj, że obejmują co najwyżej stanowiska doradców. Najchętniej trzymali

się w cieniu. Rycerz jednak wiedział, że potrafią knuć w sposób absolutnie mistrzowski. Obserwował, jak pięć lat temu Halt postępował ze Skandianami. Mistrz Willa do perfekcji opanował sztukę dowodzenia. Trzymał w ręku wszystkie nitki, choć pozornie pozostawał na uboczu. Horace nie wątpił, że uczeń doświadczony członek Korpusu również posiadał tę umiejętność.

Will skwitował uwagę lekkim skrzywieniem warg.

- Owszem. Coś w tym rodzaju - przytaknął.

Gundar ruszył w kierunku dwóch zbliżających się z naprzeciwka Aralueńczyków. Wykonał gest przyjaznego powitania.

- Szczęsnego dnia, Willu Treaty - powiedział. - Dziwne to miejsce, do którego nas sprowadziłeś.

Will pokiwał głową.

- Dziwne, Gundarze. Ale nie nieprzyjazne. Nikt wam tutaj źle nie życzy.

- Chyba że ten idiota sekretarz - wtrącił Horace półgębkiem.

- Cicho bądź - Will odpowiedział mu tak samo przyciszonym głosem. Następnie, przemawiając znacznie głośniej, oznajmił: - Gundarze, poznaj mojego przyjaciela, sir Horace'a.

Horace i Gundar uścisnęli sobie dłonie, przypatrując się sobie nawzajem z ciekawością - obaj usatysfakcjonowani tym, co ujrzeli.

Gundar od razu zwrócił uwagę na młody wiek Horace'a. Lecz oblicze młokosa nosiło ślady doświadczeń zdobywanych w boju - znaczyła je blizna oraz niegroźnie złamany nos. Ślady nie na tyle liczne, by sugerować, że posiadacz blizn zbierał wyłącznie ciężki. Gundar przychylił się do zdania, że twarz pokryta bliznami wyniesionymi z walki zwykle należy do człowieka, który w każdej sytuacji stara się sprostać niebezpieczeństwom.

Natomiast przed Horace'em stał typowy Skandianin: potężnie zbudowany, nieustraszony, doświadczony - innymi słowy mąż, który z wprawą dzierżył ciężki topór bojowy i który spoglądał prosto w oczy każdemu, gdy witał się z nim mocarnym uściskiem dłoni zdolnej kruszyć orzechy. Horace doszedł do wniosku, że mając dwudziestu pięciu ludzi takich jak ten, zapewne zdołałby obrócić zamek w kupę gruzu.

- Sir Horace dowodzi atakiem? - zapytał Gundar, a Will pokiwał głową.

- Zgadza się. Nawet taka mała armia, jak nasza potrzebuje generała. Horace posiada wyszkolenie niezbędne przy działaniach oblężniczych.

Gundar wzruszył ramionami, zadowolony z układu.

- Mnie pasuje - oznajmił.

Kapitan w gruncie rzeczy traktował wszelkich dowódców jedynie jako zarządzających prawdziwym bojem. Dowódca powinien łamać sobie głowę, rozważać takie błahostki, jak taktyka albo strategia. Skandian subtelności nie interesowały. Główne zadanie dowódcy, zdaniem Gundara, polegało na tym, by zapewnić Skandianom okazję do solidnego mordobicia.

Jak zwykle bywa, nie wszyscy żeglarze zgadzali się z kapitanem. Znalazł się jeden, który spoglądając na Horace'a, dostrzegał tylko jego młody wiek. Skandianie na ogół nie marnowali czasu na zbędny namysł, więc niedowiarek wypalił prosto z mostu:

- Tobie może i pasuje, Gundarze, przyjmowanie rozkazów od młokosa, który ma mleko pod nosem - huknął donośnie. - Ale ja nie zamierzam słuchać byle chłystka.

Will usłyszał, jak Horace cicho wzdycha. W tym jednym westchnieniu kryło się tyleż samo irytacji, co i znudzenia. Zwiadowca stłumił uśmiezek, cisnący mu się na wargi. Wiedział, że Horace posiada spore doświadczenie wyniesione z podobnych sytuacji. Nie raz już dawał sobie z nimi radę.

Ktoś mniej pewny swego niż Horace wybrałby inną niż młody rycerz taktykę: chępliwy się, pohukiwał, starałby się prośbą i groźbą okazywać Skandianom własny autorytet. Naturalnie, popełniałby fatalny błąd. Skandianie w nosie mieli gadaninę po próżnicy.

Lecz Horace wyszczerzył tylko zęby, podsunął się bliżej i gestem dał znak, by niedowiarek uczynił to samo.

Skandianin okazał się rosły. Nawet jeśli o parę centymetrów niższy niż Horace, to szerszy w barach oraz cięższy. Horace z zadowoleniem odnotował w pamięci, że twarz oponenta znaczyło wiele blizn. Horace podzielał opinię Gundara na temat takich ludzi. Rywal nosił długie włosy, zebrane w dwa tłuste warkoczyki. Obszerna broda składała się z płątaniny brudnych kosmyków. Dałby się z niej wyczytać jadłospis kilku ostatnich posiłków właściciela niechlujnego zarostu. Ponury brodacz dźwigał ciężki topór bojowy oraz wielką, okrągłą, dębową tarczę, wyglądem przypominającą jednak bardziej koło od wozu. Horace pomyślał, że zapewne tarcza rozpoczęła swój żywot właśnie jako produkt kołodzieja.

Skandianin zlekceważył uśmiech Horace'a. Nachmurzona mina wyrażała jednoznacznie okazywaną niechęć. Lecz odpowiedział na gest Horace'a i wyszedł na spotkanie.

- A zwą cię...? - dopytywał się łagodnie Horace.

- Jestem Nils Ropehander - warknął mężczyzna głosem donośnym, pełnym wściekłości. - Troszczę się o własne życie, więc ani myślę składać swój los w ręce

chłopaczka.

Osilek nie pozostawił żadnych wątpliwości, co do intencji, podobnie zresztą jak uprzednio. Ostatnie słowo miało znieważać. Horace wciąż suszył zęby w uśmiechu.

- Oczywiście, że się troszczysz - przytaknął rzeczowym tonem. - Aha, dodam jeszcze, że posiadasz uroczy kapelusz.

Jak większość Skandian, Nils Ropehander nosił ciężki żelazny hełm, przyozdobiony dwoma potężnymi rogami. Gdy Horace o nim wspomniał i wskazał ręką na masywne nakrycie skandyjskiego łba, awanturnik odruchowo wzniósł oczy.

Gdy przez chwilę gapił się na niebo, spuścił z oczu Horace'a. Na to właśnie liczył aralueński rycerz. Ropehander spoglądał w górę, a Horace, wykonawszy krok do przodu, chwycił lewą i prawą garścią po jednym rogu, następnie uniósł hełm ponad czaszkę Skandianina. Nim wojownik zdążył zdobyć się na jakąś reakcję, Horace już z impetem osadzał mu na głowie niewyściełany, ciężki żelazny garnek. Pod Nilsem ugięły się kolana, łupnęło go tak, że oczy stanęły mu w słup. Zatoczył się. Wszystko trwało bardzo krótką chwilę, lecz wystarczyło, by poczuł, że jego broda uwięzła w żelaznym uchwycie. Bezceremonialnie szarpnięty, poleciał do przodu.

Horace znowu przybliżył się o krok. Zagroził drogę słaniającemu się Skandianinowi. Nasadą prawej dłoni, rozczapierzając palce ku górze, huknął z całej siły w szeroki nos. Równocześnie rozluźnił uchwyt lewej dłoni. Tym samym uwolnił brodę, więc Skandianin poleciał do tyłu, by w konsekwencji trzasnąć z impetem plecami o twardą ziemię.

Horace wiedział, że do oczywistych efektów silnego uderzenia w nos zaliczyć trzeba łzy, nieuchronnie stające w oczach. Gdy Nils gramolił się, zbierając się z ziemi, oślepiony przez łzy, usłyszał świszający odgłos metalu. Odgłos zabrzmiał jakoś znajomo, więc instynkt podpowiedział Nilsowi, by się nie ruszał. Metal przesuwiał się po jego ciele, aż wreszcie zawędrował w okolice gardła. Ropehander poczuł dziwne, kłujące dotknięcie. Zamarł, a gdy znowu odzyskał ostrość wzroku, stwierdził, że spogląda wprost na lśniąca klingę miecza, którego koniec lekko dotyka jego skóry tuż pod brodą.

- Bawimy się dalej? - spytał Horace. Już nie szczyrzył zębów. Zachowywał się śmiertelnie poważnie. Nils pojął, że sytuacja staje się dlań bardzo niepomyślna. Horace nieznacznie odsunął miecz od jego gardła, żeby Skandianin mógł odpowiedzieć.

Nils pokręcił łbem. Odezwał się, chrypiąc, bo krew zalewała mu gardło i ciekła z nosa.

- Njee... jusz wyształczy.

- Dobrze - zgodził się Horace. Szybkim ruchem wepchnął miecz do pochwy, a później wyciągnął rękę do Nilsa, pomagając tęgiemu wilkowi morskemu podnieść się z ziemi.

Przez chwilę stali obaj, wsparci piersią o pierś. Wymienili pełne zrozumienia spojrzenie. Następnie Horace klepnął Skandianina w ramię i odwrócił się do jego kompanów.

- Sądzę, że wyjaśniliśmy sprawę? - odezwał się do nich.

Odpowiedział mu chór zapewnień oraz potakiwań. Wszyscy znali Ropehamera. Lubił kwękać i sprzeciwiał się wszelkim zmianom raz ustalonego porządku. Zdaniem reszty żeglarzy młody rycerz doskonale poradził sobie z sytuacją. Jego zdumiewająca szybkość, siła, mistrzowskie opanowanie skandyjskiej taktyki negocjacyjnej wywarły na morskich wilkach potężne wrażenie. Skandianie nieodmiennie przedkładali solidną bijatykę nad wszelką inną wymianę argumentów.

Horace potoczył wzrokiem po brodatych, pełnych aprobaty twarzach. Uśmiechnął się szeroko.

- Popatrzmy teraz, cóż to za zgraja łapserdaków dostała mi się jako armia. Podejdźcie bliżej - zaprosił.

W odpowiedzi, odsłaniając dziąsła w uśmiechach, Skandianie ustawili się wokół. Horace dał ręką znak, żeby zrobili miejsce dla Willa.

- Nie jest może zbyt rosły - stwierdził - ale każdemu, kto go zlekceważy, potrafi nieźle zaleźć za skórę.

Uśmiechy poszerzyły się jeszcze. Rozsunęli się, żeby wpuścić zwiadowcę. Horace, podparty pod boki, przemaszerował wzdłuż kręgu. Marszcząc czoło, przyglądał się wojownikom. Uznał, że trafiła mu się parszywa banda, do tego nie za czysta. Włosy oraz brody zapuszczone, przeważnie splatane w tłuste warkocze, jak u Nilsa.

Dostrzegł wokół całe mnóstwo blizn, a także połamane nosy i kalafiorowate uszy; podziwiał najprzeróżniejsze tatuaże, z których większość wyglądała tak, jak gdyby ich kontury wydziabano w skórze czubkiem sztyletu, a następnie do ran wtarto barwnik. Tatuaże przedstawiały czaszki szczerzące się w uśmiechu, węże, wilcze łby oraz osobliwe runy z Północy. Wszyscy Skandianie charakteryzowali się potężną, krępą budową. Większość dźwigała przed sobą wydatne brzuszyska, wskazujące, iż zanadto gustowali w piwsku.

Krótko mówiąc, Horace'a otaczała niechlujna, cuchnąca, bluzgająca przekleństwami ile wlezie zgraja piratów. Każdy, komu życie miłe, powinien się ich strzec. Horace odwrócił się do Willa, jego chmurna twarz pojaśniała.

- Są doprawdy cudowni - oznajmił.

Rozdział 11

Na leśnej polanie, którą Will nazwał Polaną Uzdrawiciela, robiło się coraz tłoczniej. Chatka Malcolma już pękała w szwach, gdyż musiał zakwaterować u siebie lorda Ormana oraz Xandera. Dlatego Will z Horace'em woleli na skraju polany rozstawić własne jednoosobowe namioty. Mogli przynajmniej w spokoju rozmawiać.

Skandianie, którzy przydźwigali ze statku płótno oraz liny, niezwłocznie zabrali się za wznoszenie dla siebie wielkiego wspólnego schronienia w odległym krańcu polany. Will pomyślał, że czego jak czego, ale w Lesie Grimsdell przynajmniej drewna im nie zabraknie.

Pośrodku polany zbudowali ogromne palenisko, by móc się ogrzewać i gotować strawę, a także by zapewnić sobie miejsce do wypoczynku. Pierwszego wieczora Horace trochę spode łba zerkał na strzelające wysoko czerwone jęzory z watry Skandian. Mieszkańcy Północy zdawali się rozkoszować wzniecaniem potężnych płomieni, wszystko jedno, czy zabierali się za palenie wiosek, czy tylko zamierzali popijać przy ogniu.

- Ułożyli gigantyczny stos - Horace z wahaniem w głosie odezwał się do Willa. - Chyba każdy dojrzy z daleka blask.

Zwiadowca wzruszył ramionami.

- Żaden kłopot - uspokoił przyjaciela. - Rozbuchane płomienie tylko się przysłużą legendzie Lasu Grimsdell. Dziwne światła, dziwne odgłosy...

W tej właśnie chwili Skandianie - którzy przytargali ze sobą parę baryłek akwawity, czyli mocnego, doprawianego kminkiem alkoholu pędzonego ze zboża - wzięli się za śpiewanie szant.

- W rzeczy samej, dziwaczne oni wydają odgłosy - wtrącił Malcolm. - Gdybym osobiście zdołał wymyślić coś w tym rodzaju, mógłbym utrzymywać ludzi z dala od mojego domu przez kolejnych dziesięć lat.

Jeden ze Skandian odłączył się od grupy skupionej w kręgu wokół ogniska. Chwiejnym krokiem poczłapał w stronę przyglądającej się im gromadki. Wcisnął pełen pucharek Horace'owi w dłoń.

- Trzymaj, generale - czknał. - Napij się.

Horace ostrożnie upił łyk. A już po chwili usilnie się starał zapanować nad wyrazem twarzy. Nawet mu się udało, lecz nic nie zdołał poradzić, że nagle jego czupryna zapragnęła

stanać dęba. Kiedy odzyskał normalny oddech, oddał naczynie Skandianinowi.

- Niezgorsze - sapnął, wciąż trochę bez tchu.

Skandianin ryknął tubalnym śmiechem, po czym rąbnął swojego nowego dowódcę w plecy. Will stwierdził, że skandyjski wilk morski posiada raczej mgliste pojęcie o zwyczajach obowiązujących w wojsku.

- Zuch! - pochwalił Skandianin. Zataczając się, wrócił do kompanów.

- Wielkie nieba - stęknął Horace. Napitek wciąż palił mu wargi. - Mógłbym tego używać do odrdzewiania zbroi!

W chwili, gdy rozpoczęły się śpiewy, na ganku zjawił się Xander. Wyszedł, łypnął z pogardą ku Skandianom i podszedł do swoich.

- Długo zamierzają tak wyć? - rzucił w powietrze.

Zbici w małą grupkę Malcolm, Horace oraz Will obdarzyli sekretarza niechętnymi spojrzeniami. Ponieważ każdy z nich uznał, iż nie jego dotyczy pytanie, zgodnie stwierdzili, że powinien odpowiadać ten, kto został zapytany.

Xander naburmuszył się jeszcze bardziej, gdy zdał sobie sprawę, że mają go za nic.

- Malcolmie - rzekł. - Jak niby mój pan ma spać, skoro tutaj panuje taki piekielny harmider?

Malcolm spojrział z namysłem.

- Życie mnie nauczyło - mruknął - że jeśli ktoś jest naprawdę zmęczony, nie zbudzi go odrobina hałasu.

- Odrobina hałasu! - charknął sekretarz. - To, co wyczyniają ci barbarzyńcy, nazywasz...

Nie zdążył wykrztusić więcej. Bowiem dłoń Willa nagle zamknęła mu usta. Dalsza część protestu zmieniła się w niezrozumiały bełkot. Xander ucichł gwałtownie. Gapił się teraz prosto w oczy zwiadowcy. Śledził wyraz jego twarzy znad dłoni tamującej mu wargi. I bał się. Bo oczy Willa, zwykle ciepłe i pogodne, nagle nabrały zimnego, groźnego blasku. Zupełnie jakby szarpnięta na bok zasłona odkryła nieznany dotąd przejaw charakteru zwiadowcy.

- Xanderze - wyskandował Will, kiedy już upewnił się, że sekretarz Ormana zamienił się w słuch. - Odkąd tutaj jesteśmy, nic, tylko jęczysz i narzekasz. Malcolm ocalił życie twojemu panu. Ofiarował ci dach nad głową oraz strawę, a także bezpieczne schronienie. Ci Skandianie, owi barbarzyńcy, jak ich nazywasz, to moi przyjaciele. Zamierzają pomóc wam odzyskać zamek. Niektórzy z nich zapewne stracą przy tym życie. Prawda, płacimy im, ale pozostaje faktem, iż są nam potrzebni. Xanderze, już wszyscy mamy cię po dziurki w nosie.

Zapamiętaj i powtarzaj sobie raz po raz, że w przeciwieństwie do Skandian, akurat ciebie nie potrzebujemy. Jeśli zatem usłyszę jeszcze słowo skargi, jeżeli wyskocisz jeszcze jedną wzgardliwą uwagę, to przysięgam, że zawlokę cię z powrotem do Macindaw i oddam Kerenowi. Jasne?

Wytrzeszczone oczy Xandera wciąż łypały znad dłoni Willa. Zwiadowca mocno potrząsnął małym człowieczkiem.

- Wyrażam się jasno? - zapytał bardzo powoli, bardzo wyraźnie. Potem usunął dłoń.

Xander nabrał tchu, głęboko, niespokojnie wydymając pierś. Po chwili milczenia odezwał się cichym głosem:

- Tak.

Teraz z kolei Will wziął głęboki wdech, po czym wolniutko wypuścił powietrze.

- Dobrze - skwitował, zaś Horace oraz Malcolm skinęli głowami. Will już się odwracał od Xandera, ale zawzięty karzełek nie zdołał się powstrzymać. Jak zwykle chciał mieć ostatnie słowo.

- Tylko jedno... - zaczął swoim napsuszonym tonem, który już świetnie poznali.

Will wznosił ręce do nieba w geście rozpaczony. Znowu zwrócił się do małego człowieczka:

- Skoro sam się prosisz, masz! - sapnął ze złością. Jego dłoń w okamgnieniu chwyciła Xandera za kołnierz. Sekretarz, unieruchomiony, zbity z pantafelku, w jednej chwili stracił równowagę. Aż nim zachwiało. Następnie Will, ciągle nie puszczając człowieczka, powłókł go w kierunku leśnej ścieżki prowadzącej najpierw ku ciemnemu jezioru, a dalej wyprowadzającej do granicy Lasu Grimsdell i równiny przy zamku Macindaw.

- Wróć za jakąś godzinę - zawołał przez ramię do Horace'a i Malcolma. - Muszę tylko wyrzucić śmieci.

Żaden nie poruszył się. Nie starali się go zatrzymać.

Xander wił się i jęczał, ale tkwił zamknięty w stalowym uścisku Willa niczym w imadle. Zwiadowca przygiął sekretarza do przodu tak, by ten nie mógł złapać równowagi. Nie pozwalał mu się ani na moment wyprostować. Ruszył energicznie przed siebie. Xander mógł jedynie dreptać niezgrabnie krok w krok za rozsierdzonym zwiadowcą. Zorientował się, że nawet gdyby potknął się lub upadł, Will i tak by się nie zatrzymał. Po prostu włóczył go nadal, nie zważając, czy sekretarz zdoła się podnieść, czy nie.

Horace zastanawiał się później, czy Will naprawdę spełniłby swoją groźbę. Pewnie tak, wściekły zwiadowca może i wydałby Xandera w ręce Kerena. Tyle że wtedy zdrajca wyciągnąłby zapewne od sekretarza mnóstwo przydatnych informacji. Na przykład, poznałby

lokalizację polany Malcolma oraz dowiedziałby się, że Will dysponuje grupą uzbrojonych, rwących się do walki Skandian, planując zaatakować przy ich pomocy zamek. Najpewniej, pomyślał Horace, wrzuciłby Xandera do jeziora. Pytanie, czy potem by go wyłowili...

Odpowiedź pozostała na zawsze w sferze domysłów. Albowiem, gdy tylko Will dotarł do leśnej ścieżki rozpoczynającej się na jednym krańcu polany, od drugiego krańca niczym strzała wypadł zaufany człowiek Malcolma.

Miał na imię Poldaric. W dzieciństwie, skutkiem nieszczęśliwego wypadku, doznał straszliwego skrzywienia kręgosłupa. W konsekwencji nie mógł utrzymać pionu. Przechylony na jedną stronę, nie potrafił spoglądać prosto przed siebie, gdyż jego głowa pozostawała w stałym przykurczu. Horace od razu jednak zwrócił uwagę, że ułomny młodzian nader chyżo potrafi przemykać wśród drzew. Zdumiewające, jak wiele zdoła wytrzymać ludzkie ciało, pomyślał.

Poldaric dojrzał Willa. Przybliżył się, stając bokiem do zwiadowcy, by móc bez wysiłku spojrzeć mu w oczy.

- Twoja przyjaciółka - powiedział. - Nadaje sygnały!

Dwie godziny później w małym pokoju w domku Malcolma zrobiło się tłoczno. Horace, Malcolm, Orman, Gundar oraz Xander skupili się przy kominku.

Will zakończył odszyfrowywanie kilku ostatnich słów przesłanych przez Alyss i usiadł, marszcząc czoło.

- Złe wieści? - zagał Horace.

Przyjaciel nowo mianowanego dowódcy Skandian wzruszył ramionami.

- Niewykluczone. Keren najwyraźniej oczekuje przybycia jakiegoś generała MacHaddisha za parę dni. - Rozejrzył się po twarzach osób zgromadzonych wokół stołu. - O kogo tu chodzi, może wiecie?

Gundar wzruszył ramionami, podobnie Malcolm. Orman w zamyśleniu zmarszczył brwi, a później pokręcił przecząco głową.

- Łatwo wywnioskować, że chodzi o Skotta, wywodzącego się z rodu Haddish, nic poza tym. Słyszałeś takie nazwisko, Xanderze?

Mały człowieczek zastanowił się i pokręcił głową. Po niedawnej konfrontacji z Willem był wdzięczny, że w ogóle dopuszczono go do narady.

- Obawiam się, że nie, panie.

- Cóż - zabrał głos Horace, jak zawsze trzeźwo myślący. - Przynajmniej zyskaliśmy potwierdzenie hipotezy, że Keren skumał się ze Skottami.

- Prawda - przytaknął Will. - Choć wolałbym wiedzieć nieco więcej. Na przykład, czy ten cały MacHaddish prowadzi ze sobą wojsko.

Orman z namysłem potarł brodę.

- Moim zdaniem na tym etapie działań nie przywiedzie wielkich sił - stwierdził, a wszyscy odwrócili się ku niemu. - Główny szlak przez granicę o tej porze roku w zasadzie pozostaje nie do przebycia. Śniegi nie puszcza co najmniej ze trzy tygodnie.

Sięgnął po pióro Willa oraz czystą kartkę. Pobieźnie naszkicował mapkę okolicy.

- Góry, o tu, tworzą naturalny dział - wyjaśnił. - Jak widzicie, Zamek Macindaw leży przy drodze wiodącej od głównej przełęczy w głąb Araluenu. W miesiącach zimowych przełęcz jest nieprzejezdna z powodu śniegu. To dlatego nigdy nie potrzebowaliśmy wtedy dużego garnizonu w Macindaw. Bo zimą groziły nam co najwyżej małe wypadki.

Gwałtownie pociągnął cienką linię przerywaną w miejscu, gdzie na jego mapie znajdowały się góry.

- Istnieje wiele małych bocznych drózek, lecz są one strome i zdradzieckie. Którąś z nich da się przeprowadzić mały oddział. Ale nie armię, wraz z taborami.

Horace pochylił się nad ramieniem lorda, żeby przyjrzeć się mapce. Z namysłem przytaknął.

- Poza tym - dodał - żaden generał nie wprowadziłby wielkich sił na terytorium wroga bez wstępnego rozpoznania.

Will zgodził się z poprzednikami.

- Możemy więc zakładać, że MacHaddish przywiedzie ze sobą niezbyt liczny oddział. To zaś oznacza, że zapewne wybiorą podróżowanie nocą. - Rozejrzał się, spostrzegł powszechną aprobatę dla przyjętego toku rozumowania. Wszyscy słuchali w wielkim skupieniu. Wszyscy, oprócz Gundara, który wyglądał na całkowicie już znudzonego. Cóż, Skandianie nie znosili planować.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał Horace.

- Będziemy mieć oko na zamek, żeby wiedzieć, kiedy przybędą - odpowiedział Will. - Później, gdy MacHaddish wyruszy w drogę powrotną do Picty, schwytamy go. Oraz zadamy kilka pytań.

Horace pochwalil plan przyjaciela.

- Niezgorsza myśl - przyznał. - Jednak nie spodziewaj się zbyt wiele wydobyć ze Skotta. Z tego, co o nich słyszałem, nigdy nie udaje się zmusić żadnego do mówienia.

Teraz nadeszła kolej Malcolma. Uzdrowiciel uśmiechnął się.

- Och, myślę, że będę w stanie jakoś temu zaradzić - oznajmił.

Rozdział 12

Znowu sypnęło śniegiem. Ciężka zasłona chmur przykryła nadchodzący świt. Dlatego moment, w którym słońce wyłoniło się zza linii horyzontu, okazał się nie do uchwycenia. Zwłaszcza w lesie, gdzie zwiadowca obozował wraz z Horace'em. Brudnoszare światło zalewające okolicę stawało się coraz jaśniejsze. Mrok przechodził w barwę dnia zupełnie niepostrzeżenie. Will zdał sobie sprawę, że od kilku chwil wyraźnie widzi swoją uniesioną dłoń, choć jeszcze parę minut wcześniej dostrzegał tylko ciemną, rozmazaną plamę.

Skromne obozowisko, na które składał się niski dwuosobowy namiot oraz osłona z płótna, zawieszona między dwoma drzewami, mieściło się na maleńkiej polance. Usunęli trochę zarośli nieopodal leśnego traktu biegnącego ku granicy z Pictą. Znajdowali się na tyle daleko od szlaku, żeby nikt przejeżdżający tamtędy ich nie zobaczył, ale na tyle blisko, by sami zdołali każdego usłyszeć.

Dwa dni wcześniej Will odebrał wiadomość Alyss. Obaj z Horace'em postanowili trzymać straż przy szlaku, by w porę dostrzec, a potem mieć na oku, tajemniczego skottyjskiego generała. Musieli zorientować się w liczebności oddziału, by przygotować odpowiednią zasadzkę.

Malcolm także, jak zwykł był czynić od lat, rozmieścił wśród leśnych ostępów własnych obserwatorów. Doświadczeni ludzie uzdrowiciela czuwali nad szlakami oraz ścieżkami prowadzącymi od strony gór na granicy z Pictą.

Will usłyszał, jak Horace wierci się w namiocie oddalonym o kilka metrów. Potem w niewielkim trójkątnym wejściu ukazała się twarz rycerza, okolona zmierzwionymi włosami. Will siedział na piętach pod płóciennym daszkiem.

- Witaj - mruknął Horace.

Will bez słowa skinął głową. Horace niezgrabnie gramolił się na zewnątrz, stwierdziwszy, że nie da się wydostać z małego namiociku bez solidnego przemoczenia kolan. Powstał sztywno, przeciągnął się, cicho stęknął.

- Zauważyłeś coś? - zapytał.

Will podniósł wzrok.

- Owszem - odparł. - Oddział pięćdziesięciu Skottów. Dopiero co przejechali, ze dwadzieścia minut temu.

- Naprawdę? - Horace wyglądał na zaskoczonego. Nie do końca się jeszcze obudził.

Will wznosił oczy do nieba.

- Och, pewnie, daję słowo - powiedział. - Jechali na wole, grając na dudach i waląc w bębny. Oczywiście, że nie - zawarczał. - Gdyby nas mijali, obudziłbym cię... choćby tylko po to, by przerwać twoje chrapanie.

- Ja nie chrapię - obruszył się Horace.

Will uniósł brwi.

- Czyżby? - zdziwił się. - W takim razie lepiej przepędź tę kolonię morsów, które nocują w naszym namiocie. Oczywiście, że chrapiesz.

Horace pokręcił głową.

- Nie. Nie chrapię. Jestem tego pewien, ponieważ gdybym chrapał, tobym sam siebie usłyszał. A skoro nigdy nie słyszałem własnego chrapania, to nie mogę tego robić. Chrapać, znaczy się - dodał, na wypadek gdyby Will się pogubił.

Z zawieszonoego na drzewie bukłaka Horace pociągnął solidny łyk lodowatej wody. Następnie poszperał w tobołku za pajdą zeschniętego chleba i odrobiną suszonych owoców. Zachmurzył się.

- Śniadanie - oznajmił ze zboląłą miną.

Will wruszył ramionami. Nie okazał współczucia.

- Jadałem gorsze.

Horace odgryzł kęs. Przysiadł pod płóciennym daszkiem obok zwiadowcy.

- Ja również - odpowiedział. - Ale nikt mi nie każe tego lubić.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Horace co chwila wiercił się niespokojnie. Will, wprawiony w zachowywaniu ciszy, potrafił godzinami tkwić nieporuszony niczym skała, więc teraz współczująco zerkał na nieszczęsnego druha. Rycerze to z zasady ludzie czynu. Bierne siedzenie w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy, po prostu klóciło się z całym ich doświadczeniem i nabytą wiedzą.

Will odezwał się, bardziej żeby odciągnąć myśli Horace'a od przemożnej nudy, niżli z jakiegokolwiek innego powodu:

- Widujesz może ostatnimi czasy Evanlyn? Horace pospiesznie zwrócił wzrok ku przyjacielowi. Evanlyn. W rzeczywistości królewska córka, księżniczka Cassandra. Kiedy Will i Horace spotkali ją po raz pierwszy, podróżowała pod przybranym imieniem Evanlyn. Horace wiedział, że kiedyś, gdy Will oraz księżniczka przebywali w niewoli u Skandian, oboje połączyła szczególna więź. Zastanawiał się, na ile owa więź przetrwała. Will wspominał o Evanlyn po raz pierwszy od przybycia Horace'a do tego lenna. Właściwie nic w

tym dziwnego, pomyślał. Wciąż mieli niewiele okazji, by pomówić o sprawach osobistych. Werbowanie Skandian, wychwytywanie sygnałów od Alyss, a teraz czyhanie na tajemniczego skottyjskiego generała zaprzętały prawie bez reszty ich uwagę.

- Widuję ją. Niekiedy - rzucił od niechcienia.

Will pokiwał głową. Ale nie zdradzał, o czym myśli.

- Zapewne spotkania są nieuniknione - skomentował. - Bądź co bądź, kwaterujesz w zamku. Domyślam się, że wpadasz na nią od czasu do czasu. Prawda?

- Cóż... nieco częściej niż od czasu do czasu. - Horace zachowywał wstrzemięźliwość. Bo w istocie on i księżniczka całkiem często widywali się na gruncie towarzyskim. Nie był tylko pewny, czy ma ochotę roztrząsać tę sprawę akurat z Willem. W przeszłości, kiedy ich rozmowa schodziła na tematy dotyczące Evanlyn, wyczuwał, iż powstaje między nimi swoiste napięcie. Wolałby przemilczeć temat księżniczki. Zdawał sobie jednak sprawę, że Will się na niego gapi, więc uznał, że trzeba ciągnąć wątek, uznał.

- No, przecież odbywają się bale, tańce i takie tam - wykrztusił. Nie dodał, że jeśli zdarzała się okazja, Cassandra zazwyczaj prosiła, by jej towarzyszył. - Pikniki też, oczywiście - dorzucił. Natychmiast pożałował ostatniego zdania.

Will uniósł brew.

- Pikniki? - powtórzył. - Urocze. Po prostu urocze. Coś mi się zdaje, że życie na zamku zmieniliście ostatnio w jeden wielki piknik.

Horace wziął głęboki wdech. Lecz natychmiast uznał, że lepiej się zamknąć. Wstał, rozmasował kark. Mięśnie wciąż były zeszywniałe.

- Robię się za stary na koczowanie po lasach - stwierdził.

Will zauważył celową zmianę tematu. Zawstydył się. Źle się zachował. Jak by nie patrzeć, przecież nie jest winą Horace'a, że kwateruje w Zamku Araluen. Horace zaliczał się do grona starych przyjaciół Evanlyn, właściwie Cassandry. Najzupełniej zrozumiałe, że spędza z nią czas.

- Przepraszam cię, Horace - westchnął. - Zdaje się, że palnąłem głupstwo. Chyba jestem trochę rozdrażniony. Nie znoszę bezczynnego czekania.

W rzeczywistości bez trudu znosił czekanie. Przywykł, nie narzekał. Wcale mu ono nie przeszkadzało.

Horace pojął, że zwiadowca na swój sposób proponuje zgodę. Twarz mu pojaśniała. Tak jak zwykł był reagować, skwitował cały incydent niewymuszonym uśmiechem, rozciągniętym od ucha do ucha. Will już wiedział, że kłopotliwa chwila minęła.

Właśnie wtedy zdarzyło się to, co zwykle się w takich razach zdarza. Człowiek

Malcolma, niejaki Ambrose, wślizgnął się na polankę, przywołując obu schrypniętym szeptem:

- Zwiadowco! Sir Horace! Skottowie nadchodzą!

Było ich dziewięciu: generał MacHaddish oraz ośmiu wojowników stanowiących eskortę.

MacHaddish truchtał na czele niewielkiej kolumny. Muskularny, lecz dosyć krępy - tylko nieliczni Skottowie odznaczali się wysokim wzrostem. Miał ogoloną głowę, jeśli nie liczyć pojedynczego długiego, ciasno splecionego warkoczyka, który zwisał zza lewego ucha. Generała spowijał zgrzebny wełniany kraciasty pled. Pled chronił barki oraz tułów generała, natomiast ramiona pozostawały nagie mimo mroźnej aury. Skott nosił też długi kilt z takiej samej tkaniny jak pled, a także buty z owczej skóry. Przez plecy przewiesił dwuręczny szeroki miecz, którego masywna rękojeść sterczała ponad głowę. Cały lewy policzek zdobyły grube, malowane pasy w kolorze niebieskim. Oznaczały szarżę generalską drugiej albo niższej rangi. Na prawym policzku oraz na nagich ramionach widniały ciemne tatuaże, trwale barwiące skórę.

Mała, nabijana żelazem tarcza, niewiele większa od talerza, skrywała lewą dłoń MacHaddisha.

Ludzie z drużyny odziani byli podobnie, w równie monotonną czerwono-niebieską kraciastą tkaninę. Ale zdobienia ich twarzy sięgały co najwyżej oczu, układając się u każdego w niebieską maskę. Taka właśnie maska wskazywała stopień. Sądząc po rysunku, dowódcy towarzyszyli zwyczajni żołnierze. Jeden czy dwóch posiadało miecze, chociaż nie tak potężne jak broń generała. Przeważnie dźwigali pałki - ciężkie, nabijane kolcami - oraz małe, okrągłe tarcze, identyczne jak tarcza wodza. Will dostrzegł, że zza cholewy każdego buta wystaje rękojeść długiego sztyletu, używanego do walki w bezpośrednim starciu.

Zwiadowca stał nieruchomo, skryty pod opończę, niecałe dwa metry od traktu. Dziewięciu mężczyzn minęło go, posuwając się naprzód miarowym truchtem. Horace'a, czatującego wśród leśnych drzew jakieś pięć metrów głębiej, zdumiewało, że przyjaciel potrafi tak zgrabnie wtopić się w tło. Bez żadnej przesady, nie do zauważenia. Horace, który doskonale przecież orientował się, gdzie Will zajął stanowisko, z trudem tylko potrafił wyszukać wzrokiem sylwetkę zwiadowcy. Młody rycerz doszedł do wniosku, iż zdolność podkradania się na tak bliski dystans do ewentualnego wroga to prawdziwy skarb. O ileż więcej szczegółów daje się tym sposobem dostrzec.

Chrzęst ciężkich skottyjskich butów depczących coraz grubszą śniegową okrywą

ucichł. Mała kolumna minęła zakręt ścieżki. Horace wyczekał, aż ostatni skrawek czerwono-niebieskiego tartanu zniknie pośród drzew. Następnie podszedł do miejsca, gdzie wciąż tkwił Will.

- I co teraz? - zapytał.

- Będziemy śledzić ich z daleka. Trzeba się upewnić, że dotarli do Macindaw. Później przygotujemy powitanie. Ale dopiero gdy wyruszą w drogę powrotną.

Horace przytaknął. Po chwili wyraził jednak wątpliwość, która dręczyła go od jakiegoś czasu:

- A jeśli wrócą do domu inną drogą?

Will milczał przez kilka sekund.

- Wówczas należy improwizować - odparł. I dodał z nagłym rozdrażnieniem w głosie:

- Wielkie nieba! Przestań wreszcie szukać dziury w całym!

Rozdział 13

Alyss stała przy oknie, wpatrując się w monotony, ośnieżony krajobraz wokół Macindaw. Przez gęste chmury, nisko, na wschodniej stronie nieba, ledwie zdołała wyśledzić rozmyty, słaby poblask. Podpowiadał, że słońce już wzeszło. Pomyślała z goryczą, że w innych okolicznościach zachwyciłaby się surowym pięknem tej sceny - białe pola, obramowane ciemną ścianą drzew, których wierzchołki również przykrywał śnieg.

Jednak w obecnej sytuacji widok zza okna sprowadzał smutek. Odbierał nadzieję. Tęskniła za jakąś plamką koloru dostrzegalną w świetle poza wieżą. Szare zamkowe mury wznosiły się posępne, groźne. Nawet godło, które obrał sobie Keren, pozbawione było żywych barw - czarny miecz na tle tarczy w czarno-białe ukośne pasy.

Okno było wysokie. Parapet zaczynał się tuż ponad jej kolanami. Miała więc doskonały widok na dziedziniec poniżej. Zwykle nie działo się tam zbyt wiele - ot, regularna zmiana wart, od czasu do czasu jakaś postać przemierzała szlak od stołu do bramy lub do stajni. Zimą w Macindaw pojawiała się niewielu gości. Zapewne dlatego, planując wzniecenie rebelii, Keren wybrał zimową porę.

W drzwiach zgrzytnął klucz. Alyss odwróciła się obojętnie. Pewnie przyszedł ktoś ze służby, żeby sprzątnąć resztki śniadania. Mimo wszystko każda odmiana w monotonii dnia sprawiała miłą niespodziankę.

Ku jej zaskoczeniu, w progu stanął Keren.

W pierwszej chwili uznała, że wydarzyło się coś, co ponownie wzbudziło podejrzenia zdradzieckiego rycerza. Przesunęła dłonie za siebie, namacała palcami mały, lśniący, czarny kamyk ukryty w mankiecie rękawa. Jej zdumienie jeszcze wzrosło, gdy ujrzała, że renegat niesie tacę z dzbankiem oraz dwoma kubkami. Uśmiechnął się do Alyss, zatrzasnął za sobą drzwi stopą, po czym podszedł do stołu, żeby postawić na nim tacę.

- Dzień dobry - odezwał się pogodnie.

Alyss nie odpowiedziała, tylko ostrożnie skinęła głową, zastanawiając się, o co chodzi. Jej spojrzenie, właściwie bez udziału świadomości, pobiegło ku sakiewce u pasa buntownika. Tam, jak dobrze wiedziała, trzymał on niebieski kamień. Keren zauważył niepokój kurierki. Rozłożył szeroko ręce w uspokajającym geście.

- Żadnych sztuczek. Żadnego mesmeryzmu. Po prostu przyszło mi do głowy, że

moglibyśmy napić się razem kawy - zapewnił.

Alyss podejrzliwie zerknęła na dzbanek z kawą. Być może Keren do naparu domieszał silnego narkotyku, którego wpływu nie zdoła przełamać stelatytowy kamyk.

- Już jadłam śniadanie - odparła chłodno.

Keren uśmiechnął się. Rozumiał jej wątpliwości.

- Sądziysz, że kawa może być zatruta? - domyślił się. Napelnił kubek, upił spory łyk. Westchnął z rozkoszą, delektował się smakiem. - Cóż, jeżeli nawet zatruję kawę, ofiaruję ci doprawdy wyborny narkotyk.

Umilkł. Zapadł się w siebie, jak gdyby oczekiwał, że coś się wydarzy. Po chwili z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Nie czuję żadnych skutków... prócz chętki na kolejny łyk.

Napił się znowu. Wskazał Alyss krzesło naprzeciwko. Jednak kurierka pozostawała nieufna.

- Przecież - stwierdziła - przed wizytą tutaj łatwo ci było przyjąć odtrutkę na owo coś, co mogłeś domieszać do kawy.

Przytaknął, przyznając jej rację. Później rzucił całkiem przyjaznym tonem:

- Alyss, czy uważasz, że gdybym naprawdę postanowił cię odurzyć, przychodziłbym z dzbankiem kawy?

- Czemu nie - odparowała.

- Hm, zastanów się: gdybym dosypał czegoś do kawy, po cóż miałbym wzbudzać twoją czujność? Czyż nie prościej byłoby dodać narkotyk do śniadania, które zjadłaś?

Wskazał ręką na pusty talerz, czarkę oraz dzbanek po herbacie, czekające na uprzątnięcie. Alyss uświadomiła sobie, że miał rację. Pojawienie się Kerena w celi, z kawą, obudziło czujność, zasiało podejrzenia. Jednak wcześniej zjadła posiłek, jak gdyby nigdy nic, a myśl o truciznie nawet nie przyszła jej do głowy.

- Niewykluczone, że masz rację - zgodziła się bez entuzjazmu.

Keren jeszcze raz wskazał krzesło. Tym razem Alyss usiadła, zaintrygowana.

Napelnił kubek także dla niej. Dał znak dłonią, polecając pić. Usłuchała. Przycupnięta na skraju krzesła, bacząc na wszystko, ostrożnie, czujnie smakowała smolisty płyn. Kawa okazała się wyśmienita, rycerz-renegat nie kłamał. Alyss nie doszukała się w kawie niczego, poza smakiem kawy. Nie czuła żadnych nagłych zawrotów głowy, nie ogarniał ją żaden przymus, by mówić prawdę.

Za każdym razem, nim upiła kolejny łyk, wołała jednak zaczekać, aż wypije Keren. Tłumaczyła sobie, że skutki działania trucizny niekiedy występują dopiero po jakimś czasie.

Gość znów zdawał się odczytywać jej myśli, bo uśmiechnął się.

- Proponuję pić małymi łydkami, jeżeli dzięki temu poczujesz się bezpieczniej - uspokoił ją. - Ty naprawdę wciąż nie darzysz mnie zaufaniem? - Uśmiechał się, lecz Alyss zachowała kamienną twarz.

- Złamałeś przysięgę - powiedziała. - Nikt nigdy więcej ci nie zaufa. Nawet Skottowie.

Na jedną chwilę w jego oczach pojawił się ból. Dotarło do niej, że Keren aż nazbyt dobrze zdaje sobie sprawę z ceny własnych wyborów. Stał się wyrzutkiem, nieprzyjacielem każdego, kogo dotąd znał. Cały Araluen zwrócił się przeciwko niemu - ludzie, na których zaufanie i szacunek pracował latami służby, odtąd zmieniają się w jego zaprzysięgłych wrogów.

Nawet ci rodacy, których nigdy nie spotkał, przeklną jego imię.

Nowi zaś sprzymierzeńcy w żadnym razie nie zastąpią dawnych, gdyż za żadne skarby świata nie zaufają mu w pełni. Wiarołomca, który raz okazał się zdrajcą, na zawsze traci wiarygodność. Keren był tego świadom. No i wiedział, jakiego pokroju osobników zwerbował we własne szeregi. Dowodził obecnie takimi kreaturami jak John Buttle. Keren nie mógł w pełni ufać nawet swojemu przybocznemu. John Buttle, sir John, jak lubił się obecnie przedstawiać, pozostanie u boku Kerena, dopóki będzie miał z tego korzyści. Później, dojrawszy pierwszą zyskowniejszą sposobność, zdradzi.

Keren poniewczasie uświadomił sobie, że sam przestał się już różnić od kogoś takiego jak Buttle. Stał się wyrzutkiem, niegodnym zaufania. Podeptał normy oraz wartości, które mu wpajano od dzieciństwa. A zastąpił je... czym?

Alyss nagle uzmysłowiła sobie z absolutną jasnością, dlaczego Keren do niej przyszedł. Nic go przecież nie łączyło z dzisiejszymi sprzymierzeńcami. Prostackie gbury, bez honoru, bez skrupułów. Tacy wyrzulkowie nie potrafili zapewnić godnego towarzystwa, nie dostarczali inspiracji, a choćby i rozrywki. Natomiast ich obecność nieustannie przypominała Kerenowi, kim się właśnie stał.

Najważniejsze wszelako, iż Keren nie znajdował u nikogo potwierdzenia, że obrał właściwą drogę. Alyss aż się zdumiała, uświadomiwszy sobie, co kryje się za jego dzisiejszą wizytą. Jakie to wszystko proste.

Keren pozostał sam. Co gorsza, bardzo samotny. Kurierka spojrzała na zdrajcę z nadzieją. Może właśnie pojawia się szansa, by zahamować lawinę. I to nawet bez rozlewu krwi.

- Jeszcze nie jest za późno - szepnęła, opierając się na łokciach. Wychyliła się do przodu, żeby wpić mu się wzrokiem prosto w źrenice. - Wciąż istnieje szansa. Połóż temu

kres.

Odwrócił oczy, uciekał spojrzeniem.

- Już nie dam rady się cofnąć - odrzekł. - Umiem jedynie dalej kroczyć drogą, którą raz wybrałem.

- Bzdury! - zachnęła się, z gniewnym błyskiem w oczach. - Nigdy nie jest za późno, żeby przyznać się do błędu! Czym ty się przejmujesz? Zdaniem Buttle'a? On nie ośmieli się stanąć ci okoniem! Ten człowiek to tchórz.

Keren zaśmiał się chrapliwie.

- Mniejsza o Buttle'a - parsknął. - Mniejsza o każdego zwerbowanego opryszka, o wszelkich łachmytów dbających tylko o żołąd. Jednak, słusznie powiedziałaś, złamałem przysięgę. Kto mi teraz zaufa?

- Rzeczywiście - przyznała. - Twoje życie nigdy nie będzie już takie jak przedtem. Popełniłeś błąd. Taki błąd, który określi cię na lata, nim pójdzie w zapomnienie. Lecz jeśli teraz porzucisz fałszywą drogę, jeżeli raz jeszcze przysięgniesz na wierność Araluenowi, przynajmniej unikniesz losu wyrzutka przez resztę życia.

Milczał. Zamyślił się głęboko. Alyss zaś nie ustępowała:

- Kerenie, oczekujesz przybycia jakiegoś skottyjskiego generała... - Urwała, gdy podniósł na nią wzrok, nagle pełen podejrzeń. Zbyła je machnięciem ręki. - Och, na niebiosa, nie traktuj mnie jak głupią! - rzuciła niecierpliwie. - Któregoś dnia jeden z twoich ludzi wymienił jego nazwisko.

Keren uspokoił się, przypomniał sobie całą sytuację. Kurierka mówiła dalej:

- Posłuchaj, odeślij go do domu. Powiedz, że umowa zerwana. Albo skłamię. Zapewnij, że będziesz się trzymał planu, jakkolwiek on jest. Po prostu graj na zwłokę, zatrzymaj generała przez jakiś czas, sprowadź z powrotem do zamku lojalnych żołnierzy. Ci, których zwolniłeś, nie zdołali jeszcze odejść daleko. Will ci pomoże.

Keren pokręcił przecząco głową.

- Za późno - westchnął. - Nie ma odwrotu. Jeżeli zdradzę Skottów, zabiją mnie. Ludzie Buttle'a nie zechcą za mnie walczyć. On, Buttle, zajmie moje miejsce. Skottom wszystko jedno, kto tu dowodzi. Chcą po prostu zyskać pewność, że Zamek Macindaw nie zagrozi ich liniom zaopatrzenia, kiedy najadą królestwo.

Wzdrygnęła się.

- Najadą? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Myślałam, że planują zwyczajny łupieżczy wypad przez granicę.

Keren uśmiechnął się smutno.

- Och, nie, moja panno. To coś o wiele poważniejszego niż kilka potyczek lub wypadów. Zamierzają okupować Norgate i przyłączyć hrabstwo do Picty.

Alyss poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Kurierka zdawała sobie oczywiście sprawę ze strategicznej roli lenna. Gdyby Skottowie zajęli Norgate, mieliby otwartą drogę do napadów na wszystkie sąsiednie domeny. Tego Araluen by nie przetrzymał. Oto zarzewie wojny, ciągnącej się latami, wykrwawiającej oba kraje.

- Kerenie - odezwała się, znowu pochylając się ku niemu i ujmując dłonie zdrajcy w swoje, żeby podkreślić absolutną szczerość. - Musisz to powstrzymać... Nie zwlekaj! - Gdy zaczął kręcić głową, gniewnie podniosła głos. - I przestań powtarzać, że jest już za późno! Nie jest za późno! Na niebiosa, wstawię się za tobą. Powstrzymaj ich, a ja pomówię z samym królem.

- Takie dziewczę jak ty? - rzucił kpiąco.

Alyss ugryzła się w język, przelękając gniewną ripostę, która cisnęła się jej na usta.

- Zapominasz, że jestem kurierką - odpowiedziała po prostu. - Słowo kurierki wiele znaczy, nawet dla króla. Jeżeli teraz przerwiesz zbliżające się szaleństwo, uczynię wszystko, wszystko co w mojej mocy, żeby ci dopomóc. Przysięgam.

Rozległ się szcęk otwieranego zamka; jeden z ludzi zdrajcy, pchnąwszy drzwi, wszedł. Oblicze Kerena pociemniało z gniewu.

- Precz stąd i niech cię diabli! - wybuchnął.

Mężczyzna wykonał przeproszający gest, ale nie ruszył się od progu.

- Wybacz, lordzie Kerenie. Sir John uważa, że powinieneś wiedzieć. Skottyjski generał zbliża się do zamku.

Keren zerwał się na równe nogi. Brzęknęła taca, bo wstając, trącił stół. Jednym ruchem dłoni nakazał słudze opuścić celę. Posłaniec ulotnił się, nie zamykając za sobą drzwi.

- Cóż - skwitował Keren - zdaje się, że kości zostały rzucone.

Alyss spróbowała jeszcze raz.

- Kerenie, potrafię ci pomóc. Postaraj się mi zaufać. Znowu się uśmiechnął, lecz Alyss zdała sobie sprawę, że uśmiech już skrzepl w maskę skrywającą ból.

- Cóż, wiedz, że jeszcze dwa dni temu wszystko mogłoby się odmienić. Jednak lord Syron zmarł poprzedniej nocy.

Alyss także się podniosła.

- Syron nie żyje - powtórzyła matowym głosem.

Keren pokiwał głową.

- Nie chciałem, żeby tak się to potoczyło. Ale zawiniłem. Obawiam się, moja droga,

że przed chwilą ucięłaś sobie pogawędkę z mordercą. Zatem, jeżeli nie potrafisz przywrócić zmarłego do życia, nie zdołasz mi pomóc. W niczym. Postaraj się mi zaufać - dodał, przedrzeźniając jej własne słowa.

Wszystko zostało powiedziane. Rycerz-renegat odwrócił się do kurierki plecami. Podsumował z goryczą:

- Chyba lepiej udam się na spotkanie z tym skottyjskim barbarzyńcą.

Rozdział 14

Will i Horace skradali się przez las śladem oddziału Skottów. Utrzymywali między sobą a nimi stały, kilkusetmetrowy dystans. Gdyby Will śledził nieprzyjaciół sam, podsunąłby się znacznie bliżej. Lecz uważał, że z Horace'em u boku roztropniej będzie zachować bezpieczniejszą odległość. Co prawda należało przyznać, że rosły wojownik w żadnym razie nie zaliczał się do niezgrabiaszy. Przeciwnie, jak na rycerza, odznaczał się nie lada gibkością.

Tyle że gibkość jakiegokolwiek rycerza nie mogła się równać ze zwinnością zwiadowcy. Członkowie Korpusu opanowali w stopniu absolutnie mistrzowskim umiejętność bezszelestnego przemieszczania się po lesie. Horace, sunąc za Willem wąską ścieżką, czuł się jak jednonogi niedźwiedź.

- Nie mam pojęcia, jak wy to robicie - wysapał wreszcie. Will obejrzał się na przyjaciela. Pytająco uniósł brwi. Horace wytłumaczył, co ma na myśli: - No, jakim cudem wy, zwiadowcy, poruszacie się tak cicho - wyjaśnił.

Will, nieznacznie zmarszczył czoło. Cofnął się, zrównał z druhem.

- Cóż, zacznijmy od tego - odezwał się przyciszonym głosem - że my, zwiadowcy, nie błąkamy się po omacku, wywrzaskując przy tym co sił w płucach: „nie mam pojęcia, jak wy to robicie”.

Horace zawstydził się nieco. Zniżył głos do szeptu.

- Och... słusznie. Przepraszam.

Will pokręcił głową. Podjął znów marsz. Horace trzymał się o jakieś pięć metrów z tyłu. Uważnie sprawdzał, gdzie stawia każdy kolejny krok. Stapał z przesadną nawet ostrożnością. W myślach dziękował niebiosom za gruby śniegowy dywan przykrywający trakt. Wciąż padający śnieg z wolna wtapiał ich w tło. Will, skryty pod czarno-białą cętkowaną oponczą, co i rusz znikał. Prawdę rzekłszy, starczyło małych pięciu metrów, aby wychowanek Szkoły Rycerskiej tracił raz po raz zwiadowcę z oczu.

Will skradał się przodem. I zgrzytał wściekle, łowiąc trzaski gałązek łamanych butem Horace'a. Doszedł do wniosku, że przyjaciel ma chyba wyjątkowo wielkie stopy. Tym stopom udawało się stale trafiać na mnóstwo badyli do łamania. Tyle że Will wiedział, iż tropiąc ślady odcisknięte w świeżym śniegu, wystarczająco oddalili się od Skottów, by wszelkie wpadki Horace'a pozostawały niezauważone. Szczęściem śnieg nie walił tak gęsto, żeby

całkiem zasypywać trop. Zwiadowca wywnioskował, że ślady wyraźnie zmierzają do Macindaw. Zresztą szlak prowadził do zamku i nigdzie indziej.

Brnęli przez stosunkowo młody las. W niczym nie przypominał on gęstej, nieprzeniknionej roślinnej płataniny Lasu Grimsdell, który rozciągał się na wschód od nich. W Grimsdell, jeżeli znalazło się ścieżkę, którą dało się iść, jej szerokość wynosiła co najwyżej połowę traktu widocznego w młodym lesie. Dróżki w Grimsdell wiły się, poskręcane niczym obłąkany wąż. Już po paru minutach nieznający terenu wędrowiec tracił orientację.

Zbliżali się teraz do granicy drzew. Will zwolnił kroku. Na migi pokazał Horace'owi, by przez chwilę pozostał w miejscu. On sam zamierzał podkraść się i rozejrzeć w sytuacji. Drzewa już się przeredziły, dostrzegał zatem całkiem wyraźnie mały oddział skottyjskich wojowników. Posuwali się naprzód stałym, niespiesznym truchtem. Przecinali otwartą przestrzeń. Janowiec oraz paprocie nie sięgały tam wyżej kolan. Prawie już dotarli do zamku, którego główna brama znajdowała się po południowej stronie. Will obserwował, jak Skottowie skręcają w kierunku bramy głównej.

Nawet z tej odległości potrafił dostrzec pospieszną bieżnię na zamkowych murach. Wartownicy reagowali na zbliżający się oddziałek. Nie rozległy się jednak żadne dźwięki świadczące o wszczęciu alarmu. Żadnego bicia w gongi, żadnych krzyków. Oczywistym było, że nie uznano Skottów za zagrożenie.

Will odwrócił się. Ruszył z powrotem przez las do miejsca, w którym zostawił Horace'a.

- Zgodnie z naszymi przypuszczeniami, zmierzają do Macindaw - oznajmił. - Spodziewano się ich tam. Ruszajmy.

Wybrał kierunek południowo-wschodni, na przełaj. Młody las stopniowo zaczął zmieniać się w gąszcz charakterystyczny dla Grimsdell.

Horace w żaden sposób nie dałby rady bezpiecznie śledzić Skottów na otwartej przestrzeni. Przyjaciele musieli więc kryć się za linią drzew. W rezultacie pokonywali dwa dłuższe boki trójkąta, podczas gdy Skottowie przemierzali trasę najkrótszą, na wprost.

Zanim więc tropiący dotarli do miejsca, skąd mieli widok na mury od południowej strony, zamkowa brama już się rozwarła, połykając skottyjskiego generała oraz jego ludzi.

Tropiciele, ułożeni płasko na brzuchach, skryci w cieniu drzew, przypatrywali się zamkowi.

- Jak sądzisz, co oni zamierzają? - zapytał Horace.

Will wzruszył ramionami.

- Trzeba omówić porę ataku. Zastanowić się, ilu sprowadzić ludzi. Być może potargować się z Kerenem o zapłatę. Któż to wie?

Horace wiercił się niespokojnie. W odróżnieniu od Willa, nigdy nie potrafił bez ruchu długo uleżeć w jednym miejscu.

- Ja jednak wolałbym wiedzieć - mruknął.

Will uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że kiedy już schwytamy naszego przyjaciela, MacHaddisha, Malcolm zdoła wydusić z niego, co należy.

Horace pokręcił głową.

- Tyle że najpierw my musimy go schwycić - przypomniał.

- Prawda. Ilu ludzi naliczyłeś? - zapytał Will. Sam co prawda zdążył dokładnie wszystkich porachować, ale potwierdzenie nigdy nie zaszkodzi.

- Razem z generałem? Dziewięciu.

- Też mi się tak zdawało. Myślę, że wraz z dziesięcioma Skandianami damy sobie radę.

Horace nie krył niesmaku.

- Aż dwunastu? Nie żartuj! Naprawdę trzeba nas tak wielu? Przecież dysponujemy przewagą zaskoczenia.

- Wiem - odparł Will. - Ale chodzi o to, by wziąć generała żywcem, pamiętasz?

- Co racja, to racja. Kiedy więc zabieramy się do roboty?

Will wzruszył ramionami.

- Zabawią tu co najwyżej dzień. Tak w każdym razie sądzę. Lepiej przygotujmy się do działania przed zmrokiem. Tam, gdzie obozowaliśmy.

- Miejsce, jak miejsce. Dobre jak każde inne - zgodził się Horace. - Zróbmy tak: ja ruszę sprowadzić Gundara oraz kilku jego ludzi, a ty stąd dawaj baczenie na wszystko. Zgoda?

Will przeturlał się i ułożył bokiem, żeby uważnie spojrzeć na przyjaciela.

- Jesteś pewien, że odnajdziesz drogę powrotną? Trafisz na polanę Malcolma? - zapytał. Horace w odpowiedzi wyszczerzył zęby, uśmiechając się szeroko.

- Chyba nawet ja, niezgrabny, stary, hałaśliwy niezguła, zdołam wykonać zadanie - powiedział. - Spotykamy się tutaj? Czy tam, gdzie planujesz zasadzkę?

Will zastanawiał się przez krótką chwilę. Samotnie i po zmroku zdoła bez trudu przekraść się na umówione miejsce, nawet jeśli trzeba będzie brnąć przez otwarty teren. Zaczeka więc tutaj aż do chwili, kiedy nabierze pewności, że Skottowie wyruszyli w drogę

powrotną. Zdąży dotrzeć na czas.

- Zabieraj Skandian do obozowiska - zdecydował. - Wystaw obserwatora na linii drzew, niech ostrzeże was, kiedy się Skottowie zbliżą, jeśli nawet ja się z nimi rozminę. - Przez chwilę korciło go, żeby omówić szczegóły zasadzki, ale uświadomił sobie, że przecież Horace zajmie się organizacją tej części zadania równie dobrze, jak uczyniłby to on sam.

Horace poklepał Willa po ramieniu. Powstał spod drzew, uważając, by nie wychylić się z cienia.

- Spotykamy się na wyznaczonym miejscu - powiedział.

Popołudnie ciągnęło się bez końca. Cierpliwość Willa została wystawiona na poważną próbę. Żałował, że nie poprosił Horace'a, by podesłał kogoś z osady na polanie, aby towarzyszył mu podczas obserwacji. Wówczas mógłby zrobić sobie przerwę, a może nawet zdrzemnąć się godzinkę lub dwie.

Monotonne czatowanie na skraju lasu i wpatrywanie się w zamek stawało się niesłychanie nużące. W pewnym momencie Will przyłapał się nawet na tym, że omal nie przysnął. Otrząsnął się, wziął kilka głębokich wdechów i powrócił do czuwania. Jednak po kilku minutach znów poczuł, że jego uwaga rozprasza się, a podbródek opada ku piersi.

- Niedobrze - mruknął z irytacją.

Wstał, zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Ruch był najlepszym sposobem na senność. Śnieg, choć z przerwami, prószył przez cały dzień, więc obecnie krajobraz spowijała gruba, biała pierzyna. Światło słoneczne zaczynało z wolna szarzeć. Will uznał, że chyba najlepiej skierować kroki z powrotem do tej części lasu, która porastała teren na północ od zamku. Gdyby Skottowie zjawili się akurat teraz, istniała groźba, że Will nie dostrzegłby ich we właściwym momencie.

Sądząc, że opuszczą zamek dzisiejszego wieczora, zwiadowca kierował się oczywiście tylko własną intuicją. Przecież Keren mógł na cześć przybyszów wydać ucztę. Trudno by się dziwić, gdyby nawet zmitrężyli w zamku dzień albo dwa. Jednak z jakiegoś powodu Will nie wierzył w taki rozwój wydarzeń. Oglądał z bliska twarz skottyjskiego generała. Jakoś nie wyglądał on na człowieka, który marnowałby czas na ucztowanie.

Zwiadowca poświęcił kilka minut, przygotowując się do akcji. Obserwował naturalny rytm okolicy - ruch padającego śniegu, sposób, w jaki łagodny wiatr kołysał zaroślami oraz chwiały czubkami drzew. Później, gdy już uznał, że sam dostroił się do wszystkiego, co wokół, uniósł się trochę, przykucnął i w przygasającym świetle dnia wślizgnął się w krajobraz, pokonując otwartą przestrzeń.

Już z odległości dziesięciu metrów zlewał się z tłem. Z zamkowych murów, odległych o kilkaset metrów, żaden obserwator nie miał szansy go dostrzec.

Tymczasem na Polanie Uzdrowiciela, bo tak ją teraz powszechnie nazywano, Orman z Malcolmem gapili się, jak Horace prowadzi oddział Skandian pomiędzy drzewa. Niezwykle, pomyślał Orman. Oto ktoś tak młody potrafi z łatwością zapanować nad zaprawionymi w bojach Skandianami. Malcolm wyciągnął identyczny wniosek:

- Szczęście ci sprzyja, że tych dwóch stanęło po twojej stronie - odezwał się. Orman wiedział, że uzdrowiciel ma na myśli Willa oraz Horace'a. - To bardzo zdolni młodzi ludzie.

Orman potwierdził skinieniem głowy.

- W rzeczy samej, tworzą znakomitą drużynę. - Potem zerknął z ukosa na drobną postać uzdrowiciela. - Jeśli wrażenie mnie nie myli, mam szczęście z jeszcze jednego powodu. Od niedawna posiadam wielu wspaniałych sprzymierzeńców.

Malcolm napotkał spojrzenie lorda i nieśmiało wzruszył ramionami. Jednak Orman czuł, że nadeszła pora, by poruszyć tę kwestię.

- Bądź co bądź - kontynuował - niczego nie jesteś mi winien. Przed laty wybrałeś odosobnienie tu, w lesie, zrywając kontakty ze światem na zewnątrz. - Westchnął ciężko. - Muszę powiedzieć, że wcale cię za to nie winię.

- Myślę, że odzyskałem w lesie całkowity spokój - odparł Malcolm.

- A teraz ryzykujesz wszystkim - dodał Orman.

Malcolm zrobił kwaśną minę.

- Doprawdy? - Zdawało się, że taka myśl przyszła mu do głowy po raz pierwszy. - Chyba rzeczywiście - zgodził się.

- Wszystkie twoje wynalazki, wszystkie sztuczki służące ochronie własnego spokoju straciły znaczenie. Na przykład teraz już wiemy, że Nocny Wojownik powstał jako ułuda dla niepowołanych oczu.

- Czyżbyś zamierzał z detalami opowiedzieć światu o moim królestwie? - zapytał Malcolm z ironicznym uśmiechem na ustach.

Orman pokręcił głową.

- Nie. Oczywiście, że nie. Jednak, gdy tajemnica raz zostanie odkryta, zawsze jakimś sposobem wychodzi na światło dzienne. Twój ludzie stracili gwarancję bezpieczeństwa.

Po tych słowach uśmiech Malcolma zgasł.

- Wiem - przytaknął po chwili. - Liczyłem się z konsekwencjami. Ale co innego mogłem uczynić? Will oraz twój sługa, Xander, przybyli, przywożąc cię tutaj, gdy

znajdowałeś się na skraju śmierci. Jaki miałem wybór?

- Mogłeś nas odesłać - odparł Orman. Nim jeszcze lord dokończył, już Malcolm przecząco kręcił głową.

- Jestem uzdrowicielem - powiedział po prostu. - Przysięgałem poświęcić życie wybranej profesji. Gdybym cię odesłał, stałbym się wiarołomcą. Rozumiesz? - Cień smutnego uśmiechu przemknął mu po twarzy. - Postawiliście mnie w sytuacji bez wyjścia.

Orman przytaknął skinieniem. Zdawał sobie sprawę, co się stało. Nie bez przyczyny poruszył drażliwy temat w rozmowie z Malcolmem.

- Rozumiem. Jednak wiedz, że w przyszłości będzie inaczej. Gwarantuję ci opiekę Zamku Macindaw.

Malcolm zastanawiał się przez chwilę.

- Doceniam ofertę - podziękował. - Czy jednak nie miałbyś nic przeciwko temu, abym pozostał tu, w lesie? Przywykłem do życia w odosobnieniu. Zresztą nie mógłbym opuścić moich ludzi.

- Nie oczekiwałem, że zamieszkaż na zamku - zapewnił Orman. - Pragnę jedynie, żebyś wiedział, iż nie będziesz już dłużej musiał się ukrywać. Zapewnię ci wszelką ochronę, jakiej potrzebujesz. Uzyskasz także każdą pomoc, o jaką poprosisz w innych sprawach.

Uroczyście uścisnęli sobie dłonie. Malcolm otworzył usta, żeby coś dodać. Lecz nagle się zawahał.

- W czym rzecz? - zachęcił Orman.

- Hm - uzdrowiciel nie spieszył się. - Nie znoszę co prawda o nic prosić, ale ci Skandianie objadają mnie do cna... A nasi dwaj młodziankowie pochłaniają wszystkie zasoby kawowego ziarna niczym chmara szarańczy.

Orman skwitował utyskiwania szerokim uśmiechem.

- Zajmę się problemem - zapewnił. - Poślę Xandera, żeby zakupił stosowną ilość jedzenia w wiosce Tumbledown Creek. Może sięgnąć głęboko do mojej sakiewki. I zważ - dodał lord, uśmiechając się jeszcze szerzej - że to go przyprawi o porządny ból serca.

Rozdział 15

Najgorsza w losie więźnia jest niewiedza, doszła do wniosku Alyss. Kiedy posłaniec Buttle'a oznajmił Kerenowi, że przybywa MacHaddish wraz z eskortą, kurierka, której okno wychodziło na dziedziniec oraz główną bramę, przypatrywała się wjazdowi Skottów. Przybyli. Tyle zdołała dostrzec. Jednak gdy gości wprowadzono do stołu, pozostała jej wyłącznie paląca ciekawość. O czym rozmawiali? Jakie snuli plany? Jaki sposób wymyśli Will, aby im przeszkodzić? Czy on w ogóle wie, że Skottowie są w zamku?

Jako kurierka przyzwyczaiła się, że posiada dostęp do poufnych informacji. Przymusowa bezczynność, połączona z brakiem rozeznania w sytuacji, okrutnie Alyss doskwierała. Z bezradnej wściekłości dreptała w kółko po okrągłej celi.

Szukała jakiegokolwiek zajęcia pozwalającego zaprzątnąć myśli. Ukłękła, przyglądając się dwóm środkowym prętom osadzonym w oknie. Niedawno zaczęła przepalać te pręty pozostałą resztką kwasu. Po każdej wizycie Kerena oczekiwała pół dnia, a potem wlewała kwas do płytkiego wyżłobienia wokół podstawy prętów. Zużywała na jeden raz tylko odrobinę, gdyż skutkiem oddziaływania kwasu na żelazo powstawały gryzące, śmierdzące opary; ulatniały się one najwcześniej w ciągu godziny. Właśnie dlatego zabierała się do roboty wyłącznie wtedy, gdy wcześniej bywał u niej Keren. Doszła bowiem do wniosku, że jest mało prawdopodobne, by odwiedził ją dwukrotnie jednego dnia.

W miarę jak kwas wgryzał się w żelazo i przeżerał zaprawę, zakrywała ubytki mieszaniną mydła, kurzu oraz rdzy. Teraz wydłubała łyżką miękką warstwę, starannie układając ją z boku, by wykorzystać ponownie. Stwierdziła, że pręty są przeżarte już w trzech czwartych grubości. Jeszcze dwie, może trzy dawki i po wszystkim. Kwasu z pewnością wystarczy.

Właściwie nie rozważała, co zrobi, gdy kwas wreszcie przepali pręty. Nadal przecież straszliwie obawiała się wysokości. Paraliżowała ją myśl, że trzeba opuszczać się po murze. Ale nie zawadzi przygotować się na wszelki wypadek.

Zastanawiała się, czy wolno jej teraz ryzykować użycie kolejnej porcji kwasu. Keren zajmował się skottyjskim generałem, więc nie powinien myśleć o wizycie w wieży. Jednak oparła się pokusie. Niewykluczone, iż rebeliant postanowi przedstawić więźniarkę MacHaddishowi. Z ociąganiem wtarła w podstawę okna papkę z mydła, kurzu i rdzy,

maskując szczyby w żelaznych prętach. Następnie, żeby nie korciło, odsunęła się i wyciągnęła na łóżku, splatając dłonie za głową.

Nie spała. Myśli, napędzane beczynnością oraz rozgoryczeniem, kłębiły się w jej głowie.

Godziny ciągnęły się bez końca. Znowu wyruszyła na wędrówkę dookoła celi. Ponownie położyła się na łóżku. Poprzestawiała meble. Jeden stół. Dwa krzesła. Jedno łóżko. Porządki nie zabierały zbyt wiele czasu. Zastanawiała się nad przesunięciem szafy, ale uznała, że jest zbyt ciężka. Poza tym hałas mógłby ściągnąć tu strażników, chcących sprawdzić, co takiego się wyprawia, ona zaś nie miała ochoty ich oglądać. Po raz kolejny obejrzała żelazne pręty. W pewnej chwili chwyciła buteleczkę z kwasem, którą wcześniej odłożyła do stałej kryjówki nad oknem. Potrząsnęła, żeby zobaczyć, ile zostało. Później, odzyskując panowanie nad nerwami, odłożyła naczynie.

Wyciągnęła się właśnie na łóżku przestawionym w nowe miejsce, gdy usłyszała rozkazy wykrzykiwane na dziedzińcu. Pospiesznie wstała, podeszła do okna. Oddział Skottów opuszczał zamek.

- Szybko poszło - mruknęła do siebie.

MacHaddish przebywał tu niecałe sześć godzin. Albo rozmowa z Kerenem przyniosła pożądany efekt, albo dokładnie odwrotnie. Ze sposobu, w jaki obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i tego, jak serdecznie Keren poklepywał Skotta po ramieniu, wywnioskowała, że w grę wchodzi raczej pierwsza ewentualność. Zerknęła na niebo. Słoneczne światło szybko szarzało, zbliżał się wieczór. Tej nocy wysła Willowi wiadomość. Trzeba natychmiast powiadomić przyjaciela. Miała świadomość, że jeśli nawet Will osobiście nie obserwuje zamku, to i tak zostawił kogoś wśród drzew. Ten ktoś zapisze informację ukrytą w świetlnych sygnałach, a Will później ją rozszyfruje.

Ponownie zadudnił zwodzony most. Rozległ się zgrzyt podnoszonej kraty. Skottowie opuszczali zamek. Alyss patrzyła za nimi przez chwilę, gdy niespiesznym truchtem sunęli wśród sięgających kolan krzewów janowca. Kierowali się z powrotem na północ, szlakiem ku granicy z Pictą. Później zasłoniła ich bryła północno-wschodniej wieży, więc Alyss odsunęła się od okna.

Wiatr zmienił kierunek. Wtłaczał teraz lodowaty oddech wprost w otwarte okno, sprawiając, że mizerny ogień w kominku na przemian wystrzelał i przygasał. Alyss rozwiązała sznur od zasłony, ciężka tkanina opadła na okno, tamując większość podmuchów. Nagła ciemność w pokoju przygnębiła kurierkę, więc zapaliła małą lampkę.

Pół godziny później usłyszała odgłos klucza w zamku. W drzwiach stanął Keren.

Spodziewała się, że będzie puchł z dumy, chełpiąc się sukcesem. Przecież jego plan rozwijał się pomyślnie. Jednak czarny rycerz wydawał się przybity, roztargniony. Spytała go o MacHaddisha, lecz ze złością zmienił temat. Nie chciał rozmawiać o skottyjskim generale. Zamiast tego rozprawiał o własnym dzieciństwie, o dorastaniu w północnej krainie, o wiosennych i letnich polowaniach, o poznawaniu lasów i strumieni oraz o śnieżnych zimowych okowach, które skutecznie więziły mieszkańców Macindaw. Zapytał ją o jej dzieciństwo, więc opowiedziała mu pokrótce o sierocińcu w Redmont, gdzie baron Arald zapewnił wychowanie osieroconym dzieciom tych poddanych, którzy stracili życie w jego służbie.

Jednak gdy tak gawędzili, Alyss wyczuwała, że jest coś, o czym Keren nie mówi, czemu nie chce stawić czoła.

I dotarło do niej, co to takiego. Zamiast triumfu, że plan działa, Keren odczuwał żal. Żałował, że nieodwołalnie wkroczył na ścieżkę, która oddala go od wszystkiego, co znał i co przez lata było drogą jego sercu. Kroczył drogą, z której nie dało się już zawrócić.

Przyniesiono wieczorny posiłek dla Alyss. Keren nagle poszukał błahej wymówki, by odejść. Alyss w zadumie usiadła przy stole. Gapiła się na miskę z potrawką. Rozumiała, że sprawa robi się coraz poważniejsza, a wydarzenia nabierają nieoczekiwanego rozpędu.

Wreszcie służąca przyszła po tacę. Alyss postanowiła znów zabrać się za przepalanie prętów.

Rozdział 16

Plan zasadzki był jasny.

Will wybrał miejsce w pobliżu tymczasowego obozowiska, gdzie znajdował się stosunkowo długi i prosty odcinek ścieżki. Gundar oraz dziewięciu jego Skandian ukryją się tam między drzewami po obu stronach, na początkowym odcinku, tuż za pierwszym zakrętem. Kiedy Skottowie ich miną, wilki morskie zyskają sposobność, aby zaskoczyć wroga, uderzając od tyłu.

Will wraz z Horace'em zajmą pozycję przy końcu odcinka, przed kolejnym zakrętem. Stamtąd ściągną na siebie uwagę nieprzyjaciela. Zgodnie z planem, Will oraz Horace mieli się pokazać i zakrzyknąć do Skottów, by się zatrzymali. Wtedy uwaga Skottów skupi się na nich. Tymczasem Skandianie błyskawicznie wypadną spomiędzy drzew, pokazując się za plecami intruzów. Skottowie rozumieją, że zostali otoczeni przez liczniejsze siły i że opór jest daremny. Dwaj młodzi ludzie musieli jeszcze zastanowić się, co zrobią z dziewięcioma jeńcami, kiedy już ich skrepują. Należy coś dla nich wymyślić na czas niewoli. Lecz Will stwierdził, że tym problemem zajmie się później. Z własnego doświadczenia oraz dzięki obserwacji Halta i radom mistrza wiedział, że samo pojawienie się zwiadowcy często wystarczy, żeby wrogowie upadli na duchu. A zdarzało się nawet, choć raczej w skrajnych przypadkach, iż oddziały liczniejsze niż skottyjski poddawały się pojedynczym członkom Korpusu bez walki. Will nie liczył na tak korzystne rozstrzygnięcie, wszelako sądził, że widok zwiadowcy sprawi przynajmniej jedno - Skottowie się zawahają - zaś moment niepewności da Skandianom okazję, by mogli wkroczyć i rozbroić przeciwników.

Will osiągnął linię drzew, znacznie wyprzedzając Skottów. Zgodnie z jego instrukcjami, jeden ze Skandian trzymał tam straż. Zaalarmowany wojownik poderwał się na równe nogi, gdy zwiadowca niespodziewanie wyłonił się z wieczornego półmroku tuż przed nim. Nie zwlekając, sięgnął po topór oparty o drzewo, na szczęście Will w porę go powstrzymał.

- Spokojnie! - Zsunął kaptur opończy, by wartownik mógł zobaczyć twarz. - To tylko ja.

- Na brodę Gorloga, zwiadowco - sapnął Skandianin, potrząsając głową. - Wystraszyłeś mnie jak sam diabeł.

Długobrody Gorlog, o zakrzywionych rogach oraz zębiskach przypominających kły, należał do pomniejszych skandyjskich bóstw. Willowi już zdarzało się słyszeć, jak Skandianie, jeśli ich coś zaskakuje, przywołują wszystkie Gorlogowe atrybuty. Teraz jednak nie marnował czasu na dyskusję o urodzie tych lub innych bożków.

- Są w drodze - rzucił spiesznie. - Ruszajmy.

Skandianin spojrzeniem omiółtł równinę wokół zamku. Dostrzegł w oddali małą grupę mężczyzn. Zbliżali się w ich stronę. Odwrócił się do zwiadowcy, lecz Will już gnał wzdłuż szlaku do miejsca zasadzki. Skandianin w pośpiechu ruszył za zwiadowcą. Podobnie jak Horace, był zaintrygowany sposobem, w jaki postać w opończy to się pojawiała, to znikła. Brnął wąską ścieżką, goniąc za ulotnym kształtem.

Horace czekał na zakręcie ścieżki wyznaczającym początek prostego odcinka. Tak jak skandyjski wartownik, również i on aż się wzdrygnął, gdy z ziemi przed nim nagle wyrósł Will.

- Nie rób tak! - syknął ze złością. Po chwili, gdy spostrzegł zdziwioną minę Willa, wyjaśnił: - Przecież doskonale wiesz, że zazwyczaj nie słyszymy, jak nadchodzisz. I że trudno cię zauważyć. Wydawaj jakieś odgłosy, żebyśmy wiedzieli, gdzie się ciebie spodziewać!

- Wybacz - odparł Will. - Skottowie są w drodze.

Horace skinął energicznie. Natychmiast zapomniał o gniewie. Odwrócił się w stronę drzew.

- Gundarze! Słyszałeś? Nadchodzą!

Wśród drzew nastąpiło poruszenie. Will zauważył słabo widoczne w zapadającym mroku sylwetki Skandian. Wcześniej odpoczywali na polance pozostałej po obozowisku. Obecnie bez zwłoki zajmowali wyznaczone pozycje, ustawiając się bliżej ścieżki. Zgodnie z poleceniem Horace'a zdjęli rzucające się w oczy hełmy z rogami. Will potrząsnął z aprobatą czupryną. Pomyślał, że nic szybciej nie zdradziłoby przygotowywanej zasadzki niż widok potężnych wolicz rogów sterczących ponad zaroślami. Gundar wyszedł zza drzew w towarzystwie czterech ludzi. Pozostałych pięciu znalazło sobie kryjówkę kilka metrów dalej od szlaku. Rozsiedli się, czekali.

- W porządku, Horace - mruknął Gundar - słyszymy cię. Za ile oni tu dotrą?

Horace posłał pytające spojrzenie Willowi. Zwiadowca odpowiedział za przyjaciela.

- Mamy mniej więcej dziesięć minut. Zajmujcie pozycje. Potem czekać w bezruchu. - Szukając sposobu na podkreślenie wagi rozkazu, dodał: - Na kły Gorloga, jasne?

Gundar wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Miło, że uczysz się pięknego języka - powiedział. - Nie martw się. Już zdarzało się

nam urządzić zasadzki na ludzi.

Dał znak ręką czterem towarzyszącym mu mężczyznom, żeby przeszli na drugą stronę ścieżki. W ten sposób po każdej stronie znajdowało się pięciu ludzi. Zanim sam dał nura w gęstwinię, cicho zawołał do pozostałych:

- Jeśli który choćby piśnie, rozwalę łeb. Czy to jasne?

Rozległ się chór potakiwań, po czym rośli Skandianie bez pośpiechu zniknęli za ścianą drzew.

- Pamiętajcie - powiedział Will - chcemy dostać tego człowieka żywcem. Będzie truchtał na czele. Zwracajcie uwagę na twarz. Połowę twarzy pokrywają mu niebieskie, malowane pasy.

- Fiu, fiu, elegant - burknął pod nosem Horace.

Will spiorunował druha wzrokiem.

- Niesie też szeroki miecz na ramieniu - dodał.

Horace wygiął wargi w grymasie udawanej troski.

- A, to już niezbyt eleganckie - skwitował.

Will nie zareagował na żart przyjaciela. Gundar wychynął z zarośli przy ścieżce zupełnie jak wieloryb wynurzający się z wody.

- Czyli łapiemy żywcem tego z niebieską twarzą - podsumował. - Serce wam aby nie pęknie, jeśli niektórych z jego ludzi kapeńkę nadszczerbimy?

- Wolałbym uniknąć rozlewu krwi - odparł Will. Jednak wiedział, że w sytuacji takiej jak ta rzadko kiedy wszystko idzie zgodnie z planem. - Starajcie się, jak umiecie - westchnął.

- Czekać, aż zawołam, żeby stanęli. Wytrzymać chwilę, żebym zwrócił na siebie ich uwagę, a wtedy przesuniecie się za nich. Jeżeli dobrze zgramy wszystko w czasie, poddadzą się bez walki.

Ostatnie zdanie dopowiedział bardziej po to, by uspokoić samego siebie, niż wierząc, że przekonał Skandian. Mina Gundara nie pozostawiała żadnych wątpliwości, co sądzi on o unikaniu rozlewu krwi.

- Można i tak - fuknął skirl sceptycznie - ale jeśli będzie się kroilo na bitkę, moi chłopcy zaczną się tłuc, jasne?

Will pokiwał głową. Nie mógł prosić o nic więcej. W obecnej sytuacji trudno przypuszczać, iż Skandianie podejmą zbędne ryzyko tylko dlatego, że on wolałby uniknąć jatki.

- Niech będzie po twojemu - zgodził się ze skirlem. - A teraz wracaj do kryjówki, zanim tamci nadejdą.

Gundar na powrót zanurzył się w poszyciu. Willowi raz jeszcze przyszedł na myśl wieloryb, który się wynurza, aby później dać nura w głębiny. Za długo co prawda nie dumał, bo Horace szarpnął go za rękaw.

- Chodźmy - rzucił krótko i poprowadził zwiadowcę na drugi kraniec prostego odcinka ścieżki.

Horace zrobił kilka kroków, chowając się między drzewa, by nie było go widać. Will po prostu pozostał na skraju ścieżki, z kapturem nasuniętym na głowę, otulony opończą. W lewej ręce ścisnął łuk, a między palcami prawej trzymał dwie przygotowane strzały. Rzucił okiem, sondując gęstwiny. Horace zakrywał białą tarczę matową zieloną tkaniną. Zwiadowca skinął z uznaniem. Wśród szybko zapadającego zmroku nie pojawił się żaden błysk bieli, który mógłby wzbudzić czujność Skottów.

Nagle spiął się w sobie. Nadchodzili. Uszu zwiadowcy dobiegł głuchy tupot truchających stóp. Uderzały o grubą warstwę suchego śniegu. Horace dostrzegł mimowolne drgnięcie drucha.

- Pewnie już tu są? - spytał szeptem.

- Za moment. Cicho bądź - ostrzegł Will. Nieznacznie przesunął kaptur do tyłu, żeby lepiej słyszeć. Teraz tupot dobiegał już całkiem wyraźnie. Cichy, skrzypiący odgłos butów na suchym śniegu. Zwiadowca stał niczym posąg obok wielkiego pnia, z wzrokiem utkwionym w ciemnej szczelinie wśród drzew. Tam, jakieś dwadzieścia metrów za nim, ścieżka zakręcała.

Wyłoniła się pierwsza postać. Z początku niewyraźna, wśród prószonego śniegu i przy mroczniejącym świetle rozmazana. Wkrótce dało się jednak rozpoznać, że na czele grupy idzie skottyjski generał MacHaddish. Jego ludzie podążali tuż za dowódcą. Zachowywali szyk dwójkowy, w czterech szeregach. Will zaczekał, aż wszyscy wyłonią się zza zakrętu. Dopiero wtedy wyszedł na środek ścieżki, nakładając strzałę na cięciwę. Uniósł naciągnięty do połowy łuk.

- Królewski zwiadowca! - zakrzyknął na wypadek, gdyby mieli jakieś wątpliwości. - Zostańcie tam, gdzie jesteście.

Na chwilę uzyskał efekt zaskoczenia.

Skottowie dostrzegli dziwną postać, która niespodziewanie wyrosła przed ich oczyma.

MacHaddish usłyszał co prawda komendę, ale nie rozumiał po araluńsku. Termin „królewski zwiadowca” nic dlań nie znaczył. Will mógłby równie dobrze wrzeszczeć „królewska owca”.

Prawdę mówiąc, doskonały plan Willa sprawdziłby się idealnie, gdyby tylko

Skottowie posiadali odpowiednią wiedzę. Niestety, w swoim odległym północnym kraju rzadko stykali się ze zwiadowcami. Nie wiedzieli niczego na temat sławnej w Araluenie formacji. Dlatego też nagłe pojawienie się jednego z członków Korpusu bynajmniej nie przejęło ich grozą.

Tymczasem Will, obserwując początkowe wahanie Skottów, odprężył się lekko. Uśmiechnął się sam do siebie. W duchu podziękował pokoleniom zwiadowców, którzy zapracowali na tak niezwykłą reputację całej reszty.

I wtedy wszystko kompletnie się popsulo.

MacHaddish otrząsnął się z chwilowego zaskoczenia. Prawą dłonią sięgnął ponad ramię. Zacisnął palce na potężnej rękojeści szerokiego miecza. Ostrze wysuwał z pochwy bez nerwowości, ruchem płynnym i szybkim, w przeszłości z pewnością ćwiczonym tysiące razy.

- Na cha'rith Nambur! - ryknął generał. Wzniesione do góry olbrzymie ostrze zataczało koło za kołem. Żołnierze z eskorty, poderwani do działania, jak echo powtórzyli bojowe zawołanie klanu MacHaddishów. Z ośmiu gardeł wydobył się ryk, a MacHaddish rzucił się naprzód, starając się zepchnąć ze ścieżki niewyraźną postać zagradzającą mu drogę. Gdy ruszył do ataku, dwóch z jego ludzi osłaniało plecy wodza.

Will, znalazłszy się twarzą w twarz z uzbrojonym oraz wyraźnie rozwścieczonym skottyjskim generałem, instynktownie naciągnął do końca cięciwę łuku. W ostatniej chwili przypomniał sobie własne instrukcje wydane Skandianom. Co prawda wypuścił strzałę, lecz nieznacznie przesunął grot, celując nie w środek piersi, tylko w prawy nadgarstek.

Strzała przeszła ścięgna, naruszając nerwy. Wstrząs w okamgnieniu pozbawił dłoń generała wszelkiego czucia. Całe ramię zdrętwiało, rana odebrała MacHaddishowi siłę niezbędną do wywijania ogromną klingą. Z dzikim okrzykiem bólu generał zgiał się wpół. Lewą dłonią chwycił się za zraniony nadgarstek, pozwalając bronii upaść na ścieżkę.

Tyle że Will nie miał więcej czasu dla MacHaddisha. Dwaj inni Skottowie już bowiem nacierali. Will płynnym ruchem osadził, a potem wypuścił drugą strzałę. Pierwszy z atakujących od razu runął bez ducha. Drugi wszelako znalazł się tuż przy zwiadowcy. Z krzykiem wścieklej nienawiści, pałający żądzą zemsty, zamachnął się mieczem, gotując do śmiertelnego ciosu. Will rzucił się w bok, rozorał barkiem głęboki śnieg, przeturlał się najszybciej, jak zdołał. Padając, z konieczności musiał wypuścić łuk. Gdy ponownie się poderwał, prawa dłoń natychmiast dobiła saksy.

Cios Skotta wymierzony w zwiadowcę sparowała tarcza Horace'a. Ostrze rozchlastało tkaninę naciągniętą na jej powierzchnię. Horace odpowiedział kąśliwym sztychem, Skott przyjął uderzenie, podstawiając własną tarczę, od razu sprężony do zadania kolejnego cięcia.

Jednak żadną miarą nie był przygotowany na oszałamiającą szybkość aralueńskiego rycerza. Uświadomił sobie, że nie dotrzymuje tempa i że miecz młodego olbrzyma znów spada. Desperacko zablokował ostrze swą maleńką tarczą. Stęknął, gdyż potęga uderzenia poraziła mu kiść dłoni. Nie do wiary, lecz już padał kolejny cios, zadany pod innym kątem. Skott zwijał się jak w ukropie. Nieszczęśnikowi zdawało się, że walczy z dwoma szermierzami naraz. Aż wreszcie krew w żyłach zmroziło mu przecucie zbliżającej się śmierci. Właściwie wcale nie zauważył, kiedy skottyjski miecz wyłuskany z jego dłoni, wirując, poszybował między drzewa.

Bez namysłu pochylił się, sięgnął po sztylet zza cholewy wystający. Wówczas Horace wbił własne ostrze w śnieżną okrywę. Podsunawszy się bardzo blisko, strasliwym prawym hakiem trafił rywala w szczękę. Skott przewrócił oczami, kolana się pod nim ugięły. Padł bez przytomności, twarzą w miękki śnieg.

Z drugiego krańca ścieżki dobiegały okrzyki, mieszające się ze szczękiem broni. To Skandianie ochoczo wyskoczyli z zarośli i rzucili się w bój. Skottowie zostali otoczeni, bez najmniejszych szans na ucieczkę. Stłamsiła ich liczebność wroga, walczyli w sześciu przeciw dziesięciu. Jednak nie zaprzestali się odgryzać, a nawet ranili dwóch Skandian. Tym samym popełnili jednak zasadniczy błąd, gdyż dopiero teraz Gundar wpadł w bojowy szał. Topór gwałtownie zawirował nad głową skirla. Z furią wyrąbywał sobie przejście wśród skottyjskiego klanu, roztrzaskując ich małe tarcze, które właściwie na nic się w tym starciu nie przydawały.

Na nogach trzymało się jeszcze dwóch Skottów. Zdecydowali się opuścić miecze, prosząc o łaskę. Gundar, zaślepiony bitewnym szałem, pozostawał głuchy na ich błagania, jednak któryś z rodaków pochwycił skirla i odciągnął go, by ochłonął. Reszta natychmiast otoczyła ocalałych ludzi z klanu MacHaddish. Wytrącili im broń, zmuszając pokonanych do padnięcia na kolana.

Horace i Will wymienili zakłopotane spojrzenia.

- Cóż - odezwał się Horace. - Niezupełnie tak to sobie zaplanowaliśmy.

Will był wdzięczny, że powiedział „my”, a nie „ty”. Wepchnął saksę do pochwy.

- W rzeczy samej - zgodził się. - Ale przynajmniej schwytaliśmy MacHaddisha.

Poszukał wzrokiem miejsca, gdzie wcześniej, przyciskając do piersi zranioną prawą rękę, osunął się generał. Na śniegu dostrzegł wielką czerwoną plamę.

Jednak po samym MacHaddishu nie pozostał żaden ślad.

Rozdział 17

Dokąd on prysnął, u licha? - syknął Horace. - Ledwie na moment spuściłem go z oka.

Will już ukucnął nad miejscem, gdzie padł generał, wodząc wzrokiem po świeżym śniegu. Uciekający Skott zostawił wyraźny trop. Lecz w zanikającym świetle dnia, coraz słabiej widać było odciski stóp, gasł także jaskrawoczerwony ślad z kapiącej krwi. Will od razu chciał ruszać w pościg, lecz zawahał się, spoglądając na ścieżkę, gdzie Skandianie otoczyli ocalałych skottyjskich wojowników. Gundar zszedł już na pobocze, uspokajany przez podwładnego, który odciągnął go od Skottów. Will wolał się upewnić, że ktoś weźmie odpowiedzialność za jeńców.

- Zatrzymajcie ich tam, jasne? - zawołał. Wskazał ręką na nieprzytomnego wojownika powalonego przez Horace'a. - Tego też.

Jeden ze Skandian podszedł bliżej. Ku swemu zaskoczeniu, Will rozpoznał Nilsa Ropehandera. Mężczyzna o twarzy poranej bliznami był jednym z pierwszych, których Horace wybrał do zasadzki. Młody rycerz wiedział z doświadczenia, że ludzie tacy jak Nils, z początku cyniczni i oporni, często stawali się najbardziej niezawodnymi pomocnikami, gdy już przekonali się do sprawy.

- Idź za Niebieską Twarzą, zwiadowco - powiedział Nils. - My będziemy mieć na oku tych piękniśków, dopóki ty nie wrócisz.

Will skinął głową. Następnie dał nura między drzewa, Horace zaś ruszył tuż za nim. Przez krótką chwilę Will się wahał, bo przypomniał sobie, że na skraju ścieżki zostawił łuk. Lecz zaraz odrzucił wątpliwości. W lesie, na tak bliskim dystansie, łuk traci użyteczność. Saksa oraz nóż służący do rzucania znacznie lepiej sprawdzają się w warunkach leśnych.

Biegł pochylony, w skupieniu marszcząc czoło. Wypatrywał na śniegu śladów MacHaddisha. Początkowo pościg nie przysparzał żadnych kłopotów, albowiem jaskrawy trop krwi rysował się wyraźnie na białym tle, nawet gdy słońce właściwie już zgasło. Jednak później generał musiał zdać sobie sprawę, że zostawia znaki widoczne nawet dla ślepeca, więc obwiązał rękę, powstrzymując krwawienie. Zapewne tym wielkim kraciastym kawałem tkaniny, który nosił na barkach, pomyślał Will.

Rozważając rozmaite ewentualności, spostrzegł w zaroślach złamane drzewce strzały. Tam je odrzucił Skott. Zwiadowca aż się skrzywił. Wyjmowanie strzały musiało być bardzo

bolesne.

Teraz, bez krwawego tropu, za którym łatwo podążać, zadanie stało się znacznie trudniejsze. W świetle dnia tropiciel tak sprawny jak Will potrafiłby bez najmniejszego wahania odczytywać na śniegu ślady. Ale zapadła już właściwie noc, więc Will musiał przypatrywać się znacznie uważniej znakom.

Zauważył, że MacHaddish stara się zmylić pogoń. Niekiedy na moment zastygał w miejscu, aby następnie skoczyć w bok, najdalej jak potrafił, zanim na nowo podjął marsz. Miejscami tworzył fałszywy trop, robiąc tuzin kroków w jedną stronę, a potem nagle cofał się po własnych śladach. Albo podskakiwał w miejscu. Albo wykorzystywał zwisające gałęzie lub bloki skalne odsłonięte tu i ówdzie. Starał się zmieniać kierunek ucieczki bez pozostawiania śladów stóp.

W dziennym świetle Will błyskawicznie rozszyfrowałby koncept polegający na cofaniu się po własnych śladach. Nie zwracałby uwagi na fałszywy trop. Jednak w nocy, w zimie, w lesie nie pozostawał mu żaden wybór. Kluczył za tym, co widział.

Zatrzymał się, dotarłszy do miejsca, w którym ślad ostro zakrecał w lewo. Instynkt podpowiadał zwiadowcy, że MacHaddish stara się znowu zmylić trop. Will już wcześniej przeczuwał instynktownie, że generał za każdym nawrotem, gdy już w miarę możliwości zatarł ślady, znowu obiera ten sam kierunek ucieczki. Parł na północ, ku granicy. Kierunek na północ oznaczał wędrówkę na wprost, nie na lewo. Will chętnie skierowałby się w stronę północy, nie zważając na znaki odprowadzające w bok. Przed zwiadowcą wyrosło częściowo odsłonięte skalne zbocze. Tamtędy MacHaddish mógłby ruszyć, żeby ukryć ślady stóp. Wokół, na śniegu, wałało się mnóstwo śmiecia - połamane gałęzie, liście - po których generał zdołałby przejść niepostrzeżenie. Zapewne po drugiej stronie skały Will odszukałby znowu ślady.

Jednak ryzykowałby utratę cennych minut. Dalsze poszukiwania odbywałyby się w kompletnej ciemności. Zawahał się. Jak postąpić? Miał wrażenie, że Skott oddala się od nich z każdą upływającą minutą.

- Którędy? - zapytał Horace. Will natychmiast dał znak, żeby zachował ciszę. Usłyszał. Szeleściło coś w lesie, na prawo przed nimi. Delikatnie przekrzywił głowę. Usiłował znowu wyłowić ten odgłos. Dłońmi otoczył uszy, żeby wzmocnić najlżejszy nawet dźwięk...

Jest! Z pewnego oddalenia dochodził szmer. Ktoś przeciskał się pomiędzy drzewami, brnąc przez splecione poszycie. Instynkt nie zawiódł. Trop prowadzący w lewo okazał się fałszywy. I jeszcze jedno pojął Will. Oto bowiem może zyskać przewagę nad MacHaddishem.

Nie dzięki wypatrywaniu śladów zbiega, tylko nasłuchując.

Jednocześnie uzmysłowił sobie, jak ukryć przed generałem własną obecność.

Skinął na Horace'a, przywołał go bliżej. Wskazał, skąd dobiegał dźwięk.

- Zmierza w tę stronę - szepnął. - Słyszę go. Idź za mną, ale w odległości dziesięciu, dwudziestu metrów. I trochę pohąłasuj, dobrze?

Horace zmarszczył brwi. Za chwilę padnie pytanie. Will wiedział, o co spyta młody rycerz. Odpowiedział, zanim przyjaciel zdążył otworzyć usta.

- Usłyszysz, że ty się tu kręcisz - wyjaśnił. - Ale nie usłyszysz mnie.

W oczach Horace'a zapaliła się iskierka zrozumienia. Pomknął w las, a jego przyjaciel podjął pościg. Horace starał się trzymać na tyle daleko, żeby Will cały czas słyszał MacHaddisha przeciskającego się przez zarośla. Po jakimś czasie Will zrozumiał, że naprawdę dogania zbiega. Przyspieszył. Rwał do przodu, aż hałas czyniony przez generała wyraźnie zaczął narastać. Pogłos, którego sprawcą był Horace, nieznacznie przycichał, gdyż Will nieustannie zwiększał dystans dzielący go od przyjaciela.

Tym razem skottyjska niewiedza co do umiejętności zwiadowców zadziałała na korzyść Willa. MacHaddish bez ustanku parł przez zarośla, nie zdając sobie sprawy, że ścigający stopniowo zyskuje przewagę. Generałowi zabrakło świadomości, że zwiadowcy potrafią poruszać się w terenie takim jak ten bez najmniejszego szelestu. Co prawda MacHaddish słyszał od czasu do czasu daleko za sobą jakieś łomoty. Ktoś tam tłukł się po lesie. Ale ów ktoś oddalał się z każdą chwilą. Ten ktoś, czyli Horace, skutecznie wypełniał, co do niego należało. Zaś Will stopniowo zmniejszał dystans dzielący go od generała.

Naraz Horace, rozpatrzywszy we własnej głowie zamysł Willa, doznał przebłysku geniuszu. Zaczął mianowicie wykrzykiwać sam do siebie słowa zachęty. Ochoczo rzucał kolejne mgliste wskazówki oraz wydawał polecenia.

- Tam jest! Widzę go! Tędy, chłopcy!

Wygadywał, co tylko ślina mu na język przyniosła. Rzecz nie w słowach, liczył się dźwięk, chodziło o zmyłkę. Horace miał dostateczne wyczucie sytuacji, żeby nie drzeć się bezustannie. Wiedział, że nadmierny harmider z jego strony stłumiłby hałas związany z przemieszczaniem się MacHaddisha. Odzywał się zatem skąpo, raz na jakiś czas, dbając, by Will co chwila uzyskiwał sposobność do uważnego nasłuchiwania wszelkich poruszeń Skotta. Zaczął także celowo zbaczać z drogi, którą powinien iść pościg. Starał się wywołać u MacHaddisha wrażenie, że ścigający pogubili się kompletnie.

Will uśmiechał się z uznaniem. Bo świetnie zdawał sobie sprawę, co pragnie osiągnąć Horace.

Sto metrów z przodu MacHaddish także się uśmiechał. Okrzyki dobiegały teraz już z daleka, przemieszczając się na zachód. Słabły. Pogoń zostawała coraz bardziej w tyle. Generał, oparty o pień jakiegoś drzewa, postanowił odpocząć chwilę na małej polance. Ręka pulsowała bólem, a wysiłony oddech rwał się od wysiłku. Ostrożnie odwinął nasiąknięty krwią tartan i przyjrzał się obrażeniom nadgarstka. Próbował zgiąć palce. Ani drgnęły. Wstrząs sprawił, że zranione miejsce zdrętwiało.

Spróbował ponownie. Tym razem zdawało mu się, że wyczuwa lekkie drżenie. Zrobiło mu się troszkę różniej. Przy kolejnej próbie odrętwienie nagle ustąpiło. Oślepiająca fala bólu przeszła przedramię generała.

Zaskoczony, wydał stłumiony jęk. Ból odebrał jednak jako zachętę. Wszystko, nawet ból, było lepsze niż ten przerażający brak czucia. Gdyby prawa dłoń została trwale okaleczona, oznaczałoby to koniec. Wedle skottyjskiego obyczaju nawet generałowie musieli stawać do pojedynków jeden na jednego. MacHaddish usiłował nie zwracać uwagi na ból. Wziął głęboki wdech. Odwrócił oczy od zranionej dłoni.

W jego stronę zbliżała się jakaś niewyraźna postać. Spozrzegł tego człowieka ledwie o trzy metry z przodu.

Dłoń MacHaddisha została co prawda okaleczona, lecz refleks generała wciąż pozostawał bez zarzutu. Wojownik zareagował niemal odruchowo, rzucając się do przodu, wprost na tę ciemną postać. Zarejestrował w umyśle, że dłoń intruza przesuwa się w stronę pasa, zdał sobie sprawę, że obcy sięga po broń. Kolejny raz, zupełnie instynktownie, MacHaddish dokonał wyboru. Przykurczył bolące ramię i, używając go jak taranu, skoczył ku postaci w pelerynie. Zdawał sobie doskonale sprawę, że zraniona prawa dłoń w walce wręcz okaże się bezużyteczna.

Szybkość ataku zaskoczyła Willa. Podchodząc do Skotta, usłyszał bolesny, cichy jęk, obserwował twarz wykrzywioną bólem. Generał cierpiał, zwłaszcza gdy próbował poruszyć zranioną dłoń. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie bezradnego. Will nie posiadał doświadczenia w kontaktach z walecznym do szaleństwa ludem Północy. Ignorancja sprawiła, że popełnił drugą pomyłkę. Zraniona dłoń nie odbierała bowiem skottyjskiemu wojownikowi zdolności do stawiania oporu. Skottowie gotowi byli walczyć dłońmi, stopami, głową, kolanami, łokciami, zębami. Wszystkim, czym trzeba, jeśli było trzeba.

MacHaddish rąbnął Willa ramieniem tuż poniżej mostka. Powietrze uciekło z płuc zwiadowcy wraz z głośnym „ufff!”. Will stracił oddech, zatoczył się, poczuł, że nogi

wymykają mu się spod kontroli. A po chwili zwałił się na plecy w głęboki śnieg. Przez moment nic nie widział. W desperacji przeturlał się na bok, przekonany, że Skott wykorzysta uzyskaną przewagę. Gdy wzrok wychowanka Korpusu odzyskał sprawność, Will zobaczył, że rywal skręca się w dziwacznej pozie z uniesionym prawym kolaniem, lewą dłonią obmacując cholewę buta.

Zapewne fakt, że MacHaddish musiał sięgnąć lewą ręką, by wyrwać sztylet z cholewy prawego buta, ocalił życie Willa. Ruchowi zabrakło niezbędnej płynności, a Will zyskał czas, żeby poderwać się na równe nogi.

Gdy tylko mu się udało, od razu musiał uskoczyć w bok, by uniknąć ataku MacHaddisha nacierającego sztyletem. Ostrze rozcięło opończę niczym pajęczynę. Poczul to i wymierzył cios całą podeszwą buta w lewe kolano przeciwnika. MacHaddish wykonał zwód. Uniknął wprawdzie dzięki temu strasznego kopnięcia, lecz Will zyskał czas potrzebny na wyciągnięcie saksy.

Generał usłyszał złowieszczy szept stali sunącej po wyprawionej skórze. Jego oczy zwężyły się na widok ciężkiego ostrza, lśniącego w gasnącym pod drzewami świetle.

Krążyli wokół siebie, zapraszając się wzajem do osobliwego tańca. Sztylet był niemal tak długi jak saksa, chociaż klingę miał węższą. Gdyby pojedynek toczyli w normalnych warunkach, obaj zapewne dążyliby do zwarcia. W zwarciu łatwiej przemóc rywala, wolną ręką chwytając go za nadgarstek dłoni, w której trzyma on nóż. Walka w zwarciu bardziej przypomina starcie zapaśników niż szermierczy pojedynek. Jednak MacHaddish posługiwał się z konieczności lewą dłonią przeciwko prawej Willa. Mocowanie się nie wchodziło zatem w grę. Jeśli którykolwiek chwyciłby drugiego za przegub dłoni z nożem, tym samym wystawiłby na cios nieuzbrojoną stronę. Musiałby oczekiwać natychmiastowego ataku.

Walczyli więc sposobem szermierzy. Na przemian wyrzucali broń do przodu na długość ramienia, parli ku sobie i krzyżowali ostrza. Jeden wyprowadzał sztych, drugi ten sztych parował. Stopy obydwu zamiatały śnieg, bo każdy starał się upewnić, czy posiada stabilne oparcie. I Will, i MacHaddish bali się oderwać nogi od podłoża, aby nie potknąć się na jakimś wykrocie. Oczy obu zwężyły się. Krążyli wokół siebie w najwyższym skupieniu. Will nigdy wcześniej nie spotkał wroga przemieszczającego się tak kocio, jak ten skottyjski generał. MacHaddish zaś jeszcze nigdy nie natknął się na rywala zdolnego sprostać jego własnej, piorunującej szybkości.

Nawet jeśli zmuszony został do walki lewą ręką, pomyślał zwiadowca, ten Skott posiada ogromną pojedyńkową zaprawę. Will nie wątpił, że gdyby choć na mgnienie stracił pełną koncentrację, Skott raczej na pewno by go dopadł. Sztylet atakującego generała

przeniknąłby wówczas niechybnie przez blokadę saksy i wbił się między zębra. Will pojął z przenikliwą świadomością, że tego wieczora może zginąć.

Próbował sięgnąć po nóż do rzucania, umieszczony w pochwie ukrytej pod kołnierzem. Omal nie przypłacił lekkomyślnego ruchu życiem. Przeszkodził mu kaptur opończy. Szamotał się rozpaczliwie, usiłując odzyskać swobodę ruchów. A wtedy MacHaddish runął ku niemu z wyciągniętym sztyletem.

Zdesperowany Will uskoczył, lecz poczuł, jak ostrze broni Skotta pruje mu kamizelę. Po zębrach zwiadowcy spłynęła strużka krwi. Z przerażenia zaschło mu w ustach. Ciął na odlew, chłasnieniem zmuszając Skotta, by się cofnął. Po czym obaj znów zaczęli krążyć.

Najgorsze, że Will musiał pojmać MacHaddisha żywego. MacHaddish nie miał podobnych ograniczeń. Przyświecał mu wyłącznie jeden cel: zabić przeciwnika tak prędko, jak tylko się da, następnie zaś zniknąć w lesie, nim przybędą posiłki.

Gdzie, u licha, podziwia się Horace? - zastanawiał się Will, gdy tak krążyli z generałem wokół siebie, wyprowadzając pchnięcia, odparowując i blokując sztychy. Pojął, że młody rycerz mógł stracić z nim kontakt. Horace stworzył Willowi szansę. Pozwolił druhowi dogonić MacHaddisha. Lecz przecież sam przy tym odwracał uwagę Skotta. Czyli hałasował, ile wlezie. I przemieszczał się. Przemieszczał się na zachód, by generał sądził, iż wymyka się goniącym. Bardzo możliwe, że teraz Horace nie ma pojęcia, gdzie znajduje się Will ani co się tutaj wyprawia. Will zdał sobie sprawę, że został sam, zdany tylko na własne siły oraz że wcale niewykluczone, iż zginie tu, pośród tych posepnych drzew, a jego krew wsiąknie w śnieg.

Przypomniały mu się nagle słowa Halta. „Jeżeli zastanawiasz się, czy przegrasz, przegrasz na pewno”. Osłupiały, Will pojął, że naprawdę szykuje się na przegraną. Pozwalał MacHaddishowi narzucać warunki pojedynku; sam ledwie odpierał ataki. Nadeszła pora. Czas przejść do ofensywy. Trzeba ryzykować.

Rozdział 18

Okazja nadarzyła się, gdy MacHaddish trafił nogą na splachetek zlodowaciałego śniegu. Całe to ich przemieszczanie się oraz przesuwanie stóp wzruszyło i ubiło śnieg na małej polance. Gdy but generała poślizgnął się na odsłoniętym, oblodzonym podłożu, Skott stracił koncentrację.

Przez mgnienie oka nie uważał. Will pojął, że oto nadarza się niepowtarzalna okazja pokonania rywala. Płynnym ruchem przesunął się do przodu, wykonując równocześnie rzut saksą od dołu.

Wiedział już, jak szybkim refleksem odznacza się przeciwnik, więc nie zakładał, że akurat tym sposobem zdoła ostatecznie przełamać obronę. Zwiadowcy zresztą nie chodziło o zabicie rywala, wręcz przeciwnie, ciągle liczył, że uda mu się wziąć Skotta żywcem. Gdy lśniąca ostrze mknęło w kierunku MacHaddisha, generał machnął własnym sztyletem w desperackiej próbie osłonięcia ciała. W ostatniej chwili zdołał odtrącić śmigającą ku niemu ciężką saksę. Rzut wywołał jednak efekt, o jaki chodziło Willowi - rozproszył uwagę MacHaddisha. Sztylet generała przestał na moment zagrażać zwiadowcy. W chwili gdy Skott odbijał saksę, posyłając ją w bok, Will rzucił się naprzód i z mocą imadła zacisnął prawą dłoń na lewym nadgarstku generała.

Tyle że MacHaddish był zwinny jak wąż. Gdy Will chwycił go za lewy nadgarstek, przeciwnik od razu wygiął się w lewo, gwałtownie szarpnął zwiadowcę, pociągając go do przodu i pozbawiając równowagi. Ponieważ MacHaddish zdawał sobie sprawę, że jego własna prawa dłoń stała się właściwie bezużyteczna, użył prawego przedramienia. Otoczył nim gardło Willa, tuż pod brodą. Ścisnął.

Zwiadowca zaczął się dławić, musiał odchylić głowę.

Zablokowany, Will nie dawał rady cofnąć prawej ręki, a jego głowa odchylała się coraz bardziej. Chwył, którym nadal powstrzymywał dłoń z nożem, słabł.

Jednocześnie zdał sobie sprawę, że nagie ramiona generała oraz jego pierś i górna część pleców nasmarowane są cienką warstwą tłuszczu - bez wątplenia dla ochrony przed przenikliwym zimnem - a to jeszcze bardziej utrudniało przytrzymywanie przeciwnika. Czuł, jak MacHaddish wykręca przedramię w obie strony, obracając nim w uścisku Willa. Wiedział, że za kilka sekund generał szarpnięciem uwolni się z uchwytu.

Błyskawicznie wyprowadził dwa mocne ciosy sierpowe, kierując pięść w odsłonięty prawy bok Skotta. Trafił w żebra, któreś z nich porządnie się ugięło. MacHaddish stęknął boleśnie, nacisk przedramienia napierającego na gardło Willa nieco zelżał. Tyle Willowi było trzeba. Sięgnął w górę, uchwycił prawy nadgarstek MacHaddisha, odciągając przedramię rywala spod swojej brody. Przy okazji pozbawił generała równowagi.

Will pochwyił Skotta za prawy nadgarstek akurat w miejscu zranionym strzałą. Żelazny uścisk Willa sprawiał MacHaddishowi potworny ból. Generał, wrzasnąwszy, skulił się instynktownie. Will, zaskoczony gwałtowną reakcją przeciwnika, wypuścił prawy nadgarstek generała. Jego stopy poczęły rozjeżdżać się na ubitym śniegu. Usiłując się nawzajem przemóc, spleceni w straszliwym uścisku, ślizgali się po polance. Lewa dłoń MacHaddisha, ta, która trzymała nóż, wciąż tkwiła w uchwycie Willa.

Skott zaatakował kolejny raz. Prawym przedramieniem próbował sięgnąć twarzy wroga. Młody zwiadowca uchylił się przed ciosem. Właściwie od razu musiał wykonywać następny zwód, gdyż pomknęło ku niemu prawe kolano MacHaddisha. Teraz Will skupiał całą uwagę, by utrzymać w uchwycie lewą dłoń przeciwnika, ta bowiem zaciskała się na sztylcie ostrym jak brzytwa. Wiedział, że jeżeli nie da rady, jeśli choć odrobinę odpuści, koniec z nim. Już nie myślał o schwytaniu MacHaddisha żywcem. Pragnął po prostu sam ujść z życiem.

Pochwyił warkoczyk zwisający po lewej stronie czerepu MacHaddisha i szarpnął w górę, odciągając przy tym głowę Skotta w prawo. Generał zawył z bólu, po czym przekręcił twarz ku rywalowi i wyszczerzył zęby starając się ukąsić wroga w dłoń. Tymczasem Will, używając lewej nogi, zamaszystym podcięciem pozbawił generała równowagi. Generał padł. Will runął na niego z góry. Ciężar ciała zwiadowcy odebrał Skottowi oddech.

Walka nie zbliżała się jednak do końca. Will znowu poczuł, że MacHaddish stara się uwolnić swoją lewą dłoń, tę ściskającą sztylet. Wyginał ją i okręcał, próbując wyrwać przegub z uchwytu zwiadowcy. Później generał poderwał się gwałtownie, szarpiąc jednocześnie ciałem w prawo. Zdołał odwrócić pozycję. Teraz on sprowadził Willa do parteru. Nad krtanią zwiadowcy zawisła dłoń ze sztyletem. Skott nie zważał na ból w prawej ręce, napierał, ile sił. Prawym przedramieniem dociskał lewą dłoń, kładł się na niej całym ciężarem. Ostrze noża zbliżało się do gardła zwiadowcy.

Will obiema rękoma chwycił dłoń dzierżącą sztylet. Z całej mocy odpychał od siebie broń rywala. Skott był jednak znacznie cięższy oraz silniejszy. W zmaganiach zapaśniczych, gdzie liczy się głównie siła, MacHaddish musiał wygrać. Walcząc na stojąco, Will potrafiłby wykorzystać własne atuty, czyli szybkość i zwinność. Nieznacznie zmniejszyłby przewagę

Skotta. Ale teraz wszystko przemawiało za rywalem. Will desperacko podrywał się, prężył ciało, starał się za wszelką cenę zrzucić z siebie wroga. Jednak doświadczony MacHaddish z łatwością niweczył wszelkie próby. Za każdym szarpnięciem Will co prawda zyskiwał cenne sekundy, bo gdy się szarpał, sztylet nieznacznie się odsuwał. Jednak w końcu MacHaddish zdołał zadać cios, wyprowadzając sztylet wprost w gardło Willa. Zwiadowca tracił siły. Spociał się z przerażenia i wysiłku. Oglądał już z bardzo bliska lśniące ostrze sztyletu, którego szpic przybliżał się nieuchronnie. Nad sztyletem ukazywała się rozmazana twarz MacHaddisha. Rysy jednego policzka kryła farba. Oczy Skotta były teraz rozżarzone, triumfujące. Wargi rozciągały się w zawziętym śmiechu. Generał zdał sobie sprawę, że za moment będzie po wszystkim.

Rzeczywiście, po chwili było po wszystkim. Nawet wcześniej, niż MacHaddish się spodziewał.

Łup! Łup! Ciężka, mosiężna głownia miecza Horace'a dwukrotnie grzmotnęła generała w skroń.

Will poczuł, że napór MacHaddisha nagle znika. Przyduszał go już tylko ciężar zwiotczającego ciała, wspartego na ręce z nożem. Oczy Skotta, który w jednej chwili stracił świadomość, zmatowiały. Gwałtownym szarpnięciem Will zrzucił z siebie przeciwnika. Chwiał się, wstając. Chwiał się nawet i wtedy, gdy kuśtykał pospiesznie, aby znaleźć się jak najdalej od znieruchomiałego na śniegu ciała.

Wtedy podszedł Horace. Podtrzymał przyjaciela pod ramiona.

Horace w myślach dziękował niebiosom. Zdążył, w samą porę. Stracił ślad, gdy próbował stworzyć Willowi szansę, by ten dognał Skotta. Przez ostatnie minuty błąkał się rozpaczliwie wśród drzew i zarośli. Musiał się zdać na własne wyczucie. I mieć nadzieję, że zmierza we właściwym kierunku.

Teraz doszedł do przerażającego wniosku, że o mały włos, a pogoń zakończyłaby się śmiercią Willa.

Na szczęście, MacHaddish mimowolnie dostarczył Horace'owi kluczową wskazówkę, która doprowadziła na właściwie miejsce. Kiedy Will schwycił rywala za zraniony prawy nadgarstek, wysoki, przepełniony bólem jęk wskazał Horace'owi drogę. Rycerz nie miał pojęcia, kto krzyczy, Will czy MacHaddish, obawiał się najgorszego. Nie zdziwiłby się, znajdując przyjaciela rozciągniętego na śniegu w kałuży krwi.

Kiedy dotarł na polankę, ujrzał obu walczących. Will dawał sobie radę. Od razu mu ulżyło. Ulga zmieniała się w grozę, kiedy zorientował się, że na wkroczenie do akcji ma najwyżej kilka sekund. Dobył miecza, należącego do ekwipunku rycerza jazdy, i runął przez

polankę. A potem wyrznął ciężką głownią w skroń MacHaddisha. Widok długiego sztyletu tuż przy gardle Willa przepełnił go taką furją, że pierwszy cios, tak na wszelki wypadek, poprawił drugim.

Z niepokojem oglądał zakrwawiony przód kamizeli Willa.

- W porządku? - spytał, zdejmując rękę z barków przyjaciela i odwracając go ku sobie. Szukał jakiejś rany.

Will się rozkaszał. Prawie zwymiotował. Rozumiał, że śmierć przeszła tuż, tuż. Nogi miał miękkie.

- Will! - Horace właściwie krzyczał. Niepokój nadał jego głosowi surowy ton. - W porządku?

Młody wojownik pospiesznie przesuwając dłońmi po piersi i brzuchu Willa. Starał się odszukać miejsce ewentualnego zranienia. Całe mnóstwo krwi zalało przód kamizeli, a przecież musiała ona skądś wypłynąć. Jednak Will, nadal w szoku, zareagował na pytanie złością.

- Oczywiście, że nie w porządku, durniu! - warknął. - Prawie mnie zatłukł. Nie zauważyłeś?

Próbował odtrącić badawcze dłonie Horace'a, lecz bez powodzenia.

- Gdzie cię trafił? - pytał rozgorączkowany Horace. Wiedział, że musi znaleźć źródło krwawienia. Trzeba powstrzymać krwotok. Był świadom, że rany zadane w brzuch oraz w korpus raczej nie groziły śmiercią. Lecz ani w okolicach brzucha, ani wyżej nie wyczuwał żadnego zranienia. Lęk przeszedł w przerażenie, gdy rany nigdzie indziej też nie znalazł.

- Daj mi spokój! - wrzeszczał Will, odsuwając się. - To krew MacHaddisha, nie moja!

Horace gapił się na druha. Nic nie rozumiał.

- Nie twoja? - bąknął.

- Nie. Spójrz na jego dłoń, tam, gdzie trafiła strzała! Ubroczył mnie, kiedy walczyliśmy. Ale ja jestem cały.

Ledwie opadła raptowna fala przerażenia, Horace, który doznał wielkiej ulgi, poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- To jego posoka? Czemu nie gadasz od razu? Nie widzisz, że odchodzę od zmysłów, widząc, że krwawisz jak zarzynane prosię!

- A niby dałeś mi szansę? - zachnął się Will. - Przyskoczyłeś do mnie, złapałeś, miotając mną jak jakąś kukłą!

Oczywiście, złość zwiadowcy nie była niczym innym niż nerwową reakcją na szok i uczucie strachu. Targały nimi potężne emocje.

- Wybacz! - odciął się Horace. - Daruj, że się o ciebie zamartwiałem. To się już więcej nie zdarzy!

- Gdybyś zjawił się nieco szybciej, problemu by nie było - odparował Will. - A w ogóle, to gdzieś ty łąził, u diabła?

- Gdzie ja, u diabła, łąziłem? Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? Prawie zwariowałem, usiłując cię znaleźć! Tak mi dziękujesz za uratowanie życia? Niech mi będzie wolno zauważyć, że nie zapowiadało się na to, byś miał sobie poradzić z tym tu oto naszym przyjacielem.

Trącił butem nieprzytomnego MacHaddisha. Skottyjski generał nawet nie jęknął. Do Willa dotarło raptem, że druh ma całkowitą rację. Zrobił skruszoną minę.

- Przykro mi, Horace. Masz słusność. Uratowałeś mi życie. Jestem ci szczerze wdzięczny.

- Cóż... - Teraz z kolei Horace, zażenowany, przestępował z nogi na nogę. Znał powód pozornej złości Willa. Oglądał taką samą reakcję u wielu żołnierzy, którzy otarli się o śmierć. Wiedział, że Will ani myśli demonstrować czarnej niewdzięczności.

- W porządku. Temat zamknięty. - Szukał wymówki, żeby skupić uwagę na czymś innym. Doskonały pretekst leżał nieprzytomny w śniegu.

- Sądzę, że lepiej zabrać go z powrotem do Grimsdell - mruknął. Pochylił się, chwycił Skotta za ramiona. Już miał go dźwignąć i zarzucić sobie na plecy, gdy dostrzegł, że z prawego nadgarstka mężczyzny wciąż sączy się krew. - Lepiej to obwiążmy, bo inaczej mnie też całego upaprze - dodał.

Nie zwlekając, odciął pas z kraciastego okrycia, owinął nim nadgarstek rannego. Następnie, z pomocą Willa, zdołał zarzucić sobie bezwładne ciało na ramię. Zmarszczył nos z odrazą.

- Z bliska nie pachnie różami, nieprawdaż? - skomentował.

Will wzruszył ramionami.

- Byłem zbyt zajęty, żeby zauważyć.

Rozejrzał się po polance, dojrzał sakwę do połowy zagłębioną w śniegu. Wydobył ją, dogonił Horace'a. Ruszyli w drogę powrotną, czyli do miejsca zasadzki.

- Dziękuję ci raz jeszcze, Horace - westchnął Will.

Horace wzruszył ramionami - na ile zdołał, gdyż musiał balansować MacHaddishem przewieszonym przez bark.

- Aha. Dobrze już, dobrze - sapnął.

Przez chwilę ciężko brnęli przez śnieg. Milczeli. Ale Will nie zdołał się jednak

powstrzymać.

- No, tylko nadal nie wiem, gdzieś ty się, u diabła, włóczył? - fuknął.

Rozdział 19

Oprócz nieprzytomnego generała jeszcze trzech ludzi ze skottyjskiego patrolu przeżyło zaciekły leśny bój. Dwaj wyszli z oparów bez szwanku, chociaż jeden zarobił ogromnego siniaka na szczęce w miejscu, gdzie trafił go Horace. Trzeci, który utracił mnóstwo krwi z powodu rozległej rany na ramieniu, wciąż pozostawał bez zmysłów.

Gundar, odzyskawszy świadomość po krótkim paroksyzmie bitewnego szału, rozkazał dwóm zdrowym Skottom sporządzić nosze dla omdlałego jeńca. Dźwigali go do chatki Malcolm. Po drodze odwołał Willa na stronę.

- Któryś dał drapaka - oświadczył. - Mogę wysłać za nim paru ludzi, jeśli sobie życzysz.

Will zawahał się. Skandianie byli wojownikami znakomitymi, ale niekoniecznie obdarzonymi talentem tropicieli. W ciemnościach raczej nie schwytają pojedynczego zbiega. Źle się stało, że ktoś z oddziału MacHaddisha uszedł, ale tak się niekiedy zdarza. W bitewnym rozgardiaszu łatwo jednemu człowiekowi wymknąć się i zniknąć, skacząc między drzewa. Szkoda, że Skott umknął, choć w gruncie rzeczy Will nie dostrzegał wielkiego problemu. Machnął ręką, wskazując MacHaddisha, którego Horace z cichym westchnieniem ulgi opuścił na ziemię.

- Mamy to, po co przybyliśmy - oznajmił. - Ruszamy. Tamten nie zdoła nam zaszkodzić.

Zmarszczył czoło w zadumie. Oby miał rację. Kiedy nosze już przygotowano, Horace ponownie dźwignął skottyjskiego generała na własne barki. Nils Ropehander zaoferował, że pomoże, ale Horace pokręcił głową.

- Teraz nie trzeba - odparł. - Na razie daję radę.

Jednak droga powrotna na polanę w Lesie Grimsdell trwała i trwała, więc skończyło się na tym, że Horace ze Skandianami dźwigali generała po kolei. Kiedy Nils przejął brzemień, Horace rozluźnił z ulgą ramiona. Pokręcił szyją, żeby ulżyć obolałym mięśniom.

- Co my pocniemy z całą tą zgrają? - szepnął pytająco do Willa, wskazując jeńców.

Will zwlekał z odpowiedzią.

- Pewnie trzeba zbudować jakiś ostrokół - wybąkał. - Na pewno musimy wystawić przy nich strażę.

Horace stęknął.

- A to się chłopcy ucieszą - mruknął, wskazując Skandian, którzy przodem maszerowali przez las, żartując i gawędząc między sobą. - Niekoniecznie marzą o trwonieniu czasu na służbę wartowniczą przy więźniach. Za bardzo lubią ucztować oraz pić.

Will wzruszył ramionami.

- Tak czy siak, należy coś wymyślić - stwierdził. - Spróbujmy sklecić jakieś okowy, kajdany, bo ja wiem co. Wówczas wystarczy jeden strażnik, który będzie miał na nich oko.

- Poradzimy sobie - przytaknął Horace.

Na polanę dotarli późno w nocy. Księżyc stał już wysoko na niebie, choć go nie widzieli, maszerując pod grubą osłoną listowia. Gdy wyłonili się spośród drzew, żarzące się wciąż jeszcze resztki szczap ze skandyjskiego ogniska rzucały migotliwy poblask na całą polanę. Okna w domku Malcolma także błyszczały. Frontowe drzwi otworzyły się i na zmroczniałą ziemię padł wydłużony prostokąt światła.

Malcolm wyszedł ku nim.

- Dowiedziałem się, że wracacie - wyjaśnił.

Will z Horace'em wymienili zmęczone uśmiechy.

- Powinniśmy wiedzieć, że nic się nie ukryje przed siecią twoich obserwatorów - westchnął Will.

Malcolm zrobił kwaśną minę.

- Stare nawyki - odparł. Mrużąc, zbliżył się do noszy, obejrzał półprzytomnego Skotta. - Zapraszam z nim do domu, tam go zbadam - polecił.

Gundar rzucił obojętne spojrzenie na pokiereszowanego jeńca.

- A po co się trudzić? Wróg to wróg - stwierdził.

Malcolm podniósł wzrok. Na widok reakcji Skandianina w źrenicach uzdrowiciela zapłonęły stanowcze iskierki.

- Dla mnie bez różnicy. Ranny to ranny - stwierdził.

Gundar przez chwilę spoglądał mu w oczy, potem wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz - burknął. - Ale gdyby mnie kto pytał, tylko tracisz czas.

Odeszli trochę dalej od domku. Malcolm, w blasku rozświetlającym okna, spostrzegł prowizoryczne opatrunki kilku Skandian. Natychmiast zrozumiał powód gruboskórnej reakcji Gundara. Kapitan martwił się o swoją załogę.

- Twoimi ludźmi także się zajmę - przeprosił skirla.

Gundar skinął na znak zgody.

- Byłbym wdzięczny.

Skirl, dumny aż do przesady, już miał co prawda na końcu języka ripostę, że Skandianie potrafią sami o siebie zadbać, jednak, w ostatniej chwili, uświadomił sobie, że pyskując, pozbawi swoich ludzi fachowej opieki. Malcolm znał się na uzdrowicielskiej robocie. Drobną satysfakcją ze zwycięstwa w słownej utarczce nie była warta narażania się na urazę ze strony gospodarza polany.

Skottyjski generał już jakiś czas temu odzyskał przytomność. Długo i głośno wyrzekał, że podróżuje niczym worek zboża, przerzucony przez ramię jakiegoś tam Skandianina. Teraz wszakże sterczał wśród nich, z rękoma związanymi za plecami. Will do krępowania użył własnych pęt na kciuki oraz grubego sznura, okręconego wokół szyi jeńca, co miało skutecznie wybić mu z głowy chęć ucieczki. Drugi koniec sznura przymocował do pasa Horace. Krępy generał wodził wokół żywym, inteligentnym spojrzeniem. Przypatrywał się wszystkiemu, ukazując chmurną twarz spod warstwy niebieskiej farby. Malcolm zerkał ku Skottowi z zainteresowaniem.

- Jak rozumiem, to jest MacHaddish? - zapytał.

Generał, rozpoznawszy własne nazwisko, spiorunował uzdrowiciela wzrokiem. Will przytaknął.

- Owszem - potwierdził. - I muszę rzec, że dał się nam nieźle we znaki.

W pamięci zwiadowcy odżył moment, kiedy na polance MacHaddish zbliżał mu nóż do gardła. Wzdrygnął na samo wspomnienie.

- Hmmm - mruknął Malcolm. Zauważył w oczach generała bystry, wyrachowany błysk. - Strach się do takiego odwrócić plecami. - Obejrzał prowizoryczny bandaż, którym Horace okręcił zranioną dłoń Skotta. - Na razie wystarczy - ocenił. - Później zajmę się nim porządniej. - Odwrócił się, zawołał: - Trobarze! Żelaza!

Potężna postać wyrosła na drugim krańcu polany. Olbrzym, stąpając ciężko, ruszył w ich stronę. Któryś ze skottyjskich jeńców aż cofnął się o krok. Mamrotał do siebie, zaskoczony widokiem niezwykle sylwetki. Trobar dźwigał kilka żelaznych łańcuchów. Will dostrzegł na końcu każdego z nich grubą, skórzaną obrozę.

- Pomyślałem, że to może się przydać. Powstrzyma jeńców od płatania figli - wyjaśnił Malcolm - więc po południu poleciłem Trobarowi, by je przygotował.

Will i Horace wymienili przelotne spojrzenia.

- Cieszę się, że ktoś o wszystkim zawczasu pomyślał - odetchnął Will. - Przez całą drogę powrotną główiliśmy się nad rozwiązaniem problemu jeńców.

Malcolm uśmiechnął się.

- Wy łapiecie. Ja trzymam - odparł. - Trobarze, skuj ich - dodał.

Skottyjscy wojownicy początkowo uchylali się przed zetknięciem z olbrzymem, ale gdy jeden ze Skandian ostrzegawczo na nich warknął, dali sobie założyć na szyje ciężkie obroże. Wspomagany przez dwóch Skandian, Trobar poprowadził więźniów, kierując się do olbrzymiego pnia zwalonego na skraju polany. Wbił w pień ogromne, żelazne klamry i przymocował do nich ostatnie ogniwa każdego z łańcuchów.

- Śnieg przestał padać, niech więc śpią na dworze - oznajmił Malcolm. - Są przyzwyczajeni. - Zerknął na MacHaddisha. - Sądzę, że chyba lepiej będzie, jeśli oddzielimy generała od pozostałych.

Horace zgodził się.

- Rozsądna myśl. Może dostać własny pień. Oto przywilej, należny z racji rangi - wycedził z uśmiechem.

Kiedy MacHaddish został unieruchomiony tą samą metodą, co i jego eskorta, kilku mieszkańców osady Malcolma wyłoniło się spośród drzew. Przynieśli strudżonym wojownikom jadło oraz napitek. Malcolm, wiedząc, co jest najważniejsze dla Gundara, zaopiekował się dwoma rannymi Skandianami. Starannie oczyścił ich rany, pokrył je leczniczą maścią, fachowo obandażował. Później opatrzył rannego Skotta, który wciąż nie odzyskiwał przytomności. Obmył ramię zranione toporem, delikatnie zszył krawędzie rany czystą nicią. Horace mocno krzywił się na widok igły przeszywającej ciało.

Kiedy Malcolm skończył, Trobar zaniósł Skotta na pryczę pod daszkiem na werandzie. Ułożył nieprzytomnego, okrył kocami. Następnie, na wszelki wypadek, założył mu na szyję obroże i umocował ją krótkim kawałkiem łańcucha do łóżka.

- Jeżeli zechce dokądś pójść, będzie musiał targać ze sobą łóżko - zauważył Malcolm z wesołym błyskiem w oku. - Wątpię, by czuł się na siłach.

Pozostali skottyjscy żołnierze, oparci o pień, do którego zostali przykuci, nakarmieni przez ludzi Malcolma, już poowijali się w wielkie tartanowe rulony. Dotąd zdążyli wyrobić w sobie filozoficzny spokój. Rozumieli własny status jeńców. Nie denerwowali się zbytnio. Rozsądnie rozumując, chyba nie zostaną zabici ani poddani torturom, skoro dotąd żadnego z nich nic groźnego nie spotkało. Wzorem wszystkich żołnierzy świata starali się wykorzystać każdą okazję do drzemki. Chrapanie jeńców rozniosło się po polanie.

Natomiast MacHaddish siedział sztywno przy drugim pniu. Bezustannie omiatał wzrokiem polanę.

- Trzeba go dobrze pilnować - zauważył Horace, przeżuując kęs delikatnej jagnięciny z rusztu, owiniętej kawałkiem miękkiego, płaskiego chleba. Siedzący w pobliżu Trobar mruknął coś, następnie przeniósł się, zajmując stanowisko parę metrów od MacHaddisha.

Wpił wzrok w generała. Czarno-biały kształt wyłonił się z cienia i bezszelestnie przemknął przez polanę. Owczarek dołączył do Trobara. Will prychnął.

- Do pełnienia straży pies pasuje jak ulał - zachichotał. - Ale na wszelki wypadek trzeba wystawić posterunki. Niech nasi pilnują więźniów przez całą noc.

Malcolm dołączył do reszty. Energicznymi ruchami ramion starał się rozluźnić mięśnie barków i pleców, zeszywniałe od pochylania się na rannymi.

- Trobar popilnuje go ze dwie godziny - powiedział. - Wy dwaj powinniście odpocząć. Ułożę listę z kolejnością wart.

Will chętnie przytaknął.

- Nie oponuję - odparł. - Dzisiejszy dzień dla wszystkich trwał nieco za długo. - Odwróciwszy się, ruszył na skraj polany, gdzie obaj z Horace'em rozstawili własne namioty. Raptem uderzyła go pewna myśl, więc zatrzymał się i obejrzał na uzdrowiciela.

- Kiedy zamierzasz go przemaglować? - spytał, celując kciukiem w postać przykutą do pnia. Generał siedział sztywno.

Malcolm nie wahał się ani chwili.

- Jutrzejszej nocy - oznajmił. - Drobną niespodzianką, jaką dla niego zaplanowałem, znacznie lepiej sprawdzi się w ciemnościach. Zamierzam zagrać mu troszeczkę na nerwach.

Rozdział 20

Will, siedząc ze skrzyżowanymi nogami przed swoim namiotem, grzał się w porannym słońcu. Ślęczał nad wiadomością, którą Alyss wysłała ostatniej nocy.

Mortinn - niegdyś pomocnik oberżysty, który przybył do Malcolma po tym, jak wylał się nań cały wrzątek z wielkiego kotła i okropnie zeszpecił nieszczęśnika - trzymał nocną wartę na skraju lasu. Pilnie notował porządek świetlnych sygnałów, które Alyss nadawała z okna celi. Wkradło się co prawda kilka pomyłek, ale, ogólnie rzecz biorąc, treść wiadomości dawało się odcyfrować.

Horace, beczynnie usadowiony przed własnym namiotem, walczył z pokusą, by podejrzeć przyjaciela. Jednak, ponieważ wiedział, jak wielką wagę Will przywiązuje do zachowania tajności kodu, oddalił się. Postanowił sprawdzić łańcuchy krepujące MacHaddisha oraz jego dwóch wojowników. Z satysfakcją stwierdził, że więzy trzymają bez zarzutu. Przystanął, poczochnął po głowie psa. Ciężki ogon pacnął kilka razy o ziemię. Owczarek czuwał przez całą noc, natomiast pilnujący jeńców ludzie zmieniali się co kilka godzin. Teraz, stwierdził Horace, straż trzyma znowu Trobar.

- Dobra robota, Blackie - pochwalił Horace.

Suka skwitowała pochwałę kolejnym pacnięciem ogona. Trobar łypnął gniewnie. Horace już się zorientował, że olbrzym na ogół milczy. Miał zdeformowane podniebienie, mówienie przychodziło mu z trudem, a słowa brzmiały tak niewyraźnie, że niełatwo je było zrozumieć. Jeśli ktoś usiłował się dopytywać, wprawiał wielkoluda w ogromne zakłopotanie. Jednak tym razem Trobar okazał się wystarczająco poirytowany, żeby zdobyć się na wysiłek.

- Nie Bla-i - wyrzucił z siebie.

Horace zawahał się, lecz doszedł do wniosku, że chyba wie, o co olbrzymowi chodzi. Zauważył już wcześniej, że Trobar ma kłopot z wymawianiem twardo brzmiących spółgłosek, takich jak „t” oraz „k”.

- Nie Blackie? - zaryzykował. Rozgniewany olbrzym energicznie przytaknął. Horace, nieco zbity z tropu, uczynił przeproszący gest. Pomyślał, że chyba każdy drwi z jego wyboru psiego imienia. - A więc jak ona ma na imię? - zapytał.

Trobar zawahał się. Następnie, z całych sił starając się wyraźnie wymawiać głoski, odpowiedział:

- Sha-thow. - W wypowiedzianym przez niego słowie w „th” krył się odległy ślad „d”.

Horace przez chwilę obracał w myślach słowa olbrzyma. Wreszcie zapytał:

- Shadow?

Twarz, wielka jak księżyc w pełni, rozjaśniła się w uśmiechu. Trobar z entuzjazmem kiwał głową.

- Sha-thow - powtórzył, zadowolony, że udało im się porozumieć.

Psi ogon znowu pacnął o ziemię, gdy wielkolud wypowiedział nowe imię. Horace przyjrzał się suce. Rzeczywiście, potrafiła sunąć z brzuchem tuż przy ziemi i poruszać się bezgłośnie jak widmo. Shadow. Czyli cień.

- Muszę przyznać, że to inteligentny pomysł - olbrzym naprawdę zaimponował rycerzowi.

Trobar raz jeszcze przytaknął.

- Le-pij ni-śli Bla-i - wyjąkał, stanowczo odrzucając poprzednie imię.

Horace, trochę jednak zły, uniósł brwi. Powtórzył dla pewności:

- Brzmi lepiej niżli moje Blackie, powiadasz?

Trobar raz po raz kiwał głową. Horace wzruszył ramionami.

- Każdy tutaj ma się za znawcę - parsknął. Odwrócił się, sprawdzając, czy Will już skończył odszyfrowywanie zakodowanej wiadomości. Oddalił się, a za jego plecami wciąż brzmiał głęboki, dudniący śmiech Trobara.

Will właśnie wkładał notkę do wewnętrznej kieszeni, kiedy wrócił Horace.

- Co tam u Alyss? - zapytał rycerz.

Will odruchowo rzucił okiem na rozszyfrowany zapis. Tak na wszelki wypadek, bo przecież dopiero co odczytał wiadomość.

- Przede wszystkim chciała nas powiadomić o wizycie MacHaddisha. Mam także coś dla Ormana. Niestety, obawiam się, że jego ojciec nie żyje.

Twarz Horace'a spochmurniała.

- Keren kazał go zabić?

Will wzruszył ramionami.

- Nie bezpośrednio. Śmierć nastąpiła bardziej wskutek wypadku niż z innych przyczyn, ale w sumie lord zmarł z winy Kerena. Alyss twierdzi, że teraz kłamka już zapadła. Keren się nie podda. Wszystko postawił na sojusz ze Skottami. Musi doprowadzić plan rebelii do końca.

- Nie sądzę, by Alyss знаła ten plan - domyślił się Horace.

Will nie oponował. Ale dorzucił:

- Jeśli nam się poszczęści, dzisiejszej nocy Malcolm wydobędzie z MacHaddisha zasadnicze fakty - odparł.

Jednak Horace miał co do tego poważne wątpliwości.

- Nie liczyłbym zbyt na Malcolma. Ten generał wygląda mi na twardą sztukę. A tak w ogóle, co Malcolm zamierza?

- Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie dowiemy się dziś w nocy. Na razie muszę jakoś przekazać Ormanowi wieść o śmierci ojca.

Wstał bez pośpiechu, ponownie zerknął na kartkę z wiadomością, jak gdyby chciał z niej wyczytać łatwy sposób na przekazanie Ormanowi bolesnej nowiny. Horace położył wielką łapę na ramieniu przyjaciela.

- Idę z tobą - stwierdził.

Potrzeby nie było, w niczym nie mógł polepszyć sytuacji. Jednak uznał, że obecność bliskiej osoby doda Willowi otuchy. Druhowi potrzeba oparcia.

- Dzięki - westchnął Will. Ruszyli razem na przełaj przez polanę.

MacHaddish, bacznie obserwował każdy ich ruch. I spoglądał w ślad za tymi dwoma.

Gdy Will przyniósł wiadomość o śmierci Syrona, Orman siedział w chatce wraz z Malcolmem i Xanderem. Orman przyjął to, co nieuchronne, ze spokojną rezygnacją.

- Alyss donosi, że przynajmniej nie cierpiał - bąknął Will. Starał się uczynić złą nowinę łatwiejszą do zniesienia. - Wedle jej słów, pod koniec był nieprzytomny. Po prostu zgasł.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś - odrzekł Orman. - Byłem na to przygotowany. Wyczuwałem coś... jakąś pustkę, stratę. W głębi serca domyśliłem się, że ojciec nie żyje.

Natomiast oczy Xandera od razu napęłniły się łzami. Przebywał w rodzinie Syrona od chłopięcych lat. Xander, z natury skłonny służyć innym, teraz płakał nie z powodu przywiązania do rodziny władców Macindaw. W każdym razie nie przede wszystkim dlatego. Cierpiał raczej wskutek utraty sensu istnienia. Po śmierci Syrona mały człowieczek stracił bowiem wytyczony jasny cel. Jakby odjęto mu rękę lub nogę.

Chociaż przez kilka ostatnich miesięcy pracował jako sekretarz Ormana, serce sługi domu Macindaw pozostawało nieodmiennie przy Syronie. Już wcześniej, obserwując Xandera w różnych okolicznościach, Will oraz Horace zauważyli, iż przywiązanie do starego lorda tkwiło w nim bardzo głęboko, zrastając się właściwie z naturą Xandera.

Teraz sekretarz usiłował opanować sytuację na własny sposób. To znaczy szukał sposobu, aby potrzebę służby przenieść na Ormana. Xander odtąd oficjalnie i na stałe musiał

uznać potomka zmarłego lorda za nowego pana.

- Panie, czego byś sobie życzył? Co powinienem dla ciebie zrobić?

Orman łagodnie poklepał sekretarza po ramieniu.

- Dziękuję ci, Xanderze. Wiem, że zawsze wiernie mu służyłeś. Ty również potrzebujesz czasu, by przeżyć żałobę. Wszak ojciec mój był twoim panem, zanim ja się nim stałem. Przez jakiś czas nie kłopotz się zatem o mnie.

Twarz małego sekretarza jakby zapadła się na ich oczach. Orman zrozumiał, że Xander najlepiej poradziłby sobie ze stratą, wypełniając polecenia nowego pana.

- Wszelako - rzucił - dobrze by mi teraz zrobiła duża czarka herbaty. Jeżeli nie sprawiłbym ci zbyt wielkiego kłopotu. - Twarz Xandera pojaśniała. Perspektywa jakiegoś zajęcia przywróciła mu poczucie życiowej normalności.

- Już podaję, panie! - oznajmił. Potoczył wzrokiem po pozostałych. - Ktoś jeszcze? - zapytał.

Will i Horace ukryli zaskoczenie. Przez kilka ostatnich dni mały sekretarz zachowywał się okropnie. Nie rozumieli go. Za to Malcolm świetnie rozumiał, że Xander musi sobie znaleźć jakieś zajęcie.

- Ja także chętnie bym się napił, Xanderze, jeśli można - poprosił łagodnym głosem.

Xander kilkakrotnie pokiwał głową. Podreptał w kierunku kuchni, z werwą zacierając łapki.

- Co zaplanowałaś na dzisiejszą noc? - zapytał Malcolma Will, kiedy sekretarz wyszedł z izby.

- Na wschód stąd, niedaleko, znajduje się polana - wyjaśnił Malcolm. - Obecnie moi ludzie czynią tam pewne przygotowania.

Horace zamyślił się, marszcząc brwi. Już od jakiegoś czasu zastanawiał się, jak Malcolm zamierza wydusić z MacHaddisha odpowiedzi na ich pytania.

- Nie podzieliłbyś się z nami nieco większą liczbą szczegółów? - spytał.

Uzdrowiciel przyjrzał mu się uważnie. Jego zazwyczaj życzliwa twarz była teraz wyzbyta wszelkiego wyrazu.

- Planuję wykorzystać przesady oraz lęki. Skottowie, w tym MacHaddish, wierzą w czeredę potworów i oddają cześć tłumowi nadprzyrodzonych istot. Teraz więc ja spróbuję zaprząć ich demony do roboty.

- A ty je znasz? - Orman przypatrywał się uzdrowicielowi z zaciekawieniem.

Malcolm skromnie wzruszył ramionami.

- Cóż, znam. Jeden z moich ludzi za młodu mieszkał za północną granicą. Nieobce mu

są skottyjskie demony. Rozumie tamtejsze strachy. - Zwrócił się nagle do Willa, bo wpadła mu do głowy pewna myśl. - Chyba będę potrzebował na dzisiejszą noc kilku Skandian w charakterze strażników - powiedział. - Zapytaj Gundara, czy możemy zabrać dwóch albo trzech jego najbardziej łatwowiernych i zabobonnych żeglarzy.

- Zwrócę się do wodza - Will zgodził się, choć nie bez wątpliwości. - Dlaczego prosisz o takich? Nie przydaliby się nam jacyś bardziej rozzębieni?

Malcolm pokręcił przecząco głową.

- Przerażenie karmi się przerażeniem. Jeżeli MacHaddish spostrzeże wystraszonych Skandian, łatwiej da się sam nastraszyć. Lepiej, żeby ludzie Gundara nie udawali.

Powrócił Xander, niosąc na tacy czarki z parującą herbatą. Najpierw podsunął tacę Ormanowi. Lord ujął ostrożnie naczynie.

- Dziękuję ci, Xanderze - powiedział. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Xander uśmiechnął się, a trzeba pamiętać, że rozradowaną twarz sekretarz pokazywał niezwykle rzadko. Will z Horace'em wymienili zdumione spojrzenia. Obaj mieli świadomość, że właśnie wzięli praktyczną lekcję budowania przywództwa i autorytetu.

- Ja też ci dziękuję - dodał Malcolm, gdy nadeszła jego kolej. Z satysfakcją upił łyk, po czym zwrócił się do Willa oraz Horace'a: - Przypuszczam, że wy dwaj przyjdziecie w nocy popatrzeć?

- Oczywiście - zapewnił go Will. - Nie przegapilibyśmy takiego widowiska za żadne skarby świata.

Malcolm pokiwał głową.

- Domyślałem się. Polecę Trobarowi, by was sprowadził, gdy nadejdzie właściwa pora. Sam wyruszam na polanę wkrótce, bo trzeba jeszcze przygotować kilka rekwizytów. - Zerknął na czarkę, uśmiechnął się. - Zabieram się stąd, gdy tylko dopiję tę wyborną herbatę.

Rozdział 21

Trobar prowadził mały oddział typowym dla Grimsdell traktem. Ledwie dwumetrowej szerokości zarośnięta ścieżka, miejscami zwężająca się jeszcze, wila się między potężnymi drzewami, których korony majaczyły w górze. Baldachim, utworzony z gałęzi, liści oraz pnączy, splatał się nad szlakiem tak gęsto, że zasłaniał gwiazdy.

Gdzieniedzie mijali tajemne symbole oraz ostrzegawcze znaki - poczesne miejsce wśród nich zajmowały czaszki i kości. MacHaddish wydawał się w najmniejszym stopniu nie przejmować okropieństwami, które wywoływały liczne, pełne zaniepokojenia komentarze wszystkich trzech Skandian.

Willem najbardziej wstrząsnął fakt, że las trwa pogrążony w złowieszczej ciszy. Żadnych odgłosów, żadnej krzątaniny nocnych zwierząt w leśnym poszyciu, żadnego miękkiego, świszczącego dźwięku skrzydeł nietoperzy pośród drzew, żadnego trzepotu sów. Nic. Kompletnie nic.

A jednak cisza nie oznaczała braku życia. Wręcz przeciwnie. Czuli wokół dojmującą intensywność istnienia - odnosili nawet wrażenie, że z nieprzeniknionej ciemności, tuż za kręgiem światła padającego z pochodni, które niosą, śledzą ich jakieś oczy. Las zdawał się uosabiać potężne, pradawne zło. Will zadrżał. Szczelniej owinął się opończą. Tłumaczył sobie, że ciemność i cisza wywołują dziwaczne myśli. Po prostu. Niczego w puszczy nie trzeba się obawiać. Wiedział doskonale, że zjawy, które teraz wyrastały przez jego oczami i te, które atakowały jego uszy wtedy, gdy za pierwszym razem zjawił się w Grimsdell, to tylko sprytne sztuczki Malcolma. A jednak... przecież las rósł w Grimsdell od wieków, istniał na długo przedtem, nim uzdrowiciel tu przybył. Kto wie, jakie pradawne zło czyhało na wędrowców, skryte głęboko w korzeniach drzew, tam gdzie nigdy nie dociera rozgrzewające, oczyszczające słoneczne światło. Ukradkiem zerknął na Horace'a. Maszerował tuż obok. W blasku pochodni zasępiona twarz przyjaciela zbladła. On także poddaje się atmosferze, pomyślał Will.

Mijali kolejne zakręty. Trobar kroczył na czele, MacHaddish tuż za nim. Kiedy wyruszali, wielkolud oderwał łańcuch MacHaddisha od pnia zwałonego drzewa, do którego generał przyczepiony był poprzedniej nocy, i przymocował go do mniejszego pniaka. Oto prosty sposób zapewniający bezpieczeństwo konwoju. MacHaddish nie spróbuje ucieczki.

Wystarczyło, aby Trobar rzucił potężny kawał drewna na ziemię. Wówczas MacHaddish, zamiast truchtać, pełzłby niezdarnie.

Trobar niósł pniak, korzystając z jednej tylko ręki, zupełnie jakby bawił się piórkami. Horace i Will doskonale wiedzieli, że ktoś inny zużyłby wszystkie siły, by w ogóle dźwignąć taki ciężar. Trzej Skandianie podążali tuż za skottyjskim generałem, z obnażoną bronią, gotową do użycia na pierwszy sygnał, że wróg coś knuje. Woleli zresztą zachować gotowość także na inny wypadek. W każdej chwili mogły przecież zadziałać siły nadprzyrodzone.

Will i Horace zamykali pochód.

- Jak daleko jeszcze do tej polany? - szepnął Horace.

Ciemny las przytłaczał. Mrok zdawał się dusić. Horace z radością powitałby skrawek czystego nieba nad głową oraz odrobinę przestrzeni wokół. Przynajmniej odetchnąłby swobodniej.

Will wzruszył ramionami.

- Uzdrowiciel zapewniał, że niedaleko. Tylko droga bardzo się wiję. Przez te zakręty możemy iść i iść.

Trobar odwrócił się, łypnął. Słyszając stłumione głosy, przyłożył palec do warg. Kazał zachować absolutną ciszę. Will z Horace'em śpiesznie zerknęli na siebie. Jednocześnie wzruszyli ramionami. I skończyli z gadaniem.

Przeszli znowu kilka metrów. Trobar wzniosł rękę, pochód się zatrzymał. Olbrzym wpił wzrok w mrok. Próbował przy blasku pochodni przeniknąć wzrokiem ponurą otchłań wokół. Pozostali instynktownie naśladowali wielkoluda. Will po raz pierwszy dostrzegł, że MacHaddish traci niewzruszony dotąd spokój. Wodził niespokojnie wzrokiem tu i tam, kierował spojrzenie najpierw na Trobara, a potem wpatrywał się w otaczającą ciemność.

Tak czy inaczej ten człowiek ma nerwy ze stali, pomyślał Will. Skandianie mruczełi coś pod nosem aż do chwili, kiedy rozdrażniony Trobar odwrócił się do nich i gestem nakazał milczenie. Ruszył naprzód, po chwili znowu się zatrzymał. Niepokój przewodnika udzielił się reszcie grupy. Willowi zdawało się, że coś czai się za ich plecami w ciemnościach. Obrócił się natychmiast i spojrzał. Poza kręgiem światła rzucanego przez pochodnię nie zobaczył nic. Tylko czerń.

Wtedy rozległy się głosy.

Usłyszeli niskie, rytmiczne sapanie - oddech jakiejś potężnej istoty. Dobiegało z boków oraz z tyłu. Potem przed nimi. Później po prawej. Włosy stanęły Willowi dęba. Las daje znak, pomyślał. On żyje. Otrząsnął się wściekle, pragnąc zrzucić z siebie te bzdury. Przecież wiedział, jakim sposobami Malcolm rozprawdza dźwięk po lesie. Uzdrowiciel

zademonstrował mu system tub, którymi się posługiwał, żeby przesyłać i wzmacniać dźwięki. Gdzieś tam w mroku, jak wytłumaczył sam sobie Will, przebywa Luka - pomocnik Malcolma o baryłkowatej piersi - który dyszy schylony, wysyłając dźwięk do rozmaitych punktów lasu, dzięki systemowi tub ukrytych w rozmaitych skrytkach pośród drzew.

Oddech ścichł równie raptownie, jak się pojawił. Trobar podjął marsz, MacHaddish oraz trzej Skandianie niechętnie ruszyli za nim. W przeblysku olśnienia Will uświadomił sobie, że dąsy olbrzyma i okazywana przezeń niepewność to przecież gra. Obserwowali znakomite aktorstwo - Trobar świetnie odgrywał zdenerwowanie, niepewność, wahanie. Malcolm tłumaczył im już wcześniej, że strach jest bardzo zaraźliwy. Fakt, że potężny, przypominający gargulca Trobar okazuje lęk, wystarczy, by inni wpadli w popłoch.

Przewodnik znów się zatrzymał, ponownie obrócił ku nim twarz. Starął się przekazać ostrzeżenie. Kręcił głową na wszystkie strony. Nasłuchiwał. Dźwięk dobywał się zewsząd i znikąd. Zamiast dyszenia słyszeli teraz głębokie westchnienia - przewlekły, dobiegający z głębi trzewi charkot.

Trobar obejrzał się do tyłu na mały oddziałek; oczy giganta rozszerzyło przerażenie.

- Żzzwa-wo! - wychrypiał. Następnie, na wypadek gdyby go nie zrozumieli, ruszył wzdłuż szlaku wielkimi, szurającymi krokami.

Zaskoczony MacHaddish stał w miejscu przez sekundę, może dwie. Spóźnienie spowodowało, że łańcuch przymocowany do obroży umocowanej na szyi generała napiął się gwałtownie. Szarpnięcie omal nie urwało więźniowi głowy. Skott z trudem się otrząsnął. Starając się odzyskać równowagę, zataczał się, obijał o drzewa. Wiedział, że jeżeli się potknie, Trobar nie poczeka. Włóklby jeńca na łańcuchu, aż obroża by go zadusiła.

Skandianie nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Pomknęli za generałem. Skott zataczał się raz po raz, trącali go więc włóczniami, starając się przynaglić nieszczęśnika do szybszego biegu. Niech gna albo schodzi im z drogi. Will z Horace'em po krótkiej chwili wahania ruszyli w pościg za resztą. Na nierównej drodze potykali się co chwila o korzenie i dziury. Pochodnie skwierczały, sypały się potoki iskier, a młodzieńcy starali się nadażyć za resztą.

Will powtarzał sobie bezustannie, że wszystko, co się tutaj dzieje, to zwykle sztuczki, sprytna iluzja. Wiedział, że Malcolm wraz z pomocnikami spędzili cały dzień na przygotowaniach do przedstawienia. Ale chociaż logika podpowiadała zwiadowcy, że nie ma się czego obawiać, chłodny, mroczny las napełniał go uczuciem grozy.

Chrapliwy jęk ustąpił, przechodząc w gardłowy śmiech. Las zdawał się wyrażać pogardę dla nędznej próby ucieczki.

Z przodu dobiegało schrypnięte jąkanie Trobara, który nieustannie ich popędzał. Will obejrzał się przez ramię, ale blask pochodni umożliwiał obserwację ledwie w promieniu metra. Zwiadowcę znowu ogarnęło poczucie nieodpartej grozy. Miał wrażenie, że coś wielkiego, nieprzyjaznego czai się w nocnym mroku za jego plecami. Zaczepił stopą o wystający korzeń, wskutek czego zatoczył się do przodu. Jednak zanim runął na ziemię, poczuł dłoń Horace'a. Rycerz chwycił go za ramię, stawiając do pionu.

- Patrz, gdzie leziesz!

Strach był zaraźliwy, przekazywali go sobie wzajemnie. Will w podwyższonym głosie Horace'a wyczuł lęk. Z kolei rycerz zauważył, z jaką trwogą Will zerka za siebie. Cenili się nawzajem za ogromną odwagę. Myśl, że Horace okazuje przerażenie, potęgowała lęk Willa. I odwrotnie. Horace, spoglądając na wylękłego zwiadowcę, bał się jeszcze bardziej. Noc, ciemność, wąska, kręta ścieżka - wszystko wzmagало strach. Obydwu zagarnął w swe posiadanie wiekuisty lęk, który karmi się tym, co nieznanne i co czyha w ciemności.

W nocnym mroku rozbrzmiał inny głos. Śmiech ustąpił miejsca pulsującemu, pozbawionemu słów warkotowi. Wyczuwali niepokój zmieszany z nienawiścią. Ów dźwięk nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Coś, co oczekiwało ich tam, w głębi lasu, znudziło się zabawą w kotka i myszkę. To coś zamierzało podejść, pragnęło zabijać.

W momencie najwyższego przerażenia pojawiło się światło. Wypadli na otwartą przestrzeń polany. Głosy z lasu stopniowo cichły. Wędrowcy przystanęli. Stali przez chwilę ze zwieszonymi głowami, rozpaczliwie chwyając oddech. Polana miała ledwie dwadzieścia metrów średnicy, lecz nad głowami oglądali wreszcie nocne niebo. Prawdziwa ulga po gonitwie między napierającymi zewsząd, groźnymi ścianami drzew. Pośrodku polany płonęło nieduże ognisko. Przytłaczająca ciemność lasu zdawała się podwajać blask. Przybysze instynktownie zbliżyli się do ognia, postrzegając płomienie jako bezpieczny azyl.

Niespodziewanie w kręgu światła, pomiędzy nimi a ogniskiem, wyrosła jakaś postać. Stała, unosząc dłoń w powszechnie zrozumiałym geście odpychania. W migotliwym świetle ogniska rzucała długi, falujący cień.

Will poznał Malcolma. Jednak tym razem dostrzegł nie łagodnego, współczującego uzdrowiciela, którego znał dotąd. Przeciwnie, znienacka zwiadowcy objawił się zupełnie inny Malcolm. Odziany w długą czarną szatę, przyozdobioną złotym wzorem z wyobrażeniem księżycy, gwiazd oraz komet. Na głowie nosił wysoki, cylindryczny kapelusz o płaskim dnie, z wąskim rondem biegnącym parę centymetrów powyżej dolnej krawędzi. Kapelusz, wykonany z gładko wypolerowanego srebra, odbijał czerwony poblask ognia. Przy każdym ruchu głowy Malcolma na drzewach wokół polany powstawały osobliwe, tańczące, świetlne

refleksy.

Kapelusz, przydając Malcolmowi wzrostu, równocześnie stapiał się z postacią. Oglądali więc smukłą, imponującą figurę, znacznie przewyższającą wzrostem nawet Horace'a. Twarz Malcolma, wymalowana czernią i srebrem w nieznane im wzory, pozostawała całkowicie ukryta. Widzieli tylko przerażającą maskę oraz płonące oczy.

Rozpostarł ręce. Will dostrzegł rękawy długiej szaty, rozszerzające się przy mankietach, zwisające niczym skrzydła nietoperza. Gdy się odzywał, przemawiał głosem surowym, zaczepnym, władcym, o nosowym pobrzmieniu. Ów głos w niczym nie przypominał łagodnego, przyjaznego głosu uzdrowiciela. Szarpał nerwy, sprawiał, że słuchacz - choćby nie chciał - czuł się nieswojo.

Will błyskawicznie zrozumiał, że nie ma przed sobą Malcolma. Znaleźli się teraz w królestwie Malkallama.

Rozdział 22

- Trobarze, ty głupcze! - wydarł się Malkallam na skulonego ze strachu pomocnika. - Tłumaczyłem ci, że masz tu być, nim wzejdzie księżyc. Zanim on się obudzi!

Zatoczył ręką łuk w stronę opasującego polanę ciemnego kręgu drzew. Z oddali znów dobiegał głęboki, złowrogi śmiech. Trobar zwiesił głowę. Okazywał wstyd i lęk.

- Wy-acz, pppa-nie - wyjąkał żałośnie olbrzym.

W płonących oczach czarnoksiężnika nie znalazł przebaczenia.

- Wybaczyć? Wybaczenie na nic się nie zda, głupcze. Obudziłeś go, a teraz ja muszę nas wszystkich obronić. - Skandianie przysłuchiwali się wymianie zdań z szeroko otwartymi oczyma. Być może bardziej nawet niż wędrówka przez upiorny las oraz tajemnicze pojawienie się Malkallama przerażało ich bezduszne potraktowanie Trobara. Skandianie przebywali w osadzie dostatecznie długo, by wiedzieć, że Malcolm zwykle odnosi się do wielkoluda życzliwie i przemawia do niego łagodnie. Teraz stała przed nimi całkiem inna osoba. Will, odzyskawszy częściowo spokój ducha po przeprawie przez las, przyglądał się widowisku spod zmrużonych powiek. Domyślał się, że Malcolm oraz Trobar odgrywają swe role przed MacHaddishem. Jeżeli tak właśnie było, robili to znakomicie. Will zerknął na Horace'a. Spostrzegł, że jego podejrzenia znajdują potwierdzenie w oczach przyjaciela. Porozumiewawczo wzruszył ramionami, zachowując kamienne oblicze. Lepiej, by MacHaddish nie doszukał się w ich twarzach żadnych wątpliwości. Nachylił się bliżej do Horace'a i szepnął:

- Gramy swoje role.

Horace przytaknął. Malkallam usłyszał szept. Przyskoczył, wyciągnął prawą dłoń, której wskazujący palec, przyozdobiony został długim szponem. Szpon celował w nich niczym strzała.

- Milczeć, durnie! Nie pora na pogaduszki, gdy Serthrek'nish nie śpi!

Na dźwięk tego imienia MacHaddish zareagował. Wydał mimowolny okrzyk przerażenia, padł na kolana, skulony nad ciężkim pniakiem, upuszczonym przez Trobara. Malkallam stanął nad generałem.

- Tak, MacHaddish. Mroczny demon Serthrek'nish przebywa w moim lesie. Obserwuje nas nawet w tej chwili. Znasz go, jak sądzę? Znasz tego rozpruwacza ciał? Znasz

tego wyrывacza kończyn? Znasz tego szczerzącego czerwone kły zabójcę?

Przerwał. Z ust Skotta dobywał się zdławiony szloch. Mężczyzna wciąż pochylał się nad pniem, do którego przymocowany był jego łańcuch. Uparcie nie podnosił wzroku - jak gdyby lękał się, co ujrzy.

Malkallam nieubłaganie przemawiał dalej:

- Jedynie blask mojego ognia powstrzymuje go przed wkroczeniem na tę polanę. Wszakże Serthrek'nish nie da się długo zwodzić. Właśnie teraz gromadzi w sobie odwagę. On wie, że płomienie przygasają.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa z ciemności otaczającej polanę dobiegł gardłowy śmiech.

MacHaddish poderwał głowę. Nawet z odległości kilku metrów Will bez trudu obserwował białka wytrzeszczonych, przerażonych oczu, odcinających się od niebieskiego tła farby pokrywającej twarz.

- Nie ma czasu do stracenia. Potrzebny nam trójkąt obronny. - Malkallam nie zwracał uwagi na wgapionego weń generała. Skinął, przywołując pomocnika: - Trobarze! Podprowadź tych ludzi tutaj!

Trobar powiodł Skandian na skraj polany, w miejsce wskazane przez pana. Wilki morskie, zbliżając się do ciemnej ściany drzew, omiatały pnie lekliwymi spojrzeniami. Mężczyźni woleliby pozostać na środku, w pobliżu ogniska.

- Siadać - rozkazał Malcolm.

Za przykładem Trobara usiedli na wilgotnej ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Uzdrowiciel chodził dokoła, mamrotał niezrozumiałe zaklęcia, usypywał wokół nich wielki krąg z czarnego proszku, który dobywał z worka.

- Nie dotykać kręgu - ostrzegł. - Złodziej dusz nie zdoła was tknąć, jeśli krąg pozostanie nieprzerwany. - Skinął na Willa oraz Horace'a, by przeszli w inną część polany. Will spostrzegł, że trzy miejsca na polanie - jedno, gdzie siedzieli Skandianie i Trobar, drugie, gdzie kulił się MacHaddish, oraz to, w którym Malkallam umieścił jego i Horace'a - tworzą trzy wierzchołki trójkąta, mniej więcej równobocznego. Trójkąta obronnego, o którym mówił czarnoksiężnik.

Malkallam dał im znak, żeby usiedli. Ponownie usypał krąg z czarnego proszku. Znow zaczął mamrotać zaklęcia, obchodząc ich wokół. Pośród pomruków, nie zmieniając tonu ani nie nasilając głosu, cicho zwrócił się do nich:

- Żadnego zgadywania, co wyprawiam. Żadnych komentarzy. Po prostu zostaliście śmiertelnie wystraszeni.

Will skinął głową. W odpowiedzi dostrzegł nieomal niezauważalny ruch kapelusza Malkallama. Uświadomił sobie, że mag zgłasza rozsądną uwagę. Gdyby on oraz Horace rozsiedli się tu jakby nigdy nic, gdyby zabrali się za tłumaczenie sobie nawzajem praktyk Malcolma, prysnęłaby atmosfera, jaką on starał się stworzyć. To tak, jakby podczas występu magika ktoś z widowni stale powtarzał innym widzom: „chowa rekwizyt w rękawie” za każdym razem, gdy magik demonstruje sztuczkę.

Malkallam - w takiej scenerii prawie niemożliwe było myśleć o nim jako o Malcolmie - odsunął się. Usypał ostatni czarny krąg dokoła MacHaddisha. Skott już nieco doszedł do siebie. Teraz przyglądał się, jak czarnoksiężnik sieje wokół niego czarnym proszkiem. Ukończywszy krąg, Malkallam napotkał spojrzenie generała.

- Jesteś bezpieczny, póki czarny krąg nie został przerwany - oznajmił. - Rozumiesz, co mówię?

MacHaddish pokiwał głową, z trudem przełykając ślinę. Twarz Malkallama spochmurniała.

- Gadaj głośno! - rozkazał. - Potwierdź, że rozumiesz!

- Ja... rozumiem - odpowiedział Skott.

Mówił z silnym akcentem, słowa z trudem dawało się rozpoznać. Will uniósł brwi. Skott odezwał się po raz pierwszy, odkąd go pojмали - i po raz pierwszy ujawnił, że zna aralueńską mowę. Chociaż, pomyślał Will, nie miałyby większego sensu posyłać na negocjacje z Kerenem kogoś, kto nie mówi po aralueńsku.

Will uświadomił sobie także, iż MacHaddish nie tylko przemówił, ale zrobił to w odpowiedzi na wydany przez Malcolma rozkaz. Wydawało się więc, że uzdrowiciel zaczyna przejmować kontrolę nad upartym Skottem. Will posłał szybkie spojrzenie Horace'owi. Młody rycerz, schyliwszy czoło, siedział ze spuszczoneym wzrokiem. Zwiadowca zdał sobie sprawę, że sam okazuje zbytne zaciekawienie. Wziął przykład z przyjaciela. Także opuścił głowę, naciągając głębiej kaptur opończy. Z twarzą skrytą w cieniu kaptura mógł dyskretnie przypatrywać się działaniom Malkallama, a nikt nie widział jego twarzy.

Tymczasem wysoka postać przemierzyła polanę wielkimi krokami. Jej kapelusz migotał, rzucając na drzewa srebrne refleksy. Mag podpierał się długim kosturem z tarninowego drewna. Drewno było sękatę i przez lata mocno wygładzone od nieustannego używania. Czarnoksiężnik wznosił kostur.

- Trójkąt z czarnych kręgów gotów! - zakrzyknął w stronę lasu. - Oto trzymam w ręku święte berło wytoczone z czarnego drewna. Serthrek'nishu, mamy ochronę przed tobą.

W odpowiedzi spośród drzew dobiegł ich gniewny warkot. Raptem, na południowej

stronie polany, tam skąd przybyli, pojawił się rozbłysk czerwonego światła. Coś zapłonęło między drzewami. Błysk za chwilę powtórzył się, choć tym razem bliżej, okrążając polanę ku zachodowi.

Malkallam oddalił się od drzew. Przeszedł w stronę centrum polany. Will rozglądał się po reszcie gromadki. Trobar wraz ze Skandianami siedzieli we własnym kręgu. Wytrzeszczonymi oczyma wypatrywali kolejnego rozbłysku światła albo jakiegoś ruchu. MacHaddish zachowywał się tak samo. Will zerknął na Malcolma. Uzdrowiciel uważnie obserwował MacHaddisha. Gdy już miał pewność, że uwaga Skotta została rozproszona, sięgnął w zanadrze szaty. Z wewnętrznej kieszeni wyjął mały pakuneczek. Przesunawszy się bliżej ogniska, upuścił dyskretnie paczuszkę na żarzące się szczapy.

Między drzewami pokazał się kolejny czerwony rozbłysk, przemieszczając się teraz ku północno-zachodniej stronie polany. Później, w miejscu gdzie zniknął, tuż za linią drzew, uniosła się z ziemi cienka zasłona mgły.

Malcolm znów się cofał. Zmierzał w kierunku skulonego MacHaddisha.

- Nie zbliżaj się, Serthrek'nishu! - zawołał. - Płomienie ogniska wraz z trójkątem mocy zakazują ci wstępu na tę polanę!

Gdy tylko skończył mówić, z ogniska strzelił czerwony jęzor. Najpierw oglądali nagły błysk czerwieni, który po chwili zastąpiła mgła. Opar dobywał się z boku ogniska, z prawej strony, gdzie - jak zauważył Will - Malcolm zaledwie przed chwilą cisnął maleńką paczuszkę.

Wstrząśnięci Skandianie, Trobar, a także MacHaddish wrzasnęli wspólnym głosem. Will oraz Horace z pewnym opóźnieniem dołączyli do chóru. Po chwili, gdy dziwna czerwona mgła przykryła ognisko, płomienie zaczęły zanikać, jak gdyby coś tłumilo ogień. W miarę, jak płomienie przygasały, polana pogrążała się w mroku. Wysoka sylwetka Malcolma rzucała na ziemię zdeformowany, wydłużony cień. Drzewa zdawały się przybliżyć i napierać.

- Na szpony Gorloga! - wykrzyknął któryś ze Skandian. - Cóż to za diabelstwo?

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku, który Skandianin wskazywał wyciągniętą ręką. W gęstej mgle snującej się pośród drzew, po północnej stronie polany, ujrzeli raptowny rozbłysk czerwonego światła.

Jednak tym razem błyskało coś więcej niż tylko światło. Z oparów wyłaniała się potworna, drgająca we mgle twarz. Pokazała się ledwie na moment i zaraz znikła, ale pozostawiła niezatarte wrażenie, wbijając się w pamięć. Trójkątna twarz o pustych skośnych oczodołach i o czarnych ustach wygiętych w pożądliwym grymasie. Między wargami sterczały długie kły. Zwichrzona broda zakrywała podbródek, włosy kłębiły się, tworząc czerwony kołtun, wśród kudłów widać było wygięte rogi.

Gdy twarz znikła, makabryczny śmiech rozdarł noc. Śmiech zdawał się okrążyć drzewa wokół polany. Oczy zgromadzonych mężczyzn mimowolnie śledziły, jak się przemieszcza. Usiłowali wypatrzeć, kto wydaje ten ohydny dźwięk.

Po chwili, wysoko na niebie, twarz pojawiła się znowu. Tym razem jarzyła się, jak gdyby rozświetlała ją wewnętrzne światło. W jakiejś chwili zaczęła pikować, błyskawicznie zbliżając się ku ziemi, po czym znów poszybowała przez polanę, na powrót kryjąc się między drzewami. Tam eksplodowała, znikając w kaskadach iskier. Zapadła ciemność, która wydawała się jeszcze mroczniejsza.

Malcolm wzdygnął się, gdy zjawa przemknęła mu tuż nad głową, następnie bezskutecznie próbował trafić ją swoją laską z tarninowego drewna. Zatoczył się, padł na kolana. Potem, nie wypuszczając kostura z dłoni, raz jeszcze wycelował go w stronę obłoku mgły, gdyż w nim raz jeszcze ukazała się upiorna, rechocząca twarz.

- Idź precz, Serthrek'nishu! Zabraniam ci wstępu! Precz!

Twarz zniknęła. Ale świadkowie już po chwili wydali kolejny okrzyk przerażenia. Dostrzegli nowe widziadło: olbrzymia postać, czarna, migająca w kłębach mgły - czy raczej, jak uświadomił sobie Will, widoczna na powierzchni mgły - nabierała kształtu. Uformował się potężnie zbudowany wojownik, dźwigający na głowie olbrzymi hełm z rogami i dzierżący topór o wyszczerbionym ostrzu. Sylwetka wojownika wznosiła się nad nimi przez mgnienie oka, by zaraz potem się rozwiać.

Nocny Wojownik, pomyślał Will. Już wcześniej, nad brzegiem czarnego jeziora, obserwował tę postać. Prawie od razu zniknęła - tak prędko, że mężczyźni skupieni na polanie zaczęli się zastanawiać, czy w ogóle coś im się ukazało.

Ognisko zmieniło się w kupkę wypalonych drzew. Malcolm chwiejnie podniósł się z kolan. Uważał, by przez cały czas tkwić wewnątrz trójkąta, który stworzył. Wycelował czarną laską, wyrażając otaczającym drzewom.

- Nie zbliżaj się, ostrzegam cię! - zakrzyknął.

Jednak między drzewami pojawiła się następna seria czerwonych błysków oraz światła. Okrążały polanę, rzucały gigantyczne, powykręcane cienie na splechotek otwartej przestrzeni - cienie pojawiały się i znikły w jednym mgnieniu oka. Równocześnie po raz pierwszy usłyszeli Serthrek'nisha. Odezwał się głosem niskim, donośnym. Ten głos mroził krew w żyłach.

- Płomienie zgasły. Moc trójkąta osłabła. Zabiorę krew któregoś z was.

Jeden ze Skandian zaczął się podnosić. W kurczowo zaciśniętych dłoniach ścisnął topór bojowy. Wyciągnięta ręka Malcolma osadziła śmiałka, nim się wyprostował.

- Nie ruszaj się ze swego miejsca, głupcze! - Głos uzdrowiciela zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia. - On mówi, że chce jednego, i tylko jednego. Może sobie wziąć Skotta.

- Nie-e-e-e-e! - rozległ się przeciągły, pełen bólu wrzask MacHaddisha.

Dla Skandian demoniczna czerwona twarz oznaczała co prawda przerażającą zjawę, lecz nic więcej. Dla MacHaddisha zaś twarz bożka uosabiała samo sedno strachu. Kryła w sobie wszelkie lęki ludu Skottów, wpajane jeszcze w dzieciństwie. Pożeracz ciał, rozpruwacz, wrywacz członków - Serthrek'nish oznaczał to wszystko, a nawet znacznie więcej. W skottyjskich przesądach demon ów uosabiał czystą postać zła. Serthrek'nish nie tylko zabijał swoje ofiary. On kradł dusze, wrywał ludziom całe jestestwo, karmił się Skottami, by samemu rosnąć w siłę. Jeżeli Serthrek'nish dorwał czyjąś duszę, odbierał tym samym jej posiadaczowi szansę na życie w zaświatach, niszczył wszelki spokój u kresu długiej wędrówki przez góry.

Po ofierze nie pozostawały żadne wspomnienia. Jeżeli ktoś został zabrany przez Serthrek'nisha, wszelka pamięć o nim ulegała nieuchronnemu wymazaniu z umysłów jego krewnych.

W Świąto Zmarłych, gdy rodziny modliły się za swoich przodków i składały im dary, ofiary demona otaczała pusta przestrzeń. Dusze, które pożarł Serthrek'nish, przez całą wieczność błąkały się zagubione, pozbawione jakiegokolwiek nadziei.

Usłyszawszy słowa uzdrowiciela, MacHaddish wiedział, że staje bynajmniej nie tylko w obliczu okropnej śmierci. Groził mu wieczny niebyt. Podniósł wzrok na zaciętą twarz Malkallama. Czarnoksiężnik zbliżał się w jego stronę.

- Nie - błagał Skott. - Proszę. Oszczędź mi tego.

Na próżno. Tarninowa laska poruszyła się, zaczęła wolno wydrapywać przerwę w kręgu z czarnego proszku, który otaczał MacHaddisha. Skott gorączkowo próbował odbudować magiczne zamknięcie, dłonią przesypywał usunięty proszek z powrotem, ale wysiłki zakończyły się tylko poszerzeniem wyrwy. Łkał, oddech wiązał mu w gardle. Łzy skrajnego przerażenia wyłobily ścieżkę w niebieskiej farbie na jego twarzy.

Straszliwe oblicze na nowo wychynęło z mgły, jakby bardziej wyraźne. Zamigotało, przybladło, znowu zniknęło.

- Serthrek'nish nadchodzi - rzucił Malkallam. Kostur maga zburzył jeszcze kilka centymetrów kręgu.

MacHaddish zezował na pokrytą farbą twarz czarnoksiężnika. Do tej pory stracił ostatnie już resztki dumy. Nieugięty skottyjski generał przestał istnieć.

- Dlaczego? - jęknął.

Kostur przerwał swoją pracę.

- Mogę cię oszczędzić - oznajmił Malkallam głosem gładkim jak jedwab. - W zamian ofiaruję mu mojego olbrzyma.

Na te słowa natychmiast rozległo się rozpaczliwe wycie Trobara.

- Nie, pppa-nie! Pro-szsz! - wykrzykiwał Trobar chrapliwym, łamiącym się głosem.

Malkallam nie zważał na giganta. Nie odrywał oczu od Skotta.

- Ale co otrzymam w zamian, jeżeli cię oszczędzę? - zapytał.

MacHaddish, już na kolanach, pochylił głowę do przodu tak nisko, aż dotknęła ziemi. Przez cały czas uważał jednak, by pozostawać wewnątrz kręgu, jak zauważył Will.

- Wszystko - odparł Skott. - Dam ci wszystko, czego zażadasz, tylko trzymaj demona z dala ode mnie.

Laska Malkallama raz jeszcze przybliżyła się do cienkiej, czarnej kreski. Dotknęła jej, przegarniając ziarenka czarnego proszku, z których usypany był krąg, pomału je rozdzielała i celowo formowała przerwę. Generał wpatrywał się w drgający czubek kostura. Obserwował, jak jego bezpieczne schronienie powoli się rozsypuje.

- Błagam - odezwał się głosem chrapliwym od strachu.

Kostur przestał się poruszać.

- Powiedz mi - nakazał stanowczym tonem Malcolm - co planujecie wspólnie z Kerenem.

Rozdział 23

MacHaddish pospiesznie podniósł wzrok. Gdy generał usłyszał, czego się odeń chce, na jego twarzy odbiło się podejrzenie pomieszane z lękiem. Oczekiwał od czarnoksiężnika zupełnie innych życzeń - wynikających z żądy bogactwa czy władzy. Podzielenie się informacjami to ostatnie, czego spodziewałby wśród warunków Malkallama.

- Zadałem ci proste pytanie - ciągnął Malkallam. - Opowiedz mi, co zaplanowaliście.

Chociaż strach trzymał wnętrzności MacHaddisha w lodowatym uścisku, dyscyplina, którą dawno temu wpojono w wojownika i wodza, teraz dała o sobie znać. Ujawnienie takich planów nie mogło oznaczać nic innego, jak tylko zdradę. Szczeka generała zacisnęła się stanowczo. Skott wstrząsnął przecząco głową.

Lecz kostur Malkallama od razu podjął nieubłaganą pracę, niszcząc krąg ochronny. MacHaddish znał ludowe wierzenia własnej nacji. Doskonale wiedział, że czarny krąg stanowi jedyną skuteczną ochronę przeciwko Serthrek'nishowi. I wiedział też, że przerwa w kręgu szeroka choćby na tyle, by demon mógł wsunąć do środka dłoń, będzie oznaczała jego kres.

Serthrek'nish wywlecze go, wrzeszczącego, poza krąg, zabierze w głąb czarnej nocy pod drzewami - a potem w jeszcze czarniejszy mrok.

Patrzył, jak przerwa się poszerza. Kierująca nim przez całe życie lojalność oraz dyscyplina zmagaly się z wpajanymi przez całe życie przesadami - aż wygrały przesady. Generał wyciągnął rękę, chwycił za koniec kostura, powstrzymując jego nieubłagany ruch.

- Wyjaśnij mi, co dokładnie pragniesz wiedzieć - odezwał się cichym głosem. Barki przygarbił w geście porażki.

- Wasze plany ataku - odparł Malcolm. - Ilu waszych nadciaga? Kiedy zamierzają tu dotrzeć?

Skott nie wahał się dłużej. Zdecydował się zdradzić powierzona mu tajemnicę. Dalsze kluczenie nie miało więc żadnego sensu. Uznał, że lepiej od razu skończyć z najgorszym.

- Na początek dwustu ludzi, z klanów MacFrewin, MacKentick oraz MacHaddish. Dowodził będzie Caleb MacFrewin, przywódca najważniejszego klanu.

- Plan zakłada zajęcie Zamku Macindaw oraz wtargnięcie w głąb lenna Norgate, czy tak?

MacHaddish przytaknął.

- Macindaw stanie się naszą bazą, uczynimy z Zamku własną twierdzę. Gdy już wpadnie w nasze ręce i przestanie nam zagrażać, korzystając z osłony, stopniowo sprowadzimy przez górskie przełęcze coraz więcej i więcej ludzi.

Usadowieni kilka metrów dalej, Will i Horace wymienili zatroskane spojrzenia. Obaj zdawali sobie sprawę, jakie zagrożenie stanowi armia dwustu zbrojnych, bezkarnie kręcących się po lennie. Zresztą pierwszych dwustu to ledwie przednia straż. Kiedy uchwycą przyczółek, nadciągną kolejni.

Potrzebna byłaby wielka armia, żeby ich stamtąd wykurzyć. W dodatku taka armia musiałaby przybyć z południa. Trwałoby miesiące, nim król Duncan zdołałby wreszcie zebrać wystarczające siły i dotarł z nimi na Północ. Skottowie solidnie by się tymczasem umocnili. Wypędzenie ich z powrotem przez przełęcze na wyżyny Picty mogłoby się okazać niewykonalne, zwłaszcza jeżeli oparciem najeźdźców stałby się Zamek Macindaw. Jeśli nie uda się zdusić najazdu w zarodku, z pewnością rozgorzeje wojna. Będzie się ciągnęła latami, a zwycięstwo wojsk Araluenu wcale nie będzie pewne. Jeśli Skottowie zdobędą Zamek Macindaw, już teraz należałoby wziąć mapy Araluenu oraz Picty i przesunąć granicę dzielącą oba kraje o pięćdziesiąt kilometrów na południe.

O tym, że Skottowie szykują się do ataku na Araluen, wiedzieli wcześniej. Pozostawało jedno jedyne pytanie, wciąż domagające się odpowiedzi. Odpowiedź mogła zaś przesądzić o przyszłości Norgate.

- Kiedy? - Malcolm zadał to właśnie pytanie.

MacHaddish zawahał się znów. On także wiedział, równie dobrze jak miejscowi, że chodzi o kluczową kwestię. Przez chwilę lojalność brała górę nad strachem.

Nie na długo. Malcolm poruszył laską trzymaną w garści. Ponownie przysunął jej czubek ku cienkiej, czarnej linii.

- Trzy tygodnie - wyrzucił z siebie MacHaddish. - Trzy tygodnie, licząc od wczoraj. Caleb MacFrewin już zbiera klany. Właśnie maszerują ku granicy. Trochę czasu zajmie im przebycie przełęczy i ponowne zebranie szyków. Staną w Macindaw za trzy tygodnie.

Malcolm cofnął się o krok. Przyglądał się skulonej u jego stóp postaci. Widział przygarbione barki, spuszczone oczy. Wyraz twarzy generała świadczył o poczuciu całkowitej klęski. MacHaddish był już teraz człowiekiem złamanym - kimś, kto zaprzedał honor. Malcolm nie zamierzał jednak napawać się własnym sprytem. Ani myślał ujawniać MacHaddishowi, że został wyprowadzony w pole. Nie kierowało nim współczucie, lecz świadomość, że może nadejść chwila, gdy będą potrzebowali od generała więcej informacji.

- Dziękuję - rzucił po prostu.

Wyjął woreczek z wewnętrznej kieszeni szaty, pochylił się, dosypał czarnego proszku. Naprawił wyrwę, którą uprzednio wydrapał w kręgu.

Następnie szybkim krokiem podszedł do dymiących szczątków ogniska i cisnął na drwa jeszcze jedno zawiniątko. Rozległo się ciche „Puf!”. W jednej chwili jaskrawożółte płomienie rozgorzały na nowo, strzelając wysoko w ciemne niebo nad Lasem Grimsdell. Malcolm spojrzął na trzech skamieniałych ze zgrozy Skandian, którzy z przerażeniem przyglądali się poczynaniom czarnoksiężnika.

- Jesteśmy bezpieczni - oznajmił. - Teraz Serthrek'nish nie zdoła wejść do trójkąta.

Słyszac to, Skandianie odetchnęli z głęboką ulgą. Chwył palców, kurczowo zaciskających się na orężu, nieco zelżał. Chociaż, zauważył Will, żaden z wojowników nie odłożył broni.

Nagle, zza pleców Malcolma, dobiegł nieoczekiwany odgłos.

MacHaddish łkał. Ze wstydu, czy czując ulgę? Tego już nikt nie potrafił odgadnąć.

Resztę długiej, ciemnej nocy spędzili na polanie. Malcolm co jakiś czas, wedle własnego uznania, podsycił płomienie tajemniczymi substancjami, które zabrał ze sobą. Starał się tym sposobem uwiarygodnić złudzenie, które stworzył na użytek MacHaddisha.

Kiedy błądy świt rozjaśnił niebo nad wierzchołkami drzew, wojownicy zaczęli się przeciągać. Prostowali zeszytywniałe kości, szykując się do powrotu na Polanę Uzdrowiciela.

Maszerowali w milczeniu. Nawet w dzień Grimsdell prezentował swe złowrogie oblicze. Ponury las nie zachęcał do czezej paplaniny, w dodatku zdarzenia ostatniej nocy wciąż zaprzętały ich pamięć.

Oczy wędrowców rozjaśniły się dopiero wtedy, gdy wyszli na otwartą przestrzeń Polany Uzdrowiciela. Skandianie powitali towarzyszy okrzykami, natomiast skottyjscy żołnierze z zaciekawieniem zerkali na swojego generała. MacHaddish odwrócił wzrok. Opadł na kolana, bez sprzeciwu pozwolił Trobarowi ponownie przymocować łańcuch do większego pnia. Wyniosłość oraz duma zniknęły. Załamał się zupełnie.

Jeszcze nim opuścili polanę demonów, Malcolm zmył czarnoksiężski makijaż i zrzucił płaszcz maga. Od razu przebrał się w codzienną szarą szatę. Kiedy wrócili, natychmiast ruszył w stronę chatki. Po drodze skinieniem zaprosił Willa oraz Horace'a.

- Porozmawiamy - zaproponował. - Orman z pewnością niecierpliwi się, wyczekując nowin.

Młodzieńcy bez szemrania weszli do domku. W ciepłej izbie uzdrowiciel z

zadowoleniem siadł na jednym z rzeźbionych, drewnianych krzeseł.

- Uff, od razu lepiej - sapnął, z wyraźną ulgą w głosie. - Robię się za stary na takie igraszki. Nie macie pojęcia, jakie wyczerpujące bywa brykanie po lesie i udawanie czarnoksiężnika.

Niezgrabnie wiercił się na krześle. Starał się znaleźć taką pozycję, aby dawać wytchnienie raz jednej, raz drugiej połowie ciała. Krzywił się przy tym mocno.

- Nigel w pewnej chwili za nisko opuścił latającą głębę. Omal nie urwał mi nią głowy, więc musiałem gwałtownie uskoczyć. Chyba nadwyrężyłem plecy - wyjaśnił z kwaśną miną.

Słyszając, że już wrócili, Orman z Xanderem wyszli z sąsiedniej izby. Lord przebiegał po wędrowcach wzrokiem, przenosząc kolejno spojrzenie na każdego z przybyłych. W końcu zapytał:

- Jak rozumiem, wyprawa okazała się owocna?

Malcolm tylko wzruszył ramionami. I od razu pożałował zbędnego wysiłku. Albowiem plecy znów zaczęły go porządnie rwać.

- Można by tak całą rzecz ująć - za gospodarza odpowiedział Horace. - Malcolm wyciągnął od generała wszystko: nazwiska, liczby oraz datę planowanej inwazji. Cała sprawa zajęła mu niespełna dwadzieścia minut - dodał z podziwem. - Na dokładkę napędził niezłego stracha MacHaddishowi, a przy okazji również naszym skandyjskim przyjaciołom.

Malcolm podziękował mu z lekkim uśmieszkiem.

- Nie masz nic więcej do dodania?

Zakłopotany Horace prychnął.

- Prawdę mówiąc, mnie także zrobiło się nieswojo - wyznał.

- I mnie - dorzucił Will. - Chociaż akurat ja wiem, jak powstaje większość iluzji.

- Cóż, miałeś nade mną przewagę - wytknął przyjacielowi Horace. - Jeśli o mnie chodzi, bałem się z każdą chwilą bardziej.

- Demoniczna gęba ukazująca się we mgle oraz wywoływanie monstrualnie wielkiego wojownika to twój normalny magiczny repertuar, prawda? - Will zwrócił się do Malcolma.

Horace aż syknął.

- Rzeczywiście, zupełnie normalny magiczny repertuar! - mruknął sam do siebie pod nosem.

Malcolm nie zwracał uwagi na rycerza, za to chętnie odpowiedział na pytanie Willa. Odczuwał uzasadnioną dumę z budowy urządzeń niezbędnych do tworzenia iluzji, więc nie potrafił się oprzeć pokusie, by odrobinę się pochwalić.

- Zgadza się. Mgła służy dwóm celom. Zapewnia mi swego rodzaju ekran do

wyświetlania obrazów, ale również rozprasza i zniekształca wizje na tyle, że nigdy nie można się im wyraźnie przyjrzeć. Gdyby MacHaddish patrzył trochę uważniej, pewnie dostrzegłby, jakie proste sztuczki stosuję. Bo w gruncie rzeczy liczy się siła sugestii. Widz dośpiwuje sobie to, czego nie widzi. Efekt pokazu zazwyczaj okazuje się daleko bardziej upiorny, niż zdołałbym wymyślić w najśmielszych nawet marzeniach.

- Światła wśród drzew też już widziałem - brnął dalej Will. - Bądź co bądź, korzystamy z nich, gdy wysyłamy wiadomości dla Alyss. Lecz jak zrobiłeś latającą gębę?

- Jak zrobiłem gębę? Myślę, że udała mi się wcale niezgorzej, nawet jeśli w pewnej chwili za jej przyczyną prawie zostaliśmy zdekonspirowani. Nigel i ja spędziliśmy po południu sporo czasu, by ją zawiesić. On jest bardzo zdolny, choć ma dopiero siedemnaście lat. Gęba to zwyczajny papierowy lampion. Na powierzchni papieru wymalowałem grubymi, czarnymi krechami gębę. Podwiesiliśmy lampion na sznurze rozciągniętym nad polaną. W ciemnościach sznura nie widać. Chodziło mi o to, by gęba opadła ku ziemi, a potem znikła między drzewami po drugiej stronie polany.

- Ale ona... Wydawało się, że roztrzaskuje się wśród chmury iskier - wtrącił Will.

Malcolm z zapalem przytaknął.

- Tak, zaprezentowałem wam drobną sztuczkę z pewną chemiczną substancją, którą poznałem przed laty. Połączenie siarki i saletry oraz... - Zawahał się. Duma dumą, ale nie zamierzał dzielić się wszystkimi sekretami. - Oraz trochę tego i owego - mówił dalej. - Powstaje związek, który gwałtownie się spala albo wybucha, gdy się go zamknie w pojemniku.

- Myślę, że dla MacHaddisha gęba stała się kroplą, która przepelniła czarę. To okazało się naprawdę bardzo skuteczne - przyznał Horace, przypominając sobie, jak czerwony kształt zlatuje z nieba, przemyka przez polanę, wreszcie rozpada się, sypiąc deszcz iskier wśród wierzchołków drzew.

- Przez gębę moja gra o mały włos nie wyszła na jaw - podkreślił Malcolm. - Jak już mówiłem, gęba opadła niżej, niż się spodziewałem. Niewiele brakowało, by trafiła we mnie. Gdyby do tego doszło, zaplątałbym się w sznurki i mógłbym podpalić sobie płaszcz. MacHaddish ujrawszy coś takiego, zapewne bez trudu zorientowałby się, na czym polega cały postęp.

- Często tak właśnie się dzieje - przyznał Will. - Porażkę od sukcesu dzieli ledwie krok.

- Fakt - zgodził się Malcolm.

Orman cierpliwie wysłuchał omówienia wydarzeń ubiegłej nocy. Wreszcie uznał, że

nadeszła pora na kilka szczegółów.

- Jak przedstawia się nasza sytuacja? - zapytał.

- Niedobrze - odparł Horace. - Gotowy do walki oddział dwustu Skottów przybędzie za niecałe trzy tygodnie.

- Czyli musimy zająć Macindaw, zanim oni tam dotrą - wtrącił Will.

Orman, Xander oraz Malcolm pokiwali zgodnie głowami. To było dla wszystkich oczywiste. Dopiero Horace niemile ich zaskoczył.

- I aby tego dokonać, trzeba nam setki dodatkowych ludzi - oznajmił.

Rozdział 24

- A gdyby tak przypuścić nocny szturm? - zaproponował Will. - Może jednak poradzilibyśmy sobie, dysponując skromniejszym oddziałem?

Horace sceptycznie pokręcił głową.

- Trzeba przewagi liczebnej, by utrzymać obrońców w szachu. Noc czy dzień, bez różnicy. Musimy mieć więcej ludzi niż oni.

Łamali sobie głowy od wczesnego ranka, ale jak dotąd żadnemu nie zaświtał choćby cień pomysłu, który pozwoliłby rozwiązać problem. Dwaj przyjaciele postanowili jeszcze raz udać się na skraj lasu, kierując się do miejsca, skąd dobrze widać zamek. Należało sprawdzić, czy z bliska wyłapią jakieś słabe punkty obrony.

Zostawiwszy konie o parę metrów od granicy drzew, pieszo pokonali tę samą trasę, którą zwiadowca odbył, kiedy podejmował próbę uwolnienia Alyss. Zachodzili od strony wschodniej, idąc swobodnie drogą, dopóki biegła obniżeniem, wprawdzie niewielkim, ale wystarczającym, by nie wypatrzył ich wzrok obserwatorów pełniących straż na zamkowych umocnieniach. Wreszcie droga skręciła, wyprowadzając piechurów na szczyt pagórka. Wtedy obaj przyklęknęli. Posępny Zamek Macindaw wznosił się o niecałe dwieście metrów przed nimi. Will miał wrażenie, że spogląda na kucającego, przyczajonego potwora.

Zwiadowca, krzywiąc się niemiłosiernie, skubał kępki suchej, zmrożonej trawy, która przebijała spod śniegu.

- Czy ty zawsze musisz na wszystko kręcić nosem? - warknął. - Opuść sobie czasami.

Horace odwrócił się niespiesznie w stronę druha. Spojrzenie, jakim obrzucił Willa, zwiadowca dobrze znał.

- Nie na wszystko kręcę nosem i czasami sobie odpuszczam - wytłumaczył. - Ja po prostu biorę pod uwagę fakty.

- Weź więc pod uwagę także inne fakty - zasugerował Will.

- Willu, nie lekceważ argumentów tylko dlatego, że ci one nie w smak - zirytował się Horace. - Niepodważalnym zaś argumentem jest, że sztuka oblegania zamków zalicza się do dziedzin wiedzy ścisłej. Została w każdym szczególe usystematyzowana. Przez lata prób, pomyłek, przez wieki gromadzenia doświadczeń spisywano jej zasady. Reguły sztuki oblężniczej już dawno ustalono. Jeżeli zamierza się oblegać zamek, trzeba posiadać znacznie

więcej atakujących niż czeka na nich broniących. Nie mniej. Faktów nie podważysz, bez względu na to, czy ci się podobają, czy nie.

- Wiem, no przecież wiem - westchnął Will, sam coraz bardziej poirytowany. - Ja tylko czuję, że w stwierdzeniu: „potrzebujemy trzy razy tylu atakujących, niż jest obrońców”, tkwi jakiś haczyk.

- Potrzebujemy cztery razy tylu - poprawił go Horace.

Will machnął ręką.

- Dobrze, cztery razy tylu! „I wtedy wygramy bitwę”. To wyklucza jakiegokolwiek fortele, odbiera sens inteligencji i sprowadza wszystko do suchych liczb. A co z pomysłowością? Co z wyobraźnią? Przecież one także stanowią część strategii.

Horace wzruszył ramionami.

- W pomysłowości oraz wyobraźni specjalizujesz się akurat ty. Ja nie.

Tu leżał pies pogrzebany. Will miał świadomość, iż kiedy szło o planowanie bitwy, ludzie oczekiwali od zwiadowców pomysłowości, a także inwencji. Dlaczego więc akurat jemu wciąż brakuje konceptu? Odkąd Horace przybył z południa, Will nie zbliżył się ani na krok do żadnego sensownego rozwiązania. Lichy ze mnie zwiadowca, pomyślał z goryczą.

Szczególnie zaś złościło go niejasne wrażenie, że coś tam mu się przecież majaczy, coś świta w odległym zakątku umysłu. I wciąż się wymyka. Chodziło o wydarzenie lub słowa, jakie dotarły doń w ciągu kilku ostatnich dni. Ale o co konkretnie? Za żadne skarby nie potrafił skojarzyć, w czym rzecz. Wrażenie nieporadności dręczyło go więc jeszcze bardziej.

- Cóż, jednego się właśnie dowiedzieliśmy - skwitował Horace. - Jeżeli ich zaatakujemy, to z pewnością nie od tej strony.

Will przytaknął. Należałoby bowiem pokonać zbyt wielki spłacheć otwartego terenu, zanim można byłoby rozpocząć atak. Oddział, który wyłoniłby się spod osłony lasu, obrońcy zamku mieliby przed sobą jak na patelni.

W ataku od tej strony zabrakłoby elementu zaskoczenia, stwierdził Will. Zanim atakujący dotarliby pod mury, nawet co trzeci mógłby paść od strzał kuszników.

Horace chyba czytał w myślach przyjaciela, bo wykorzystał kolejną okazję, żeby jeszcze raz wskazać właściwy punkt widzenia.

- Oto kolejny dowód, że należy posiadać przewagę liczebną - stwierdził. - Stracilibyśmy bardzo wielu ludzi, atakując na wprost, przez otwarte pole. Jak tutaj.

Will skinął ponuro.

- Już dobrze - westchnął. - Zrozumiałem.

Zmrużył powieki, żeby wyostrzyć wzrok. Spojrzał w górę, na okno celi Alyss. Ciężka zasłona, której używano jako ochrony przed wiatrem, była odsunięta. Okno wyglądało niczym czarny prostokąt wyrysowany w murze z szarego kamienia. Zdawało mu się w pewnej chwili, że dostrzega mignięcie czegoś białego, jak gdyby ktoś właśnie przeszedł obok okna. Może Alyss.

- Dostrzegłeś coś? - zapytał.

Horace, który uważnie przyglądał się mostowi zwodzonemu oraz bramie, obejrzał się z zaciekawieniem na mówiącego.

- Co niby miałbym dostrzec?

- Zdawało mi się, że coś mignęło w oknie wieży - wyjaśnił Will. - Białą kształt, jakby Alyss przechodziła - dodał ze smutkiem.

Horace popatrzył. Żadnego ruchu. Okno znów zmieniło się w czarny otwór wyrysowany na murze. Wzruszył ramionami.

- Pewnie ona - przyznał. Rozumiał rozczarowanie Willa. Przykro wiedzieć, że Alyss znajduje się ledwie dwieście metrów od nich, a obaj są bezsilni. W żaden sposób nie umieją teraz pomóc kurierce. Horace zdawał sobie sprawę, że zwiadowca przeżywa prawdziwe katusze. Jak gdyby porzucił przyjaciółkę w obliczu zagrożenia.

- Szkoda, że nie możemy wysłać żadnego znaku - westchnął Will. - Choćby po to, żeby wiedziała, iż tu jesteśmy. Pewnie by się ucieszyła.

- Problem w tym, że przy okazji dałbyś znać także Kerenowi. Niekoniecznie trzeba go ostrzegać. Po co ma wiedzieć, że obserwujemy zamek. Lepiej trzymać wroga w niepewności.

- Wiem - zgodził się strapiiony Will. - Wyślę jej wiadomość dziś w nocy. Żeby wiedziała, że nie zapomnieliśmy.

Horace postanowił jakoś odwrócić uwagę przyjaciela od przygnębiających rozważań. Obejrzał się ku południowej stronie. Tam, bliżej zamku, również rozciągał się odkryty teren.

- Południe ani trochę do ataku nie lepsze - stwierdził. - Jakież pomysły?

Wciąż przykucnięci, zawrócili. Szli mocno schyleni. Aż ponownie znaleźli się poniżej szczytu wzniesienia. Wtedy wstali, otrzepali wilgotny śnieg z kolan oraz łokci. Will wskazał na zachód.

- Spróbujmy sprawdzić drogę od zachodniej strony - zaproponował. - Las rośnie tam znacznie bliżej murów.

- W porządku, rozejrzyjmy się - zgodził się Horace.

Wrócili do koni, pojechali na północ. Starali się nie przekraczać granicy lasu, bo zacieniony leśny teren chronił ich przed wzrokiem obserwatorów ustawionych na zamkowych

murach. Horace z każdym stąpieniem końskich kopyt coraz bardziej wątpił w powodzenie misji. Zamek wydawał się nie do zdobycia. Nawet gdyby dysponowali znacznie większym oddziałem, mieliby nadal twardy orzech do zgryzienia. Skoro zaś pod komendą zgromadzili mniej niż trzydziestu zbrojnych, młody rycerz nie widział sposobu, by osiągnąć cel. Zastrzeżenia zachował dla siebie, gdyż znał reakcję Willa. Wyczuwał w dodatku rozdrażnienie nękające druha. Horace wierzył w jego umiejętność pokonywania problemów zdawałoby się nierozwiązywalnych. Bądź co bądź, Will zaliczał się do członków Korpusu i został wyszkolony przez Halta, uznawanego za najwybitniejszego ze wszystkich zwiadowców. Zaś Horace wiedział, że zwiadowcy miewają oszałamiająco błyskotliwe pomysły, które na pozór brały się znikąd. Obserwował już wcześniej Willa w akcji, orientował się, co potrafi. Teraz również wyczuwał, że właśnie kiełkuje jakiś koncept. Po prostu należało poczekać, aż przyjaciel dostrzeże i rozwinie zaczątek pomysłu.

Skoro zaś tak, Horace nie powinien obciążać Willa własnymi wątpliwościami co do szans na zwycięstwo. Bo i po co.

Musiało się powieść. Uda się, gdyż działają dla Alyss i dla całego Królestwa. Kiedy za trzy tygodnie Caleb MacFrewin przeprowadzi przez ten las swoich dwustu wojowników, musi zastać Zamek Macindaw w rękach garnizonu gotowego stawić czoło wyzwaniom.

Wtedy Skottom przyjdzie rozstrzygać podobne problemy, z jakimi teraz borykają się Horace i Will. Ściągną co prawda dostatecznie liczny oddział, który zdołałby przeprowadzić działania oblężnicze, jednak nie zgromadzą ani zapasów niezbędnych do długiego oblężenia, ani specjalnych machin oblężniczych, ani broni. Bo we wcześniejszych planach nie przewidzieli konieczności zdobywania Macindaw. Zakładają, że kiedy przybędą, zamek będzie się już znajdować w ich rękach, więc bez przeszkód wtargną na niziny Araluenu, łupiąc i plądrując, bez troski o zabezpieczanie tyłów.

Tego samego ranka, tylko wcześniej, Xander, w towarzystwie jednego z ludzi Malcolma, opuścił Grimsdell. Podróżowali pieszo, omijając patrole Kerena strzegące szlaków. Kiedy już upewnią się, że nic im nie zagraża, spróbują kupić, a w ostateczności nawet ukraść konie z któregoś okolicznego gospodarstwa. Xander miał przekazać do Zamku Norgate pisemną relację o sytuacji w Macindaw oraz o skottyjskich planach najazdu. Raport został podpisany przez Ormana oraz przypieczętowany herbowym sygnetem pana zamku. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, obrońcy lenna mieli prawo spodziewać się nadejścia posiłków z północnego zachodu. Nim przybędzie odsiecz, sami powinni odciąć Skottom drogi zaopatrzenia. No i sprawić, by agresorzy nie uchwycili silnego przyczółka w Macindaw. Czas odgrywał kluczową rolę w planie najeźdźców, każda poważniejsza zwłoka okaże się dla

Skottów zgubna.

Rozważywszy porządnie całą bieżącą sytuację, Horace, tak czy siak, znowu wrócił do zasadniczego problemu. Trzeba bowiem teraz znaleźć sposób na zdobycie Macindaw w mniej niż trzydziestu ludzi.

Gdy już opanują zamek, natychmiast uzyskają solidne wzmocnienie, bo bez trudu zwerbują na powrót żołnierzy usuniętych przez Kerena z garnizonu. Zwolnieni wojacy niekoniecznie zgodziliby się teraz brać udział w szturmach, lecz gdy twierdza powróci w ręce Ormana, wieść rozniesie się po okolicy, a wtedy, co do tego Horace miał absolutną pewność, większość garnizonowych żołnierzy powróci. Żołnierzom w środku zimy trudno zacząć się przy jakiejś robocie, zwłaszcza że znali się przede wszystkim na wojaczce.

Jednak na wszystko mają z Willem ledwo trzy najbliższe tygodnie.

- Dojechaliśmy - oznajmił Will, przerywając rozmyślenia Horace'a.

Pokłusowali na północ, w kierunku zakrętu, przy którym ostatnio zasadzili się na MacHaddisha oraz jego ludzi. Trzymając się ściany drzew, skręcili na zachód. Dotarli do zachodniego skraju Grimsdell. Tam droga stała się trudniejsza. Roślinność tworzyła płataninę nie do przebycia, więc musieli wyjechać na otwartą przestrzeń.

Horace spostrzegł, że las kończy się po zachodniej stronie ledwie o pięćdziesiąt metrów od zamku. Rozejrzawszy się wokół, od razu zrozumiał budowniczych, którzy zrezygnowali z karczunku. Karczowanie tej części lasu sprawiłoby niesłychanie wiele trudu. O tyle niepotrzebnego, że sam charakter poszycia sprawiał, iż większy, w dodatku obciążony sprzętem, bronią i machinami oblężniczymi oddział właściwie nie miał szans na przedarcie się przez straszliwy gąszcz.

Zadumany Horace potarł brodę.

- Hm, chociaż raz odnosimy korzyść z faktu, że nas mało. - Wskazał na gęste zarośla kłębiące się ciasno wśród przytulonych do siebie drzew. - Prowadzić na pozycje przez coś takiego więcej niż trzydziestu ludzi? Straszne!

Will skinął głową.

- Należy tylko wymyślić dobry fortel, dzięki któremu Keren uzna, że dysponujemy jeszcze setką wojowników przypuszczających szturm od wschodu - dodał.

Horace wzruszył ramionami.

- Albo od południa. To bez znaczenia, byle odciągnąć ich od umocnień z zachodniej strony.

- Pozwól, że o coś spytam - rzucił Will z nutą zadumy.

Horace natychmiast zerknął w stronę przyjaciela. Przygnębienie i podenerwowanie

chyba go opuściły. Może wreszcie wykombinuje coś sensownego, pomyślał Horace.

- Słucham - zachęcił.

Will starannie dobierał słowa.

- Gdybyśmy zdołali odciągnąć ich warty strzegące murów i skierowali strażników w jedno miejsce, czy poradzimy sobie ze szturmem, wykorzystując tylko jedną drabinę?

- Tylko jedną? - Horace zrobił zdziwioną minę. - Lepiej zazwyczaj używać tylu drabin, ile się uda zgromadzić. Wtedy obrońcy, broniący rozmaitych punktów, muszą rozproszyć siły.

- Ale powiedzmy, że zostali zwabieni na południowy mur. I powiedzmy, że przedtem nie spostrzegli, jak się zbliżamy. Wówczas dwóch naszych mogłoby odciągnąć ich uwagę i powstrzymać, podczas gdy reszta wspinałaby się niepostrzeżenie po drabinie, by wtargnąć do zamku. Nieprawdaż?

- Dwóch naszych? Powstrzymać strażników na murach? - pytał Horace. - Głowę kładę, że masz na myśli siebie oraz mnie?

Will przytaknął.

- Przejścia na umocnieniach są wąskie - wyjaśnił. - Zdołają atakować nas tylko pojedynczo. Hm, wydaje mi się, że ty i ja całkiem nieźle dawaliśmy sobie radę, odpierając napór Temudzeinów w Hallasholm - przypomniał Horace'owi.

- Co racja, to racja. Szkopuł w tym, że trzeba przedostać się przez mur niepostrzeżenie. Jeśli nawet zdołamy, atakując we dwóch południowy kraniec, odciągnąć z innych części muru większość obrońców, i tak nie wszyscy przecież opuszczą wyznaczone pozycje. Tacy głupi nie są. No, a przedtem trzeba gnać mniej więcej pięćdziesiąt metrów, taszcząc pięciometrową drabinę. Dostrzegą nas, nim przebedziemy jedną trzecią drogi.

Will uśmiechnął się.

- Nie, nie dostrzegą. Bo już wcześniej znajdziemy się w zamku.

Horace zmarszczył brwi.

- Jak to, wcześniej znajdziemy się w zamku? Co ci chodzi po głowie? - zapytał. Ale Will nie chciał na razie odpowiadać.

- Och, wpadł mi do głowy pewien pomysł - odparł. - Zanim powiem więcej, muszę dowiedzieć się czegoś od Malcolma. Ale chyba wymyśliłem, jak dokonamy niemożliwego.

Will nie zamierzał już puszczać pary z gęby. Horace doskonale o tym wiedział. Sobie więc zostawił ostatnie słowo. Uśmiechnął się w duchu, przybierając cierpięcizną minę.

- Coś długo musiałeś kombinować, żeby cokolwiek wykombinować - rzucił od niechcienia.

Rozdział 25

Wokół stołu w chacie Malcolma siedzieli: Orman, Gundar oraz Horace. Will chodził tam i z powrotem po izbie, objaśniając swój pomysł.

- Horace twierdzi, że potrzebujemy około setki ludzi, by z powodzeniem zaatakować zamek. Czyli trzykroć tyle, co obrońców.

Pozostali skinęli głowami. Brzmiało to logicznie.

- Otóż sądzę, że zdołamy dostać się do zamku z trzydziestoma ludźmi, jeżeli będziemy mieć jeszcze dziewięćdziesięciu, by odciągnąć obrońców od miejsca naszego prawdziwego ataku. Zgadza się? - padło pytanie do Horace'a.

- Mniej więcej - przytaknął rycerz.

- A zatem, mając trzydziestu ludzi, zdołalibyśmy przypuścić prawdziwy szturm, zgadza się? - uparcie dopytywał się Will.

Pozostali przysłuchiwali się wymianie zdań z różnym stopniem zrozumienia. Sztuka prowadzenia szturmów to dziedzina wykraczająca poza doświadczenie Malcolma. Orman natomiast posiadał pewną znajomość teoretycznych zagadnień sztuki oblężniczej. Zafascynowany Gundar pragnął usłyszeć, jak oddział trzydziestu ludzi - na przykład załoga wilczego okrętu - da radę opanować ufortyfikowany zamek. Wiedza taka niesłychanie przydałaby mu się w przyszłości.

- Nawet jeśli się wszystko zgadza - Horace tłumaczył cierpliwie - wciąż potrzebujemy tych dziewięćdziesięciu do odwrócenia uwagi. Tylko że ich nie mamy - dodał, rozkładając ręce. Złośliwie rozejrzał się po izbie, jak gdyby dziewięćdziesięciu ludzi gdzieś się w niej ukryło.

- A może wcale ich nie potrzebujemy - podsunął Will. - Może potrzebujemy tylko jednego.

Gundar parsknął.

- Zapewne masz na myśli wojownika rodem z piekła!

Na zgryźliwość skandyjskiego kapitana Will zareagował uśmiechem.

- Och, znam takiego. Straszliwy olbrzym. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, wznosił się, osiągając ponad dziesięć metrów - odpowiedział spokojnie.

Na twarzy Malcolma pojawił się wyraz zrozumienia, chociaż dla pozostałych trzech

sprawa nadal pozostawała zagadkowa.

- Masz na myśli Nocnego Wojownika? - upewnił się Malcolm.

Will przytaknął i zwrócił się do Horace'a. Rycerz zamyślił się, bo już rozumiał sedno pomysłu.

- Musimy więc przeprowadzić nocny szturm. Jak rozumiem, to akurat nie stanowi większego problemu? - zapytał Will.

Horace tylko wzruszył ramionami. Nadal rozważał słowa Willa. Oglądał przecież Nocnego Wojownika na polanie, gdy Malcolm przesłuchiwał MacHaddisha. Pomyślał, że gdyby tak przerażająca postać raptownie wyłoniła się z ciemności pod murami Macindaw, mogłaby wywołać efekt, jakiego potrzebowali.

Orman z namysłem tarł podbródek. Oczywiście, słyszał w czym rzecz z Nocnym Wojownikiem, choć sam nigdy nie widział tego koszmaru. Gundar co prawda również nie oglądał zjawy na własne oczy, ale trzech Skandianie, którzy pilnowali wtedy MacHaddisha, opisali mu widmo, nie szczędząc żadnego upiornego szczegółu.

- Wyjaśnijcie mi - wtrącił Orman. - Z czego wynika groza?

- Jest potężny - odparł Malcolm. - Will wspominał już, że osiąga nawet dziesięć metrów. To zależy, z jak daleka zdołam rzutować obraz. Im dłuższy dystans, tym bardziej Nocny Wojownik rośnie. Zresztą, czemu poprzestawać tylko na Nocnym Wojowniku? Proponuję dorzucić inne kształty. Na przystawkę dałbym twarz Serthrek'nisha. I może jakiegoś smoka albo trolla.

Orman rozejrzał się po zebranych.

- Zdaje się, że coś mi umknęło. Kim albo czym jest ów Serthrek'nish?

- To skottyjski demon, którym posłużyliśmy się, żeby nastraszyć MacHaddisha - wyjaśnił Malcolm.

Orman nie wyglądał na przekonanego.

- Świetnie się sprawdził w przypadku MacHaddisha. Jednak Macindaw posiada załogę złożoną z Aralueńczyków. A ci nie odróżniliby tego Serkera... Serkrenita... jakkolwiek mu tam... od miski kaszanki.

Horace zaśmiał się.

- Bez obaw. Nie trzeba znać jego imienia, by się przerazić. Rzeczywiście, wrażenie sprawia piorunujące, gdy wyłania się z mgły.

- Tyle że aby uzyskać pożądane wrażenie - wtrącił Malcolm z zamyśloną miną - potrzebuję dymu albo mgły. Na jakimś tle muszę wyświetlać wizerunki. Właśnie dlatego tamtej nocy wybrałem miejsce szczególne. Północnym obrzeżem polany płynie bowiem

strumyk. Nad nim zawsze snują się wieczorne mgły. Mgieł zaś potrzebowaliśmy. Tak samo sprawa się ma z czarnym jeziorkiem - dodał.

Plan Willa runął niczym domek z kart. Pochłonięty szczegółami, nie dostrzegł podstawowych braków. Nie ma mgły, nie ma obrazów. Nie ma obrazów, nie ma dywersji.

Malcolm, obserwując rozczarowaną twarz zwiadowcy, uśmiechnął się. Postanowił dodać mu otuchy.

- Żaden problem - stwierdził. - Trzeba jedynie umieścić podziurkowane rury w miejscu, gdzie pragniemy uzyskać mgłę. Następnie wpompujemy do rur wodę z dodatkiem jednej czy dwóch substancji wzmacniających reakcję. Wtedy mgła wypłynie z otworków, o ile będzie dostatecznie chłodno.

Humor Willa natychmiast się poprawił. Jego pomysł znów nabierał rumieńców.

- Jak prędko da się ułożyć rury? - zapytał.

Malcolm z namysłem zacisnął wargi.

- Potrzebuję dwóch nocy - odpowiedział wreszcie. - Zajmiemy się wszystkim podczas nowiu. Nie wolno angażować zbyt wielu ludzi, bo zostaliby zauważeni. A ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to żeby ten twój Buttle wysłał szpiegów, aby przewąchali, co knujemy.

Na wzmiankę o Buttle'u Gundar syknął cicho. Will obrzucił skirla spojrzeniem z ukosa. Barczysty Skandianin przypominał niedźwiedzia - wielki, silny, na pozór niezdarny, ale w rzeczywistości szybki, śmiertelnie groźny. Po chwili Will uśmiechnął się, pomyślawszy, że wielu Skandian można opisać w ten właśnie sposób. Taka nacja. Bardzo przypominali niedźwiedzie. Nie chciałby stać Gundarowi na drodze, gdy po drabinie wdrapie się na mury.

Właśnie. Drabina. Szczegół, o który należy się zatroszczyć.

- Będziemy potrzebowali drabin - oznajmił. - Czy twoi ludzie mogliby je dla nas wykonać? - zwrócił się do Malcolma. Uzdrowiciel skinął głową. Następnie odwrócił się do Gundara.

- Przyłączysz się, wodzu?

- Jutro z samego rana każę mojej załodze zabrać się do roboty - odparł Skandianin. - Ile drabin potrzebujemy?

Horace z Willem wymienili pospiesznie spojrzenia.

- Przecież wspominałeś o użyciu tylko jednej? - przypomniał Horace.

Will przecząco pokręcił głową.

- Wciąż nad tym pracuję. Lepiej zgromadźmy większy zapas. Ile ty byś doradzał?

Zamyślony młody rycerz przygryzł paznokcie. Im więcej, tym lepiej. Im więcej

drabin, tym rychlej jego ludzie dostaną się na umocnienia i ruszą do ataku. Istniały jednak pewne ograniczenia.

- Trzeba je taszczyć przez leśny gąszcz po zachodniej stronie - westchnął. - To zaś pochłonie sporo czasu i wysiłku. Przypuszczam, że zdołamy przenieść najwyżej cztery. Czyli jedna drabina na siedmiu ludzi.

Will spojrział na Malcolma oraz Gundara. Zgodzili się obaj.

- Zatem szykujemy cztery drabiny. Tak czy owak wątpię, byśmy mieli czas zbierać więcej. Zresztą, jak słusznie spostrzegłeś, taszczenie pięciometrowej drabiny przez las będzie koszmarem.

Ponownie zwrócił się do Malcolma:

- Przyszło mi do głowy, że warto wykonać coś w rodzaju podświetlonej gęby. Takiej jak ta, która przemknęła nad polaną tamtej nocy.

Zwiadowca raczej pytał niż proponował. Malcolm od razu wyraził sprzeciw.

- W tym celu musielibyśmy pod murami Macindaw, na otwartej przestrzeni, niepostrzeżenie, rozwiesić wysoko sznurki i druty. Niewykonalne.

- Garnizon dowiedziałby się, że szykujemy jakąś sztuczkę - wtrącił Orman. - Cały twój plan wzięłby w łeb.

Will przyznał lordowi rację.

- Pojmuję - chrząknął. - Zastanawiam się wszakże, czy nie dałoby się wyrzucić gęby w powietrze, a później sprawić, by wybuchła. Tamtej nocy oglądaliśmy niesamowite widowisko, uwierzcie.

- Czekaj - odparł Malcolm. - Chyba zdołam sklecić jakąś prostą katapultę. Wtedy da się wieloma gębami ciskać z dalszej odległości. Ukryjemy wyrzutnię w lesie.

- Właśnie - ucieszył się Will. Jego zapał rósł z każdą sekundą. - Im skuteczniej odwrócimy ich uwagę, tym lepiej. A latające gęby, które jarzą się i wybuchają, znakomicie odciągną uwagę zamkowego garnizonu. - Rozejrzał się po zebranych. Każdą twarz rozświetlały entuzjazm i nadzieja.

- Cóż - dodał. - Zrobiło się późno, a ja muszę jeszcze wysłać wiadomość do Alyss. Proponuję, byśmy zakończyli na dzisiaj. Do pracy zabieramy się od rana. Czeka nas sporo roboty.

Wszyscy zgodzili się jednym głosem. Tylko Orman wciąż nie miał pewności, czy potrafi sobie wyobrazić całe przedstawienie.

- Latające gęby, które wybuchają... - mruknął do siebie. - Naprawdę chętnie to zobaczę.

Rozdział 26

Alyss po raz kolejny prześledziła oczami zaszyfrowaną wiadomość. Pierwszy raz przeczytała ją już w nocy, natychmiast kiedy Will przysłał list świetlny. Jednak zachowała treść, bo postanowiła przeczytać wszystko raz jeszcze, ale już przy porannym brzasku.

Później, przeczytawszy, ostrożnie włożyła kartkę do ognia, który płonął na kominku.

Pochyliła się, patrząc, jak czernieje i zwija się w płomieniach. Papier mógł zniknąć, ale przesłanie nadziei, które niosły słowa, zostało wyryte w jej sercu. Zupełnie w jego stylu, pomyślała. Will zadał sobie trud przewędrowania w środku nocy ponurymi ścieżkami, wijącymi się przez Las Grimsdell, by wysłać jej wiadomość.

To nie były żadne pilne wieści. Żadnych istotnych poleceń dla niej. Pragnął podnieść ją na duchu. Po prostu. Dawał znać, że pamięta.

W liście znalazła się osobliwa, zawoalowana wzmianka, która nie dawała jej spokoju. Napisał: „mamy gościa z krainy Cobblenoskina”. Przez dłuższą chwilę kurierka zastanawiała się, o co chodzi; nazwa mgliście przywoływała wspomnienia dawnych lat. Sięgnęła więc do zakamarków pamięci. I przypomniała sobie. Cobblenoskin, bajkowy bohater. Oboje z Willem słuchali tej bajki jako dzieci w sierocińcu Ienna Redmont. Cobblenoskin, psotny gnom. Mieszkał w dzikich górach Piety, daleko na Północy. Nikt, kto nie znał starej bajki, nie pojąłby sensu wiadomości. Will starannie się zabezpieczył, na przykład przed Kerenem. Alyss łatwo pojęła, że schwytał kogoś z Piety - a jedynym Skottem, jaki przychodził jej na myśl, był generał, który kilka dni wcześniej odwiedził Macindaw.

Przynajmniej taką żywiła nadzieję. Dalsza część wiadomości brzmiała: „gadatliwy z niego człek”. Jeżeli słusznie się domyśla, Will oraz jego sprzymierzeńcy rozgryźli szczegóły planu Kerena.

Dobry powód do radości. Jeszcze bardziej ucieszył ją inny szczegół. Will przesłał list rozgadany, trochę nawet plotkarski. Rozwodził się nad wieloma szczegółami, bo chodziło mu o poprawienie jej nastroju. Powinna pamiętać, że przyjaciele są blisko.

Will napisał, iż towarzyszy mu w Grimsdell ich wspólny od niepamiętnych czasów druh. Ponieważ wcześniej zapewniła Willa, że stellatyt skutecznie przeciwdziała praktykom mesmerycznym Kerena, Will uznał, że może bezpiecznie powierzyć jej jeszcze jeden sekret.

„Ukłony od Wyrwija”, brzmiała ostatnia linijka, „oraz od Kickera, a także od rosnącego

przyjaciela”.

Kicker... Znów poszperała w pamięci.

Już kiedyś słyszała to imię. Najwyraźniej Will sądził, że coś dla niej będzie znaczyło. Jakieś zwierzę? Imię pasowało do zwierzęcia. Pies? Nie, nie z takim imieniem. „Kicker”. Czyli ten, co kopie. Psy nie kopią. Konie - tak. I naraz wszystko stało się jasne. Tak nazywał się bojowy rumak, którego dosiadał Horace. Horace tu jest! On i Will działają ramię w ramię, razem usiłują pokonać Kerena.

Obracała w myślach nowinę, pieściła ją w pamięci. Will i Horace działają wspólnie - Will, sprytny, obdarzony intuicją oraz błyskotliwym umysłem. A przy nim Horace - niezawodny, stanowczy, jeden z najświetniejszych rycerzy, jakich Araluen wydał na przestrzeni wielu ostatnich lat. Nie miała żadnych wątpliwości. We dwóch na pewno zdołają pokonać Kerena. A także dowolną liczbę Skottów.

Prawie współczuła uzurpatorowi. Prawie. Zachichotała.

I usłyszała zgrzyt klucza obracającego się w zamku.

Pospiesznie zerknęła na kominek, upewniła się, że kartka spłonęła ze szczętem. Pogrzebaczem rozgarnęła węgle, starannie skruszyła szerniały papier, obróciła go w proch, wyprostowała się prędko, otrzepała dłonie. Drzwi się otworzyły. Przybywał Keren, oczywiście, więc ręce odruchowo przesunęła za plecy, palcami odszukała lśniący, czarny kamyk, na stałe ukryty w mankiecie rękawa. Keren nie wyciągnął jednak niebieskiego kamienia. Uspokoila się. Przyszedł na jeszcze jedną ze swoich licznych pogawędek.

- Pani, dziś rano wyglądasz radośnie - zauważył.

Alyss uświadomiła sobie, że wciąż się uśmiecha. Nadal grzała się w ciepłe nowin od Willa. Nie, nie popełni błędu, nie będzie teraz ukrywała dobrego humoru, strojąc nagle fochy. Keren od razu nabralby podejrzeń, zapragnąłby się dowiedzieć, co ją tak ucieszyło. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, wskazała na okno.

- Piękny mamy dzień, sir Kerenie. Nawet więźniarka nic nie poradzi, że widok za oknem podnosi ją na duchu.

Rzeczywiście, miała rację. Kryształowo niebieski horyzont nasycony słonecznym blaskiem. I ani jednej chmurki. Mroźne, przejrzyste powietrze wyostrzało perspektywę. Nawet bardzo odległe obiekty stawały się wyraźne. Surowe piękno lasu, pola przykryte śniegiem, wszystko za oknem zdawało się czekać na wyciągnięcie ręki.

Keren uśmiechnął się. Podeszedł do okna, by samemu podziwiać pejzaż. Oparł stopę o niski parapet. Alyss zamarła ze strachu, bo gdyby Keren oparł się całym ciężarem stopy o pręty, które stopniowo przepalała kwasem, wydałoby się, co przygotowuje. W ostatniej chwili

jego dłoń wsparła się na kamiennym obramowaniu okna.

- W rzeczy samej, pięknie - przyznał. Wyraz twarzy renegata na moment złagodniał. - Myślę, że w tej krainie zima to najładniejsza pora roku.

Znów w jego głosie pobrzmiewał smutek - już przywykła w trakcie ostatnich spotkań, że czarny rycerz nie potrafi do końca stłumić uczuć. Wiedziała, że Keren trwa w rozdarciu z powodu własnej zdrady. Trudno równocześnie z jednej strony kochać ten kraj tak bardzo, jak on go kochał, a z drugiej strony oddawać go w ręce odwiecznych wrogów.

Oczywiście, przyrodzie nie zrobi to różnicy. Pozostanie nadal piękna, dzika i surowa, nieważne, kto uchwyci władzę. Jednak emocjonalny ciężar z pewnością przytłaczał Kerena. Zdrajca musiał rozumieć, że już nigdy nic nie będzie takie samo. Cóż, dokonał wyboru. Teraz mijałoby się z celem apelowanie, by porzucił ścieżkę, którą kroczył. Alyss gapiała się beznamietnie, jak się prostuje, zdejmując stopę z parapetu i odwraca się ku niej. Z wyraźnym wysiłkiem odsunął od siebie melancholię. Ponownie uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś zdumiewającą dziewczyną, Alyss - powiedział. - Potrafisz zachować optymizm, a nawet wewnętrzną radość, choćby wszystko sprzysięgło się przeciw tobie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma sensu zamartwiać się czymś, czego nie można zmienić, sir Kerenie - powiedziała.

Machnął lekceważąco.

- Proszę, daj spokój konwenansom. Mów mi Keren. Nawet jeśli stoimy po przeciwnych stronach barykady, nie widzę żadnego powodu, byśmy osobiście nie pozostawali w kontaktach przyjacielskich.

Żadnego powodu, pomyślała, prócz faktu, że ja nieodmiennie trwam w służbie króla, a ty zdradziłaś swój kraj. Jednak zamilczała. Po co zrażać Kerena? Odrzucenie propozycji mijałoby się z celem; gdyby go rozzłościła, nic by przez to nie osiągnęła. Natomiast zadzierzgnięcie więzów przyjaźni mogłoby przynieść wiele pożytku - szczególnie jeśli chodzi o informacje. Uśmiechnęła się więc w odpowiedzi.

- Jakże się nie zgodzić, gdy dzień taki piękny? - rzuciła. Twarz Kerena rozpromieniła się natychmiast. Alyss doszła do wniosku, że renegatowi ciężar spadł z serca. Oferta przyjaźni nie została z miejsca odrzucona.

- Wyznam ci, że sporo rozmyślałem - szepnął w końcu. - Czy zastanawiałaś się, co się z tobą stanie, gdy przybędą Skottowie?

Alyss wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że pozostanę tu, w wieży - odparła. - Zakładam, że nie zamierzasz mnie im

przekazać?

Przez chwilę czuła zimne ukłucie strachu. Być może Keren to właśnie planował. W gruncie rzeczy nie zastanawiała się, co się z nią stanie. Była bowiem pewna, że Will - a teraz także Horace - przybędą jej na ratunek i wydostaną z celi. Keren wyglądał na nieco urażonego. Pospieszył z uspokajającymi wyjaśnieniami.

- Oczywiście, że nie! - odrzekł porywczo. - Nie ma mowy, abym oddawał damę w ręce barbarzyńców.

- Twoich sprzymierzeńców - przypomniała oschle.

Zlekceważył gorzką uwagę.

- Owszem. Sprzymierzeńców. Z konieczności. Nie z wyboru.

- Oni również wyrażają się o tobie z podobną atencją, nie sądzisz? - spytała Alyss.

Popatrzył jej w oczy bardzo szczerym wzrokiem.

- Byłbym zdziwiony, gdyby mnie kochali - przyznał. - Nie darzymy się zbyt ciepłymi uczuciami. Ot, wygodny układ. Oni potrzebują mnie, ja potrzebuję ich.

- To musi zniechęcać - powiedziała ze szczerym współczuciem - widzisz przed sobą przyszłość, w której nie ma bliskich przyjaciół, są tylko towarzysze z musu.

Jednak wyrazy współczucia nie spotkały się z ciepłym przyjęciem. Keren łypnął na nią chłodno. Alyss uświadomiła sobie, że zdrajcy wcale nie raduje, kiedy jakaś kurierka uświadamia mu prawdziwy obraz przyszłości.

- Nie zostanę tu na wieczność - mruknął. - Kiedy już zbiorę dosyć grosza, udam się do Gallii albo Teutonii, tam kupię sobie lenno. Jako baron nie będę potrzebował przyjaciół.

Alyss wiedziała, że w Teutonii i Gallii powszechnie praktykowano kupczenie magnackimi włościami. Tamtejsi władcy sprzedawali ziemię tym, którzy zaoferowali najwyższe kwoty. Przeciwnie niż w Araluenie, bo tutaj awans należał się za realne osiągnięcia i udowodnioną lojalność.

Kurierka w słowach Kerena wyłowiła smutek. Przesycał każde zdanie czarnego rycerza. Zatem, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, postanowiła jeszcze raz ponowić apel do jego sumienia.

- Och, Kerenie - zaczęła ze szczerą troską. - Czy ty nie widzisz, czym staje się twoje życie? Już teraz wzdychasz, że czeka cię samotność wygnańca, nawet jeżeli wybrana z własnej woli.

Wyprostował się odrobinę.

- Wiem, co robię - rzucił oschle.

- Naprawdę wiesz? Naprawdę? Przecież jeszcze nie jest za późno. Skottów ciągle tu

nie ma. Mógłbyś posłać do naszych po pomoc. Utrzymasz zamek, przeciwstawisz się najeźdźcy. Macindaw to twardy orzech do zgryzienia, a oni nie ośmielą się wkroczyć w głąb Araluenu, mając ten zamek za plecami.

- Zapominasz chyba o pewnym drobiazgu. Syron nie żyje, pamiętasz?

Nic nie odpowiedziała, więc ciągnął:

- Nawet jeśli bezpośrednio nie planowałem śmierci lorda, przecież ona wynikła wprost z moich knowań. Kontaktuję się z wrogiem, świadom, że chodzi o zdradę własnego kraju. Wątpię, by król spojrział na to zyczliwym okiem.

- Być może zechce... - zaczęła. Keren przerwał jej, unosząc dłoń.

- Zresztą, istnieje jeszcze pewna drobna kwestia. Zgromadziłem tu ludzi. Obiecałem im zapłatę. Pieniądze na żołd pochodzą od Skottów. Jeśli nie dopełnię umowy, jak zapłacę moim ludziom? Jeżeli zaś nie zapłacę, to czy długi pozostaną u mego boku? Jak myślisz?

Alyss zdawała sobie sprawę, że Keren ma rację. Wiedziała to, jeszcze nim się odezwała. Następne słowa zdrajcy otrzeźwiły ją do reszty.

- Tyle, że zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym. Podjąłem kwestę twojej przyszłości, nie mojej - przypomniał. - Kolaboracja ze Skottami potrwa z rok albo i dwa. Tyle mi trzeba, aby zgromadzić niezbędne sumy. Lecz w końcu wyjadę. Jak sądzisz, co wówczas stanie się z tobą?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Sądziła, że jeżeli Will oraz Horace nie zdołają jej stąd wydostać, spędzi kilka lat w niewoli, mając za towarzystwo wyłącznie Kerena. Tylko on umie złagodzić więzienną nudę. Niezależnie, czy go lubiła czy nie, musiała przyznać, że był inteligentny, a czasem nawet zabawny. Kiedy zaś Keren odjedzie, co Skottowie z nią uczynią? Oczywiście, lady Pauline może wstawić się u króla, by uwolnił kurierkę, ofiarowując za nią okup. Jeżeli dostatecznie duża suma przejdzie z rąk do rąk, Skottowie pewnie dadzą się przekonać. Wypuszczą ją. Wiedziała, że do apelu lady Pauline własny głos dołączy również Halt. Tyle że powstałby groźny precedens.

Kurierzy, z racji swej profesji, byli stale wystawiani na niebezpieczne sytuacje, w dodatku przeważnie działali w nie do końca jasnych okolicznościach. Za narzędzie mieli własny spryt, z opresji wychodzili cało dzięki szacunkowi, jaki otaczał ich pozycję oraz dzięki potędze Królestwa, któremu służyli. Gdyby jednak Duncan choć raz przekazał okup za uwolnienie kuriera, każdy nędzny buntownik, każde lokalne ksiąźtątko potraktowałoby taki gest jako zachętę. Oto da się zarobić na wtrącaniu do lochu kurierów. Araluen zapłaci.

Każdy, kto wstępował do Służby Dyplomatycznej, zdawał sobie w pełni sprawę, że jeśli zostanie schwytyany, nie powinien oczekiwać pomocy ze strony Królestwa. Pomsty -

owszem. Gdy kurierowi ktoś wyrządził krzywdę, król Duncan oraz jego rada straszliwie mścili się na winowajcach. Zdarzało się tak kilka razy w przeszłości. Królestwo skutecznie zniechęcało miłośników łatwego zarobku.

Oczywiście, jeśli Alyss zginie, niewielką pociechę przyniesie jej fakt, że została pomszczona.

Uzmysłowiła sobie, że cisza, jaka zapadła po pytaniu Kerena, trwa już prawie minutę.

- Myślę, że jakoś to zniosę - odezwała się.

Keren pokręcił głową.

- Alyss, mnie możesz zwieść. Ale wątpię, żebyś zwiiodła samą siebie. Jesteś zbyt inteligentna, by żywić złudzenia. Jako mój więzień, cieszysz się pewnymi przywilejami. Skottowie nie znajdą dobrego powodu, aby utrzymywać obecny stan rzeczy. Uczynią cię niewolnicą. Popychadłem. W ich oczach staniesz się warta tyle, ile warta będzie twoja harówka. Wyślą cię na północ za granicę i sprzedadzą. To nie jest miła perspektywa, wierz mi. Skottyjskie wioski są dosyć prymitywne. W tamtejszych warunkach niewolnikom trudno się żyje.

Alyss, dumnie wyprostowana, uniosła czoło.

- Jakąż ty mi wyświadczasz uprzejmość, zwracając uwagę na drobne niedogodności - odparła lodowatym tonem.

Keren pokręcił głową. Uśmiechnął się do niej, spróbował z innej beczki.

- Ja tylko rozważam fakty - oznajmił. - Rozważam fakty, zanim zaproponuję alternatywę. Jediną alternatywę, jak sądzę.

- Alternatywę? - powtórzyła. Teraz dopiero zamieniła się w słuch, gdyż za żadne skarby nie potrafiła dociec, w czym rzecz. - Jaką alternatywę?

- Proponuję, byś została moją żoną - powiedział po prostu.

- Twoją żoną? - podniosła głos aż do pisku, bo propozycja nią wstrząsnęła. - Dlaczego miałabym zostać twoją żoną? Czemu miałabym cię poślubić?

Wzruszył ramionami. Odpowiedź kurierki starła na moment uśmiech z jego twarzy. Ale po chwili znowu się uśmiechał. Dziewczyna wyczuła, że teraz już nie wchodzi w grę szczerłość. Teraz starał się jej przypochlebić.

- To wcale nie jest aż taka oburzająca propozycja - stwierdził. - Jako moją żonę Skottowie musieliby traktować cię z szacunkiem. Miałabyś swobodę poruszania się po zamku. - Wstał, powiódł dłonią, wskazując sielski pejzaż za oknem celi. - A także po okolicznych ziemiach. Mogłabyś wyjeżdżać, dokąd oraz kiedy zechcesz.

- Nie bałbyś się, że ucieknę? - spytała, nadal oszołomiona potwornością pomysłu oraz

butą, jaka się za nim kryła.

Keren zdawał się nie zauważać, jak nią wstrząsnął.

- A dokąd byś uciekła? Pamiętaj, że wkrótce rozleją się wokół Skottowie. Oni planują potężną inwazję, nie jakiś drobny łupieżczy wypad. Poza tym, jeśli mnie poślubisz, okażesz pewne, nazwijmy to... zrozumienie dla moich poczynań.

- Chcesz powiedzieć - przerwała mu chłodno - że również wzięłabym na siebie piętno zdrady?

Wzdrygnął się lekko.

- Nie osądzaj zbyt pochopnie, Alyss. Pamiętaj, że nie pozostalibyśmy tutaj na zawsze. W Gallii u mojego boku rządziłabyś własną baronią.

Nie należało go do siebie zrażać, wiedziała, że trzeba dbać o przychyłność czarnego rycerza. Zamysł uznała jednak za tak nedorzeczny, iż nie potrafiła zapanować nad emocjami.

- Istnieje tylko jedna niewielka przeszkoda - wyrzuciła z siebie. - Ja cię nie kocham. Nawet nie za bardzo lubię.

Rozłożył lekceważąco ręce.

- Czy to aż takie ważne? Ile wśród naszej sfery znasz małżeństw zawartych z miłości? Przeważają małżeństwa z rozsądku. A ja, bądź co bądź, nie jestem chyba najgorszą partią? - Ostatnie pytanie dorzucił lekko, wciąż próbując ją obłaskawić, skłonić do siebie.

- Wśród naszej sfery? - syknęła lodowatym tonem. - Pozwól, że ci wyjawię, z jakiej sfery ja pochodzę. Jestem sierotą. Nie posiadam rodziny. Za to wielu ludziom jestem winna wierność oraz wdzięczność, a nawet miłość. Pozwól gorszej od ciebie istocie z niższej sfery powiedzieć, że tak się składa, iż wierzę w miłość. I uważam, że w małżeństwie liczy się właśnie ona.

Twarz Kerena pociemniała od gniewu.

- Wciąż chowasz w pamięci tego swojego zwiadowcę, nieprawdaż? Wiedziałem, że coś was łączy.

Alyss latami szkolila się w sztuce dyplomatycznych rokowań. Nauczyła się prędko, zwięźle wykladać racje. W tej jednak chwili zapomniła o całej dyplomacji.

- Nic ci do tego! - krzyknęła. - Ale wiedz, że istnieje co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn, których łacniej pokochałabym niż ciebie. Rycerzy. Zwiadowców. Kurierów. Skrybów. Kowali. Karczmarzy. Stajennych. Ponieważ, koniec końców, wszyscy oni mają nad tobą jedną ogromną przewagę. Nie są zdrajcami.

Dostrzegła, że jej kolejne słowa trafiają w niego raz za razem niczym trzaśnięcia bicia. Przedtem był rozgniewany, teraz - wściekły. Sztywno odwrócił się, ruszył ku drzwiom.

Już od drzwi obejrzał się.

- Jak sobie chcesz. Bardzo proszę. Tylko zapamiętaj - kiedy w lodowatym deszczu będziesz na czworakach szorowała deski wychodka albo chlew w jakiejś zapadłej skottyjskiej wioszczynie, wtedy wspomnij, że mogłaś być baronową!

Sądził, że sprawa skończona. Już prawie był za progiem. Wówczas Alyss odezwała się miękko:

- Ustawiłeś cenę zbyt wysoko.

Odwrócił się, ich oczy się spotkały. Żadnych więcej serdeczności. Alyss przekroczyła granicę. Wszystko stracone.

- Niech cię diabli - westchnął i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 27

Horace wyciągał szyję ponad ramieniem Willa, by spojrzeć na surowy szkic, który przyjaciel właśnie ukończył.

Zmarszczył czoło. Z miejsca, gdzie stał, urządzenie zaprojektowane przez Willa przypominało wózek ręczny, który poskładano do góry nogami i tyłem naprzód.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Will.

- Nie rozumiem, coś ty wykombinował.

Will stuknął grafitowym rysikiem w kluczowe punkty rysunku, objaśniając przyjacielowi konstrukcję.

- To całkiem proste. Tu są dwa koła. Osie i rama u dołu, a na górze pochyły daszek przykryty deskami. Cała rzecz toczy się do przodu, a my siedzimy pod spodem.

- Dlaczego mamy siedzieć pod spodem? - zdziwił się Horace.

- Ponieważ gdybyśmy nie siedzieli pod spodem - wyjaśnił Will z lekką nutą kęśliwości w głosie - wówczas znajdowalibyśmy się z wierzchu. Czyli na otwartej przestrzeni, wystawieni na grad kamieni, na bełty wystrzeliwane z kuszy oraz na rzuty włócznią. - Sprawdził oczami, czy Horace zgłosi kolejne pytania. Ale oczy rycerza zatoneły w rysunku. Pomiedzy jego brwiami uformowała się zmarszczka.

- Piękno projektu polega na tym - ciągnął Will - że możemy to złożyć i rozłożyć w ciągu ledwie paru minut.

- Hm, istotna zaleta - pochwalił Horace. Choć ton zdradzał, że sądzi coś zupełnie odwrotnego.

Will usiadł, rozdrażniony.

- Bawią cię takie przepychanki, tak? - zapytał.

Horace rozłożył bezradnie dłonie.

- Willu, ja nie mam zielonego pojęcia, co zamierzasz zrobić z tym... czymś. Bacz, że jestem tylko prostym wojownikiem. Kimś, kogo, jak do mnie doszło, określasz mianem łamignata. Teraz raptem pokazujesz mi rysunek czegoś, co wygląda jak wózek ręczny ustawiony do góry nogami i tyłem naprzód... tak się też składa, że widywałem lepiej narysowane koła... i oczekujesz ode mnie, że będę się tym czymś zachwycał.

Will spojrzał na swoje dzieło krytycznym okiem. Starął się przyjąć perspektywę

Horace'a. Przyszło mu do głowy, że być może przyjaciel ma odrobinę racji. Rysunek wyglądał dość dziwnie, fakt. Ale, pomyślał zwiadowca, Horace przesadza z krytyką.

- Koła nie są aż takie złe - burknął.

Horace przejął rysik, postukał w lewe koło.

- To jest większe od drugiego co najmniej o jedną czwartą - stwierdził.

- Perspektywa - upierał się Will. - Lewe narysowałem bliżej, więc wygląda na większe.

- Jeżeli uwzględniasz perspektywę, rysując lewe koło aż o tyle większe od prawego, twój ręczny wózek musiałby mieć z pięć metrów szerokości - wytknął Horace. - O to chodzi?

Will ponownie przyjrzał się rysunkowi.

- Nie. Chciałem, żeby miał około dwóch metrów szerokości. I trzy metry długości. - Żwawo naszkicował mniejszą wersję lewego koła. - Lepiej?

- Mogłoby być bardziej okrągłe - uznał Horace. - Nigdy nie uda ci się sprawić, żeby koło o takim kształcie się potoczyło. Na jednym końcu jest jakby szpiczaste.

Will stracił cierpliwość. Stwierdził, że przyjaciel po prostu szuka dziury w całym. Trzasnął rysikiem o stół.

- Dobrze, sam spróbuj narysować idealny okrąg! - rzucił gniewnie. - Zobaczymy, jak ci pójdzie! Przygotowałem wstępny szkic. Nie musi być doskonały!

Akurat w tej chwili do izby wszedł Malcolm. Wcześniej sprawdzał na zewnątrz, co się dzieje z MacHaddishem. Upewnił się, że generał wciąż siedzi w jednym miejscu, porządnie przykuty do solidnego pnia. Teraz, przechodząc obok stołu, rzucił okiem na szkic.

- Co to takiego? - zaciekawiał się.

- Wózek ręczny do góry nogami i tyłem naprzód - objaśnił skwapliwie Horace.

Will spiorunował druha wzrokiem. Postanowił nie zwracać uwagi na ignoranta. Zwrócił się do Malcolma:

- Czy któryś z twoich ludzi potrafiłby zbudować dla mnie coś takiego? - zapytał.

Uzdrowiciel z namysłem zmarszczył brwi.

- Ciężka sprawa - odparł. - Mamy co prawda kilka kół do wózków, ale one wszystkie są takiej samej wielkości. Ty przecież chcesz, żeby jedno było o tyle większe od drugiego?

Will łypnął gniewnie na Malcolma. Horace zakrył twarz dłonią. Starał się stłumić uśmiech, rozciągający mu usta od ucha do ucha.

- Uwzględniam perspektywę. Dobrzy artyści rysując, stosują perspektywę - odpowiedział Will, bardzo wyraźnie wymawiając słowa.

- Och. Doprawdy? Cóż, skoro tak twierdzisz. - Malcolm przypatrywał się szkicowi

jeszcze przez chwilę. - A czy na pewno chcesz, żeby koła miały taki zgnieciony kształt? Nasze koła są raczej jakby bardziej okrągłe. Nie wydaje mi się, by któreś z tych tutaj łatwo się toczyło... jeżeli w ogóle.

Prawdę mówiąc, Malcolm, stojąc na zewnątrz domu, przez kilka minut wcześniej przysłuchiwał się rozmowie. Wiedział zatem, o czym rozprawiali przyjaciele. Horace wydał z siebie głośne, niezbyt subtelne parsknięcie, od którego aż pociekło mu z nosa. Barki mu się zatrzęsły. Malcolm nie zdołał już dłużej zachowywać poważnej miny. Dołączył do Horace'a, obaj zaśmiewali się do rozpuku. Will zmierzył ich lodowatym spojrzeniem.

- Och, tak. Nadzwyczaj śmieszne - wycedził. - Wielce zabawne. Zastanawiam się, po co ja właściwie tyle ćwiczyłem, żeby uprawiać profesję rybałta, skoro pod ręką mieliśmy dwóch tak doskonałych jak wy komedianów? Teraz już wiem - dodał, z naciskiem oddzielając słowa - dlaczego ludzie nazywają komedianów błaznami.

Horace oraz Malcolm z najwyższym trudem zapanować nad parsknięciami. Tłumili kolejne napady głośnego śmiechu. Malcolm otarł oczy.

- Aaach - stęknął, zwracając się do Horace'a - toż to samo zdrowie, rozpocząć dzień od serdecznego śmiechu.

- Mamy już raczej późny ranek - zwrócił mu uwagę Will.

- Lepiej późno niż wcale - odparł Malcolm.

Zdawało się, że Will ma coś na końcu języka, ale Horace uznał, że może już czas przestać się z nim droczyć.

- Willu - rzekł poważniejszym tonem. - Czemu po prostu nie wyjaśnisz nam, co ta rzecz ma twoim zdaniem robić?

Horace domyślał się, że pomysł okaże się rozsądny, bez względu na artystyczną marność szkicu. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by jego druh wpadał na złe pomysły.

- To ma nas przybliżyć do zachodniego muru - odpowiedział Will. - Wraz z naszą drabiną.

Horace ponownie spojrzął na szkic.

- Zamierzasz dopchać to do samego muru? - spytał. - A część dachowa ma nas osłonić przez pociskami obrońców z góry, tak? - Pokręcił głową. - Wszystko będzie trwało za długo, Willu. Zyskają mnóstwo czasu, żeby się przygotować. Gdy tylko wystawimy nosy spod daszku, będą czekali w pełnej gotowości.

- Wiem - zgodził się Will. - Sam zauważyłeś, iż bieg od linii drzew do muru, z drabiną, musi potrwać. Oni zdążą w międzyczasie powrócić na mury, przygotowani, żeby z nami walczyć.

- A zatem...? Toczenie tego... czegoś... zabierze nam jeszcze dwakroć tyle czasu. Prawda, będziemy chronieni, póki nie dotrzemy na miejsce. Ale nadal nie rozumiem...

Will przerwał przyjacielowi, nim ten zdążył przedstawić wszystkie zastrzeżenia.

- Planuję, że dzięki temu przebedziemy połowę drogi do muru - wyjaśnił. - Wtedy wykonamy sztuczkę. Otóż jedno z kół się wykrzywi.

- Gdzie tu sens? - spytał Malcolm.

- Pozwólcie, że wytłumaczę od początku - zaproponował Will. - Zmontujemy wózek tuż za linią drzew. Na dachu przywiążemy drabinę. - Pobieźnie naszkicował umieszczoną na daszku drabinę. - Niezbyt późnym popołudniem Horace, ja oraz trzech albo czterech Skandian wejdziemy pod wózek i zaczniemy go pchać w kierunku muru.

- Niezbyt późnym popołudniem? - zdziwił się Horace. - Ależ oni na pewno nas wypatrzą! Będą w nas ciskali włóczniami, kamieniami...

Will poprosił o ciszę. Horace umilkł.

- Podjedziemy, aż znajdziemy się o dwadzieścia metrów od muru, po czym zepsuje się koło, o tu. Przekrzywiony wózek opadnie bezwładnie na jedną stronę. Obrońcy dojdą do wniosku, że porządnie dostaliśmy lub że machina została wadliwie zbudowana. W każdym razie stwierdzą, że się zatrzymała. Wtedy pozostali nasi ludzie pognają z powrotem ku drzewom, jakby ich diabeł gonił. Żeby ich osłonić, sklecimy coś w rodzaju zbroi.

Malcolm przytaknął.

- Brzmi rozsądnie - pochwalił.

Ale Horace dostrzegł pewną lukę w planie Willa.

- Pozostali czterej uciekną. A co z nami?

Will uśmiechnął się.

- My zostaniemy, ukryci pod wózkiem. W zamku nie będą wiedzieli, że tam siedzimy, ponieważ nie zorientują się na początku, ile ludzi weszło pod wózek.

Teraz oczy Horace'a rozbłyły. Zrozumiał.

- W rezultacie znajdziemy się dwadzieścia metrów od muru... z drabiną - podsumował spokojnie.

Will, rozentuzjasmowany, pokiwał głową.

- Musimy tylko siedzieć cicho przez kilka godzin, aż wrak wózka oraz drabina stopią się z resztą krajobrazu. Tamci, zamkowi przywykną do nas. A potem przestaną w ogóle zwracać uwagę. Później, kiedy Malcolm po południowej stronie rozpocznie własny pokaz, zwróci na siebie uwagę wszystkich. Wtedy my wydostaniemy się spod wózka i z drabiną pognamy do muru.

- Może nam się udać, zanim zauważą - zgodził się Horace.

- Taki jest ogólny zamysł - odparł Will uradowany, że przyjaciel całkowicie dał się przekabacić.

- Świetnie wymyślone - ocenił Horace.

Malcolm również pokiwał z uznaniem głową. Dostrzegął logikę planu. Pozornie uszkodzony wózek poleży opuszczony przez kilka godzin, więc istotnie przestanie jawić się obrońcom jako zagrożenie. Młody zwiadowca ma głowę na karku, pomyślał.

- Bardzo dobrze - powiedział łagodnie. - W rzeczy samej, bardzo dobrze.

Rozdział 28

Horace zatrzymał się raptownie. Oparł drewniane elementy, które ze sobą taszczył, o jakiś pień. Mieli do wyboru mnóstwo pni. Kręta ścieżka, którą zmierzali, wiła się przez płataninę drzew oraz krzewów. Rycerz skrawkiem tkaniny otarł pot z czoła. Ciężko przysiadł, żeby odsapnąć.

- Idzie nam trochę niemrawo - odezwał się do Willa, który przyznał mu rację skinieniem. - Posuwamy się wolniej, niż mi się wcześniej wydawało. Te ścieżyny wydeptane przez zwierzęta są w tak kiepskim stanie, że równie dobrze mogłoby ich wcale nie być. - Podniósłszy głos, zakrzyknął do Trobara, który brnął na czele reszty oddziału, oczyszczając od dawna nieużywany szlak z najbardziej utrudniających marsz krzaków oraz pnączy. - Trobarze! Odpocznij!

Wielkolud odwrócił się. Potwierdził, że słyszy. Rozsiadł się ze skrzyżowanymi nogami pośrodku ścieżki. Towarzysząca mu Shadow siadła tuż obok, utkwivszy wzrok w nowym panu. Will uśmiechnął się do siebie ze smutkiem. Pomyślał, że imię pasuje jak ulał. Suka zmieniła się w dodatkowy cień olbrzymiej postaci, zawsze przy niej obecna.

Skandianie także zrzucili ciężar z barków. Ulżywszy ramionom, rozciągnęli się na ziemi. Brakowało miejsca, by mogli zgromadzić się razem, zalegli więc tam, gdzie się kto akurat znalazł. Z rąk do rąk przechodziły bukłaki z wodą. Ludzie pili, dając wytchnienie obolałym mięśniom. Wkrótce rozległ się cichy gwar rozmów.

Przeprawa okazuje się trudna, pomyślał Will. Przywykł do poruszania się po lasach i między drzewami, ale nawet dla niego płatanina konarów, pnączy, krzewów oraz młodych drzewek okazała się prawie niemożliwa do przebrnięcia. Musieli wykorzystywać każdą, choćby najlichszą, ścieżynkę wydeptaną przez zwierzyne, jeśli tylko zdołali znaleźć taką, prowadzącą we właściwym kierunku. Przedzierali się gąszczem, który wyłącznie z grubsza dawał się określić mianem szlaku. Nawet jeśli prowadził ich Trobar, sunący na czele z ogromnym sierpem i torujący drogę przez najgorsze fragmenty podszycia, parcie naprzód kosztowało wiele trudu. Trud rósł także i dlatego, że przez cały czas niemal połowa ludzi brnęła, objuczona elementami składowymi konstrukcji, zwanej Wózkiem Do Góry Nogami. Belki tworzące ramę, deski do przykrycia dachu oraz osie i koła zostały rozebrane na części, tak by dało się je przenieść przez las ku zachodniej stronie Macindaw.

Gundar dotarł wąską dróżką do miejsca, gdzie odpoczywali dwaj przyjaciele. Taszczył połowę jednej z drabin - w sumie mieli ich trzy, każda podzielona na połowy dla łatwiejszego transportu przez las. Gdy skirl dobił do Aralueńczyków, od razu zrzucił ciężar. Płatanina gałęzi i pnączy skutecznie powstrzymała konstrukcję przez opadnięciem na ziemię. Drabina zatrzymała się w pozycji z grubsza pionowej. Oprócz połówki drabiny, Gundar dźwigał swoją masywną okrągłą tarczę, topór bojowy oraz rogaty hełm.

- Zbliżamy się? - zapytał dziarskim tonem, ocierając czoło wierzchem dłoni. Przyjął bukłak z wodą, który podał mu Horace.

- Już zaraz, za następnym zakrętem - zełgał Horace. Skandianin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Teraz sam widzisz, dlaczego wolimy żeglować - prychnął. Obaj Aralueńczycy rażno przytaknęli.

- W przyszłości, wzorując się na was, postanawiam przerzucić się na pływanie - oznajmił Will. - Szlak wiodący Morzem Białych Sztormów okazuje się całkiem banalny w porównaniu z obecną leśną harówką. Jak tam twoi ludzie?

Gundar zerknął z uznaniem. Dobry wódz zawsze najpierw troszczy się o swoich ludzi.

- Och, narzekają, klną. Ogólnie jednak, jakoś się trzymają. Innymi słowy, mają się dobrze. Dopiero kiedy Skandianie przestają narzekać, wiedz, żeś się wpakował w niezłe tarapaty.

Horace wstał. Rozciągnął mięśnie pleców i karku.

- Może warto zluzować tragarzy - sapnął.

Przez cały ten czas Skandianie dźwigali ciężary - oczywiście, jeśli nie liczyć osobistej broni i ekwipunku. Tragarze niosący drewniane elementy zmieniali się kolejno. Za każdym razem wykorzystywali tylko połowę stanu własnego. Will zauważył, że jak dotąd Horace nawet nie pisnął, prosząc, by go ktoś wyręczył. Gundar najwyraźniej też to dostrzegł.

- Dalejże tam, leniwe łajzy, podejdz no tu który. Zluzować mi generała! - zakrzyknął. Co prawda tytuł Horace'a pochodził z repertuaru skandyjskich żartów, lecz mimo wszystko brał się z szacunku, jakim żeglarze obdarzali młodego wojownika.

Barczysta postać przecisnęła się wąską ścieżką w ich stronę. Nim Will zdołał rozpoznać twarz mężczyzny, już wiedział, kogo lichy niesie.

- Hejże, dawaj te dechy, generale - burknął Nils Ropehandler.

Skandianie to osobliwa nacja, pomyślał Will. Odkąd Horace grzmotnął Nilsa, z impetem wciskając mu hełm na łeb, a przy okazji złamał brutalowi jednym ciosem nos, pirat stał się jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników młodego rycerza.

- Nie mogę powiedzieć, by mi było przykro, że się tego draństwa pozbywam - wysapał Horace. Podał Skandianinowi ciężkie deski z twardego drewna. Nils zarzucił je sobie na ramię niczym piórko. Potem ruszył zająć miejsce w szyku. Na drodze Nilsa wyrósł jednak Will, który właśnie zbierał się do marszu. Zwiadowca z trudem zdążył uskoczyć, w przeciwnym razie pęd deski roztrzaskałby mu głowę. Z przerażenia wrzasnął, alarmując przy okazji niczego nieświadomego Ropehandera, który okręcił się, żeby zobaczyć, kto go woła. Wtedy deski łupnęły o hełm Gundara. Aż zadźwięczało.

- Na Lokę! - warknął kapitan wilczego okrętu. - Patrz, co wyprawiasz!

Nils odwrócił się, żeby przeprosić. Tym razem Will od razu zauważył nadlatujące zagrożenie i pozostał pochylony. Deski świsnęły w powietrzu, furkocząc na wysokości głowy wyprostowanego człowieka. Kołowrót trwałby pewnie przez cały dzień, lecz Horace zdecydowanie wkroczył do akcji. Chwycił za skraj desek, dzięki czemu przyhamował Nilsa, wywijającego młynca fragmentami drabiny.

- Po prostu, trzymaj je w jednej pozycji, dobrze? - poprosił.

Nils wyglądał na skruszonego.

- Sam nie wiem, jak to się stało - odparł.

Gundar zbadał swój hełm. Bez wątplenia wgniecenie, które zauważył, powstało właśnie teraz. Kapitan łypnął oskarżycielsko na Nilsa. Podobnie jak wszyscy Skandianie, był ogromnie przywiązany do swego hełmu.

- Kiedy dotrzemy do Macindaw - mruknął wódz - proponuję, byśmy posłali przodem Nilsa. Niech wspina się pierwszy po drabinie, koniecznie z tymi dechami. W mgnieniu oka oczyści mury.

- Wybacz, skirlu - stęknął Nils. - Nie widziałem cię. Zwiadowcy też nie widziałem.

- W tym sęk - Gundar westchnął. - Zanim zaczniesz się kręcić jak obłąkany mleczarz wykonujący taniec na cześć Święta Wiosny, spojrzysz na wszelki wypadek przez ramię, do diabła!

Nils pokiwał głową z należycie zakłopotaną miną.

- To ja już wrócę do szeregu - mruknął. Wydawało się, że chętnie znika z pola rażenia oskarżycielskich spojrzeń.

Gdy tylko rozpoczął odwrót na dawne pozycje, natychmiast usłyszeli serię łupnięć, gniewnych okrzyków oraz przeprosin Nilsa. Will zachichotał.

- Ruszajmy, póki jeszcze ktoś w ogóle zdołał utrzymać się na nogach - powiedział. Później, nasilając głos, zawołał: - Trobarze! Prowadź dalej!

Olbrzym dał znak, że słyszy. Podniósł się. Znow maszerowali słabo widoczną ścieżką.

Sierp giganta miarowo wznosił się i opadał, poszerzając drogę. Pies sunął bezszelestnie tuż przy jego boku.

- Zbliżamy się? - zapytał Gundar, gdy na nowo podjęli marsz.

Horace odwrócił się do niego.

- Zamierzasz powtarzać tak w kółko? - spytał.

Gundar uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Och, ja nawet jeszcze nie zacząłem na dobre powtarzać - odparł.

Było już późne popołudnie, gdy dotarli do celu. Ludzie pozrzucali części wózka oraz drabin na ziemię. Gromadą tłoczyli się na skraju lasu, by popatrzeć na zamek. Jak dotąd Skandianie nigdy nie zbliżyli się do niego aż tak blisko.

- Zostańcie w cieniu - ostrzegł ich Will. - Nie chcemy, żeby nas zauważyli.

Żaden ani mruknął. Ostrzeżenie w zasadzie nie było potrzebne. Na przestrzeni lat Skandianie mnóstwo razy napadali na warownie, doceniali więc rolę elementu zaskoczenia. Choć, przypatrując się temu akurat zamkowi, niektórzy żeglarze jakby trochę się wahali. Żaden z nich nigdy nie atakował niczego tak ogromnego - a już z pewnością nie siłą załogi ledwie jednego wilczego okrętu. Mogli z powodzeniem przypuszczać szturmy na osamotnione wieże i ostrokoły. Lecz oto pysznił się przed nimi Macindaw - większy i potężniejszy niż wszystko, na co kiedykolwiek się porywali.

- Mam nadzieję, że twój plan zadziała - mruknął Gundar. Podzielał wątpliwości kamratów.

- Zadziała - odrzekł Horace z przekonaniem.

Mam taką nadzieję, Will dopowiedział sobie już w duchu. Rozejrzał się i rzekł:

- Proponuję trochę odpocząć. Wycofajcie się nieco głębiej między drzewa. Jakies dwadzieścia metrów stąd zauważyłem polankę. Na razie nie mamy nic do roboty. Malcolm wraz z drużyną zabierają się tej nocy do układania ostatnich rur, dzięki którym wywołają mgłę. Starczy nam dnia, by poskładać wózek. Jutro zdążymy.

Grupa z wdzięcznością wycofała się na polankę. Rozsiedli się z ulgą. Will ustalił kolejność wart. On wraz z Horace'em obejmowali straż wczesnym rankiem, kiedy Malcolm mógł dać sygnał, że przygotowania zostały zakończone.

Głęboką nocą obaj Aralueńczycy rozłożyli się na wilgotnej ziemi. Zjawił się także Gundar. Zamek, odległy ledwo o pięćdziesiąt metrów, trwał, wciąż pograżony w ciemności. Złowroga bryła odcinała się od nocnego tła.

Smugi światła kładły się na umocnieniach w miejscach, gdzie przytwierdzono

poходnie. Reszta potężnych murów kąpała się w zupełnych ciemnościach. Od czasu do czasu sylwetki wartowników przecinały na moment oświetlone pochodniami punkty.

- Są bardzo niedbali - zauważył Will. - Do tej pory ustrzełiłbym ich już pewnie z pół tuzina.

Horace zerknął spod oka.

- Może spróbuj? - zasugerował. Will przecząco pokręcił głową.

- Po co mają wiedzieć, że podchodzimy - stwierdził. - Poza tym, jeżeli trafię jednego, reszta poniecha spacerowania w blasku pochodni.

- Jak uważasz. - Horace zgodził się niechętnie. - Chociaż nie wydają mi się tak bystrzy, aby się mimo wszystko połapać w sytuacji.

- Tam! - Gundar przerwał dialog.

Po drugiej stronie zamku, kilometr dalej na południe, czerwone światło wzniosło się w powietrze, następnie zaś eksplodowało w deszczu iskier. Trzej obserwatorzy usłyszeli zdumiony gwar, dobiegający z zamkowych murów.

- Malcolm gotów - oznajmił Will.

Horace pokiwał głową.

- A zatem wszystko rozstrzygnie się jutrzejszej nocy.

- Zbliżamy się? - zapytał Gundar, szczerząc zęby w uśmiechu.

Rozdział 29

Racę sygnałową dostrzeżono także na murach Macindaw. Nie pojmując, czym są materiały wybuchowe ani fajerwerki, wartownicy mocniej ścisnęli broń w garści. Z przestraczem zerkali na południe. Zastanawiali się, co to za magia.

Keren, wyrwany hałasami ze snu, niespokojnie przemierzał umocnienia. Wpatrywał się w noc. Czekał, czy powtórzy się dziwne, czerwone światło pędzące ku niebu. Gdy upłynęła dalsza godzina bez żadnych istotnych wydarzeń, uznał, że alarm był fałszywy - ot, jeszcze jeden z bardzo wielu osobliwych rozbłysków, które ciemnymi nocami widywano w Grimsdell.

Przed powrotem do łóżka dokonał szybkiego obchodu umocnień. Zatrzymał się przy zachodnim murze, gdzie las najbliżej podchodził się do zamku. John Buttle już czekał.

- Zauważyłeś coś niepokojącego? - zapytał Keren.

Buttle'a, podobnie jak Kerena, strażerzerwały z łóżka. Dowódcy garnizonu doniesiono o fantastycznym błysku, który pojawił się na niebie. Nocną koszulę upchnął w portki, pośpiesznie narzucił na wierzch kolczugę. Teraz gapił się w ciemną ścianę drzew szumiących ledwie o pięćdziesiąt metrów od nich.

- Zupełnie nic się dzieje - zameldował.

Keren zabębnił palcami o kamienie.

- Stąd grozi nam niebezpieczeństwo - powiedział z namysłem.

Buttle zaoponował.

- Nikomu nie uda się przeprowadzić dużego oddziału przez chaszczę - odparł. W ciągu kilku ostatnich tygodni objeżdżał i poznawał okolicę. Wiedział, co mówi. - A gdyby nawet ktoś dokonał niemożliwego, przecież nie zdąży sformować szturmowego szyku. Zawsze w porę zauważymy, co się tutaj święci.

Keren został w zasadzie przekonany. W zasadzie.

- Może i tak. Jednak wolę zachować ostrożność. Zastanawiam się, czemu właściwie Syron nigdy nie kazał wykarczować tych drzew.

- Ponieważ to by trwało lata - wyjaśnił mu Buttle. - I do roboty trzeba setek ludzi. Wierz mi. Drzewa z tej strony stanowią naszą najlepszą ochronę. Toż to prawdziwy gąszcz.

- Hm. Tak czy owak, niech przez resztę nocy ktoś nieustannie trzyma tutaj straż -

polecił Keren. - Ty zostajesz?

Buttle pokręcił głową.

- Wracam do łóżka.

Spojrzenie Kerena nabrało surowości.

- To nie było pytanie ani propozycja. - Głos czarnego rycerza brzmiał bardzo chłodno.

Rozzłoszczony Buttle wyprostował się.

- Jak sobie życzysz, panie - warknął. - Będę trzymał straż. Do świtu.

- Dobrze. - Keren odwrócił się na pięcie. Ruszył ku schodom.

Nie po raz pierwszy żałował, że swym zastępcą musiał z konieczności mianować osobnika, którego w żadnym razie nie nazwałby druhem. Wolałby po stokroć kogoś, na kogo przelałby bez wahań niektóre własne uprawnienia. W przypadku zbira takiego jak Buttle nawet do sądnego dnia nie usłyszałby, że dowódca garnizonu z własnej inicjatywy obejmuje straż, by uspokoić pana zamku. Keren westchnął ciężko. Trzeba mu jeszcze prawie dwóch lat, aby zgromadzić środki umożliwiające zakup włości w Gallii. Przeczynał, że ten czas da mu boleśnie w kość. Przeklinał elegancką jasnowłosą dziewczynę, która odrzuciła propozycję małżeństwa. Przynajmniej zyskałby kogoś odpowiedniego do towarzystwa.

Keren odszedł. Już nie zwracał uwagi na sterczącego za jego plecami Buttle'a.

Wargi dowódcy garnizonu poruszyły się, układając się w kształt przekleństwa. Adresatem przekleństwa był pan zamku.

Kiedy tylko Will oraz Horace spostrzegli racę Malcolma, odetchnęli z ulgą. Obaj przywykli do obozowania na świeżym powietrzu. Rozbili małe namioty pod osłoną lasu i wpełzli do nich, by wypaść się porządnie, póki się na dobre nie rozwidni.

Wiedzieli, że tej nocy nic już się nie wydarzy. Rozbłysk nie oznaczał sygnału do szturm, mogli więc pozwolić sobie na chwilę odprężenia. W ciągu kolejnego dnia ich największym wrogiem stanie się osobliwe połączenie nudy z niecierpliwym wyczekiwaniem. Pozorowany atak zaplanowali na późne popołudnie. Will dobrze wiedział, że w miarę, jak godzina będzie mijała za godziną, supeł w jego żołądku zacznie się zaciskać. Ach, żeby wreszcie ruszyć! Wolał działanie niż czekanie.

Rano okazało się, że miał rację. Złożyli do kupy wózek oraz drabinę, którą miał wieźć ich dziwny pojazd. Przepchnęli go przez zarośla na skraj lasu, wycinając ścieżkę w leśnym podszyciu. Rozpoczęli przygotowania zbyt wcześnie. Jeszcze nim nadeszło południe, nie mieli kompletnie nic do roboty. Pozostawało im ścierpieć cztery godziny nudnego czekania.

Will usadowił się pod drzewem. Udawał drzemkę. Starał się uspokoić nerwy. Chętnie

rozluźniłby supeł ściskający żołądek. Zerknął na Horace'a, stojącego kilka metrów dalej. Rycerz, na pozór niefrasobliwie, gawędził cicho z czterema Skandianami. Horace chyba wyczuł wzrok Willa. Obejrzał się i uśmiechnął. Wstrząsnął czupryną, dodając przyjacielowi otuchy.

Will zastanawiał się, jak Horace'owi udaje się zachowywać taki spokój. Horace zadawał sobie to samo pytanie w stosunku do Willa, również mając ściśnięty żołądek.

Dzień dłużył się i dłużył. Will po raz setny sprawdził wózek. Upewnił się, że umiejętnie spreparowali lewe koło. Zdołają je łatwo zepsuć, gdy nadejdzie stosowny moment. Patrzący powinni sądzić, że wózek roztrzaskał się na jakiejś przeszkodzie. Zlustrował deski tworzące daszek. Obejrzał je, szukając prześwitów, przez które bełt wypuszczony z kuszy zdołałby się prześlizgnąć. Nie znalazł. Przeegzaminował też czterech Skandian z ról, jakie im wyznaczył. Pragnął zyskać absolutną pewność. W każdym szczególe.

- Róbcie wrażenie kompletnie spanikowanych - pouczał ludzi Gundara. W odpowiedzi napotkał cztery nierozumiejące spojrzenia. Panika? Skandianom niełatwo było pojąć, o co w ogóle chodzi. - Wyglądajcie na wystraszonych - poprawił się, lecz zobaczył, jak cztery pary oczu zmieniają wyraz z bezrozumnego na wrogi. - Udawajcie, że wyglądacie na wystraszonych - dodał. Dopiero wtedy żeglarze niechętnie zgodzili się wypełnić polecenie.

Sprawdził również tarcze. Dysponował nielicznym oddziałkiem, nie mógł sobie pozwolić na utratę choćby jednego człowieka. Tarcze zostały naoliwione, by zapobiec wysychaniu i łamliwości. Były też solidnie ponabijane mosiężnymi płytkami oraz obciążone utwardzoną wołową skórą. Żeglarze powinni zarzucić je na plecy, gdy będą gnali z powrotem do lasu, wydostawszy się spod uszkodzonego wózka.

Rogate hełmy ochronią głowy. Jedyłą częścią ciała, która pozostanie odsłonięta, były nogi. Cóż, pomyślał młody zwiadowca, zraniona noga może równie skutecznie wyeliminować wojownika z bitwy, jak śmiertelna rana.

- Nie biegnijcie w linii prostej - uprzedził. - I rozproście się. Śmigajcie w różne strony.

Jeden ze Skandian nabrał powietrza. Postanowił wygarnąć Willowi. Niechże zwiadowca da spokój i przestanie im matkować. Lecz gdy uświadomił sobie, że młodzian naprawdę troszczy się o niego oraz o jego trzech kamratów, poczuł ciepło w sercu. Skandianie nie nawykli, by dowódcy rzeczywiście się nimi przejmowali.

- Tak jest, zwiadowco - odpowiedział potulnie.

Will skinął z roztargnieniem i odszedł. Zaprzętało go bezustanne powtarzanie kolejnych kroków, jakie trzeba wdrożyć tego popołudnia.

Parę godzin później słońce zbliżyło się do wierzchołków drzew, rzucając długie cienie w stronę zamku.

Od strony południowej dobiegł ich przytłumiony odległością zgiełk. Will zarzucił długi łuk na ramię, wygodniej umocował kołczan. Odwrócił się do Horace'a.

- Już czas - rzucił zwięźle.

Rozdział 30

Wrzawa po południowej stronie podpowiedziała im, że Malcolm rozpoczął zaplanowane uprzednio działania dywersyjne. Co najmniej pięćdziesięciu jego podopiecznych chowało się wśród drzew - mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy ukryci przez wzrokiem zamkowych obserwatorów, lecz wciąż w zasięgu ich uszu. Na komendę Malcolm zaczął wyć, skandować, łomotać metalowymi przedmiotami - przeważnie w ruch poszły kuchenne garnki oraz patelnie. Horace pomyślał, że szczęk mieczy, przez wieki opiewany w pieśniach bardów i poetów, brzmi identycznie jak brzęk chochli bębniącej o rondel.

Hałas sprawdził się znakomicie, nawet jeśli pochodził z nieszlachetnego źródła. Na to zresztą liczyli. Wrzaski przynajmniej przez parę minut skupiły całą uwagę obrońców. Will, a także jego ludzie obserwowali strażników ustawionych na zachodnim murze. Biegli ku stronie południowej, wypatrując głównych sił przeciwnika.

- Świetnie! - zawołał Will. - W drogę!

Przykucnąwszy, wcisnął się pod osłonę wózka. Za jego przykładem poszli Horace oraz czterej Skandianie, którzy zajęli miejsca przy kołach. Will pospiesznie przyjrzał im się, raz jeszcze się upewnił, że wszyscy osłonili tarczami plecy. Skandianie, zadowoleni, że wreszcie coś zaczyna się dziać, szczerzyli zęby w uśmiechach.

- Jazda! - wykrzyknął. Czterech osiłków naparło na osie. Z łatwością dawali sobie radę sami. Will oraz Horace nie pomagali im, obaj zajęli pozycje pod przednią, najniższą i najmniej wygodną częścią wózka. Z trudem zmieścili tam własne głowy. Ponieważ Skandianie wykonywali teraz najcięższą pracę, wypadało zostawić im więcej miejsca. Wózek toczył się z początku powoli, gdyż Skandianie pchali go przez resztki walającego się wokół leśnego podszycia. Will i Horace kulili się pod spadzistym daszkiem. Później wózek wytoczył się spomiędzy splątanych roślin, więc łatwiej pokonywał teren. Skandianie ruszyli lekkim truchtem, jeden okrzykami nadawał tempo. Wózek wraz z przywiązaną na daszku drabiną zaczął rażno zmierzać ku murom, przechylając się i podskakując na nierównościach gruntu.

Nawet jeśli Malcolm skutecznie odwracał uwagę strażników, nie liczyli, że nazbyt długo pozostaną niezauważeni. Will wkrótce usłyszał wołanie z umocnień, wysoko nad nimi. Krzyki zaskoczenia zaalarmowały wszystkich obrońców. Niemal w tej samej chwili rozległ się głośny trzask. Pierwszy pocisk łupnął o deski daszku. Bełt wystrzelony z kuszy wgryzł się

w twarde drewno nad ich głowami. Po pierwszym uderzeniu od razu przyszły kolejne trzy. Później na dłuższą chwilę zapadła cisza. I znów sekwencja łupnięć, wypukiwana bełtami w tym samym rytmie. Wydawało się zatem, że na zachodnim murze znajduje się tylko czterech kuszników. Rytm czterech uderzeń powtórzył się po dwudziestu lub trzydziestu sekundach, czyli w czasie umożliwiającym przeładowanie typowej kuszy. Dość długi czas reakcji, oto główna wada tej akurat broni, zwłaszcza w porównaniu z oślepiającą prędkością następujących po sobie strzałów, jaką potrafił osiągnąć wytrawny łucznik. Na przykład Will. Kusza posiadała w przedniej części strzemię. Po wystrzeleniu bełtu kusznik musiał opuścić broń, opierając ją o ziemię, po czym wkładał jedną stopę w strzemię, naciągał cięciwę obiema rękami, wyginając twarde ramiona kuszy, póki cięciwa nie zaczepiła się w mechanizmie spustowym. Dopiero wtedy ładował do leża kuszy kolejny pocisk, ponownie układał broń na ramieniu i oddawał strzał.

Will wzdrygnął się, gdy druga seria zabębniła o deski, tuż nad jego głową. Po chwili zerknął przez starannie przygotowaną szczelinę - dostatecznie dużą, żeby przez nią coś widzieć, ale nie dość wielką, by wpuścić zabłąkany bełt.

- Jeszcze kilka metrów! - polecił Skandianom.

Pragnął znaleźć się tak blisko, jak tylko się da. Kiedy nocną porą wraz z Horace'em przystąpią do prawdziwego szturm, powinni gnać ku murom, ile wlezie. Gdyby jednak teraz zbliżyli się nad miarę, naraziliby Skandian na większe, niż podpowiadał rozsądek ryzyko zranienia w trakcie szybkiego odwrotu. Osiągnęli już prawie połowę dystansu. Will chwycił za sznurek, który miał zwolnić mocowanie lewego koła. Odczekał znów cztery kroki, wreszcie pociągnął.

Czop, przytrzymujący koło na osi, wyleciał. Koło obracało się jeszcze przez metr albo dwa, ale jednocześnie zsuwało się z osi. Aż odpadło. Lewy bok wózka z trzaskiem rąbnął na ziemię.

Radosne okrzyki, które rozległy się na murach, słyszeli bardzo wyraźnie. Obrońcy, ujrawszy, że szturm spełził na niczym, wiwatowali, nie szczędząc drwin. Kolejne dwa bełty stuknęły o wózek, gdy już się zatrzymał. Dobrze, pomyślał Will, teraz gotowe do strzału są tylko dwie kusze.

- Biegiem! - popędził Skandian.

Nie potrzebowali dalszej zachęty. Też usłyszeli, jak dwa ostatnie pociski trafiają w deski. Oni wiedzieli, co to oznacza. Wygramoliwszy się spod kulawego wózka, od razu rozbiegli się w różne strony, pędząc ile sił w nogach ku bezpiecznej osłonie lasu. Ścigały ich kolejne porcje szyderstw miotane z umocnień. Obrońcy cieszyli się na widok napastników

zmykających niczym spłoszone zające, byle ocalić życie.

Will zobaczył, jak belt roztrzaskuje się o tarczę jednego ze Skandian. Impet pocisku bez mała zwałił wojownika z nóg. Zwiadowca wyszeptał modlitwę dziękczynną. Stwierdził bowiem, że na zamkowych murach nie znalazł się ani jeden łucznik z łukiem długim lub refleksyjnym.

Z kuszy łatwiej strzelać aniżeli z długiego łuku celować. Szkolenie kuszników trwa znacznie krócej. Stosunkowo łatwo dawało się w ciągu kilku tygodni przyuczyć prostego żołnierza do obsługi kuszy. Jednak płaciło się za to wolniejszym tempem miotania pocisków oraz krótszym zasięgiem.

Łuk natomiast wymaga wrodzonych zdolności. Posiadał je każdy zwiadowca. No, a potem następował jeszcze żmudny proces doskonalenia w łuczniczym rzemiośle.

Czterech żeglarzy bez jednego draśnięcia wpadło do lasu. Will odetchnął z ulgą. Pod osłoną przekrzywionego wózka rozsiadł się na zimnej, wilgotnej ziemi. Uśmiechnął się szeroko do Horace'a.

- Na razie wszystko idzie zgodnie z planem - odezwał się cicho. - Rozgość się. Teraz poczekamy, aż się ściemni.

Horace, przykucnięty pod najniższą częścią wózka, przewrócił oczyma.

- Moje ulubione zajęcie - mruknął. - Zabrałeś może coś na ząb?

Popołudnie zmieniało się z wolna we wczesny wieczór, a wartownicy na murach stopniowo tracili zainteresowanie widokiem zepsutego wózka.

Wezwano Kerena. Spojrzał na osobliwy pojazd, zmarszczył brwi, a później wstrząsnął głową.

- Chcą nas zwieść - stwierdził. - Nie ryzykowaliby głównego ataku z jedną drabiną.

Im dłużej rozważał, czy porzucony wózek oznacza jakiś fortel, tym większego nabierał przekonania, że się nie myli. Zachodni mur, tam gdzie drzewa dochodziły najbliżej zamku, stanowił co prawda łakomy kąsek dla każdego, kto pragnąłby przeprowadzić szturm. Skoro jednak cel ataku sam się nasuwa, od razu maleje prawdopodobieństwo, że napastnicy ruszą na mury właśnie tutaj. W triku z wózkiem chodziło więc o zmyłkę, w dodatku niezbyt udaną, skoro łatwą do rozszyfrowania. Jeden wózek plus jedna drabina nie wystarczą jako zagrożenie dla potężnych umocnień. Każda gra oblężnicza, również ta, składa się z domysłów, kontrdomysłów, zmyłek, podważających je kontrzmyłek. Instynkt podpowiadał Kerenowi, że dziwaczny pojazd ma wprowadzić obrońców na fałszywy trop.

Im dłużej czekał na dalszy rozwój wypadków, tym bardziej był przekonany, że szturm

nastąpi od strony południowej, ewentualnie od wschodu. Wszystko jedno, ważne że obie te strony były oddalone od muru zachodniego. Tak, strona południowa wydawała się najbardziej prawdopodobnym celem ataku. Wróg już raz wykazał tam aktywność. Keren sądził, że nieprzyjaciel stara się uśpić jego uwagę. Kilka razy upozorował akcje, z których nic nie wynikało, by w jakimś momencie ruszyć właśnie od strony południowej.

Wskazał kciukiem przechylony na bok wózek. Leżał ledwie dwadzieścia metrów od zamkowego muru.

- Podpał go, jeśli zdołasz - polecił sierżantowi dowodzącemu strażą na zachodnim obwałowaniu. - I nie spuszczaaj oka z lasu. Choć nie wydaje mi się, żeby akurat tutaj przypuszczali uderzenie. Bądź gotów do przerzucenia ludzi na południowy mur. Możemy ich tam naprawdę potrzebować.

W ciasnej, ukośnie ściętej niszy pod zepsutym wózkiem Horace wiercił się, szukając wygodnej pozycji. Will łypnął z dezaprobatą.

- Zostaw wózek w spokoju - zbeształ przyjaciela. - Jeżeli dalej będziesz tak podskakiwał, wyrócisz go.

- Łatwo ci gadać - skrzywił się Horace. - Ciebie tak wyszkolili, że godzinami potrafisz siedzieć bez ruchu, choćby oblażyły cię mrówki, a mięśnie łapał skurcz.

- Skoro ja potrafię, to ty też - syknął Will. Ani myślał przychodzić rycerzowi z pomocą.

Ponownie wyciągnął szyję, po raz kolejny zerknął przez szczelinę. Przyjrzał się zamkowi. Naliczył trzech obrońców. Gapili się na wózek. Dostrzegł dym z przenośnego piecyka ustawionego za plecami strażników.

Dziwne. Dzień był mroźny, fakt. Ale nie aż tak mroźny, by na murach potrzebowali ognia. Przynajmniej do zachodu słońca nie musieli się ogrzewać.

- Coś się dzieje? - zapytał znudzony Horace. Było mu niewygodnie, poza tym miał ochotę zająć czymś myśli.

Will ruchem ręki uciszył druha. Zaledwie o dwadzieścia metrów z przodu wznosił się mur. Ktoś mógł usłyszeć.

- Odzywaj się szeptem - polecił.

Horace wznosił oczy do nieba i ciągnął, przechodząc na chrapliwy szept.

- Dobrze ci. Ty masz przynajmniej otworek.

Will potraktował go spojrzeniem cierpiętnika.

- Straszne - skwitował. - Siedzi tu ze mną rycerz, którego oblażyły mrówki, uskarża się

na skurcze mięśni i nawet nie ma otworka, żeby sobie popatrzeć.

- Och, cicho bądź - zachnął się Horace. Nie przychodziła mu do głowy żadna błyskotliwa riposta.

Przerwało im uderzenie kolejnego bełtu o drewno nad ich głowami. Will zmarszczył brwi. Zastanawiał się, czemu obrońcy marnują czas i amunicję na strzelanie do porzuconego wózka. Odpowiedź nadeszła już po krótkiej chwili.

Horace drgnął gwałtownie, słysząc niespodziewany trzask. Za chwilę pociągnął parę razy nosem.

- Czuję dym - oznajmił.

Will raz jeszcze wyciągnął szyję, żeby spojrzeć przez szczelinę. Dostrzegł umocnienia, na których grupa ludzi obserwowała wózek. Jeden podniósł kuszę. Strzelił.

- Nadlatuje kolejny bełt - ostrzegł Horace'a.

Bełt pruł powietrze, ciągnąc za sobą smużkę dymu. Za moment rozległo się kolejne łupnięcie, gdy uderzył w deski daszku. Woń palonego drewna wzmogła się. Wyrzawszy przez szczelinę, Will dostrzegł ognisty jęczyzek.

- Strzelają płonącymi pociskami - oznajmił spokojnie. - Próbują podpalić wózek.

- Co takiego? - Horace gwałtownie podskoczył. Od razu wyrzwał głową o jeden z elementów ramy. - Lepiej się stąd wynośmy!

- Bez obaw - uspokoił go Will. - Przewidziałem to. Zanim wyruszyliśmy, poleciłem nasączyć deski wodą.

Horace usiadł, choć wciąż z głupią miną. Przypomniał sobie teraz, że nim opuścili leśną kryjówkę, Skandianie oblewali deski wodą i okładali daszek topniejącym śniegiem.

- Zresztą - ciągnął Will - próbowałeś kiedyś zapalić kawał twardego drewna, upuszczając na nie zapalony patyk? Przypuszczam, że istnieje spora szansa, iż ogień tylko z lekka przypali drewno, ale zgaśnie, zanim daszek naprawdę się zajmie.

- Istnieje więc spora szansa, że daszek się nie zajmie? - sapnął Horace. - Jak spora?

Will popatrzył na niego z nieskończoną cierpliwością.

- A co planujesz, Horace? Wskoczysz, zgasisz płomienie, a potem łapką pomachasz ludziom na murach?

Horace wyglądał na zakłopotanego. Za wcześnie wpadł w panikę.

- Cóż, tak to na pewno nie zrobię - odrzekł. - Ale z pewnością nie chcę też tkwić pod płonącym wózkiem. Nie lubię być w pułapce.

- On się nie zajmie. Możesz mi wierzyć - zapewnił Will. Jednak spostrzegł, że uspokajające słowa nie wywarły na Horace'u najmniejszego wrażenia. Dodał zatem: - A

gdyby nawet, mamy mnóstwo czasu, żeby się wydostać. Na razie ucieczka nie ma sensu. Wyobraź sobie własne samopoczucie później, kiedy już wiedziałbyś, że twój plan bierze w łeb, a ty, schowany wśród drzew, gapisz się bezsilnie, jak mokry daszek nie pozwala ogniovi rozgorzeć.

- Cóż... - bąknął Horace, odrobinę ułagodzony logicznym wywodem Willa oraz faktem, że woń dymu nie przybierała na sile. Przyłożył dłoń do desek w miejscu, gdzie trafił jeden z bełtów. Drewno nie wydawało się ani trochę cieplejsze niż w innych partiach daszku.

Za parę chwil następne dwa płonące bełty trafiły w wózek. Jednak, podobnie jak poprzednie, wkrótce się wypaliły, zostawiając osmalone wżery. W końcu strażnicy na murze stwierdzili, że płonące pociski nie wyrządzają wózkowi żadnej szkody i dali spokój.

Popołudnie dobiegło kresu. Światło dnia zaczęło słabnąć, zimowe słońce opadło poniżej wierzchołków drzew. Horace szczerzej owinął się płaszczem. Zmarzł, siedząc tak bez ruchu.

- Która to godzina? - zapytał.

- Jakies pięć minut później, niż kiedy ostatnio pytałeś - odparł Will. - Robisz się równie nieznośny jak Gundar z tym swoim nieustannym „zblizamy się?”.

- Nic nie poradzę - burknął Horace. - Nie znoszę takiej bezczynności.

- Spróbuj ułożyć wierszyk - podpowiedział złośliwie Will. Pragnął, by przyjaciel wreszcie przestał tyle gadać.

- A jaki wierszyk? - Horace przystałby na wszystko, byle tylko zająć czymś myśli.

- Limeryk - zaproponował Will przez zaciśnięte zęby. - Zobaczmy, jak prędko ci pójdzie.

- Owszem. Kapitalna myśl - zgodził się rozpromieniony Horace. - Ten właśnie limeryk pomoże mi nie myśleć o innych sprawach. - Zadumany, zmarszczył czoło, spojrzął w górę, jak gdyby prosił niebiosa o natchnienie. Przez chwilę wargi młodego rycerza poruszały się bezgłośnie, po czym zmarszczka na jego czole stała się głębsza. - Nie mam czym zapisać - powiedział.

Will, który drzemał skulony pod opończą, raptownie się obudził.

- Co takiego? - jęknął. - Co takiego chcesz zapisać?

- Mój limeryk. Jeżeli go nie zapiszę, wszystko zapomnę.

- Już ułożyłeś?

- Na razie wymyśliłem pierwszy wers - Horace trochę się nastroszył. Układanie limeryku okazało się trudniejsze, niż sądził. - Był sobie raz zamek Macindaw... - zadeklamował. - To pierwszy wers - dodał.

- Wszak tyle chyba zapamiętasz? - stwierdził Will.

Horace pokiwał głową. Zgodził się, choć bez najmniejszego entuzjazmu.

- Hm, owszem. Ale kiedy ułożę dwa albo trzy lub nawet cztery wersy, wszystko się skomplikuje. Może ja wyrecytuję gotowe wersy, a ty byś je zapamiętał - zastanawiał się.

- Proszę, nie rób tego - odparł Will, cedząc słowa.

Horace wzruszył ramionami.

- Cóż, niech ci będzie. Skoro wolisz nie pomagać...

- Wolę.

Horace zauważył, że odpowiedzi Willa stają się coraz bardziej lakoniczne.

- Dobrze więc - odrzekł z lekką urazą w głosie. Jego wargi znów się poruszyły, zastygły, po czym podjęły pracę rymotwórczą na nowo. Zamknął oczy. Usiłował się skoncentrować.

Ciągnęło się to przez jakieś pięć minut. Im usilniej Will starał się nie zwracać uwagi, tym bardziej nie potrafił oderwać oczu od grymasów Horace'a. W końcu barczysty rycerz zdał sobie sprawę, że przyjaciel mu się przygląda.

- Co się z rymuje z Macindaw? - zapytał.

Rozdział 31

Długie popołudnie przeszło w wieczór, wieczór zmienił się w noc. Nudy wprawiwały Horace'a w coraz większe rozdrażnienie. Raz po raz wzdychał, co chwila zmieniał pozycję. A Will konsekwentnie nie zwracał na rycerza najmniejszej uwagi. Horace wiedział, że przyjaciel czyni tak z rozmysłem. W końcu, gdy po szczególnie demonstracyjnym westchnieniu nastąpiła równie demonstracyjna zmiana ułożenia ciała, Will nie zdzierzył.

- Żałuj, żeś trąbki ze sobą nie zabrał - zgrzytnął. - Wtedy dopiero byś sobie porządnie pohłasował.

Horace, rad, że nareszcie sprowokował zwiadowcę do wymiany zdań, odpowiedział natychmiast:

- Jednego zupełnie nie rozumiem - oznajmił. - Dlaczego nie wyjechaliśmy pod tym wózkiem dopiero teraz. Po co marnujemy tu tyle godzin? Posiedzielibyśmy sobie wygodnie w lesie, ruszylibyśmy dopiero o zachodzie słońca, wtedy pozbawilibyśmy wózek koła, a potem najwyżej z godzinę zaczekalibyśmy na przedstawienie Malcolma z potworami. Przynajmniej nie kulilibyśmy się z zimna przez całe popołudnie i wieczór. Do tego okropnie tu nudno.

- Miało być nudno - warknął Will. - O to mi szło.

- Chciałeś się zanudzić na śmierć? - zdziwił się Horace.

- Nie.

Will tłumaczył bardzo cierpliwie. Posłużył się tonem, jakim dorosły mógłby przemawiać do niesforne go malucha. Dawno już nie używał dydaktycznej manieri w stosunku do Horace'a. Rycerzowi nie przypadła ona do gustu uprzednio, nie poszła w smak i teraz.

- Chciałem, żeby wartownicy się znudzili. Chciałem, żeby przywykli do widoku tego wózka. Chciałem, żeby wózek wtopił się w krajobraz. Chciałem, żeby przyglądali mu się godzinami i chciałem, żeby uznali, iż absolutnie nic się dzieje. Chciałem, żeby w końcu uwierzyli, że nadal też nic się nie będzie działo. Gdybyśmy dopiero teraz wyprowadzili wózek z lasu, nie zdołalibyśmy uśpić nieufności wartowników. Zachowaliby czujność. Natomiast obejrawszy sobie dokładnie wózek w świetle dnia, sądzą, że nie stanowi on najmniejszego zagrożenia. W rzeczy samej, znudzili się wózkiem.

- Cóż... niewykluczone... - przyznał niechętnie Horace.

Wyjaśnienia Willa rzeczywiście brzmiały rozsądnie. Choć fakt pozostawał faktem, okropnie nudno było tak tkwić w środku pola. W zimnie. Musieli siedzieć w mokrej trawie, nasyconej wilgocią z topniejącego śniegu. Zimowy chłód ciągnący od gruntu przenikał ciało do szpiku kości. Gdy tylko Horace pomyślał, że jest mu zimno, ogarnął go przemożny przymus kichania. Próbował się hamować, ale jedno, co wskórał, to jeszcze donośniejsze kichnięcie.

Rozzłoszczony Will z niedowierzaniem wstrząsnął głową.

- Zamkniesz ty się wreszcie? - rzucił dobitnie.

Horace przepaszająco wzruszył ramionami.

- Przykro mi - odparł. - Kichnąłem. Nic nie poradzę. Człowiek kicha.

- Owszem, nie przeczę. Ale spróbowałbyś chociaż zaprzestać naśladownictwa porykiwań rannego słonia - wytknął druhowi Will.

Horace uznał, że nie pozwoli się rzucić na kolana. Zniósłby przytyki, siedząc w kukki, jak teraz. Lecz nigdy na kolanach.

- A ty, rzecz jasna, wiesz, jaki odgłos wydaje ranny słoń! Czyś ty kiedy słyszał słonia?

- prowokował. Will nie dał się zbić z tropu. Nawet teraz, kiedy Horace posłużył się nader logicznym argumentem.

- Nie - odparł. - Ale jestem absolutnie pewien, że ryczący słoń robi mniej hałasu niż ty.

Horace wzgardliwie pokręcił nosem. Od razu zresztą pożałował. Kręcenie nosem wywołało kolejny napad. Horace walczył mężnie, w końcu zwyciężył. Wiedział bowiem, że Will ma słuszość.

Następne rycerskie „Apsik!” okazało się wyjątkowo głośne.

Strażnicy na murach doszli do podobnego wniosku co Will. Kiedy Horace kichnął, kapral dowodzący wartą popatrzył na jednego ze stojących obok żołnierzy.

- Słyszałeś? - zapytał.

Sądząc po reakcji żołnierza oraz po tym, jak podkomendny wyteżał wzrok, gapiąc się w ciemność, było oczywiste, że słyszał.

- Chyba jakieś zwierzę... - rzucił niepewnie wartownik. - Ranne zwierzę.

- Wielkie bydlę - zgodził się kapral. Wspólnie wpatrywali się w noc. Na szczęście żaden nie powiązał dziwnego dźwięku ze zniszczonym wózkiem. Will miał rację. Właściwie już nie zwracali uwagi na ciemniejący w środku pola kształt. - Kto wie, co łązi po tym lesie - mruknął w końcu kapral.

- Cokolwiek tam się włości, pewnie już sobie poszło - dodał strażnik. Miał nadzieję, że się nie myli.

Dwadzieścia metrów dalej, pod wózkiem, Horace po dwakroć okręcił głowę płaszczem. Z całej siły napierał pięścią, miażdżąc delikatną chrząstkę pomiędzy nozdrzami, by zapobiec kolejnemu kichnięciu. Następnego dnia, znalazłszy tam siniaka, zastanawiał się, skąd on się wziął.

Kiedy wiercenie w nosie nareszcie ustąpiło, ciężko oparł się o wózek. Oczy mu łzaawiły. Will, który doceniał ogromny wysiłek, jaki przyjaciel włożył w stłumienie zdradzieckich odgłosów, poklepał go po ramieniu.

- Dobra robota - stwierdził ze zrozumieniem.

Horace skinął głową. Był zbyt wyczerpany, by zdobyć się na jakikolwiek komentarz.

Wszedł księżyc. Przesunął się ponad nimi, zalewając okolicę bladym światłem, a później opadł, chowając się poniżej wierzchołków drzew czerniejących na zachodzie. Will poczuł, że serce zaczyna mu bić coraz szybciej. Czekanie dobiegało końca. Popatrzył na Horace'a. Zdał sobie sprawę, że przyjaciel także to wie. Rycerz przestał się wiercić i wykrzywiać. Powoli, ostrożnie starał się przywrócić sprężystość ścierpiętym mięśniom ramion oraz nóg. Pozbywał się skutków wielogodzinnej beczynności. Wysoki wojownik odpiął okrągłą tarczę, przywiązaną dotąd do boku wózka. Usunął grube płótno zakrywające wierzchnią stronę tarczy, odsłonił połyskującą, emaliowaną na biało powierzchnię, ozdobioną pośrodku błyszczącym symbolem zielonego dębowego liścia.

Will zachichotał.

- Dobrze wiedzieć, że ruszasz w bój, nie kryjąc wreszcie swych prawdziwych barw.

Horace odpowiedział przelotnym, nieuważnym uśmiechem. Koncentrował się. Will oglądał teraz zupełnie inną osobę. Gdzieś zniknął tamten kwękający Horace, który przez ostatnie osiem godzin wiercił się, ukryty pod wózkiem. Przed zwiadowcą stał śmiertelnie groźny, bardzo poważny Horace, mistrz rycerskiej profesji. Will naprawdę cieszył się, że ma przyjaciela u boku. Wiedział, że gdy tylko dotrą na szczyt umocnień, nim Skandianie zdołają wspiąć się po drabinach, by do nich dołączyć, właśnie Horace przyjmie główny ciężar walki.

Zwiadowca pojął, że czas rozpocząć własne przygotowania. Sprawdzał umocowanie kołczanu i dwadzieścia cztery pierzaste strzały. Długi łuk czekał, uczepiony pod wózkiem, więc teraz go odwiązał. Dotąd oczywiście nie zakładał cięciwy. Spędzili z Horace'em wiele godzin na czekaniu, naciąg tylko by przeszkadzał. Will upewnił się, że cięciwa znajduje się na swoim miejscu i że nie jest splątana. Siła naciągu łuku wynosiła prawie czterdzieści

kilogramów, więc nie zdołaliby nałożyć ciężki w ciasnej niszy pod wózkiem. Uczyni, co trzeba, gdy tylko wydostaną się z kryjówki pod spadzistym daszkiem. Wymacał u pasa wielką sakwę oraz sprawdził dłonią położenie noża do rzucania, który tkwił w pochwie ukrytej z tyłu kołnierza. Usytuowanie noża było trochę niewygodne. Will przypomniał sobie, jak nie zdołał w porę sięgnąć po nóż w trakcie pojedynku z MacHaddishem. Zanotował w pamięci, by powiedzieć Hakowi i Crowleyowi, że umieszczanie pochew z nożami w kołnierzach to kiepski pomysł.

W oddali, zza najodleglejszej części zamku, usłyszeli przeciągły, jękliwy odgłos baraniego rogu - pojedynczy ton, ciągnący się chyba w nieskończoność, póki wreszcie nie przycichł.

- Zaczynaj odliczanie - polecił Horace'owi. Ustalili z Malcolmem, że olbrzymi wizerunek Nocnego Wojownika pojawi się dwadzieścia sekund po umilknięciu rogu.

Horace bez pośpiechu odliczał. Will wyslizgnął się spod wózka, lecz nadal wykorzystywał go jako osłonę, gdy nakładał ciężki na długi łuk. Poczuł, jak Horace zaczyna się kręcić pod daszkiem.

- Wyłaż - powiedział - ale trzymaj się nisko.

Horace wygramolił się na otwartą przestrzeń, choć nadal skulony za zasłoną z wózka.

Obaj wpatrywali się w nocne niebo ponad zamkiem. Z miejsca, które zajmowali, nie zdołaliby co prawda dostrzec obrazów tworzonych przez Malcolma, ale Will doszedł do wniosku, że na nisko wiszących chmurach zauważą ich odbicia.

- Jest! - wskazał Horace.

Niebo rozświetlił krótki rozbłysk. Później oglądali kolejną projekcję. Kula ognia uniosła się, sycząc i ciągnąc za sobą w noc kaskadę iskier, aż w końcu pękła wysoko nad ziemią w deszczu czerwonego żaru.

Po chwili powtórzył się sam tylko błysk. Malcolm wyjaśnił im, że nie wolno dopuścić, aby projekcja w jednym miejscu trwała ponad mgnienie czy dwa. Bo gdyby wzrok obserwatora przywykł do blasku, widzi pojąłby, że ogląda nieruchomy obrazek. Natomiast rozbłyski, które zapalają się i gasną wśród innych światła rozpraszających wzrok obserwatorów, jak teraz, dają wrażenie ruchu i wzbudzają niepewność co do istoty zjawiska.

„Niech się tylko domyślają, co widzą, zamiast naprawdę zobaczyć”, powiedział Malcolm.

Usłyszeli głosy. Na murach coś wykrzykiwano. Ludzie komentowali przerażające wizje, rozchybotane wśród kłębow mgły.

- Ruszamy! - zdecydował Will. Wyciągnął sakwę. Przeciął sznury utrzymujące drabinę

na daszku wózka.

Horace, przesunawszy tarczę na plecy, z łatwością zarzucił ją sobie na ramię. Wspólnie pognali ku murom obronnym.

Keren znajdował się w wielkiej sali stołpu, kiedy usłyszał krzyki oraz huk pierwszej wybuchającej racy. Był uzbrojony, kolczugę nałożył już wcześniej, więc od razu ruszył na dziedziniec. Wspiął się po schodach na południowy mur, przeskakując po dwa, a nawet trzy stopnie naraz. Krzyki dochodziły właśnie od strony południowej. Keren uznał, że trafnie odgadł zamiar napastników. Tak, z tego kierunku przypuszczono szturm.

Dotarł na mury. Strażnicy, pełni lęku, zbici w ciasną gromadkę, starali się przeniknąć wzrokiem ciemność. Ich głosy zlewały się w jeden niezrozumiały bełkot, bo wszyscy gadali równocześnie.

- Milczeć! - wrzasnął Keren. Spełnili rozkaz. Czarny rycerz wskazał na sierżanta dowodzącego odcinkiem. - Sierzancie, co się...

Nie musiał pytać dalej. Na nocnym niebie, o jakieś dwieście metrów od południowego muru, na tle kłębiącej się mgły, raptownie zamajaczył cień monsturalnej postaci. Olbrzymiej, upiornej, przerażającej.

I zniknął, niemal tak nagle, jak się pojawił. Keren aż zatoczył się, postępując krok do tyłu. Lecz wtedy z ziemi zaczęła się podnosić demoniczna czerwona gęba. Wzbiła się w powietrze, a następnie wybuchła, rozrywając na moment ciemność. Jeszcze zanim stracił ją z oczu, kolejny potężny kształt wyłonił się z mgły: czarny zarys sylwetki smoka, który zdawał się trząść i dygotać. Nim się zorientował, po smoku znikł wszelki ślad.

Teraz dał się słyszeć dziwny, dudniący głos. Ktoś niewidoczny zanosił się histerycznym śmiechem. Kerenowi krew zastygła w żyłach. Przerażeni ludzie wokół nie przestawali wrzeszczeć. Kilku padło na kolana, kuląc się, jakby chcieli się ukryć przed upiornymi wizjami. Keren gniewnie kopnął najbliższą klęczącego.

- Wstawaj, śmierzący tchórze! - próbował besztać. Ale z wyschniętego gardła pana zamku miast komendy wydobyło się tylko jakieś chrypienie. Czuł, jak ciarki wędrują mu skórze, a włosy ze strachu stają dęba. Pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym ujrzeli straszliwego upiora po raz pierwszy, olbrzymi wojownik ponownie wyłonił się z mgły i ponownie rozwiął. Seria kolorowych światełek przemknęła na wysokości czaszki piekielnego męża. Powrócił śmiech, jeszcze bardziej przeraźliwy niż poprzednio.

Buttle stanął obok Kerena. Jego twarz wykrzywił nieludzki strach. Bez słowa wycelował palcem w nocne niebo, na którym powtórnie pojawił się smok, a po nim olbrzymi

lew, później znowu wojownik, a wszystko to przeplatane obrazami twarzy demona, która raz za razem wzbijała się w powietrze i rozpływała w mroku.

- Toż to magia! - wykrzyknął. - A mówisz, że nie ma żadnego czarnoksiężnika! Spójrz, głupcze!

- Opanuj się! - warknął na niego Keren. - To iluzja! Nic, tylko iluzja!

- Iluzja? - zachnął się Buttle. - Iluzja? Jak oni wywołują ten efekt? Wyłumacz mi!

Keren chwycił mężczyznę, potrząsnął nim.

- Nie wiem! - rzucił z desperacją w głosie. - Ale wkrótce na nas ruszą, więc prowadź żołnierzy na stanowiska! - Wskazał wystraszonych strażników, zbitych w zalęknionym kręgu. Odsuwali się od muru, na ile tylko zdołali. - Nie widzisz? Tego właśnie chce ten przeklęty zwiadowca!

Coraz więcej ludzi nadbiegało ze wschodniego oraz zachodniego muru. Starali się na własne oczy zobaczyć straszliwe sceny rozgrywające się poza obwałowaniami zamku. Buttle zawahał się. Dotarło doń, że Keren może mieć rację. Usłyszeli głos, wrzeszczący:

- Nadchodzą!

Trzej strażnicy, kulący się w pobliżu, usłyszeli wołanie. Sądząc, że w stronę zamku nadciągają potwory, zerwali się i runęli do schodów. Tych Keren spróbował zatrzymać zbyt późno. Lecz kolejny żołnierz, który postanowił pójść za przykładem towarzyszy, od razu zobaczył szpic miecza wycelowany w swój brzuch.

- Wracaj na miejsce! - rozkazał Keren. Żołnierz cofnął się.

Keren prześlizgnął się gniewnym spojrzeniem po sylwetce Buttle'a. Ten zbój okazał się tchórzem i zdrajcą. Keren od początku orientował się, z kim ma do czynienia. Na kimś takim nie wolno polegać. Liczył tylko, że pomoc Buttle'a okaże się zbędna, jeśli Skottowie przybędą na czas.

- Nadchodzą! - rozległo się znów wołanie.

Keren zrozumiał, że alarm dobiega z zachodniego muru, na którym teraz brakowało obrońców. Mimo półmroku dostrzegł postać jakiegoś rycerza. Choć kilku ludzi próbowało zatrzymać potężnego fechtmistrza, jego miecz wciąż miarowo unosił się i opadał. Obok balansował na murze ktoś znacznie drobniejszej postury. Ten ktoś strzelał z długiego łuku.

Wnętrznosci Kerena ścisnęło nagle przerażenie. Zdał sobie sprawę, że został oszukany. Co gorsza, oszukał sam siebie. Prawdziwym celem ataku miał być zachodni mur. Właśnie w tej chwili przypuszczono tam szturm. Keren złapał Buttle'a za ramię, wskazując intruzów.

- To podstęp! - wrzasnął. - Sprowadź tam ludzi, utrzymaj zachodni mur! Ja zwołam

resztę garnizonu! Poprowadzę ich na górę schodami wieży północno-zachodniej. Weźmiemy wroga w kleszcze!

Buttle, widząc przeciwników z krwi i kości, których dawało się zaatakować, skinął ochotczo głową. Odwrócił się, wyryczał rozkazy przeznaczone dla strażników strzegących muru południowego, po czym powiódł ich pomostem usytuowanym w południowo-zachodnim narożniku.

Keren już pędził po schodach na dziedziniec. Gdy wyczuł pod stopami kamienne płyty podwórza, zawahał się. Kwatery garnizonu znajdowały się po prawej, w wieży południowo-wschodniej. Na wprost przed sobą miał stołp.

Tam właśnie pobiegł. Gdy dopadł drzwi, ze środka wyłoniło się trzech jego ludzi.

- Za mną! - rozkazał, wpadając do wnętrza głównej budowli.

Rozdział 32

Will wraz z Horace'em dotarli do podnóża muru. Horace dźwignął drabinę do pionu. Ustawił ją. Na umocnieniach powyżej znajdowało się zaledwie kilku ludzi, gdyż większość pobiegła na mur południowy, oglądać upiorne przedstawienie, przygotowane przez Malcolma.

Jeden z tych obrońców, którzy zostali, zauważył drabinę wyłaniającą się nad krawędzią blanków. Pospieszył w jej kierunku, wzywając do siebie resztę towarzyszy. Horace pokonał już kilka szczebli, gdy pojawiła się nad nim głowa żołnierza.

- Zajmij się nim! - krzyknął do Willa. Widział, że strażnik trzyma kuszę. Wychylał się przez blanki, szykując się do oddania strzału. Horace był świadom, że nie zdąży w żadnym razie wdrapać się na szczyt drabiny, zanim mężczyzna wystrzeli, lecz miał całkowite zaufanie do Willa.

I słusznie. Will cofnął się o kilka kroków, jednym płynnym ruchem wznosił łuk, wymierzył oraz wypuścił strzałę. Horace usłyszał brzęk cięciwy, a potem złowieszczy świst. Z góry dobiegł bolesny krzyk. Kiedy Horace znów podniósł wzrok, kusznika już na murze nie było.

Kolejne strzały pruły powietrze. Will nie ustawał, zasypywał umocnienia gradem pocisków. Niekiedy celował tak, by trafiać w kamień. Wtedy pryskał deszcz iskier. Zwiadowca wiedział, że to zniechęca obrońców. Bali się podchodzić zbyt blisko krawędzi muru. Niekiedy celował ponad głowami strażników. Chciał, by obrońcy wiedzieli, że jeśli tylko któryś się wyłoni, zostanie natychmiast trafiony.

- Starczy! - wykrzyknął Horace, bo znajdował się już tylko o pięć szczebli od celu. Zamierzał właśnie przeskoczyć na drugą stronę umocnień. Któryś z pocisków Willa mógłby teraz trafić w niego. Odczekał, upewnił się, że zwiadowca usłyszał. Potem spiął się w sobie, podskoczył do szczytu muru, jednym gwałtownym wyrzutem ciała pokonując ostatnie pięć szczebli.

Horace wiedział, że atakujący staje się najłatwiejszym celem w chwili, gdy dociera na górną krawędź muru, tak jak on teraz. Obrońcy mogli czekać w ukryciu, póki napastnik nie wdrapie się aż do tego miejsca, gdyż wiadomo było, że zazwyczaj zatrzymuje się tam, aby się rozejrzeć i zorientować w sytuacji. Oczywiście, dochodziła kwestia samego prześlizgnięcia

się ponad murem. Przez kilka kluczowych sekund atakujący nie stał pewnie na nogach, wystawiając się na ciosy.

Dlatego Horace własnym sposobem uniknął realnego zagrożenia. Ostatnich pięć szczebli przebył po prostu jednym susem. Gdy dotarł do końca drabiny, wybił się wysoko w powietrze, zwinął w kłębek i wykonał salto nad umocnieniami - oraz nad dwoma zaskoczonymi obrońcami, którzy czaili się tuż poniżej górnej krawędzi muru, czekając na niego.

Obaj żołnierze wrzasnęli z przerażenia. Ciemna postać nad ich głowami, wydawało się, powstała z pustki. Horace, wykręciwszy salto, lekko wylądował o kilka metrów od granicy muru. Natychmiast zwrócił się twarzą ku obrońcom, którzy jeszcze dochodzili do siebie. Pierwszego powalił z łatwością. Drugi natarł wściekle, lecz Horace odbił pchnięcie halabardy, chwycił draba za kołnierz i przerzucił ponad krawędzią pomostu. Krzyk zdumionego żołnierza urwał się raptownie, gdy jego ciało grzmotnęło o kamienne płyty dziedzińca.

Na Horace'a napierało teraz coraz więcej obrońców, przybywających stopniowo z północnego muru. Drzwi wieży południowo-zachodniej otworzyły się z hukiem, Horace zobaczył ludzi nadbiegających także z tej strony. Obrońcy z północnego muru znajdowali się bliżej, więc odwrócił się ku nim.

- Potrzebuję cię tutaj! - krzyknął do Willa.

Zwiadowca już był w drodze. Gdy tylko ujrzał, jak Horace przeskakuje nad umocnieniami, zarzucił łuk na plecy i co tchu pomknął za nim po drabinie. Wspiął się na górę, zobaczył Horace'a powstrzymującego ludzi z północno-zachodniej wieży. Na razie rycerz nie potrzebował pomocy, ale inni już nadciągali z przeciwnej strony. Will wskoczył na blanki, chwycił łuk. Nie minęło parę sekund, nim pomknęła pierwsza strzała. Padł żołnierz idący na czele oddziału nacierającego z południowo-zachodniej wieży. Później, bez jednego słowa, upadł kolejny, biegnący tuż za nim, a trzeci zatoczył się, wrzeszcząc, gdyż strzała niespodziewanie wbiła mu się w udo.

Trzej ludzie, martwi lub ranni, padli w ciągu zaledwie kilku sekund. Ci, którzy nacierali za nimi, nagle stracili bitewny zapał. Zapewne woleli już tamte dziwne monstra straszące na niebie, od deszczu śmiertelnych strzał tutaj. Wycofali się cichcem do południowo-zachodniej wieży. Gdy drzwi zatrząskiwały się za nimi, usłyszeli dwa puknięcia strzał o twarde drewno.

Will zyskał nareszcie czas, żeby prędko obejrzeć się w stronę lasu. Skandianie znajdowali się już prawie pod murem. Biegli w trzech grupach, niosąc pozostałe trzy drabiny.

Drabiny, kolejno, z trzaskiem opierały się o kamienny mur Macindaw. Rozwścieczone wilki morskie rozpoczęły wspinaczkę, wyrzaskując bojowe zawołania.

Will sprawdził, jak ma się Horace. Rycerz z łatwością utrzymywał się na pozycji. Gdy jednak odpierał atak trzech ludzi, kolejny żołnierz zbliżał się szerokim łukiem, sunąc skrajem wewnętrznego drewnianego pomostu, żeby zaskoczyć Horace'a od tyłu. Will napiął cięciwę. Strzelił, prawie od niechcienia. Mężczyzna wydał jęk bólu i runął na kamienny dziedziniec.

Pierwszy ze Skandian stał już na murze. Will obejrzał się. Nils Ropehander. Nie był tym zaskoczony. Stary zbój podążał za Horace'em niczym cień.

- Pomóż generałowi! - polecił Will, wskazując ręką.

Nils kiwnął tylko głową i co tchu ruszył na odsiecz Horace'owi, wywijając toporem bojowym szerokiego młyńca.

Żołnierze, którzy nacierali na Horace'a, już i tak z trudem się trzymali. Teraz dodatkowo przeraził ich widok olbrzymiego, wrzeszczącego Skandianina. Nacierał z furją, groteskowy w swojej futrzanej kamizeli i potężnym hełmie z rogami. Zaczęli się cofać, roztrącając przy okazji obrońców walczących z tyłu.

Nils, jednoosobowy ludzki taran, uderzył, rozrzucając wrogów na wszystkie strony. Normalny odwrót zmienił się nagle w paniczną ucieczkę. Zmykali, gnając na łeb na szyję, byle tylko dostać się do schronienia w północno-zachodniej wieży.

Will dowodził. Posłał w bój następnych kilku Skandian. Kazał im wesprzeć Horace'a oraz Nilsa. Następnie ustawił własną linię obrony tak, by Skandianie powstrzymali kontratak obrońców, który prawdopodobnie wyprowadzony zostanie z południowo-zachodniej wieży, kiedy znów rozgorzeje walka.

Usatysfakcjonowany, że uchwycili i zabezpieczyli przyczółek na zachodnim murze, Will gorączkowo rozglądał się, wypatrując Kerena lub Buttle'a.

Obaj stwarzali prawdziwe zagrożenie. Większość garnizonu składała się z karczemnych szumowin i zbirów. Czmychali od razu przed doświadczonymi, zaprawionymi w boju Skandianami. Jednak obecność któregoś z dowódców mogła wzmocnić ich opór. Will wiedział, że za wszelką cenę należy szybko odnaleźć obydwu i skończyć z każdym jak najszybciej. Jednak nie dostrzegał ani śladu jednego lub drugiego.

Uwagę zwiadowcy przyciągnął okrzyk bólu dobiegający spod muru. Trzej Skandianie skupili się tam u podstawy trzeciej drabiny. Jeden z nich osuwał się właśnie po szczelbach z bełtem tkwiącym w piersi.

Już po chwili następny bełt odbił się od muru nad ich głowami, krzesząc iskry, gdy żelazny grot uderzał o kamień.

Bełt mógł zostać wystrzelony jedynie ze szczytu południowo-zachodniej wieży, wystającej poza sam mur, inaczej nie sięgnąłby tego miejsca, gdzie Will zauważył trzech Skandian. Spojrzał ku wieży. Dojrzał wystającą znad blanków głowę oraz kuszę. Kusznik właśnie szykował się do oddania kolejnego strzału.

W takich chwilach najlepiej ujawniał się talent zwiadowcy. Kusznik na wieży musiał wypoziomować broń, wycelować, wziąć poprawkę na wiatr oraz uwzględnić fakt, że znajduje się powyżej celu. Dopiero wtedy wypuszczał pocisk. Will natomiast osadził strzałę zupełnie instynktownie, naciągnął cięciwę i wystrzelił, wszystko w mgnieniu oka. Kusznik nigdy się już nie dowiedział, co go spotkało.

Martwy Skandianin zaplątał się w dolne szczeble drabiny. Jego kamraci po chwili wahania skoczyli do pozostałych dwóch drabin, bo właśnie ustawały tam przepychanki wilków morskich czekających na swoją kolej.

Szczyt południowo-zachodniej wieży mógł co prawda okupować drugi kusznik. Jeżeli nawet, to z pewnością wziął sobie do serca los swego towarzysza i roztropnie się gdzieś ukrył.

W południowo-zachodniej wieży Buttle wyglądał na zewnątrz przez judasz w dębowych drzwiach. Zobaczył Skandian formujących szereg na umocnieniach i pojął, że należy ich od razu odeprzeć. Za parę chwil pozycja zostanie definitywnie stracona dla obrońców.

Zgromadził przy sobie tuzin zbrojnych. Poprowadził ich teraz w kierunku drzwi, grożąc, klnąc i płazując mieczem.

- Jeżeli wedrą się głębiej, wszyscy zginiemy! - ryknął, wypychając opornych żołnierzy na blanki. Natarli na linię Skandian z brawurą, jaką daje rozpacz. Skandianie, ujrawszy nadchodzących, tylko radośnie zarechotali.

Za plecami żołnierzy Buttle po cichu zamknął drzwi i zbiegł po schodach na parter.

Zauważył rosnącego wojownika. Odpierał ataki obrońców drugiej wieży. Rozpoznał go. Spotkali się w lesie kilka tygodni wcześniej. Buttle zapamiętał, że młodzian zachował się wówczas arogancko i podważał jego autorytet. Obwieś doszedł do wniosku, że pora wyrównać rachunki. Tuż za pozycją Horace'a znajdowała się kłapa w pomoście, a pod nią schody, którymi wchodziło się na pomost z dziedzińca poniżej. Właśnie tam Buttle się teraz udał.

W lesie po zachodniej stronie jeszcze ktoś wspominał pewne wydarzenie z minionych tygodni.

To działo się kilka dni przez szturmem.

Trobar, czule głaszcząc grzbiet Shadow, wyczuł nagle pod palcami krawędź wielkiej blizny skrytej w miękkim futrze. Delikatnie rozchylił czarną sierść i ujrzał okropny ślad po niedawno zagojonej ranie. Zatrząsał się, widząc, jak strasznie ktoś skrzywdził sukę. Cud, że pies w ogóle przeżył coś takiego.

Wypytał Willa o szczegóły. Młody zwiadowca opowiedział mu, jak znalazł psa i jak leczył ranę. Trobar bardzo pragnął się dowiedzieć czegoś więcej o sprawcy psiego cierpienia. Will wymienił nazwisko Buttle'a, obecnego dowódcy garnizonu Kerena.

Trobar znał Buttle'a. Obserwował go z lasu, kiedy czarnobrody drab objeżdżał okolicę, rekrutując nowych żołnierzy do zamku.

Trobar przyrzekł sobie święcie, że Buttle zapłaci za krzywdę wyrządzoną Shadow. Wielkolud zaliczał się do osób o łagodnym usposobieniu. Zazwyczaj traktował każdego przyjaźnie i z łagodnością baranka. Jednak myśl o cierpieniu czworonożnej przyjaciółki oraz o okrucieństwie mężczyzny, który jej zadał potworny ból, zmieniła mu serce w lód. Gdy tylko od zamkowych umocnień do uszu podopiecznych Malcolma dobiegły pierwsze odgłosy bitwy, Trobar natychmiast sięgnął po olbrzymią pałkę, którą tego dnia wystrugał sobie z konara. Bezszelestnie ruszył wielkimi susami przez otwartą przestrzeń, wiodącą od skraju lasu do porzuconych drabin przy zachodnim murze Macindaw.

Nils poprowadził pięciu walczących u swego boku Skandian do szaleńczego ataku na słabnącą linię obrony garnizonu Macindaw. Gwałtowny impet natarcia ostatecznie pozbawił ludzi Kerena woli walki. Teraz wycofywali się, panicznie szukając schronienia w północno-zachodniej wieży. Myśleli wyłącznie o tym, by zamknąć za sobą mocne dębowe drzwi, odgradzając się od brodatych wojowników o dzikim wzroku.

Gdy wojacy z garnizonu cofali się, popychając się nawzajem i tratując, bo każdy marzył, że pierwszy dopadnie bezpiecznego schronienia, Horace odsunął się na bok. Skandianie zdołają poradzić sobie z powodzeniem również i bez niego, ocenił. W ferworze walki nie zwracał dotąd uwagi na zraniony ciosem sztyletu nadgarstek dłoni, którą dzierżył miecz, więc teraz skorzystał z okazji, by owinać ranę czystą chustką wyciągniętą z wewnętrznej kieszeni. Draśnięcie okazało się niegroźne, chociaż sprawiało niemały ból. No i przeszkadzało. Sącząca się obficie krew spływała na dłoń, przez co rękojeść miecza niepewnie ślizgała się w garści Horace'a. Oparł więc miecz o blanki i skupił całą uwagę na tym, żeby ciasno obwiązać ranę.

- Horace!

Przerwał. Spojrzał w górę, gdzie Will balansował na jednym z masywnych kamieni, tworzących zęby blanków. Zwiadowca wskazywał łukiem na wewnętrzny dziedziniec. Horace oddalił się kilka kroków od ściany, by lepiej widzieć, i zdążył jeszcze dojrzeć postać wślizgującą się do wnętrza stołpu.

- To Keren! - krzyknął Will. - Idzie po Alyss!

Horace dokonał szybkiego przeglądu sytuacji. Will nie był mu już potrzebny, wszystko mieli pod kontrolą. Za to zwiadowca najlepiej nadawał się do pościgu za rycerzem-renegatem.

- Goń go! - odrzyknął. - Ja się tu zajmę robotą. Dołączę do ciebie, gdy tylko zdołam!

Will skinął na znak zgody. Zeskoczył z blanków. Podbiegł do skraju pomostu, zmierzył wzrokiem czterometrową odległość dzielącą go od dziedzińca. Przez chwilę Horace sądził nawet, że druh zamierza rzucić się z pomostu wprost na kamienne płyty, ale Will dostrzegł inny, znacznie skuteczniejszy sposób dostania się na dół.

Kilka metrów dalej zauważył bowiem linę oraz podciąganą platformę, którą podnoszono i opuszczano między umocnieniami a dziedzińcem. Zbudowano ją, by dostarczać obrońcom na murach broń, bełty do kusz, kamienie oraz kotły z wrzątkiem albo olejem. Will zarzucił łuk na plecy, skoczył, chwycił linę, oplótł ją nogami, żeby spowolnić zjazd, a następnie zsunął się na dziedziniec.

Horace znów skoncentrował się na prowizorycznym opatrunku. Przytrzymując jeden koniec chusty zębami, lewą ręką niezdarnie zawiązał węzeł. Obejrzał rezultat. Na razie ujdzie, pomyślał. A poza tym walka już prawie dobiegła końca. Prawie.

Horace'a posiadał bitewny szósty zmysł. Każdy nietypowy, nieznaną dźwięk oznaczał dlań potencjalne zagrożenie. Młody rycerz właśnie usłyszał coś takiego za sobą - ciche skrzypienie, jak gdyby rzadko używane zawiasy zostały zmuszone do pracy i zmagaly się z cienką warstewką rdzy, która je pokryła.

Odwrócił się w kierunku, skąd dobiegał odgłos. Akurat w porę, by ujrzeć Johna Buttle'a, wyłaniającego się z otworu w pomoście.

Rozdział 33

Buttle spostrzegł, że chłystek jest bez broni. Twarz zbira ściągnęła się w grymas. Przypominała teraz pysk polującego wilka. Buttle trzymał w jednej ręce ciężką włócznię, a miecz w drugiej. Horace nie miał niczego prócz okrągłej tarczy przewieszanej przez plecy.

Spojrzenie Horace'a pomknęło do miecza opartego o mur kilka metrów dalej. Ruszył ku niemu, nie zwlekając, ale Buttle okazał się morderczo szybki. Cisnął z rozmachem włócznią, celował tak, by zagrozić Horace'owi drogę do broni. Rycerz uświadomił sobie zagrożenie, okręcił się w prawo, padł w ostatniej chwili na drewniany pomost, przetoczył się w odruchu desperacji, ale nie zdążył już wstać.

Buttle natarł z szybkością węża. Ostrze miecza wgrzyło się w deski pomostu tuż obok łokcia Horace'a, który w ostatniej chwili zdołał wykonać kopnięcie boczne z pozycji leżącej. Trafił Buttle'a pod kolano, aż ten się zatoczył. W ciągu kilku sekund, jakie rycerz na chwilę zyskał, chwiejnie podniósł się i energicznym podrzutem ramion zsunął ramię utrzymujący tarczę na jego plecach. Chwycił za krawędzie obiema rękami. Ustawił tarczę przed sobą.

W tej pozycji odparował dwa kolejne ciosy Buttle'a. Później wykonał coś absolutnie nieoczekiwanego. Rozluźnił uchwyt, opuścił lewą rękę, następnie potraktował tarczę niczym dziwną broń. Ściskając płaski brzeg tarczy tylko prawą dłonią, zamachnął się i ruszył do ataku, kolistymi ruchami starając się trafić w głowę Buttle'a. Nagle, z przedmiotu służącego wyłącznie obronie, ciężki, okrągły kawałek stali zamienił się w niezgrabną co prawda, ale broń zaczepną.

Buttle, zdumiony niespodziewaną improwizacją, spróbował sparować tarczę klingą miecza. Lecz niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że tarcza jest zbyt ciężka, więc uskoczył do tyłu. Horace napierał, wciąż umiejętnie wywijając tarczą. Ustawiał ją raz wysoko, raz znów nisko i starał się trafić Buttle'a w nogi, w tułów albo w głowę.

Jednak samym wymachiwaniem nie da się zwyciężyć. Rycerz zyskiwał po prostu na czasie, nic więcej, zresztą dobrze o tym wiedział. Buttle już po chwili otrząsnął się z chwilowego zaskoczenia. Od razu wziął się do udowadniania bezczelnemu młokosowi, na czym w pojedynku polega przewaga miecza nad tarczą. Bez trudu obnażał nieprzydatność tarczy jako broni zaczepnej. Wymierzał ciosy, kierując je w tułów Horace'a. Rycerz musiał znów trzymać tarczę obiema rękami. Oslaniał się już tylko. A Buttle napierał. Najpierw

zastosował wypad, później ciął na odlew, wciąż szukając luki w obronie.

Większość wojowników poddałaby się teraz albo uciekła. Jednak Horace nigdy, przenigdy, do samego końca nie akceptował porażki. Ten właśnie przymiot uczynił zeń, wraz z upływem lat, wielkiego wojownika.

Niewzruszenie odpierał grad ciosów Buttle'a. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Młody fehmistrz starał się znaleźć sposób na pokonanie brodacza.

Gdyby zdołał jakoś ponownie zarzucić tarczę na lewe ramię, no i gdyby wtedy sięgnął po sztylet, mógłby... Ale zdawał sobie sprawę, iż Buttle nie zostawi mu czasu na żaden manewr.

Rozwagał rzut tarczą. Zdołałby wprawić ją w ruch obrotowy, niczym wielki dysk. Przeciwnik spróbowałby się uchylić. Następnie Horace natarłby ze sztyletem. Jednak Buttle był szybki - pod względem refleksu dorównywał najlepszym rywalom, z jakimi Horace kiedykolwiek się mierzył - więc taka próba z pewnością spełzałaby na niczym.

Odparował jeszcze dwa cięcia oraz odbił pchnięcie.

W trakcie pojedynku zdał sobie sprawę, że Buttle dysponuje co prawda znakomitą szybkością, ale szermierz z niego ani szczególnie zdolny, ani pomysłowy. Horace zapewne jeszcze długo potrafiłby blokować ciosy brodacza. Jednak wystarczy jedna, jedyna pomyłka. Wtedy koniec.

Miecz wyszczerbił brzeg tarczy i na chwilę w niej uwiązał. Przeciwnicy starli się pierś o pierś, każdy przez krótką chwilę usiłował przemóc drugiego. W końcu Buttle zdołał oswobodzić miecz. Pęd aż miotnął nim do tyłu. Lecz nawet chwiejąc się, pamiętał, by szczyt miecza kierować w korpus rosłego chłystka.

Oczy Horace'a zwęziły się. Przy następnym zwarciu spróbuje zaprzeć się przez sekundę czy dwie, a potem wypuści tarczę. Buttle musi się zachwiać, bo ciężar tarczy ściągnie jego miecz ku dołowi. A Horace otrzyma szansę, by zaatakować przy użyciu sztyletu. Pochylił się, z wolna okrążając przeciwnika. Wypatrywał w jego oczach błysku, zapowiadającego kolejny cios. Teraz, gdy już ułożył w głowie swój własny plan, ogarnął go kamienny spokój. Przypomniawszy sobie sytuację sprzed lat. Taki sam spokój spłynął nań moment przed celowym rzuceniem się pod kopyta bojowego wierzchowca Morgaratha. Dzięki kontrolowanemu upadkowi wysadził wówczas z siodła zbuntowanego możnowładcę.

Buttle dojrzał w oczach młodzika owo specjalne coś. Poczuł, jak robak strachu wierci mu się w brzuchu. Rywal, uzbrojony jedynie w tarczę, nie powinien sprawiać wrażenia kogoś absolutnie pewnego siebie. Przecież to Buttle ścisnął w garści miecz. Spozstrzegł, że Horace oczami duszy ogląda zakończenie ich starcia. Zakończenie, w którym Buttle przegrywa.

Znów zamarkował wypad i pchnięcie, aby naprawdę ciąć z góry. Horace za każdym razem, teraz również, odchyłał się o włos. Znakomite wycucie dystansu pozwalało mu traktować każdy zwód, każdy cios jak element łatwiutkiej zabawy.

Zbój zmarszczył brwi. W przeciwieństwie do młodego rycerza, nie posiadał żadnego planu ataku. Należało po prostu trafić i powalić przeciwnika. Tyle że, jak dotąd, nawet o krok nie zbliżył się do osiągnięcia celu. Młodzianowi zawsze starczało czasu, żeby ustawić tarczę tak, by za każdym razem zablokować pchnięcia, cięcia oraz wypady. Buttle nie przeoczył także ciężkiego sztyletu dyndającego przy prawym boku Horace'a.

Mierzyli się wzrokiem, okrążając się z wolna; miecz i tarcza poruszały się jednocześnie. Akcja. Reakcja.

I wtem, w jednej chwili, impas został przełamany. Kątem oka Horace dostrzegł olbrzymią postać. Zza muru, wdrapawszy się po jednej z drabin, wyłaniał się Trobar. Górował wzrostem nad oboma szermierzami.

Przez moment stał nieruchomo. Już po chwili zobaczył Buttle'a. Natychmiast zeskoczył na pomost, obydwoma rękami ściskając ogromną, drewnianą pałkę. Bez wahania, wywijając morderczego młynka, natarł na człowieka, który kiedyś usiłował zabić Shadow.

Buttle cofnął się desperacko. Uchyłał się i przeginał, by unikać gigantycznego tłuka. Trobar następował. Niby włókł się niezdarnie, niby co krok tracił równowagę, a jednak poruszał się z zaskakującą szybkością. I pędził Johna Buttle'a przed sobą. Pałka huczała niczym grom, wałąc o kamienne ściany, o drewniany pomost. W pewnej chwili, gdy wielkolud trzasnął w deski pomostu, odprysnęła dwudziestocentymetrowa drzazga. Wirując, poszybowała w ciemność. Trobar stęknął z wysiłku, ale nie spuszczał wzroku z człowieka, który skrzywdził psa.

Jednak odwaga, a nawet pragnienie pomsty to za mało. Choć każdy mógł się Trobara przestraszyć, choć jego nadludzki wzrost budził grozę, podopieczny Malkolma nie miał najmniejszego pojęcia o broni i o szermierce. Niezdarne wymachy pałką stanowiły instynktowny przejaw straszliwego gniewu. Trobar, machając bez umiaru, wreszcie się zmęczył. Jego ruchy straciły koordynację, ciosy zadawał coraz częściej na oślep, samemu wystawiając się na kontrę Buttle'a.

Horace z góry wiedział, jak skończy się ta walka. Zdesperowany, pomknął w stronę ściany po swój własny oręż - gdyż w trakcie zmagania z Buttle'em obaj oddalili się znacznie od miejsca, gdzie zaczęli. Gdy tylko zacisnął palce wokół znajomej rękojeści, za jego plecami rozległ się okrzyk pełen zaskoczenia i bólu. Obejrzał się. Ujrzał, jak pałka wypada z pozbawionej czucia dłoni Trobara. Buttle właśnie cofał miecz po pchnięciu zadany w bok

olbrzyma.

Trobar, pod wpływem nagłego, przeszywającego bólu chwycił się za bok. Czuł, jak jego własna gorąca krew przecieka mu przez palce. Tylko niezwykła siła pozwoliła olbrzymowi ustać jeszcze przez kilka chwil. Nie rozumiał, co się stało. Spojrzał w dół, na swój bok, gdzie wniknął miecz. Tak właśnie musiała się czuć Shadow, pomyślał, tracąc przytomność. Zdołał jeszcze spostrzec, że Buttle przymierza się do zadania następnego pchnięcia. Bezradnie zasłonił się ręką. Gołą dłonią starał się odparować cios miecza.

Sztych przebił potężne przedramię, tnąc mięśnie oraz ciało, aż w końcu zazgrzytał na kości. Gdy wściekły Buttle wyciągał miecz, Trobar zakwilił z bólu. Zbir mierzył w serce wielkoluda, lecz ruch ręki Trobara w ostatniej chwili pokrzyżował mu szyki.

Na moment ci się upiekło, pomyślał.

Ale kolejnego momentu już nie było. Wysunięte do następnego sztychu ostrze brodacza trącił miecz Horace'a, odrzucając na bok śmiertelnoścą klingę. Dopiero teraz John Buttle przekonał się, o co naprawdę chodzi w szermierce.

Horace wreszcie zaatakował. Buttle chwiał się rozpaczliwie, przytłoczony falą błyskawicznie wyprowadzanych uderzeń i nieustannymi zmianami rytmu. W ogóle nie potrafił zgadnąć, gdzie wymierzony zostanie następny cios ani z jakiej strony padnie. W blasku pochodni miecz Horace'a zmienił się w połyskujące, świetliste koło. Natarcie trwało i trwało, bez chwili przerwy, bez jednej pomyłki. Młody rycerz nie pozostawił Buttle'owi czasu na zaplanowanie jakiegokolwiek przeciwuderzenia. Zbój z trudem nadażał z zasłanianiem się.

Przerażony, chwycił wreszcie miecz w obie dłonie. Nie pojmował, skąd bierze się miazdząca siła każdego ciosu Horace'a, bo przecież młodzik pracował tylko jedną ręką, zresztą najwyraźniej bez najmniejszego wysiłku. Każdy cios wprawiał w drżenie dłonie, nadgarstki i ramiona zbója. Buttle wiedział, że nigdy, przenigdy nie zdoła pokonać tego człowieka. Wybrał więc jedyny sposób, jaki znał.

Uskoczył do tyłu, upuścił miecz. Usłyszał, jak oręż, brzęcząc, toczy się po drewnianym pomoście.

Wtedy upadł na kolana, rozkładając szeroko ręce.

- Łaski! - zawołał ochryple. - Proszę! Poddaję się! Łaski, błagam!

Horace, który już się przymierzył, już był gotów do pchnięcia prowadzonego w dół, zmrużył oczy i z wysiłkiem wyhamował cios. Buttle dobrze widział spadającą klingę. Skulił się, odwracając twarz, by nie patrzeć śmierci w oczy. Jednak nie poczuł bólu. Zerknął trwożliwie. Horace stał nad nim z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Zaiste, tchórzliwy łajdak z siebie - syknął.

Rycerz obejrzał się, spoglądając tam, gdzie olbrzymia postać Trobara osunęła się na deski. Krew powoli rozlewała się po deskach pomostu wokół wielkoluda. Później znów spojrzał na Buttle'a, przypominając sobie wszystko, co opowiadali o nim Gundar oraz Will. Jednym płynnym ruchem wraził miecz do pochwy. Dojrzał światełko nadziei, zapalające się w oczach klęczącego mężczyzny, nadziei podszytej chytryścią i wyrachowaniem.

Tchórze i dranie, zawsze są tacy sami, pomyślał Horace. Sięgnął pamięcią do wydarzeń z przeszłości. Przywołał starcie z trzema parszywcami, którzy podczas pierwszego roku nauki w Szkole Rycerskiej uczynili mu z życia piekło.

W raptownym przypływie ślepej furii chwycił zbira za kołnierz, szarpnął, dźwignął brodacza na równe nogi. Bez wahania wymierzył krótki, bezlitosny cios z prawej, idealnie wymierzony, wyważony, wykonany bez zbędnej zwłoki.

Buttle wrzasnął, bo poczuł, że szczeka mu się przemieszcza. Poczerniało mu w oczach, ugięły się pod nim nogi. Horace puścił zbira. Pozwolił oszołomionemu mężczyźnie opaść na pomost. Padając, Buttle zawadził jeszcze o kamienną ścianę. Horace wstrząsnął głową, po czym odwrócił się i pospieszył do Trobara.

Wielkolud żył, ale stracił mnóstwo krwi. Horace obrócił go delikatnie. Poszukał szarpi. Lata gorzkich doświadczeń nauczyły rycerza, by w sakiewce uwieszonej z tyłu u pasa, ilekroć wyruszał w bój, nosić pakunek z zestawem pierwszej pomocy. Horace znalazł czyste szarpie, którymi osłonił ranę od miecza w boku Trobara. By się trzymały, użył pasa wielkoluda. Szarpie natychmiast przesiąkły krwią, ale przynajmniej zatamowały krwawienie. Trobar miał wciąż otwarte oczy. Patrzył na Horace'a nierozumiejącym wzrokiem. Rycerz zmusił się do przywołania na usta uśmiechu.

- Nic ci nie będzie - pocieszył.

Wargi Trobara poruszyły się. Horace uciszył rannego.

- Nie próbuj mówić. Odpoczywaj. Malcolm cię połata - szepnął. Miał nadzieję, że olbrzym nie zauważył, jak bardzo się obawia o jego życie. Wiedział, że rana jest poważna. Nawet umiejętności Malcolma zostaną wystawione na ciężką próbę.

Trobar spróbował ponownie. Zdołał wydusić z siebie jakiś niezrozumiały charkot. Horace ujrzał w oczach olbrzyma strach. I uświadomił sobie, że Trobar patrzy nie na niego. Spoglądał za niego.

Horace odwrócił się gwałtownie. Buttle stał nad nim, trzymając obiema rękami uniesiony nad głową miecz. Twarz miał napuchniętą, wykrzywioną okrutnym grymasem, z kącików ust spływały mu strużki krwi. W jego oczach płonęła nienawiść. Nienawiść i triumf. Jeszcze chwila, a Horace będzie martwy.

Jednak tej chwili zdrajcy zabrakło. Z nocnych ciemności wychynął topór Gundara Hardstriker'a. Skoczył, obracając się w locie z osobliwym, łopoczącym świstem.

Osiem kilogramów twardego drewna oraz masywnego żelaza grzmotnęło Buttle'a w plecy. Dowódca garnizonu stęknął boleśnie. W jego oczach zalśniły zdumienie i szok. Impet uderzenia odrzucił go do tyłu. Miecz zbója upadł na pomost. Buttle próbował jeszcze nieporadnie sięgnąć za siebie, chciał wyszarpnąć potężny skandyjski topór z ciała, lecz zabrakło mu siły i zdecydowania. Zrobił krok w lewo, przechylił się, zachwiał.

Z donośnym, głuchym huknięciem spadł na ciemny dziedziniec poniżej.

Zmęczony Horace podniósł się, bo właśnie podchodził Gundar.

- Niezły rzut - przyznał młody rycerz.

- Chociaż tyle zdołałem zrobić. - Skandianin skinął głową. - Wiedziałem, że nie dobiegnę na czas. - Z niepokojem zerkał z pomostu na dół. Spoglądał na kamienne płyty i lustrował wzrokiem skuloną sylwetkę martwego brodacza. Horace stanął obok. Położył dłoń na ramieniu skirla.

- Nie kłopotz się. Z tamtym już koniec - powiedział.

Gundar łypnął spode łba. W oczach miał lekceważenie.

- Z tamtym? Do diabła z tamtym! Mam nadzieję, że mój topór się nie wyszczerbił.

Rozdział 34

Tymczasem resztki obrońców na obu krańcach umocnień od zachodniej strony zdążyły się już wycofać do dwóch narożnych wież. Horace przyjrzał się solidnym dębowym drzwiom wieży południowo-zachodniej. Zmarszczył brwi. Pomyślał, że aby je wyłamać, potrzeba niedużego tarana. Zakładał zresztą, że z drzwiami wieży północno-zachodniej wcale nie pójdzie łatwiej. Usłyszał podniesione głosy dobiegające z dołu oraz odgłos biegnących stóp. Wyrzawszy z pomostu, stwierdził, że żołnierze garnizonu opuszczają wieże. Wylewali się strumieniem na dziedziniec. Kierowali się do głównego wejścia, gdzie ufortyfikowana budowla bramna zapewniała im schronienie przed napastnikami. Przejście w dół wiodące przez obie wieże było co prawda zablokowane, jednak Buttle zdradził im wcześniej inną drogę wyprowadzającą na dziedziniec. Horace zebrał wokół siebie Skandian. Kilku odniosło rany; zostawił dwóch, żeby opiekowali się Trobarem. Pozostali wciąż mogli stawać do boju. Horace sprowadził ich wąskimi schodkami pod klapą w pomoście; wcześniej korzystał z tych schodków Buttle. Pierwsi Skandianie, którzy po chwili znaleźli się na dziedzińcu, palili się, by bezzwłocznie uderzyć na niezdyscyplinowaną, zmykającą przed nimi garnizonową bandę.

Horace rzucił na szalę cały swój autorytet. Należało powstrzymać rwących się do boju żeglarzy, dopóki wszyscy nie zejdał po schodach. Następnie rycerz ustawił oddział, formując ciasny klin. Sam stanął na czele, Gundarowi oraz Nilsowi przydzielił miejsca po swej lewej i prawej.

Poprowadził ich miarowym truchtem. Ruszyli za obrońcami, bez zbędnego pośpiechu. Natomiast ludzie Kerena odpychali jeden drugiego, bo każdy starał się jak najszybciej dostać do środka wąskim wejściem.

Usłyszawszy bojową pieśń Skandian, ci, którzy już znaleźli się w środku, zatrzasnęli okute żelazem dębowe drzwi, zostawiając na pewną śmierć około dwudziestu kompanów. Zwróceni twarzami do napastników, pozostawieni sami sobie, żołnierze przywarli plecami do muru. Kiedy obie grupy dzieliło nie więcej niż dziesięć metrów, Horace uniósł prawą dłoń.

- Stać! - wydał rozkaz. Posiadał wrodzony talent przywódczy, żaden ze Skandian nie śmiał protestować.

- Formować szereg - nakazał. Ciasny klin rozciągnął się w linię. Stali teraz na wprost struchlałych obrońców.

- Macie ostatnią szansę. Pozwalam wam się poddać - oznajmił Horace. - Później nie będzie już litości.

Ludzie Kerena trwoźliwie zerkali na Skandian. W normalnych okolicznościach poddaliby się bez wahania - ale ta bitwa daleka była od normalności. Wiedzieli, że dzikie wilki morskie sprzymierzyły się z siłami nieczystymi. Wszak na własne oczy oglądali przerażające zjawy, wyłaniające się z mgły po południowej stronie. Gdyby się poddali, kto wie, co by się z nimi stało? Być może zostaliby złożeni w ofierze monstrualnemu wojownikowi, którego ujrzeni, albo demonom o czerwonych twarzach, wzbijającym się w nocne niebo. Wszyscy mieli świadomość, że trwa coś więcej niż zwyczajna bitwa. Przeciwno nim do boju wystąpiły siły ciemności, wsparte mroczną, złowrogą magią. Żaden człek zdrów na umyśle nie podda się takiemu wrogowi.

W odpowiedzi na propozycję Horace'a zapadła więc długa cisza. Żaden z żołnierzy garnizonu nie chciał podjąć ryzyka. Żaden nie chciał się wychylać. W końcu Horace wzruszył ramionami z rezygnacją.

- Dałem wam szansę - zwrócił się łagodnie do przeciwników. Później spytał skirla wilczego okrętu: - Gundarze, zajmiemy się nimi?

Gundar, który odzyskał już swój topór, aż się palił, żeby znowu go użyć.

- Tą śmierdzącą zgrają mamy się zajmować wszyscy? - parsknął drwiąco. - Starczy Nilsa i mnie. Ty ruszaj na pomoc zwiadowcy, generale.

Horace potwierdził skinieniem głowy. Wsunął miecz do pochwy i opuścił szereg.

Gundar zaczekał, aż jeden z jego ludzi przesunie się na miejsce zwolnione przez Horace'a, po czym wzniosł topór i zaryczał, wykrzykując uświęcone tradycją skandyjskie zawołanie wzywające do boju:

- Za mną, morskie wilki!

Z dwudziestu trzech gardeł wydobyło się wycie, szereg ruszył naprzód jak fala. Spadli na obrońców z brzękiem stali, spychając struchlały zamkowy garnizon z powrotem pod kamienne ściany budowli bramnej. Horace obserwował ich przez moment, po czym pobiegł w kierunku stołpu.

Will wpadł do stołpu kilka minut wcześniej. Sień oraz leżącą głębiej salę jadalną zastał puste, gdyż cała załoga wyległa na mury. Służba najpewniej chowała się gdzieś niżej, zajmując piwnice, a także kuchnię.

Will od początku wiedział, że Keren schroni się w wieży. Nie zwlekając, ruszył biegiem do centralnie usytuowanej klatki schodowej. Na niższych poziomach rozłożył stołp

mieścił salę jadalną, kwatery mieszkalne oraz pomieszczenia dla zamkowych urzędników, które zajmowały pierwsze trzy kondygnacje. Wyżej zwięźał się, przechodząc w wieżę, po której murze, od zewnątrz wspinał się niegdyś Will. Wieża była cofnięta w stronę północnego muru i ledwie na tyle szeroka, by na każdym piętrze starczyło miejsca na jedno lub dwa pomieszczenia.

Komnaty niższych kondygnacji opasywały rozłożystą klatkę schodową o szerokich, kamiennych schodach, których trudno byłoby skutecznie bronić. Jednak Will wiedział, że w szczycie wieży schody przesunięte zostały nieco na lewo i biegły ciasną, prawostronną spiralą. Pod górę szło się zatem kuliście, wciąż w prawo. Praworęczny szermierz, wspinający się po schodach, zawsze znajdował się w gorszej pozycji niż praworęczny obrońca. Obrót w prawo po spirali oznaczał, że atakujący musiałby wystawić na cios całe ciało, aby posłużyć się mieczem, podczas gdy obrońca mógł uderzać, odsłaniając tylko prawy bok. Był to układ typowy dla zamkowych baszt.

Will pokonał biegiem pierwsze cztery kondygnacje, po czym, zwalniając kroku, skręcił w kierunku spiralnych schodów. Nie wiedział, co czekało nań za każdym kolejnym zakolem kamiennej ślimacznicy. Roztropnie założył, iż Keren mógł rozstawić ludzi, by opóźniali pościg. Pojedynczy zbrojny właściwie bez końca opierałby się skutecznie atakującym, bo ci zdołaliby podchodzić tylko po jednym naraz.

Zwiadowca zamyślił się nad przydatnością łuku trzymanego w ręku. Wreszcie uznał, że nie jest to oręż odpowiedni do akcji prowadzonej w ciasnej przestrzeni klatki schodowej. Zarzucił łuk na ramię, sięgnął po sakwę. Saksa posiadała klingę dostatecznie masywną, żeby odbić cios miecza, na tyle zaś krótką, by dało się nią swobodnie operować w ciasnocie murów.

Pomyślał, że to tymczasem lepszy wybór.

Przed wkroczeniem w wąską spiralę klatki schodowej przystanął. Dał sobie chwilę na uspokojenie oddechu. Należało działać całkowicie bezszmerowo. Cisza to główny atut zwiadowcy, nawet w wieży, gdy się pokonuje kolejne kręte stopnie. A wszak trudno zachować ciszę, gdy się sapie i dyszy. Rozpoczął wspinaczkę, uważnie stawiając stopy. Miękkie cizmy nie wydawały żadnych odgłosów. Ucieszył się, że schody wykonano tu z kamienia. W niektórych twierdzach budowniczowie stosowali drewnianą konstrukcję schodów. Deski zbijano celowo niezbyt ściśle, by alarmująco skrzypiały pod nogami.

Ostrożnie podążał w górę. Co jakiś czas przy ścianach klatki schodowej napotykał rozmieszczone w uchwytach pochodnie oświetlające drogę. One stwarzały kolejny problem. Gdy minął pierwszą, pojął, że musi jeszcze bardziej uważać. Na murze, ponad zwiadowcą i z

przodu, towarzyszył mu przecież cień, aż nadto wyraźnie zdradzający obecność wspinacza. Pomyślał, że gdyby dostał zadanie obrony schodów, zacząłby się za jedną z pochodni, wypatrując nie tyle zbliżającego się napastnika, co jego cienia. Przed każdym wchodzącym wspinał się jego cień. Broniąc schodów zważałby na cień, a potem...

... brzeszczot miecza w świetle pochodni załśnił krwistą czerwienią. Opadał wprost na niego!

Rzucił się do tyłu. Cudem zdołał ustać na nogach. Ostrze skrzesало iskry, wałąc o ścianę i o stopnie. Serce w piersi zwiadowcy tłukło się jak oszalałe. Oto niewidoczny obrońca doszedł do identycznego wniosku co Will. Wiedział, gdzie powinien wypatrywać intruza. Will zastygł, czekając przez chwilę, czy szermierz na schodach się pokaże, ale niczego nie zobaczył. Usłyszał za to stłumiony brzęk metalu przejeżdżającego po kamieniu. Być może mężczyzna, zmieniając pozycję, ocierał się kolczugą o ścianę.

Mijały kolejne chwile. Will, zmarszczywszy czoło, zastanawiał się nad sytuacją. Człowiek, który czaił się wyżej, miał nad nim znaczącą przewagę. Pozostawał w ukryciu, wypatrując cieni zwiastujących nadejście przeciwnika.

Światło! Tu kryło się rozwiązanie! Will cofnął się o kilka stopni, aż dotarł do najbliższej pochodni tkwiącej w uchwycie przy murze. Wyjął ją, ponownie ruszył ku szczytowi stołpu. Sakse ścisnął w prawej dłoni, a pochodnię w lewej. Lewą dłoń wyciągnął najdalej, jak tylko zdołał.

Zatrzymał się tuż przed miejscem, z którego wcześniej nastąpił nagły atak. Cisnął pochodnię gwałtownym podrzutem. Poleciała ku górze klatki schodowej. Uderzyła o ścianę, odbiła się, upadła pośrodku schodów. Przyczajony u góry obrońca miał teraz światło za plecami.

Przed Willem na klatce schodowej zamajaczył olbrzymi cień. Cień chwiał się gwałtownie, bo czający się mężczyzna bezzwłocznie skoczył, żeby podnieść pochodnię i odrzucić ją w dół. Zwiadowca, korzystając z chwilowego zamieszania, wyraziwszy w duchu nadzieję, że czeka na niego tylko jeden człowiek, od razu śmignął po schodach. Ktoś się pochylał. Ciemna sylwetka dosięgała właśnie pochodni. Światło odebrało tamtemu ostrość widzenia. Mężczyzna dojrzał zwiadowcę zbyt późno. Pewnie dlatego rozpaczliwe cięcie wykonane znad głowy okazało się źle mierzone.

Will odbił je z łatwością. Brzeszczot miecza zgrzytnął, trafiając w kamienie. Will nieugięcie parł w górę, atakował, wreszcie poczuł, jak saksa wchodzi w ciało tamtego. Zraniony boleśnie mężczyzna krzyknął i zachwiał się, lecąc do przodu. Zderzył się z Willem, zwiadowca w ostatniej chwili chwycił go lewą ręką. Za pierwszym czaił się jeszcze drugi

zbrojny. Teraz on skoczył naprzód. Zamachnął się mieczem, lecz mocny cios przyjęło na siebie bezwładne ciało wsparte na lewicy Willa. Ranny znowu wrzasnął, bo miecz kompana trafił go w plecy, przecinając kolczugę. Zdesperowany Will odepchnął żołnierza i uskoczył. Cofnął się trochę, rzuciwszy ciężko rannego między siebie a drugiego napastnika. Ranny leżał na schodach i wył. Will dostrzegł trzeci cień i usłyszał tupot ciężkich butów. Tymczasem drugi żołnierz już gnał schodami w górę, starając się zająć taką pozycję, by ciśnięta na stopnie pochodnia ponownie oddzieliła go od Willa.

Leżąca na schodach pochodnia ledwie migotała. Will ruszył ostrożnie. Zauważył porzucony miecz rannego strażnika. Wyciągnął dłoń uzbrojoną w sakwę i szybkim ruchem ostrza zrzucił oręż. Broń z głośnym brzękiem, objając się o kamienne stopnie, spadała po schodach coraz niżej i niżej. Will na nowo podjął wspinaczkę. Poruszał się wolno, by nie wywołać najłżejszego hałasu. Jednocześnie wyteżał słuch, by w ciszy wychwycić odgłos jakiegokolwiek ruchu.

I coś usłyszał. Oddech. Ktoś cichutko dyszał. Wdech, wydech, wdech, wydech. Will wiedział, że w żyłach czatującego mężczyzny buzuje napięcie. Tamten czekał. Ukrywał się. Stał trochę wyżej niż Will. Zwiadowca zatrzymał się, dygocząc z niecierpliwości. Gdzieś tam, na samej górze, Keren zyskuje kolejne minuty. Może robić z Alyss, co tylko zechce. Will za to traci czas na zabawę w kotka i myszkę. Myślał gorączkowo, szukając dobrego pomysłu, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

Wreszcie znów ruszył. Znienacka wykonał cztery kroki do przodu, po czym nagle zmienił kierunek, uskakując do tyłu. Ostrze miecza jeszcze jednego niewidocznego obrońcy z brzękiem rąbnęło o kamień. Ktoś tam był. W gotowości. Uważny. Zaczajony tuż za zakrętem.

Willowi zaczął świtać w głowie pewien pomysł.

Wyliczył w myślach pozycję strażnika, zmierzył wzrokiem krzywiznę zewnętrznej ściany klatki schodowej. Obrońca czeka tuż za zakrętem... więc jeśli Will odrobinę się cofnie, zdoła wyszukać punkt leżący w połowie drogi między nim, a niewidocznym szermierzem.

Po cichu zszedł trzy stopnie niżej. I jeszcze jeden.

Schował sakwę do pochwy, zsunął z ramienia długi łuk. Osadził pieczołowicie strzałę. Przyjrzał się ścianie. Określił punkt, który powinien znajdować się w połowie dystansu między nim a czatującym wrogiem. Podniósł łuk, naciągnął cięciwę. Wycelował w kamienną ścianę nad sobą. Zastygł na moment. Obliczył właściwą pozycję.

I wystrzelił.

A potem, w zawrotnym tempie, jakie tylko zwiadowca potrafił osiągnąć, posłał jeszcze trzy strzały. Śmignęły w ślad za pierwszą. Wszystkie wymierzone w ścianę, choć

każda pod odrobinę innym kątem. Pociski trafiały na kamień, po czym gwałtownie odbijały się, rykoszetując. Krzesały iskry, wznosząc się potrójnym lotem ponad zakręt schodów.

Will usłyszał okrzyk zdumienia, później zdławione przekleństwo. Jeszcze chwila, a metal brzęknął o kamienie. Czyli co najmniej jeden z pocisków doszedł celu. Zwiadowca nie czekał, tylko od razu gnał po schodach, z zaskoczenia nacierając na osłupiałego obrońcę.

Mężczyzna próbował właśnie wyrwać jeden z grotów, który wywiercił mu bolesną ranę w okolicach żeber. Kompletnie zaskoczony nieoczekiwaną salwą rykoszetujących strzał, całkowicie nieprzygotowany, upuścił miecz. Teraz z przestachem podniósł wzrok na Willa. Zerknął obok, sprawdzając, gdzie na kamiennych stopniach porzucił broń. Właśnie ta chwila zwłoki przyczyniła się do jego ostatecznego upadku - i to całkiem dosłownie. Will, zebrawszy w garść gors koszuli rannego, począł ściągać go po schodach. W pewnej chwili popchnął przeciwnika, aż tamten wyrzwał łbem o mur, a później potoczył się z rumorem w dół schodów. Spadając, wrzeszczał z bólu, albowiem na skutek kolejnych obrotów strzała wbijała mu się coraz głębiej między żebra. Nareszcie ucichł. Przez moment dawało się słyszeć jedynie łomot ciała zsuwającego się bezwładnie ze stopnia na stopień.

Will pobierał trzy pozostałe strzały. Spiesznie je obejrzał. Groty zostały nieznacznie przygięte od styku z kamienną ścianą, ale właściwie wciąż nadawały się do użytku. Zwiadowca doszedł do cierpkiego wniosku, że zagięte haczykowato ostrza mogą okazać się wyjątkowo przydatne. Może nawet za chwilę. Podjął wspinaczkę. Na wszelki wypadek zachowywał ciszę i czujność.

Jednak na schodach panował spokój.

Chwilę wcześniej w spiralnej klatce schodowej czekał jeszcze trzeci z ludzi Kerena. Stał najwyżej, beczynn timer przysłuchując się, jak dwaj jego kompani padają po kolei z ręki tajemniczego napastnika. Niczego nie widział, ale słyszał wrzask oraz szczęk mieczy i brzęk strzał trących o kamienie. Później rozległ się złowieszczy łoskot padających ciał. Trzeci żołnierz wciąż się wtedy jeszcze czał za jednym z zakrętów. Wreszcie dostrzegł wydłużony cień człowieka, który obezwładnił jego towarzyszy. Ujrzał, że ten człowiek bezlitośnie przybliżył się ku niemu, pnał się i pnał coraz wyżej.

Żołnierz wiedział, że bitwa już się skończyła. Na dziedzińcu pohukiwali Skandianie.

Tak niedawno oglądał przecież upiorne cienie wędrujące po nocnym niebie. A teraz patrzył na kolejny cień. Skradał się ku niemu bez słowa. Nerwy puściły. Odwrócił się, wbiegł po schodach. Komnata na następnej kondygnacji wieży obiecywała schronienie. Wpadł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi, trzasnął rygłem, by zatrzymać intruza na zewnątrz.

Will usłyszał odgłosy biegnących stóp oraz zatraskujących się drzwi. Machnął ręką

na ostrożność. Pomknął po schodach na górę niczym jedna z rac Malcolma. Przeskakiwał po dwa albo i trzy stopnie naraz, byle tylko dotrzeć do Alyss, zanim Keren zdoła wyrzucić jej krzywdę.

Rozdział 35

W celi na szczycie wieży, wysoko nad poziomem dziedzińca, Alyss usłyszała pierwsze okrzyki wartowników na południowym murze. Podeszła do okna w samą porę, by ujrzeć olbrzymie obrazy, które Malcolm wyświetlał. Rozpoznała ogromnego Nocnego Wojownika; tę zjawę niegdyś opisał jej Will. Później na niebie pojawiły się inne widziadła, po nich zaś zdumiewające diabelskie gęby ulatywały w ciemność i wybuchały jedna po drugiej. Rychło zdała sobie sprawę, że za tak skomplikowanym pokazem musi kryć się jakiś istotny powód. Bo przecież nikt nie podejmowałby wysiłku stworzenia straszliwych majaków wyłącznie w celu straszenia zamkowego garnizonu.

Rozpoczyna się niechybnie szturm na zamek. Alyss domyślała się, jakimi metodami obrazy mogły zostać wytworzone, więc zdawała sobie sprawę, że w niczym jej nie zagrażają. Gwałtowny harmider za oknem odpowiedział jej natomiast, że ludzie na murach są przejęci tajemniczymi widziadłami do szpiku kości. Przejęci i bardzo zdenerwowani. Traktowali wszystko jak objawienie.

Okno wieży wychodziło na południe, więc Alyss, przełamując lęk wysokości, ostrożnie zerknęła na znajdujący się poniżej południowy mur oraz na dwie skrajne wieże. Żołnierze przemieszczali się z zachodniego muru na południowy, gdyż pokaz świateł Malcolma wydawał się zwiastować oczywiste zagrożenie nadchodzące właśnie stamtąd. W mig pojęła, że światło i dźwięk służą odwróceniu uwagi. Prawdziwy szturm ruszy od strony zachodniej, północnej albo wschodniej. Lada moment Will oraz Horace poprowadzą swoich ludzi do ataku. Na tę myśl serce zabiło jej żywo.

Rozejrzała się po celi. Co uczynić, żeby dobrze przygotować się na szturm? Will po nią przyjdzie, tyle wiedziała na pewno. Jednak jakim cudem zdoła tu dotrzeć? Schody na wieżę z łatwością dadzą się obronić, wystarczy rozstawić co jakiś czas pojedynczych żołnierzy. Pewnie więc skorzysta z drogi, jaką przybył już raz. Zatem czeka go wspinaczka na zewnątrz wieży. Zapewne Will po raz kolejny zażąda, aby wraz z nim spuściła się po linie. Na samą myśl o takim zjeździe żołądek Alyss skurczył się. Tyle że nie było innego sposobu umożliwiającego opuszczenie celi. Mocno zacisnęła zęby. Zrobi to, o co poprosi Will. Araluńskiej kurierce nie wolno tłumaczyć się lękiem wysokości. Dość, ostatecznie skończyła z odgrywaniem omdlewającej z byle powodu trzpiotki.

Obejrzała bardzo uważnie dwa środkowe pręty tkwiące w oknie. Lekko za każdy szarpnęła. Trzymały się wyłącznie dzięki cieniutkiej warstewce metalu, dotąd nie przezartego kwasem. W głębi kamiennej półki nad oknem Alyss ukryła buteleczkę z kwasem. Buteleczka wciąż napelniona była w jednej czwartej. Tyle starczy aż nadto, by dokończyć dzieła.

Usłyszała, że krzyk się wzmacnia, zerknęła na mury. Przysunęła się do bocznej krawędzi okna, chciała mieć lepszy widok na zachodnią stronę. Właśnie stamtąd zdawały się dobiegać wrzaski. Kurierka wyjrzała ponownie. Grupa zbrojnych ruszyła wzdłuż południowego muru ku południowo-zachodniej wieży. Potem Alyss usłyszała charakterystyczny szcęk oręża. Miecz uderzał o miecz, topory tłukły w tarcze. Radość przepełniała serce Alyss. Od razu się zorientowała, że szturmujący już stoją na zachodnim murze. Przeszłowała niecierpliwie z nogi na nogę. Perspektywa celi nie pozwalała śledzić rozwoju sytuacji na murze zachodnim, gdzie toczyła się walka. Bardzo tego żałowała. Jedyne okno wychodziło na południe. Trudno, nic nie mogła poradzić. Pozostawało jej gapić się na południowo-zachodnią wieżę i podziwiać kilka metrów drewnianego pomostu. Musiała po prostu cierpliwie czekać na dalszy rozwój wypadków.

Spokojnym krokiem podeszła do krzesła stojącego przy stole, odsunęła je powoli. Siadła, składając dłonie na podolku i równo ustawiając stopy, jedna obok drugiej. Oddychała głęboko, starała się opanować nerwy. Zamknęła oczy, poczuła, że ogarnia ją ulga. Trzeba tylko wciąż ufać Willowi. On nigdy by nie pozwolił, aby ktokolwiek skrzywdził Alyss.

Ledwie oszalałe serce powróciło do normalnego rytmu, a już drzwi celi rozwarły się z hukiem i wbiegł Keren. W dłoni ścisnął miecz.

Trwał bitewny tumult, zamek Kerena był szturmowany, a jego ludzie cofali się przed wrogiem. I rozpląnął się gdzieś czarujący, zyczliwie usposobiony pan zamku. Po Kerenie, z jakim obcowała w ciągu ostatnich tygodni, nie pozostał nawet ślad.

Alyss podrywając się raptownie przewróciła krzesło. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Kurierka przesunęła dłonie do tyłu, zanurzając palce w mankiet rękawa, gdzie ukrywała stellatyt. Keren nie zamierzał się patyczkować, chwycił ją za ramię, przyciągnął. Szarpnięciem odwiódł zza pleców dziewczyny jej prawą rękę, a wtedy maleńki gwiazdny kamień wysunął się, odbił się od podłogi i poturlał w kierunku stołu. Keren usłyszał stuknięcie, rozejrzał się, lecz niczego nie zobaczył. Przestraszona Alyss cicho krzyknęła. Próbowwała gonić kamyk, ale Keren okręcił kurierkę, szarpnął ją za ramię i zawlókł w kąt pokoju.

- Chodźże tu i niech cię diabli! - warknął. Gmerał przy rękojeści miecza. Spojrzenie Alyss przesunęło się w dół, chciała zobaczyć, co on wyprawia. Głowicę miecza okrywała

osłona z miękkiej skóry, zabezpieczona rzemiennym węzłem przed przypadkowym wysunięciem się klingi. Keren mocował się teraz z węzłem, starał się go rozwiązać. Alyss stanęła sztywno, wysoko uniosła głowę. Poczęstowała renegata dumnym uśmiechem. Cała jego dworna swoboda, cała pewność siebie uleciały. Już zapewne czuł na szyi zaciskający się stryczek. Oto nagroda zdrajcy.

- Koniec, Kerenie - odezwała się spokojnym tonem. - Lada moment Will wkroczy przez te drzwi. Wtedy twój nędzny bunt dobiegnie kresu.

Gapił się na nią z nienawiścią w oczach. Nienawidził jej, ponieważ go odrzuciła, nienawidził jej, ponieważ reprezentowała kraj oraz króla, którego on zdradził.

- Nie tak prędko - syknął.

W końcu rozwiązał węzeł. Ściągnął osłonę z rękojeści miecza. Alyss wydała okrzyk przerażenia.

W głowicy tkwił niebieski kamień, którym Keren posługiwał się, żeby poddawać ją praktykom mesmerycznym. Czarny rycerz wysunął miecz rękojeścią w jej stronę. Uniósł błyszczący niebieski kamień na wysokość oczu kurierki.

- Po prostu się odpręż, Alyss - poprosił kojącym tonem. - Po prostu pozwól sobie odpłynąć, po prostu poddaj się urodzie błękitu.

Na przekór własnym chęciom Alyss poczuła, że kamień przejmuje nad nią kontrolę; ogarnęło ją uczucie ciepła i zadowolenia. Usiłowała dojrzeć w myślach twarz Willa, ale istniał tylko niebieski kamień... piękny błękit... błękit oceanu... i... „Nie!”, krzyknęła w myślach. „Precz z kamieniem! Myśl o Willu!” Lecz błękit jest taki łagodny... „Myśl o czasach, gdy byliśmy dziećmi i...” Kamień naprawdę jest piękny... on pragnął, by się odprężyła. Kamień jest spokojem. Piękne niebiesko pulsujące światło i spokój, i cisza, i odprężenie, i... „Willu! Gdzie jesteś?”. Zapomnij o Willu. Willa już nie ma. Jest kamień. Jest błękit. Jest spokój.

Płomyczek oporu w jej umyśle rozpaczliwie zmagał się z usypiającym działaniem niebieskiego kamienia. Coraz słabiej migotał, powoli przygasał. Kamień owładnął nią. Całkowicie.

- Bierz miecz - polecił jej Keren, a ona usłuchała.

Chwyciła obiema rękami za klingę, kilka centymetrów poniżej rękojeści. Ustawiła miecz pionowo, niczym krzyż. Głowica znajdowała się na wysokości oczu Alyss. Wpatrywała się w głębię, jaka kryła się w niebieskim kamieniu, dostrzegając coraz to nowe migoczące wymiary. Napawała się płynnością ruchu, tęczą barw, przepełniających ją ciepłem i pochłaniających bez reszty.

- Pomożesz mi się stąd wydostać - powiedział Keren.

Bardzo powoli Alyss skinęła głową.

- Oczywiście, pomogę - zgodziła się.

Kamień znajdował się teraz bliżej niż kiedykolwiek przedtem. Trzymając miecz w taki sposób, mogła wnikać w jego głębię, podziwiając, jak światło płynie i zmienia tonację, gdy nieznacznie poruszała kamieniem. Zastanawiała się, jak w ogóle mogła kiedyś istnieć bez obecności w jej życiu tego cudownego błękitu. Ubóstwiała go. Uśmiechnęła się do kamienia.

Uśmiechała się wciąż, kiedy Will cicho wszedł do celi. Zwiadowcę załała fala ulgi, gdy ją zobaczył, całą, zdrową, uśmiechniętą. Wspinał się po schodach, napięty, w każdej chwili gotów odeprzeć następny atak. Lecz bał się, co zastanie. Keren, wiedząc, że rebelia nieuchronnie dobiegła końca, mógł w ostatnim geście wściekłej nienawiści po prostu zabić więźniarkę. Kiedy Will wyobraził sobie, jak wyglądałby świat bez Alyss, poczuł, że jego serce pochłania olbrzymia, mroczna otchłań. Wiedział, że jeśli inaczej by się nie dało, jeśli tylko tak zdołałby zapewnić Alyss bezpieczeństwo, pozwoli Kerenowi uciec. Renegat wycofał się do kąta. Alyss miała miecz. Trzymała go w osobliwej pozycji, ostrzem w dół, z rękojeścią na wysokości oczu. Rycerze zwykle dzierżyli tak swój oręż, szykując się do złożenia uroczystej przysięgi.

Will poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Coś tu nie gra. Keren także się uśmiechał.

- Alyss? - Will odezwał się łagodnie.

Żadnej odpowiedzi. Alyss wydawała się całkowicie pochłonięta kontemplacją miecza.

- Alyss! - Tym razem głos zwiadowcy zabrzmiał donośniej, ostrzej.

Znów żadnej odpowiedzi. Will zauważył, że Keren sięga do pochwy umieszczonej po prawej stronie pasa. Łajdak wymacał sztylet o szerokim ostrzu.

Will omiótł zdrajcę gniewnym spojrzeniem. Kiedy wpadł do celi, trzymał łuk. Teraz też go trzymał. I uniósł. Cofając się, napiął cięciwę do połowy. Jedno uderzenie serca dzieliło go od wypuszczenia strzały.

- Wystarczy - powiedział chrapliwie. Nie był pewien, co się tutaj wyprawia, lecz wiedział, że zachodzi coś bardzo, ale to bardzo złego.

Uśmiech Kerena stał się szerszy. Zdrajca wsunął sztylet na powrót do pochwy, pokazał zwiadowcy puste dłonie. Z punktu widzenia czarnego rycerza sytuacja rozwijała się znakomicie. Wiedział, że gdyby zagroził Alyss sztyлетem i spróbował posłużyć się kurierką jak tarczą, Will ustrzeliłby go, nim Keren zdołałby mrugnąć okiem. Renegat był w pełni świadom biegu, jaką wszyscy zwiadowcy wykazywali w posługiwaniu się długim łukiem.

Jednakże użył własnego sposobu, który z miejsca zniweczył przewagę Willa. Sam

Keren nie ryzykował nic. Will miałby ochotę go zastrzelić. Bez wątpienia. Jednak nigdy, przenigdy nie byłby w stanie strzelić do Alyss.

- Alyss? - Keren rzucił jej imię lekkim tonem.

Spojrzenie dziewczyny na moment oderwało się od kamienia, potem zaś do kamienia powróciło.

- Tak, Kerenie?

- Will tu jest - poinformował.

Przez chwilę zdawało się, że coś do niej dociera. Z namysłem zmarszczyła czoło. Później poruszyła się, lekko wzruszając ramionami.

- Jaki Will?

Rozpromieniony Keren spoglądał na chłopaka. Niebieski kamień znajdował się tak blisko Alyss, władał nią tak przemożnie. W końcu wymazała z myśli obraz zwiadowcy, choć jeszcze przed momentem usiłowała przywoływać go, aby pokonać wpływ niebieskiej magii.

- Wydaje się, że ona cię nie zna - rzekł pogodnie Keren.

Will znowu zerknął na Alyss. Wyglądała całkiem normalnie. Tylko że cała jej uwaga skupiała się na niebieskim klejnocie wprawionym w głowicę miecza...

Uświadomił sobie, co zaszło. Oto niebieski kamień, o którym mu opowiadała. Narzędzie, dzięki któremu Keren zawładnął umysłem kurierki.

Gdzie się podziewa stellatyt? Alyss informowała przecież, że czarny kamyczek okazał się skuteczny i pozwala przemoc działanie niebieskiego kamienia.

Przez chwilę żywił straceńczą nadzieję, że ona tylko gra, że udaje medium, by uspić czujność Kerena, że daje łajdakowi fałszywą gwarancję bezpieczeństwa.

Will gorączkowo rozglądał się po pomieszczeniu. Po chwili dostrzegł maleńki lśniący czarny kamyczek - stellatyt. Leżał na podłodze w pobliżu stołu. Nadzieja zgasła. Już wiedział, że Alyss znalazła się w pułapce. Odwrócił się znów do Kerena.

- Koniec, Kerenie - oświadczył. - Przegrałeś. Twoja banda nie zdoła stawić czoła trzydziestu Skandianom.

Keren wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że masz słuszność - odpowiedział. - Ale skąd, u licha, wytrzasnąłeś Skandian do pomocy?

- O to pytaj swego przyjaciela Buttle'a. W pewnym sensie on ich tu ściągnął. A teraz gadaj, czemu się po prostu nie poddasz i nie ułatwisz nam wszystkim życia?

Keren zaśmiał się.

- Mało mnie interesuje ułatwianie ci życia! Sądzę, że chyba raczej po prostu sobie

pójdę.

- Nigdzie nie pójdziesz. Masz do wyboru dwa rozwiązania: albo się od razu poddasz, albo poczęstuję cię strzałą. Szczerze mówiąc, nie dbam o to, które rozwiązanie wybierzesz.

- Poddaję się? A co potem?

Will wzruszył ramionami.

- Uczciwy proces, niczego więcej nie obiecuję.

- Po którym to uczciwym procesie mnie powiesz - odparł Keren.

Will poczuł wątpliwości. Keren zachowywał się swobodnie, zbyt swobodnie. Albo ma po temu realne powody, albo okazuje się znakomitym aktorem.

- Wiesz co - ciągnął renegat - ten niebieski kamień posiada pewną intrygującą właściwość. Kiedy Alyss wyjdzie z transu, niczego nie będzie pamiętała.

- Nic ci po tym, skoro umrzesz - prychnął Will.

Keren pogroził zwiadowcy palcem.

- Aaach, lecz trzeba ci wiedzieć, iż jest coś jeszcze. Nie jestem mianowicie pewien, czy moja śmierć przerwie trans... czy raczej go utrwali.

Will starał się okazywać swobodę, choć bynajmniej nie był swobodny. Wykrzywił wargi w uśmiechu.

- Myślę, że można spokojnie założyć, iż trans zostanie przerwany.

- Ty to wiesz. - Keren przerwał na chwilę i zadumał się. - Załóżmy nawet, że masz rację. Załóżmy. Tylko powiedz, jak ona zareaguje, dowiedziawszy się, że zamordowała swojego najlepszego przyjaciela?

Will zmarszczył brwi.

- Co ty wygadujesz, Kerenie?

Rycerz wzruszył ramionami.

- Cóż, sama później spostrzeże, co zrobiła. Będzie stała nad tobą, z mieczem splamionym twoją krwią, a ty będziesz leżał martwy u jej stóp. Zastanawiam się, jak ona sobie z tym poradzi?

- No, posuwasz się za daleko. Masz pięć sekund, żeby się poddać. Albo za pięć sekund umrzesz. Twój wybór.

Łuk uniósł się. Strzała przesunęła się do tyłu wraz z naciągniętą do końca cięciwą. Will skupił się na celu - wybrał punkt na piersi Kerena. Z tej odległości i przy napiętym do końca łuku strzała przeniknie bez trudu kolczugę, wchodząc w serce jak w masło.

- Alyss? - odezwał się Keren.

- Tak, Kerenie? - spytała.

- Zabij go - rozkaz.

Rozdział 36

Alyss na sekundę odwróciła wzrok od niebieskiego kamienia. Wpiła wzrok w Kerena. Rozważała rozkaz.

- Oczywiście - odpowiedziała po chwili.

Jej głos brzmiał tak rzeczowo, tak beznamiętnie, że serce Willa na moment zamarło. Alyss bez dalszej zwłoki zakreśliła mieczem połowę koła. Teraz ostry koniec klingi znalazł się w górze. Chwyliła za rękojeść obiema rękami. W tej pozycji niebieski kamień nadal znajdował się w jej polu widzenia, chociaż wzrok miała skupiony na Willu. Nic w jej oczach nie zdradzało, że go rozpoznała; malowała się w nich jedynie obojętna zgoda. Wykona rozkaz Kerena. Postąpiła krok w stronę Willa. Wzniosła miecz, szykując się do zadania potężnego, prowadzonego z góry ciosu.

Will podniósł łuk. Naciągnął cięciwę, celując w serce Alyss. Dostrzegł, że jej twarz zachmurzyła się lekko. Alyss zrozumiała zagrożenie.

- Dosyć, Alyss - odezwał się. Nawet pod wpływem praktyk mesmerycznych nie wypełniłaby ślepo rozkazu, który doprowadziłby do jej własnej śmierci. Czyż nie?

Zatrzymała się. Spojrzała na Kerena. Co jej radzi? Renegat uśmiechnął się, dodając medium odwagi.

- Oszukuje - uspokoił. - Nie skrzywdzi cię. Idź, zabij go.

Will zdał sobie sprawę, że Keren ma rację.

On nie zrani Alyss. Przez chwilę jeszcze sądził, że zdoła strzelić, by ją chociaż obezwładnić - przeszyje strzałą nadgarstek dziewczyny albo trafi ją w ramię i zmusi w ten sposób do upuszczenia miecza. Jednak, gdy wyobraził sobie, jak bezlitosny grot przebija ciało przyjaciółki, jak rozszarpuje ścięgna, jak rozrywa mięśnie, trwale ją zapewne okaleczając, już wiedział, że nie zdobędzie się, żeby sprawić dziewczynie taki ból. Nie skrzywdzi Alyss. Po prostu nie zdoła.

- Alyss... proszę...

- No, dalej - żądał Keren. - Zapewniam, on nie zrobi ci krzywdy.

- Tak. Nie zrobi - odparła Alyss.

Najbardziej wstrząsnęło Willem, że zachowanie Alyss, przynajmniej na pozór, nie odbiegało od normy. Jakiś trans? Skąd, ani nie przeciągała słów, ani nie mówiła monotonicznie.

Uśmiechała się z sympatią do Kerena. Sprawiała wrażenie kogoś zaciekawionego faktem, że Will najpierw jej grozi, później nie spełnia groźby. Choć zainteresowanie okazywała raczej przelotnie, jakby komentowała nieoczekiwaną zmianę pogody.

Ponownie ruszyła w kierunku zwiadowcy.

Jednak znalazł w sobie siłę. Spełni groźbę wobec Kerena. Willa aż zaświerzbiły dłonie. Przesunął łuk, znowu wycelował w renegata. Wybrał punkt na gardle, tuż nad kolczugą. Pragnął mieć absolutną pewność, że zabije. Jedną strzałą.

- Jeżeli ona zrobi jeszcze krok, Kerenie, ty nieodwołalnie padniesz trupem. Powiedz jej.

W oczach Kerena na moment błysnął niepokój. Tylko na moment. Przez ten moment renegat oceniał ryzyko. Czy lśniący grot pozbawi go życia?

- Poczekaj, Alyss - mruknął.

Znów się zatrzymała. Spojrzała na Kerena w oczekiwaniu dalszych instrukcji. Brwi uniosła pytająco.

Na wargach Willa zatańczył uśmieszek. Zwiadowca nie zdołał go ukryć.

- Wygląda, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę - powiedział. - A teraz wybudź ją z transu. I zjeżdżaj.

Podjął decyzję. Zawsze zdoła wytropić Kerena, jeżeli tylko zajdzie potrzeba. Poza tym wyjścia z zamku zostały już zapewne skutecznie zablokowane przez Horace'a oraz Skandian. Jednak teraz, w miarę przeciągania się groźnej sytuacji, rosło ryzyko, że przeholują. Ramiona Kerena nieznacznie opadły. Uświadomił sobie, że Will wygrał.

- Mam iść? - rzucił renegat. - Dokąd mam iść?

Will wzruszył ramionami.

- Dokąd zechcesz. Daję ci szansę.

- Dajesz mi szansę? Przecież będziesz mnie ścigał - Keren nie tyle pytał, co stwierdzał. Will nie uznał za stosowne gadać więcej po próżnicy.

- Kerenie? - odezwała się Alyss. - Trochę męczą mi się ręce. - Nadal trzymała miecz wzniesiony nad głową.

Keren uśmiechnął się do niej.

- To już nie potrwa długo, Alyss. - Następnie znów zwrócił się do Willa. - A wiesz, jak już wspominałem, ciekawe jest to, że gdy Alyss wyjdzie z transu, nie będzie pamiętała niczego, co powiedziała, usłyszała albo zrobiła. Wszystko to stanie się dla niej białą plamą.

- Fascynujące - odburknął Will głosem bardziej napiętym, niż by sobie życzył. - A teraz wyprowadź ją z transu.

- Tak, powinienem coś zrobić. Zapewne - zgodził się Keren. - Alyss?

- Tak, Kerenie?

- Wiesz, że musisz wykonać każde moje polecenie, prawda?

- Oczywiście, że wiem, Kerenie. - Odwróciła się w jego stronę.

- To dobrze. A zatem słuchaj uważnie. Jeżeli zwiadowca skrzywdzi mnie w jakikolwiek sposób, zabij go.

Alyss przytaknęła. Po czym raz jeszcze odwróciła się do Willa. Wiedziała, że strzała jest wycelowana w Kerena. Wiedziała jeszcze jedno. Jeśli ten niezbyt wielki chłopaczek wypuści śmiertelny pocisk, ona będzie musiała podejść i go zabić. A jednak wydało jej się, że byłoby szkoda. Wyglądał na całkiem miłego młodziana - kogoś, kogo potrafiłaby naprawdę polubić.

Zawahała się, na jej czole zarysowała się lekka zmarszczka. Gdzieś w głębi umysłu odzywało się jakieś wspomnienie. A raczej cień wspomnienia. Nikła świadomość, że być może znała tego chłopca. Jednak, skoro go znała, dlaczego Keren miałby pragnąć, by go zabiła? Korciło ją, żeby porzucić trudne myśli i po prostu na nowo zatopić się w niepamięci, jaką ofiarowywał niebieski kamień. Jednak lata szkolenia oraz dyscyplina dały o sobie znać. Alyss zawsze szczyciła się wybitną umiejętnością rozwiązywania problemów. Właśnie natknęła się na problem. Problem należy rozwiązać.

- Jak ci na imię? - spytała Willa.

Spojrzenie Kerena, aż do tej chwili utkwione w Willu, przeniosło się na kurierkę. Wyczuł zmianę w jej nastawieniu. Nie powinna zadawać pytań. Powinna wypełniać rozkazy. Bez szemrania.

- Skończ z tym! - warknął. - Zabij go!

Alyss potrząsnęła głową, jak gdyby porządkując myśli.

- Tak. Oczywiście. Przepraszam - odrzekła. A jednak wciąż się wahała.

Will dostrzegł w oczach medium udrękę. On sam, zrezygnowany, pogodził się już z faktem, że musi zabić Kerena. A kiedy on zabije Kerena, Alyss zabije jego. Wiedział też, że gdy tak się stanie, Alyss po kres swoich dni będzie cierpiała. Keren już zresztą przed chwilą opisał, jak to się odbędzie. Alyss odzyska świadomość i zobaczy, że stoi, z zakrwawionym mieczem w dłoni, nad martwym ciałem przyjaciela. I nie pozostanie nikt żywy, kto zdołałby jej wyjaśnić, jak do tego wszystkiego doszło. Uznał, że nie wolno mu porzucać przyjaciółki z takim ciężarem w duszy.

- Zróbże to! Zabij go! Zabij go teraz! - suchy głos Kerena raz za razem powtarzał rozkaz.

- Oczywiście - odparła Alyss. Istniał w niej jeszcze nikły okruch niechęci, ale już uczyniła krok do przodu. Uniosła miecz, jak tylko mogła wysoko, szacując odległość dzielącą ją od Willa.

Zaś on w tej samej chwili poczuł, że musi pozostawić po sobie jakiś dobry ślad, choćby mgliste wspomnienie. Alyss powinna wiedzieć, że Will z góry wybacza jej to, co zamierza zrobić.

- Alyss - powiedział cicho. - Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Ujrzał to w jej oczach. Chwilę zagubienia. Przebłysk sprzecznych emocji. A potem nagłą oślepiającą jasność myśli i przytłaczające poczucie zgrozy. Alyss spojrzała w górę, na miecz wzniesiony nad głową. Z jej ust dobył się potępieńczy jęk, gdy uzmysłowiła sobie, co właśnie chciała uczynić.

Odrzuciła miecz. Spazmatycznie łkając, padła na podłogę. Ramiona dziewczyny drżały od szloch, targającego całym jej ciałem.

Will opuścił łuk. Zupełnie zapomniał o Kerenie. Podeszedł do niej. „Och, Boże”, prosił w myślach, „niech ona wyjdzie z tego bez szwanku!”.

Nie miał pojęcia, jakie szkody w jej umyśle wyrządzi raptowny wstrząs, jak zniesie świadomość tego, co przeżyła. Opadł na kolana obok przyjaciółki, starając się sięgnąć ku niej, starając się ją objąć. Spróbował ją unieść i posadzić na podłodze. Cokolwiek, byle tylko ukoić to potworne łkanie, ten krzyk udręczonego umysłu. Jednak ona zwinęła się w kłębek, niwecząc każdą próbę objęcia jej ramionami. Nie pozwalała się unieść z podłogi.

- Alyss, już wszystko dobrze! Wszystko w porządku! Nic ci nie jest! - uspokajał ją rozedrganym głosem. Jednak widział, widział jak na dłoni, że coś przyjaciółce dolega. Wciąż pozostawała głucha na jego słowa i na dotyk.

- Bodaj byście się smażyli na dnie piekieł.

Will podniósł wzrok. Keren, z mieczem w ręku porzuconym przez Alyss, kroczył w jego stronę.

- Ona nie potrafiła cię zabić. Ale ja potrafię!

Podrywając się do działania, Will odskoczył od skulonej Alyss. Keren ruszył za nim, fechtując mieczem. Powietrze pruły sekwencje szaleńczych sztychów.

Właśnie szaleństwo Kerena ocaliło Willa - przynajmniej na razie. Pierwszym ciosom, jakie wyprowadzał, brakowało techniki i wrodzonego talentu; mieczem zdrajcy kierowała tylko dzika nienawiść oraz nieprzytomna żądza zemsty.

Will skoczył na równe nogi. Wyszarpnął saksę z pochwy w samą porę, by odparować cięcie zadane z boku. Sięgnął za siebie, do kołnierza, po ukryty tam nóż, lecz i tym razem

przeszkodziła mu opończa oraz kołnierz kaftana. Ukryta na karku pochwa to naprawdę zły pomysł, pomyślał z goryczą. Odparował jeszcze jeden sztych Kerena, ale nie posiadał żadnego dodatkowego atutu, choćby w postaci obu noży używanych przez zwiadowców do obrony. Obu, nie jednego. Stając tylko z saksą przeciw długiemu mieczowi, znajdował się właściwie na straconej pozycji. Usiłował po prostu unikać trafienia mieczem tak długo, jak to tylko możliwe.

Dostrzegając, że furia w oczach Kerena stopniowo przygasa. Znow więc sięgnął do kołnierza, znow spróbował wydobyć nóż. Jednak Keren zauważył ten ruch. Od razu skoczył do przodu, natarł tak wściekle, że Will ledwie uniknął przelatującego tuż obok szpica klingi. Keren okręcił miecz w dłoni, wyprowadzając cios wysoko znad głowy.

Will poczuł, jak lodowata dłoń zaciska się na jego sercu. Teraz dopiero zorientował się, że Keren to mimo wszystko wytrawny szermierz. Trudno liczyć, że zwiadowca wygra w jednostronnej walce. Cofnął się przed kolejnym pchnięciem, wyczuł mur za plecami, pojął, że popełnił błąd. Śmignął w bok, uciekając przed następnym cięciem, miecz skrzesał iskry na kamiennej ścianie. Keren ścigał go, a Will mógł jedynie sunąć wzdłuż muru. Lawina oslepiająco szybkich cięć i pchnięć nie dawała mu szansy na przemyślenie kontrataku.

Wysoki, piskliwy świst przecinający powietrze, a potem zgrzyt metalu trącego o mur sprawiły, że Alyss się ocknęła. Podniosła wzrok. Will desperacko uchylił się przed kolejnym z serii precyzyjnych wypadów Kerena. Ciosy łajdackiego miecza odpierał wciąż przy pomocy dużego noża.

Podniosła się na kolana, potem wstała. Potrząsnęła głową, by oczyścić umysł. W jakiś sposób czuła, że to wszystko dzieje się przez nią. To ona ściągnęła na Willa niebezpieczeństwo. Teraz musi go ocalić. Potrzebowała broni... jakiegokolwiek broni. Chwiała się na nogach, lecz jej zmysły szybko odzyskiwały sprawność. Wreszcie Alyss zrozumiała, gdzie znajdzie pomoc. W dwóch pospiesznych krokach dopadła okna. Pochwyciła własny oręż i przesunęła się do narożnika. Tam, gdzie Keren zagnał Willa. Przyjaciel Alyss znajdował się w pułapce. Czarny rycerz skierował zakończenie klingi, mierząc w jego gardło. Saksa, wytracona z palców Willa siłą oburęcznego cięcia poprowadzonego znad głowy, walala się na podłodze między rywalami.

Will nie bał się. Spokojnie patrzył w twarz Kerena, oczekując na śmierć. Lecz zauważył coś, czego nie przewidział. Za plecami renegata skradała się Alyss.

- Alyss! Uciekaj! - krzyknął. - Sprowadź Horace'a!

Keren, który składał się właśnie do wykonania pchnięcia mierzzonego w gardło Willa, słysząc zwiadowcę krzyczącego do Alyss, spojrział ku niej odruchowo. Gdy to uczynił,

kurierka chlusnęła mu prosto w twarz zawartością buteleczki owiniętej w skórę.

Wrzask, który się rozległ, przesywał do szpiku kości. Kwas okrutnie palił twarz zdrajcy, wgrzył mu się w oczy. Kerena ogarnął ból trudny do zniesienia.

Wypuścił z dłoni miecz, drapał twarz, usiłował za wszelką cenę złagodzić straszliwe, okrutne pieczenie. Zataczał się, szaleńczo krążył po celi i wrzeszczał, wrzeszczał bez ustanku. Alyss patrzyła ze zgrozą, jak Keren chwieje się, biegając na oślep w daremnej próbie znalezienia jakiejś ulgi, jakiegoś skrócenia męczarni. Cofnęła się, poczuła, jak obejmuje ją ramię Willa.

Do ich nozdrzy dobiegł odór palonego ciała.

Keren wykonywał coraz dziksze, coraz bardziej chaotyczne skoki. Ochrypl od nieustannego wrzasku, potykał się, wirował obłąkańczo, na przemian to rozkładając ręce, żeby odzyskać równowagę, to znów chwytając się za poparzoną twarz. Zatoczył się na ścianę, odbił od niej, rzucił się kilka kroków do przodu, aż wreszcie znów stracił równowagę i zachwiał się do tyłu.

W kierunku okna.

Plecy i barki renegata uderzyły o pręty, tylko przez chwilę znajdując oparcie. Cieniutkie nitki metalu, które wciąż utrzymywały na miejscu oba środkowe zamocowania, poddały się w końcu, otwierając szeroką lukę. Od góry prętów nie obmurowano, osadzono je luzem w łożyskach drażonych w kamieniu. Teraz łatwo się wysunęły, pobrzękując o ścianę wieży, gdy spadały w noc. Nic już nie stało między Kerenem a olbrzymią przepaścią za jego plecami. Przez moment kołysał się, bo wyczuł śmiertelne zagrożenie. Rozpaczliwie wymachiwał rękami, próbując odzyskać równowagę. Jednak niski parapet okna podciął mu nogi tuż powyżej kolan i zniweczył wszelkie starania.

Keren runął do tyłu. Wypadł. Wrzask czarnego rycerza, spleciony z bólu i paralizującego strachu, długo, przeciągle rozrywał ciszę. Zawisł w nocnych ciemnościach nad spadającym ciałem niczym ciągnąca się za nim długa wstęga.

Aż raptem urwał się.

Alyss odwróciła się do Willa.

- Willu, co tu się stało? - Na twarzy kurierki malował się niepokój.

Rozejrzała się uważnie po zrujnowanej celi. Krzesła oraz stół, przewrócone w trakcie desperackiej walki Willa z Kerenem, leżały tu i tam; na podłodze spoczął porzucony miecz. Pusta buteleczka w skórzanej osłonie upadła w miejscu, gdzie Alyss ją upuściła. Umysł dziewczyny wrzał od obrazów, lecz wszystkie one wydawały się tak dziwaczne, tak nieprawdopodobne, że nie mogły być prawdziwe. Przynajmniej to jedno wiedziała.

Will uśmiechnął się. Przyciągnął ją do siebie, pozwolił oprzeć głowę na własnym ramieniu.

- Stało się tu to - westchnął - że ocaliłaś mi życie. Dwukrotnie.

Łagodnie ucałował przyjaciółkę w czoło, starał się ją uspokoić. Wyczuwał, jak bardzo splątane myśli przepełniają jej umysł. Jednak Alyss odsunęła się odrobinę, uważnie wpatrując się w jego twarz.

- Dwukrotnie? - zapytała. - Kiedy był ten pierwszy raz?

Will uśmiechnął się do niej.

- Mniejsza z tym - odparł.

Rozdział 37

Will delikatnie zapukał do drzwi infirmerii. Usłyszał głos Malcolma, wołający „Proszę”, więc wszedł. Uzdrowiciel pochylał się nad Trobarem, rozciągniętym na czterech materacach rozłożonych na podłodze w kącie. Nie było w zamku łóżka dostatecznie dużego, by olbrzyma w nim pomieścić, więc musiał pozostać na podłodze, póki nie nabierze dość sił, żeby wrócić na Polanę Uzdrowiciela. Gdy Will wszedł, Malcolm, odwróciwszy się, uśmiechnął się na powitanie.

- Dzień dobry - pozdrowił Willa.

- Witaj. Jak ma się pacjent?

Malcolm na chwilę zasznurował wargi, zanim odpowiedział:

- O wiele lepiej, niż powinien. Zanim do niego dotarłem, stracił tyle krwi, że uśmierciłoby to dwóch zwyczajnych ludzi. Bóg wie, jakim cudem on przetrwał.

- Myślę, że na początku miał w sobie tyle krwi, że starczyłoby dla trzech ludzi - odparł Will. - Jeśli zatem utracił jej tyle, że została mu trzecia część, z pewnością dla niego jednego jeszcze wystarczy.

Uśmiechnął się do Trobara. Pomyślał, że wielkolud wydaje się osłabiony i jest o wiele bledszy niż zazwyczaj. Jednak chory śmiał się z żartu Willa, a jego oczy pozostały przejrzyste i bystre. Wyglądało to znacznie lepiej, niż gdy patrzył nieprzytomnie szklistym, rozgorączkowanym spojrzeniem, kiedy znoszono go z umocnień zaraz po bitwie.

Will usłyszał znajome „pac-pac”. Zerknął w odległy kąt, tam bowiem na brzuchu leżała Shadow. Opierała pysk na przednich łapach, ale jej ślepiec ani na moment nie przestawały się poruszać. Obserwowała wszystko, co się działo w infirmerii.

- Witaj, Shadow - mruknął Will.

„Pac, pac” - zareagował ciężki ogon.

Will zerknął na Malcolma.

- Czy to rozsądne, aby pies przebywał w izbie chorych? - zapytał.

Uzdrowiciel pozwolił sobie na zmęczony uśmiech.

- Rzekłbym, że zastosowałem niezbędny element kuracji - odparł. - Oboje doprowadzali mnie do obłądu, dopóki jej tu nie wpuściłem.

- Hm - Will mruknął wymijająco. Stwierdził, że będzie musiał poruszyć tę kwestię,

kiedy zacznie się zbierać, by wyruszyć na Południe. I nie będzie mu łatwo. Jednak na razie odsunął od siebie niewygodną myśl. Pozostanie tu jeszcze przez jakiś czas, więc zajmie się suką później.

- Pomyślałem, że odwiedzę Alyss. Oczywiście, jeżeli uznasz, że to dobry pomysł - powiedział.

Malcolm pokiwał głową.

- Myślę, że pomysł jest znakomity. Pora, by miała jakieś towarzystwo.

Upłynęły dwa dni od bitwy. Ludzie Kerena, już pokonani, poddali się natychmiast, gdy tylko dowiedzieli się o śmierci swego dowódcy. Teraz siedzieli pod kluczem w zamkowych lochach.

Alyss znajdowała się przez cały ten czas w stanie silnego oszołomienia. Malcolm wyjaśnił, że niemal na pewno występuje w jej przypadku efekt raptownego przerwania mesmerycznego transu. Poza tym przeżyła szok, kiedy ocknęła się ze wzniesionym mieczem, gotowa do zamordowania Willa. Uzdrowiciel dodał, że identycznie objawia się wstrząs, jakiego mogą doznać lunatycy, jeżeli nagle wyrwie się ich z somnambulicznego snu.

Uzdrowiciel podał kurierce środek nasenny i zapakował ją do łóżka.

- Odpoczynek najlepiej jej zrobi - stwierdził. - To dziewczyna o żelaznej woli, w końcu przyjdzie do siebie. Jednak, jeżeli będzie wypoczęta i nabierze sił, wszystko odbędzie się prędej.

Najwyraźniej uznał teraz, że proces przebiega na tyle dobrze, by pozwolić jej na przyjęcie gościa.

Will wdrapał się po schodach stołpu. Alyss powróciła do dawnych wygodnych komnat na czwartym piętrze. Wcześniej zaglądał do niej już kilkakrotnie, ale wahał się przed budzeniem przyjaciółki, ponieważ za każdym razem, gdy się zjawiał, spała. Wahał się także w innej kwestii. W wieży wyznał Alyss, że ją kocha. Uświadomił sobie, że naprawdę tak czuje. Wiedział już, że w pewnym sensie zawsze ją kochał. Była jego najdawniejszą i najdroższą na całym świecie przyjaciółką. Jednak teraz, gdy obydwójce dorośli, istniała między nimi jeszcze silniejsza więź. Gdzieś po drodze, na której wiele razem przeżyli, ich przyjaźń zmieniła się w miłość.

Tak przynajmniej stało się w jego przypadku. Nie wiedział, czy i ona czuje to samo.

Keren twierdził, że Alyss nie będzie pamiętała niczego, co zostało wypowiedziane albo co nastąpiło w czasie, gdy jej umysł znajdował się w jego mocy. Tylko że przecież wyznanie Willa przełamało wpływ zdrajcy. Miał więc podstawy przypuszczać, że jednak mogła zachować w pamięci jakiś szczątek wspomnienia z tamtego transu. Zatem Will nie

wykluczał, iż Alyss wie, co jej powiedział. Pytał o to nawet Malcolm, choć w zawołowanej formie, bez krępujących szczegółów.

Malcolm wahał się.

- Albo sobie przypomni - odparł - albo nie. - Zauważył rozczarowanie na twarzy młodzieńca. Dodał przeprasającym tonem:

- Po prostu, wciąż nie wiemy wystarczająco dużo, aby stwierdzać na pewno, jak działa umysł. Zatem nie licz na jednoznaczną odpowiedź. Diagnoza słusznie postawiona w przypadku jednej osoby, może być całkowicie błędna w stosunku do innej.

Will uznał, że powinien poczekać. Pewnie Alyss sama się wygada. W przeciwnym razie on, Will, uzna, że Alyss, milczy, bo jest zawstydzona oraz zakłopotana. Na przykład dlatego, że obdarza go innym uczuciem niż miłość. Albo dlatego, że jego słowa nie okazały się na tyle ważne, aby zachować je w pamięci. Wedle Willa tak czy tak, wychodziło na jedno.

Will spędził pięć poprzednich lat prawie wyłącznie w towarzystwie Halta. Właściwie nie został przygotowany do sprawnego radzenia sobie w sytuacjach takich jak ta. Teraz, rozumiejąc wreszcie, jak głębokim uczuciem obdarza Alyss, drżał na myśl, że ona mogłaby tego uczucia nie odwzajemniać. Bał się zdania, które mnóstwo razy zniszczyło mnóstwo związków: „Czy nie możemy po prostu nadal pozostać przyjaciółmi?”

W zaufaniu pogadał o wszystkim z Horace'em. Bądź co bądź Horace to rycerz, a jako rycerz obraca się w najwyższych kręgach towarzyskiej śmietanki Zamku Araluen, więc aż nadto oswoił się z towarzystwem pań.

Kiedy Will wyznał, co czuje do Alyss, rosły wojownik oznajmił, że absolutnie nie jest zdziwiony.

- Ależ oczywiście, że ją kochasz! - odparł. - To twoja najlepsza przyjaciółka od czasu, kiedy oboje nauczyliście się chodzić. W dodatku wyrosła na piękną, utalentowaną, inteligentną, bystrą pannę. Jak tu jej nie kochać?

Horace zaproponował charakterystyczne dla siebie rozwiązanie. „Po prostu, idź tam zaraz i jej powiedz”. Horace, jako wojownik, zawsze stawiał na atak frontalny. Zwiadowcy, wyjaśnił przyjacielowi Will, bardziej skłaniają się ku obserwacji. W trakcie obserwacji wychwytyują subtelne niuanse. W ten sposób określają prawdziwe uczucia innej osoby.

- Masz na myśli, że was ciągnie do pokretnych gier - skwitował Horace, odrzucając wyjaśnienie Willa jako duby smalone. Will nie potrafił znaleźć trafnej riposty, więc zarzucili temat.

W sumie dla młodego zwiadowcy sytuacja okazała się zagmatwana i niezręczna. Teraz, gdy przystanął pod drzwiami komnaty Alyss, zastanawiał się, czy odczekać jeszcze

jeden dzień. Potem stwierdził, że jeśli wybierze zwłokę, nie osiągnie nic poza odwleczeniem nieuniknionego. Zastukał do drzwi... odrobinę bardziej stanowczo, niż zamierzał.

- Proszę wejść.

Na dźwięk jej głosu ogarnęła go fala niepokoju. Lecz otworzył drzwi i wszedł do środka.

Alyss siedziała w łóżku, w pobliżu okna, skąd mogła spoglądać na okolicę. Ostatnie błyszczące w słońcu czapy śniegu uparcie trzymały się wierzchołków drzew. Alyss odwróciła się. Poniechała kontemplacji pejzażu. Uśmiechnęła się do gościa.

- Willu - odezwała się. - Jak cudownie cię widzieć.

Jasnopłowe włosy rozpuściła i wyszczotkowała. Wydawały się lśnić. Will pomyślał, że wygląda na zmęczoną, ale i zadowoloną, że go widzi. Podeszedł do łóżka. Z boku stało krzesło o prostym oparciu. Usiadł na nim. Alyss wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń w naturalnym szczerym odruchu. Gest przyjęty między przyjaciółmi - pomyślał.

- Jak się czujesz? - zapytał. Zaschło mu w gardle. Banalne słowa więły w krtani, gdy je wypowiadał.

- Znakomicie. Trochę jestem zmęczona, wszystko.

Will pokiwał głową. Nie przychodziło mu do głowy, co dalej powinien gadać.

- Mam milion pytań - oznajmiła Alyss. - Śniłam jakoś przedziwnie. - Przewróciła oczami w dramatycznym geście. - Chciałam poprosić, byś mi szczegółowo opowiedział, co się wydarzyło tamtej nocy w wieży.

Bacznie ją obserwował.

- Niczego nie pamiętasz? - Wydało mu się, że dostrzega w jej oczach przelotne wahanie. Pokazało się ledwie na ułamek sekundy. Lecz pokazało się. Na pewno.

- Właściwie to nie - odparła, a Will już nie wątpił. Miał rację, analizując uprzednio, co będzie oznaczało, jeśli Alyss się zawaha. Pamiętała, lecz nie chciała się przyznać, że pamięta.

Alyss czuła się w gruncie rzeczy tak samo zmieszana jak Will. Rzeczywiście, miewała dziwne sny. Śniła, że są z powrotem w wieży i że już ma go skrzywdzić w jakiś okropny sposób, a on nagle, ni z tego ni z owego, mówi jej, że ją kocha... A przecież czekała, aż jej to powie. Czekala dłużej, niż sięgała pamięcią. Bardzo pragnęła usłyszeć od niego te słowa.

Jednak nie wiedziała, czy wyznał jej miłość na jawie, czy tylko o tym śniła. Spoglądali na siebie, oboje niepewni, oboje unikając deklaracji.

Will wzruszył ramionami.

- Może powinniśmy odłożyć poważną rozmowę do chwili, kiedy się wzmocnisz - bąknął.

Przypatrywała mu się uważnie.

- Czy to naprawdę aż takie straszne? - zapytała.

Ponury cień pojawił się w jego oczach. Will przez moment wspomniawszy tamte groźne chwile.

- Tak. Było naprawdę strasznie, Alyss. Ale, jak już ci już wspominałem, ocalałaś mi życie. I to się liczy.

Zapadło długie milczenie.

- Jakież wieści o posiłkach z Norgate? - spytała wreszcie Alyss. Wyczuwała, że Will odetchnął z ulgą, słysząc, że rozmowa dotyka bezpieczniejszego, bo ogólnego, tematu.

- Nasze czujki donoszą, że są o dziesięć dni drogi stąd.

- A co ze Skottami? - drażyla dalej. Bądź co bądź, to oni stanowili bezpośrednie zagrożenie. No i znajdowali się bliżej niż wojsko z Norgate.

Jednak Will tylko wzruszył ramionami.

- Wątpię, by się pokazali. Wiedziałaś, że wypuściliśmy z niewoli MacHaddisha, nieprawdaż?

Aż ją wyprostowało.

- Wypuściliście go? Czyj to był pomysł?

- Właściwie mój. I wszyscy zareagowali bardzo podobnie jak ty.

- A zatem... - zaczęła, lecz Will jej przerwał.

- Najpierw sprowadziliśmy go tutaj. Udowodniliśmy, że zamek jest w pełni obsadzony załogą Skandian. Zaczęli zresztą już powracać niektórzy żołnierze z dawnego garnizonu Ormana. Oprowadziliśmy generała, więc sam zobaczył, jak jest. Potem uprzedziliśmy, że posiłki z Norgate nadciągną lada dzień. Dopiero wtedy puściliśmy go wolno. Żeby zameldował swoim.

Nie wspomniawszy, że przy okazji osobiście zabrał MacHaddisha na stronę i w dyskrecji złożył mu bardzo osobiste przyrzeczenie: „Jeżeli tu wrócisz, ciebie pierwszego poszukam ja”. Skottyjski generał nie przeraził się co prawda groźby zwiadowcy. Jednak MacHaddish wiedział, że jest szczerą. Szanował szczerą.

- A więc... - Alyss odezwała się z namysłem - on zamelduje swoim, że Macindaw znajduje się na powrót w rękach ich wroga i zapewne stanowi jeszcze twardszy orzech do zgryzienia niż wcześniej.

- Właśnie tak. Skandianie to znacznie trudniejsi przeciwnicy niż przeciętni prowincjonalni żołnierze. Fachowcy, bądź co bądź.

W jego głosie pobrzmiwały nutki dumy. Alyss musiała się uśmiechnąć.

- Ty ich naprawdę lubisz, prawda?

- Skandian? - spytał. - Tak, owszem. Kiedy już raz dadzą słowo, to nigdy się nie wycofują. Straszni są jako wrogowie, ale potrafią być najlepszymi sprzymierzeńcami, jakich można sobie wymarzyć. Horace powiada, że mając armię złożoną ze Skandian, podbiłby świat.

- Czyżby przymierzał się do podboju świata? - spytała.

Will prychnął.

- Właściwie nie. To tylko jedna z tych rzeczy, które wojownicy lubią powtarzać.

- A co z tobą? Jakies własne marzenia o podbojach?

Will przecząco pokręcił głową.

- Ja tylko pragnę wrócić do mojej spokojnej chatki w lennie Seacliff.

- I do prześlicznej córki oberżysty? - dodała tonem niby żartobliwym. Lecz pytanie zawierało ukryty sens.

Will wzruszył ramionami.

- Och, pewien jestem, że do tej pory całkiem o mnie zapomniała.

- Wątpię. Nie jesteś kimś, kogo łatwo się zapomina.

Milczał. Nie wiedział, jak zareagować. Zapadła cisza. Cisza przeciągała się. Raptem Will uświadomił sobie, że wciąż trzyma dłońie Alyss. Puścił je, wstał, zaszurał hałaśliwie krzesłem po drewnianej posadzce.

- Ja... lepiej już pójdę - powiedział. - Malcolm surowo przykazał, żeby cię nie męczyć.

W odpowiedzi zmusiła się do ziewnięcia. Postanowiła ułatwić mu sprawę. Bądź co bądź miała za sobą szkolenie z dyplomacji.

- Tak, jestem trochę senna - przyznała. - Jutro znów przyjdiesz mnie odwiedzić?

- Oczywiście. - Skierował się do drzwi. Ponieważ nie chciał odwracać się do niej plecami, więc sunął bokiem, ni to machając ręką, ni to salutując na pożegnanie. - No to przyjdę, wtedy jak przyjdę. - Zdał sobie sprawę, że głupio gada.

Pomachała mu, przebijając z wdziękiem samymi palcami. Uśmiechnęła się na do widzenia. Will namacał klamkę, jakimś cudem otworzył drzwi i wyszedł, zamykając je za sobą.

W przedpokoju przystanął. Pacnął czołem o twardą kamienną ścianę.

- Co jest, u licha - mruknął pod nosem.

Alyss w sypialni mówiła do siebie dokładnie to samo.

Rozdział 38

Zjawiły się posiłki z Norgate. Po spuszczonej moście zwodzonym i przez wielką bramę Macindaw zbrojni z hałasem wjechali na dziedziniec.

Przybyło dwudziestu konnych rycerzy oraz stu zbrojnych pieszych, a wszyscy oni z zaciekawieniem gapili się na Skandian szczerzących zęby w uśmiechach. Bo Skandianie obsadzili umocnienia. Dowodzący wojskiem sir Doric, Mistrz Szkoły Rycerskiej z Norgate, dojrzał mały komitet powitalny. Witający oczekiwali go przed wejściem do stołpu, więc zwrócił konia w tamtą stronę. Will zauważył, że u jego boku jedzie zwiadowca. To musi być Meralon, przypisany do lena Norgate, pomyślał. Niewiele wiedział o tym człowieku, ale słyszał, że charakteryzuje go skłonność do działań rutynowych i niekoniecznie akceptuje jakiegokolwiek nietypowe rozwiązania.

Orman, strojony w ciężki, złoty łańcuch, na którym wisiała oficjalna pieczęć, symbol kasztelańskiej godności, osobiście wyszedł na spotkanie dwóch najważniejszych jeźdźców. Will, Horace oraz Malcolm trzymali się z tyłu. Zaznaczali tym sposobem szacunek dla Ormana, który właśnie odzyskał należną mu pozycję.

Sir Doric uniósł rękę. Rozkazał swoim ludziom, by się zatrzymali i czekali. Sam, wraz z Meralonem, podjeżdżał bliżej. Podniosłość oficjalnego ceremoniału zakłócił nagle jakiś impertynent, który przedarł się z drugiego szeregu konnych. Dosiadał wierzchowca znacznie drobniejszej budowy niż bojowe rumaki, które go otaczały, dlatego dotąd pozostawał niezauważony. Teraz zsunął się z siodła, po czym zbliżył się truchcikiem, padając na kolana przed Ormanem.

- Panie! - odezwał się Xander. - Nareszcie jesteśmy. Wybaczcie mi, że tyle to trwało! Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy!

Will obserwował sir Dorica. Twarz dostojnika zasepiła się gwałtownie. Istniał pewien protokół, którego w chwilach takich jak ta należało przestrzegać, więc Mistrz Szkoły Rycerskiej uznał, że kto jak kto, ale akurat sekretarz powinien ów protokół znać. Sir Doric potępił wszelkie naruszenia ceremoniału.

Albowiem odznaczał się pewną dozą snobizmu.

- Już dobrze, Xanderze. Wstańże, mój dobry człowieku - mruknął Orman. Później dodał:

- Dowódca przybyłych z odsieczą wojsk pragnie nam oznajmić, że jesteśmy bezpieczni.

Xander podniósł się. Zajął miejsce tuż za plecami Ormana. Doric wraz z Meralonem powściągnęli konie. Obaj zsiadli. Teraz z kolej Will zmarszczył brwi. Uprzejmość przecież nakazywała, by przybysze czekali, aż ich Orman zaprosi. Jeśli nawet lord poczuł się urażony, nie dał po sobie niczego poznać.

- Witamy w Zamku Macindaw. Sir Doric z lenna Norgate, nieprawdaż? - powiedział. - Jestem Orman, pan tego zamku.

Sir Doric raz czy dwa trzepnął rękawicami bojowymi o udo. Rozejrzał się po dziedzińcu, a później burknął obcesowo, jakby z roztargnieniem.

- Mmmm? Tak. Tak. Co, u diabła, robią tu ci wszyscy Skandianie?

Maleńka zmarszczka przecięła czoło Ormana. Minęło już kilka tygodni od chwili, gdy zmuszony był uciekać z własnego zamku. Pobyt w lesie sprawił, że lord pozbył się skłonności do ironizowania oraz poniechał zarozumiałstwa, tak bardzo rażących, kiedy Will spotkał go po raz pierwszy. Niezwykłe, doprawdy, co kilka tygodni spędzonych w surowych leśnych warunkach potrafi uczynić z człowiekiem, pomyślał Will.

- Otóż, proszę sobie wyobrazić, że Skandianie bronią zamku - rzekł spokojnie Orman. - Z pewnością Xander wspominał, że nam pomagają?

Jednak Doric wciąż błędził spojrzeniem po blankach.

- Mmm? Tak. Twój sługa wspominał coś o najemnikach. Sądziłem jednak, że do tej pory się ich pozbędziesz. Niebezpiecznie trzymać takich w zamku, he?

- Niektórzy polegli w czasie natarcia - odpowiedział mu Orman. - Uznałem, że byłoby grubiaństwem prosić resztę, by odeszli natychmiast po zwycięstwie nad Karenem.

Na te słowa Doric wykonał lekceważący gest prawicą, trochę jakby odganiał niesforną muchę.

- Nie. Nie. Pozbądź się ich. Teraz są tu moi ludzie. Nie potrzebujesz tych przeklętych Skandian!

- Bo przecież nie można im ufać. - Meralon wniósł swój wkład w dyskusję.

Will czuł, jak twarz nabiega mu krwią. Wysunął się do przodu. Czyjaś dłoń chwyciła go za ramię i powstrzymała. Obejrzał się na Horace'a, który bezgłośnie poruszył ustami: „Tylko spokojnie”. Will skinął głową. Przyjaciel miał rację. Opanował gniew i dopiero wtedy ruszył do przodu. Stał u boku Ormana.

- Ja im ufam - rzekł.

Dwie pary oczu omiotły go taksującym spojrzeniem. Doric zmarszczył brwi. Opończa

wyraźnie posiadała taki sam krój, co peleryny zwiadowców, ale wzór na niej był czarno-biały. Will, mimo obecności Mistrza Szkoły Rycerskiej, zwrócił się bezpośrednio do Meralona.

- Will. Zwiadowca numer pięćdziesiąt - przedstawił się.

Drugi zwiadowca powitał go skinieniem.

- Meralon. Numer dwadzieścia siedem. - Położył nacisk na liczbę, sugerując dyskretnie, że zajmuje wyższą pozycję niż Will. Choć sprawy miały się inaczej. Jeśli nie liczyć Crowleya oraz grupy starszych zwiadowców dowodzących działaniami Korpusu, wszyscy inni służyli jako równi stopniem. Nowy członek Korpusu przejmował po prostu numer po zwiadowcy, który albo przechodził w stan spoczynku, albo ginął. Tylko czysty przypadek sprawił, że Will, jako najnowszy nabytek Korpusu, otrzymał numer pięćdziesiąty.

- Jesteś czeladnikiem Halta, nieprawdaż? - fuknął Meralon lekceważąco.

- Byłem jego uczniem, owszem - odparł Will.

Meralon wstrząsnął głową raz czy dwa, po czym kontynuował protekcyjnym tonem:

- Taaak, cóż, kiedy nieco podrośniesz, mój ty Willu, dowiesz się, że Skandianom nie można ufać. To zdradziecka nacja.

Will zmusił się, żeby odetchnąć głęboko, zanim odpowiedział. W Korpusie Zwiadowców nie trafiło się zbyt wielu głupców, lecz Will zdał sobie sprawę, że oto właśnie jednego spotkał. Mocno wątpił, by ten człowiek posiadał jakiegokolwiek osobiste doświadczenia z kontaktów ze Skandianami.

- Mylisz się - oznajmił twardo. - Ufam im i potrzebujemy ich tu. Potrzebujemy tutaj garnizonu.

Doric przerwał mu kolejnym machnięciem ręki. Wskazał dłonią szeregi zbrojnych, którzy czekali na dziedzincu.

- Zajmiemy się, czym trzeba. Zostawię tu pięćdziesięciu zbrojnych.

- I jeśli tak uczynisz, osłabisz Norgate. Musiałeś zapewne uszczuplić tamtejszy garnizon, żeby zebrać oddział.

Doric zawahał się. Młody zwiadowca miał rację. Co innego gromadzić siły ekspedycyjne na wypadek nagłej potrzeby. Jeśli trzeba przyjść z odsieczą, czyni się, co niezbędne. Jednak pozostawienie tutaj znaczniejszych sił poważnie osłabiłoby Norgate.

Zanim Mistrz Szkoły Rycerskiej zdążył odpowiedzieć, Will dodał:

- Wiedz, panie, że po drugiej stronie granicy zebrała się skottyjska armia. Równie dobrze jak Macindaw może ona zaatakować Norgate, jeśli tylko Skottowie stwierdzą, że tamtejszy garnizon został uszczuplony.

I znowu racja, uzmysłowił sobie Doric. Jednak nie stracił animuszu.

- A cóż to się stało z twoim własnym garnizonem? - zwrócił się ostrym, oskarżycielskim tonem do Ormana.

- Uzurpator, Keren, pozbył się moich zbrojnych. Rozproszyli się po okolicy. Trzeba miesięcy, żeby ich powiadomić i ściągnąć tu z powrotem.

- Przyznajesz zatem, że narobiłeś u siebie niezgorszego bałaganu? - wybuchnął Doric.

Orman na moment oblał się gniewnym rumieńcem. Sytuacja rysowała się nie najciekawiej. Jako kasztelan był równy rangą Mistrzowi Szkoły Rycerskiej. Obaj odpowiadali przed Baronem Norgate. Trudno rozsądzić, do którego z nich powinno należeć ostatnie słowo. Ustalenie obowiązującego porządku rang wymagało mnóstwa taktu oraz niemałych zdolności dyplomatycznych - a te właśnie cechy sir Doric zostawił chyba u siebie w domu, czyli w Zamku Norgate.

- I uporaliśmy się z naszym bałaganem, między innymi dzięki Skandianom - odpowiedział Orman natychmiast, bez choćby zająknięcia. - Teraz zawarliśmy z nimi układ. Pozostaną tutaj jako zbrojni mojego własnego garnizonu do chwili, kiedy zdołam zwerbować wystarczającą liczbę miejscowych.

- Zawarliście układ? - z niedowierzaniem powtórzył Meralon. - A któż z was właściwie zawierał ten układ?

- Ja - odparł Will.

Meralon znowu pokiwał głową. Wciąż jeszcze trząsał się ze złości po bezczelnym twierdzeniu Willa. Ten chłystek śmiał zarzucić pomyłkę doświadczonemu członkowi Korpusu!

- No, mogłem się od razu domyślić. Każdy przecież wie, że obaj, ty oraz Halt, wykazujecie całkowitą ślepotę, bezkrytycznie ufając wiarołomnym piratom.

Will wciąż trzymał nerwy na wodzy. Odpowiedział:

- Skandianie potrzebują miejsca oraz materiałów, żeby zbudować sobie nowy statek. Zgodziliśmy się im dać to, czego potrzebują. W zamian oni zobowiązali się strzec zamku tak długo, jak długo uznamy wspólnie, że to konieczne. My potrzebujemy ich. Oni potrzebują nas. Układ zadowala wszystkich.

- Lecz nie ty powinieneś zawierać umowy tutaj, czyż nie? Bo to nie twoje lenno. Ja tu jestem zwiadowcą, a nie ty. A ja nie akceptuję układu, który zawarłeś z piratami.

Meralon, nieznacznie wyższy od Willa, pochylił się. Twarze obydwu zwiadowców znalazły się naprzeciw siebie. Willa korciło, by się odsunąć, lecz wiedział, że nie wolno popełniać błędu. Twardo więc stał, ani się ruszył. Nabrał w płuca powietrza, już szykował

odpowieź. Nagle do przodu wysunął się Horace, który uprzedził druha.

- Za pozwoleniem - odezwał się młody rycerz, uznawszy, że najwyższa pora, by osobiście włączyć się do dyskusji. - Po pierwsze, nie chciałbym, żeby ktokolwiek, bez żadnego wyjątku, śmiał określać Skandian mianem wiarołomnych piratów. To są bowiem moi przyjaciele.

Mówił głosem opanowanym, flegmatycznym, bez najmniejszego pośpiechu. Jednak w słowach Rycerza Dębowego Liścia czaiła się groźba. Przyjrzał się uważnie zwiadowcy z Norgate. Podobnie jak Will, również i Horace, zanim wyruszył na Północ, odbył naradę z Haltem oraz Crowleyem. Zadał im obu to samo pytanie: dlaczego miejscowy zwiadowca nie może zająć się miejscowymi kłopotami? Usłyszał, że ich tutejszy człowiek jest zbyt dobrze znany, a misja należy do przedsięwzięć tajnych. Teraz dotarło do niego jeszcze i to, że obaj wybitni dowódcy kierowali się również innymi względami. Bo misja, jaką Will z Horace'em prowadzili, wymagała energii, pomysłowości, umiejętności improwizowania. Meralon po prostu by jej nie sprostął.

Horace zauważył, że uwaga wszystkich skupiła się wyłącznie na nim, więc zwrócił się wprost do Meralona.

- A skoro ty, jak twierdzisz, sprawujesz pieczę nad lennem Macindaw, to gdzieś się, u diabła, podziwiał, kiedy byłeś naprawdę potrzebny?

Meralon otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale Horace uciszył go niecierpliwym machnięciem.

- Jakoś nie przypominam sobie, żebym cię oglądał zastanawiającego się wspólnie z nami, jak odbić zamek z rąk zdrajcy. I nie mam złudzeń, co do twojego wcześniejszego postępowania. Kiedy bowiem należało myśleć o zapewnieniu lennu stosownych sił oraz stosownych środków, tyś w żadnym calu nie zapewnił twojemu lennu ani stosownych sił, ani niezbędnych środków. Poza tym stwierdzam, z niezachwianą pewnością, iż nie widziałem cię przy sobie, kiedyśmy tutaj szturmowali mury.

Zapadła cisza. Horace uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie miał odwagi w taki sposób przemawiać do pełnoprawnego zwiadowcy. Zbyt szanował i podziwiał Korpus. Ale kiedy o tym tak właśnie pomyślał, coś jeszcze go uderzyło.

- W rzeczy samej, skoro pełnisz tu funkcję zwiadowcy, to jak mogłeś pozwolić, żeby w ogóle zaistniała taka sytuacja? Sądziłem, że podstawowy obowiązek każdego zwiadowcy polega na tym, by pilnie nasłuchiwać, co w trawie piszczy. Czy się mylę? - Wskazał zamasztyłym gestem na zamkowy dziedziniec. - To wszystko w ogóle nigdy nie powinno się było wydarzyć. I tak właśnie napiszę w swoim własnym raporcie.

Meralon zabalgotał, zbyt wściekły, by się odezwać. Wyręczył go sir Doric.

- A kimże ty, u diabła, jesteś?

Horace spojrzał na niego z kpiącym uśmiechem, choć bez najmniejszego śladu wesołości. Jako osoba aż do przesady skromna zazwyczaj unikał używania tytułów. Jednak teraz uznał, że pora na małą licytację. Sprawdzimy, kto tu posiada wyższą rangę. Skrzyżował ręce na piersi.

- Jam jest sir Horace, Rycerz Dębowego Liścia, dowódca kompanii B, członek Królewskiej Gwardii Araluenu, oficjalnie mianowany obrońcą Następczyni Tronu, występujący w barwach Jej Królewskiej Wysokości, księżniczki Cassandra.

To naprawdę ucięło wszelkie dyskusje. Określenia takie, jak „Królewska Gwardia” oraz „księżniczka Cassandra” wyniosły Horace'a pod rycerskie niebiosa. Oto ktoś, kto posiada dostęp do najwyższych dostojników państwa. Ten ktoś zamierzał złożyć raport. Raport stwierdzający, że uznał tutejsze porządki za niezadowolające.

Doric obdarzył Meralona jednym tylko rozgoryczonym spojrzeniem. Ponure łypnięcie spod łąba zawierało jasny przekaz: „Czemuś ty pozwolił, by do tego doszło?”.

Później zwrócił się do Ormana, już znacznie bardziej pojednawczym tonem:

- Lordzie Ormanie, być może pośpiech sprawił, że okazałem zbytnią porywczosć. Wybacz, proszę, jeśli ci w czymś uchybiłem. Bądź co bądź, mamy za sobą długą i ciężką drogę...

- Ależ oczywiście, ty i twoi ludzie jesteście strudzeni, potrzeba wam odpoczynku. - Orman gładko przyjął podsunietą gałązkę oliwną. Willa uderzył takt kasztelana. Orman nie pragnął zyskiwać przewagi z próżności ani się chełpić. Dążył do załatwienia sprawy, starając się polubownie rozwiązać zaistniałą, nie z jego winy niezręczną, sytuację.

- Czy pozwolisz moim ludziom zaprowadzić twoich do wyznaczonych od dawna kwater?

- Byłbym wdzięczny, panie - odpowiedział Doric, kłaniając się lekko.

Orman spojrzał przelotnie na sekretarza.

- Xanderze, zajmij się tym, proszę. - Następnie, zwracając się znów do Dorica, dodał:
- Panie, proponuję, byśmy kontynuowali naszą wymianę zdań przy posiłku, gdy już zdołacie wypocząć nieco po trudach podróży. Odświeżycie się, zmienicie odzienie?

Ukłon Dorica tym razem prezentował się znacznie okazalej.

- Panie, okazujesz nam zbytnią łaskawosć. Ale, w rzeczy samej, przyda nam się odpoczynek. Meralonie, he?

Meralon, zacisnąwszy wargi, mruknął coś potakująco. Zwiadowcy cieszyli się

całkowitą niezależnością, odpowiadając tylko przed królem. Jednak królewskie koneksje Horace'a z łatwością równoważyły albo i przebijały każdy atut. A poza tym Meralon wiedział, że działania Willa, chociaż nieszablonowe, przyniosły sukces. Zaś ze zwycięzcami się nie dyskutuje. Podążył więc śladem Dorica oraz Ormana do stołpu. Przy okazji o mało co, a potraciłby Willa. I jego, i Horace'a, i Malcolma zostawił w tyle.

- A kiedyż to, mój ty skarbie, zostałeś rycerzem Evanlyn? - Will zapytał Horace'a, ale już na stronie.

Horace w odpowiedzi uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cóż, tak naprawdę to jeszcze nie zostałem. Ale jestem pewien, że zostanę. To tylko kwestia czasu.

Rozdział 39

Pożegnania to najtrudniejsza część życia zwiadowcy, myślał Will, wyprowadzając Wyrwija z zamkowej stajni. Shadow sunęła u jego stóp. Will miał nadzieję, że on, Horace i Alyss może zdołają jakoś wymknąć się cichaczem, lecz, oczywiście, to było niewykonalne. W ciągu minionych miesięcy zyskali tutaj przyjaciół, a przyjaciele chcieli się pożegnać.

Sir Doric i Meralon wyjechali tydzień temu, uspokojeni, że sytuacja w zamku pozostaje stabilna. Skandianie obsadzili umocnienia jako tymczasowa załoga garnizonu. Ci, którzy nie pełnili służby, trudzili się przy strumieniu kilometr od zamku. Strumień łączył się dalej z większą rzeką, która z kolei prowadziła do morza. Szkielet konstrukcji ich nowego wilczego okrętu już spoczywał na brzegu.

Will przystanął. Horace i Alyss, prowadzący swoje wierzchowce, uczynili to samo. Orman, Xander oraz Malcolm już czekali. Za nimi zwiadowca dostrzegł barczyste sylwetki Gundara oraz Nilsa Ropehandera. A dalej tkwiła jeszcze potężniejsza postać - Trobar, teraz już podleczoney na tyle, by pozwolono mu opuszczać infirmerię. Z bolesnym grymasem kuśtykał długo po schodach na dół, żeby też pożegnać się osobiście. Will pomyślał, że wie, komu olbrzym naprawdę pragnąłby życzyć szczególnie szczęśliwej drogi.

Orman przemówił jako pierwszy. Tak zresztą wypadało.

- Willu, Horace... i ty, lady Alyss, oczywiście... Wasze zasługi uważam za zbyt wielkie, abym kiedykolwiek zdołał je spłacić. Przyjmijcie więc przynajmniej mą wdzięczność oraz przyjaźń. Taką nagrodę wam ofiarowuję. Nagrodę niedostateczną, wiem. Ale przyjmijcie ją, bardzo was proszę.

Horace i Will z zakłopotaniem przestępowali z nogi na nogę. Obaj mamrotali coś pod nosem. Alyss siłą rzeczy przejęła pałeczkę.

- Lordzie Ormanie, zaszczytem dla nas było ci służyć. Okazałeś się wiernym w służbie, oddanym naszemu królowi kasztelanem.

Orman skłonił się.

- Jesteś nazbyt łaskawa, lady Alyss - odpowiedział. Następnie zwrócił się do Willa: - Dręczy mnie pewna myśl, Willu. Otóż na początku, kiedy dopiero tu przybyłeś, poczyniłem pewne niezyczliwe uwagi dotyczące się twoich zdolności muzycznych. Nie powinienem tak postępować.

Will bezradnie wstrząsnął czupryną.

- Myślę, że twoje uwagi były bardzo trafne, lordzie Ormanie.

Cień uśmiechu zagościł na wargach Ormana.

- Och, wiem, że były trafne. Po prostu, nie należało ich wygłaszać. - Spoważniał na chwilę. - A przy okazji, pozwól mi wyrazić żal. Przykro, że straciłeś swoją mandolę.

Will bezradnie wzruszył ramionami. Buttle roztrzaskał instrument w przypiływie furii po tym, jak Will, Orman oraz Xander wymknęli się z zamku.

- Być może ja poniosłem stratę, ale świat wiele dzięki niej zyskał, panie - odparł. Na twarz Ormana powrócił szeroki uśmiech.

- Najlepiej powstrzymam się od komentarza. Za to Xander ma ci coś do przekazania.

Sekretarz o posturze mysikrólika wyszedł zza pleców swojego pana.

- Jestem ci wdzięczny, zwiadowco. - Lekko skłonił głowę przed Willem. - Uratowałeś życie mojemu panu. I uratowałeś zamek. - Spojrzał na Horace'a. - Jestem wdzięczny także tobie, sir Horace.

Horace uklonił się.

Will nie mógł się powstrzymać, żeby nie podroczyć się z sekretarzem po raz ostatni.

- Czyżbyś mi wreszcie wybaczył, że słono przepłaciłem usługi Skandian, Xanderze?

Poczucie humoru nie zaliczało się do mocnych stron sekretarza. Przedzierzgnął się w jednej chwili z człowieka pełnego wdzięczności w zrzędliwego staruszka, jakim był na co dzień.

- Cóż, doskonale się orientujesz, że zdołalibyśmy ich nająć za znacznie mniejszą kwotę. Jestem o tym absolutnie przekonany. Naprawdę powinieneś być się ze mną skonsultować, zanim...

- Xanderze? - odezwał się Orman.

Sekretarz urwał i podniósł wzrok na swego pana.

- Basta.

- Tak, panie. - Xander zwiesił głowę. - Wybacz - wymamrotał. Mamrotanie skierował oczywiście tylko w stronę Willa. Will pokręcił głową. Mysikrólik nie pozwoli sobie nikomu w kaszę dmuchać.

- Nigdy się nie zmieniaj, Xanderze - powiedział.

- On nigdy się nie zmieni, zapewniam. - Orman wyraził swe głębokie przekonanie.

Wreszcie nadeszła pora, by uścisnąć dłoń Malcolma. Drobny człowieczek o ptasim wyglądzie uśmiechnął się do Willa.

- Dobrze się tu spisałeś, Willu Treaty - westchnął. - Myślę, że odtąd wszyscy

będziemy bezpieczniejsi. Rozumiemy się nawzajem nieco lepiej.

Will wiedział, że Orman zaoferował Malcolmowi stanowisko w zamku. Dotąd nie słyszał jednak, czy uzdrowiciel je przyjął.

- Zamierzasz przenieść swoich ludzi do Macindaw? - zapytał.

Malcolm przecząco pokręcił głową.

- Są nieśmiali. Nie lubią publicznych miejsc. Pozostanę z nimi w lesie. Jeżeli Orman wezwie uzdrowiciela, pospieszę z pomocą.

- Ale z Nocnym Wojownikiem już koniec? Żadnych więcej świateł, żadnych odgłosów w lesie?

Malcolm z namysłem przechylił głowę na bok.

- Och, tego nie obiecuję. Orman zgodził się dochować naszego sekretu, Skandianie zaś w końcu odpłyną. Myślę, że wolałbym, aby miejscowi nadal traktowali Grimsdell jako miejsce, do którego się nie chadza.

- Zapewne masz rację - zgodził się Will. - To mi o czymś przypomniało. Proszę, bierz. To twoje.

Poszperał w kieszeni, wyjął czarny okruch - stellatyt. Dzień po bitwie powrócił do celi w wieży. Tak długo przeszukiwał podłogę, aż go znalazł. Zapomniał tylko, że ma ze sobą kamyk.

Uzdrowiciel uśmiechnął się.

- Hm, to? Zatrzymaj, jeżeli masz ochotę. Zwykły kamuszek.

- Ale... przecież to stellatyt. Jest bezcenny! Sam tłumaczyłeś...

- Obawiam się, że nie całkiem wszystko ci tłumaczyłem - w głosie Malcolma nie zabrzmiał ani ton skruchy. - Wiesz tylko, że praktyki mesmeryczne dotyczą problemu silnej koncentracji. Nie wiesz natomiast innej, ważnej rzeczy. Otóż ten kamyk dał Alyss specjalne wsparcie. Uzyskała mianowicie coś, na czym mogła się skoncentrować. Tyle wystarczy, aby przełamać moc niebieskiego kamienia.

Alyss z Willem wymienili zdumione spojrzenia. Potem zwiadowca znowu zwrócił się do uzdrowiciela:

- Zatem stellatyt jest bezwartościowy?

- Nie całkiem. Fakt, że oboje w niego uwierzyliście, sprawił, że posiada niemałą wartość. Tak jak mówiłem, mesmeryzm to kwestia wiary. Jeżeli uwierzysz, że rzeczny kamyk to w istocie kamień z gwiazd, wówczas zwykły otoczek stanie się klejnotem.

Will z niedowierzaniem pokręcił głową. Na powrót wsunął kamyk do kieszeni.

- Zatrzymam go, żeby mi kogoś przypominał - oznajmił. - Pewnego bardzo

podstępne go uzdrowiciela. Żegnaj, Malcolmie. Uważaj na siebie.

- Z Bogiem, Willu. - Malcolm uśmiechnął się. - I ty, Horace. Być może, gdy wy dwaj już sobie pojedziecie, ja wreszcie zdołam w spokoju skosztować kawy.

Will odwrócił się, żeby uściskać dłoń Gundarowi. Powinien był jednak wiedzieć, że kontakt ze skirlem w żadnym razie nie ograniczy się do tak formalnego gestu. Skandianin zamknął go w potężnym, niedźwiedzim uścisku. Uniósł chłopca nad ziemię i zgniótł tak, że Will ledwo zipał.

- Przyzwoita walka, zwiadowco! Przyzwoita bitwa! Będzie mi smutno, gdy na dobre odjedziesz!

- Po... mnie... na... zie... - zdołał wystękać Will.

Skandianin postawił go z powrotem na ziemi. Will na wszelki wypadek sprawdził żebra, żeby się upewnić, czy żadne nie zostało złamane.

- Zajrzyj do mnie któregoś dnia. Czekam w lennie Seacliff, Gundarze - powiedział.

Skirl zaniósł się głośnym śmiechem.

- Przyjedziemy solidnie cię obezreć! - ryknął, zadowolony z własnego żartu.

- Tylko przedtem zawiadom mnie jakos, że się zbliżacie - uprzedził Will. Tym razem Nils też zaczął się śmiać.

Alyss i Horace także się żegnali. Gdy Will czekał, aż skończą, zauważył spojrzenie Trobara. Wielkolud ze smutkiem odwrócił wzrok. Will zbliżył się do olbrzyma, który wybrał dla siebie miejsce w tyle, za wszystkimi. Oczywiście, Shadow też natychmiast ruszyła. Will zatrzymał się o kilka kroków od giganta. Suka również zastygła w miejscu. Została zbyt dobrze wyszkolona, żeby oddalić się od boku pana bez pozwolenia. Podniosła ślepią na zwiadowcę.

- Idź - odezwał się do niej cicho, a ona podeszła do Trobara, merdając ogonem w powolnym, ciężkim rytmie, typowym dla owczarków znad granicy.

Olbrzymi mężczyzna uklęknął, żeby się z nią pożegnać, głaszcząc sukę po uszach i drapiąc pod brodą w sposób, który uwielbiała. Z zadowoleniem przymknęła ślepią pod jego łagodnym dotykiem. Will poczuł, że nagle robi mu się bardzo ciężko na sercu. Przyklęknął obok nich na jedno kolano.

- Trobarze - powiedział cicho. - Spójrz na mnie, proszę.

Wielkolud podniósł wzrok na Willa. Zwiadowca zobaczył lży płynące niczym rzeka po wielkiej twarzy.

- Myślę, że pies należy do tego, kto nadał mu imię - rzekł Will odrobinę drżącym głosem. - Shadow potrzebuje ciebie bardziej aniżeli mnie. Jest twoja.

Dostrzegł niedowierzanie w oczach Trobara. Olbrzym nie potrafił nic wykrztusić. Bez tchu wskazał na swoją pierś. Will pokiwał głową.

- Dbaj o nią. Jeżeli kiedyś będzie miała szczeniaki, przyjadę i wybiorę sobie jednego z miotu.

Wyciągnął rękę do Shadow, dłonią do dołu, w geście, którym nakazywał jej zostać na miejscu.

- Zostań, Shadow - polecił, a potem pieszczotliwie potarł jej łeb po raz ostatni. - Żegnaj, panienko - wychrypiął ze ściśniętym gardłem.

Nie mogąc już dłużej tego znieść, podniósł się i pospiesznie odszedł, kierując się do czekającego Wyrwija. Wzrok chłopaka troszeczkę się zamglił. Długo grzebał przy końskich wodzach, szykując się do dosiada.

Mały konik odwrócił łepetynę. Poważnie spojrzał na swego pana. „Wynagrodzę ci to”, obiecywało spojrzenie.

Will wskoczył na siodło. Kopyta Wyrwija zadudniły na kamiennych płytach. Pokłusował w stronę zwodzonego mostu. Alyss z Horace'em, zaskoczeni nagłym odjazdem przyjaciela, w pośpiechu dokończyli pożegnania i ruszyli za nim.

Ujechali z pół kilometra, gdy Horace zauważył, że kogoś brakuje.

Rozejrzał się dokoła, wypatrując znajomego czarno-białego kształtu.

- A gdzie pies? - zapytał w końcu.

Will uparcie patrzył prosto przed siebie.

- Dałem Shadow Trobarowi - mruknął. Potem trącił Wyrwija piętami. Konik przeszedł w galop. Wysunęli się wspólnie przed przyjaciół. Will nie miał ochoty akurat w tej chwili rozmawiać.

- Rety, a niech mnie - mruknął Horace.

Rozdział 40

Gdy troje przyjaciół jechało na południe, zima wydawała ostatnie lodowate tchnienia. Wraz z każdym upływającym dniem śnieg coraz szybciej ustępował, zmieniając pokrywę skuwającą dotąd ziemię w pojedyncze plamy topniejącej mazi. Aż w końcu zniknął zupełnie, zaś mokra brązowa trawa odsłoniła pierwsze zielone źdźbła. Will z zaskoczeniem uświadomił sobie, że nadchodzi wiosna.

On z Alyss utrzymywali pozory zwykłej przyjaźni, ale istniało teraz między nimi subtelne, skrywane napięcie, a nawet pojawiło się swoiste skrępowanie. Choć żadne przecież nie zdawało sobie sprawy, że drugie czuje to samo. Will sądził, iż on jest winien. Pewnie zawinił, bo się opierał, pewnie zawinił, bo nie doprowadził sprawy do końca. Nie miał pojęcia, że Alyss obwinia o to samo siebie.

Horace z zakłopotaniem obserwował dwójkę przyjaciół. Każde starannie omijało drażliwy temat stanu wzajemnych uczuć. Żadne nie wychodziło drugiemu naprzeciw.

Przecież to ich, nie mnie, ludzie zaliczają do grona osób wyjątkowo lotnych - myślał sobie. - Mnie zazwyczaj traktuje się trochę jak tępego rębajłę. Skoro więc nawet ja bez trudu zauważam, co się święci, dlaczego oni nic nie widzą?

Z zadumą stwierdził, że chyba czasem ludzie bywają inteligentni ponad stan. A w konsekwencji zaniedbują własne dobro. Za dużo myślenia tylko wprowadza chaos. Horace z rozkoszą chwyciłby ich za łby, a potem solidnie każdym potrząsnął. Lecz nie należał do grona tych wścibskich, którzy wtrącają się w delikatne sprawy przyjaciół.

Zresztą, przyznawał po cichu, sam nie był do końca pewien własnych motywów. Ostatnio bowiem coraz częściej widywał się z Evanlyn, bo tak wciąż on oraz Will myśleli o księżniczce Cassandrze. Rzeczywiście, jakby z własnej inicjatywy zaczęła coraz częściej szukać jego towarzystwa. Bardzo lubił z nią przebywać, fakt. Cóż jednak poradzić, że trochę go to krępowało. Miał dość niejasne odczucie, iż wykorzystuje własną przewagę, działając, za plecami Willa, trochę z konieczności nielojalnie. Wszak wiedział, że Evanlyn i Willa zawsze łączyła szczególna więź oraz wzajemny szacunek. Niekiedy podejrzewał nawet, że Evanlyn chętnie spędza w jego towarzystwie czas głównie dlatego, że przypominał jej o Willu.

Gdyby jednak Will nawiązał silną więź z kimś innymi - na przykład z Alyss - to nastąpiłoby naturalne oczyszczenie atmosfery. Jego własne kontakty z Evanlyn straciłyby

niezdrowy podtekst. Przez ten cały galimatias Horace zaczął się bać, że wkraczając w życie Alyss oraz Willa zbyt obcesowo, mógłby w gruncie rzeczy załatwić własne interesy.

Milczał zatem.

Co się ma wydarzyć, to się wydarzy. Trójka przyjaciół dotarła wreszcie do miejsca, gdzie ich ścieżki musiały się rozejść. Alyss udawała się na południowy zachód, traktem do Zamku Redmont. Droga Horace'a wiodła na wschód, do Zamku Araluen, Will zaś otrzymał rozkaz od Halta oraz Crowleya. Kazano mu się stawić z ustnym raportem na miejscu zgromadzeń Korpusu. Czyli trasa kierowała go na południowy wschód.

Znowu pożegnania - westchnął ponuro Will, gdy stali w milczeniu na rozstajach. Ludzie składający się na niewielką zbrojną eskortę Alyss, uwolnieni z lochów Macindaw, gdy odbito zamek, z szacunkiem trzymali się na dystans. A trójka starych przyjaciół życzyła sobie wzajem szczęśliwej drogi.

Will z Horace'em pozdrowili jeden drugiego skinieniem głowy. Każdy burknął kilka niezrozumiałych słów, wreszcie kilkakroć poklepali się po plecach.

Potem rozeszli się, każdy w swoją stronę. Typowe pożegnanie młodych mężczyzn.

Alyss uściskała Horace'a i ucałowała go w policzek.

- Raz jeszcze ci dziękuję, Horace - uśmiechnęła się. - W tej wieży robiło mi się już strasznie nudno. Gdyby nie ty, nadal bym tam tkwiła.

Horace uśmiechnął się do niej szeroko. Nie czuł żadnego zakłopotania w obecności wysokiej, eleganckiej kurierki.

- E tam, wkrótce zagadałabyś wszystkich na śmierć, więc by cię i tak wypuścili - odpowiedział. Zaśmiali się, Alyss raz jeszcze cmoknęła go w policzek.

Później odwróciła się do Willa. Przed dłuższą chwilę spoglądała mu głęboko w oczy, aż wreszcie się odezwała:

- Dziękuję ci, Willu. Dziękuję ci za wszystko.

Wstrząsnął czupryną.

- To ja powinienem dziękować tobie, Alyss. Jak by nie patrzeć, ocaliłaś mi życie.

Umilkli. Alyss pochyliła się do przodu, lekko oparła dłonie na jego ramionach i pocałowała go. Ale nie na policzku złożyła ten pocałunek. Kiedyś, dawno temu, Will zachwycał się miękkością jej warg. Teraz przypomniał sobie dokładnie, o co mu wtedy chodziło.

Odsunęła się, znowu spojrzeli sobie w oczy. I nie wiadomo dlaczego, właściwie pod wpływem impulsu, objęła go, a on poczuł, że i jego ramiona wyciągają się ku niej. Zatonęli na długo w objęciach.

- Pisz do mnie, Willu - szepnęła.

Bardziej wyczuła, niż spostrzegła, że skinął głową. W końcu zdołał odzyskać głos. Tylko po to, by wyjąkać:

- Będę pisał. Ty też pisz.

I Will się cofnął, uwalniając się nagle z jej ramion. Skinął Alyss oraz Horace'owi. Wyrzucił z siebie zdyszczanym, drżącym głosem:

- Żegnajcie, oboje. Będę bardzo tęsknił za wami, za każdym z was...

Urwał. Przez chwilę Alyss sądziła, że zamierza powiedzieć coś jeszcze. Nawet zrobiła ku niemu pół kroku. Jednak zwiadowca nagle wybuchnął:

- Do diabła! Nienawidzę pożegnań!

Błyskawicznie wskoczył na siodło, zawrócił Wyrwija ku drodze biegnącej na południowy wschód. Horace oraz Alyss patrzyli, jak koń i jeździec znikają w oddali. Przysłuchiwali się cichnącemu tętentowi kopyt. Will raz tylko podniósł rękę w ostatnim geście pożegnania. Lecz nie obejrzał się za siebie.

Nigdy tego nie robił.

Na miejscu zgromadzeń Korpusu Zwiadowców Halt oraz Crowley wysłuchali raportu Willa. Wcześniej posłał im już przez posłańca relację na piśmie, lecz dwaj starsi zwiadowcy woleli usłyszeć bezpośrednio z jego ust, o co chodziło w Macindaw. Tyle rzeczy pomija się zwykle w pisemnych sprawozdaniach. Kiwali zgodnie głowami, gdy w trakcie wieczornego posiłku przedstawiał wydarzenia zachodzące podczas ostatnich miesięcy w północnym lennie. Crowleya szczególnie zainteresował opis uzdrowicielskich umiejętności Malcolm'a - jak również bliższa charakterystyka talentu pana Lasu Grimsdell do tworzenia iluzji i widziadeł oraz jego wiedza o tajnikach substancji chemicznych.

- Ktoś taki mógłby się kiedyś Korpusowi bardzo przydać - stwierdził. - Czy sądzisz, że zgodzi się od czasu do czasu z nami popracować?

Will zastanowił się.

- Myślę, że tak. O ile zagwarantujemy mu zachowanie prywatności. Najważniejsza dla niego jest ochrona tych ludzi, którzy zwracają się do niego po pomoc.

Komendant kilkakrotnie przytaknął.

- Wrócimy do tego później. - Potem zachmurzył się. - Mamy problem z Meralonem - zwrócił się do Halta.

- Głupiec - podsumował Halt.

Crowley pokiwał głową.

- Najwyraźniej zrobiło mu się o wiele za wygodnie w Norgate. Stanowczo nad potrzebę związał się z baronem oraz z jego Mistrzem Szkoły Rycerskiej. Zwiadowca musi zawsze i wszędzie zachowywać niezależność. Sądzę, że trzeba Meralona przenieść. Tam umieścimy kogoś, komu możemy ufać.

- Kogoś z głową na karku - dodał Halt.

Will zorientował się, że właśnie został dopuszczony do poufnej narady Komendanta Korpusu oraz jego najbardziej zaufanego doradcy. Najpierw pomyślał, że chyba obdarzają go nie lada szacunkiem. Dopiero po chwili zaniepokoił się. Czyżby właśnie jego zamierzali przenieść do zimnego północnego lenna? Perspektywa stałej współpracy z aroganckim sir Doricem nie wzbudzała w Willu ani krzty entuzjazmu. Coś mu podpowiadało, że obaj starsi zwiadowcy zerkają nieznacznie w jego stronę, zastanawiając się nad problemem, jaki wynikł dla Korpusu w związku z obsadą stanowiska na Północy. Wreszcie Crowley przerwał ciszę.

- Myślę o Gilanie - oznajmił.

Halt skinął głową na znak zgody.

- Pora go trochę dociążyć nowymi obowiązkami. Sądzę, że dobrze się spisze.

Na przekór sobie, Will nie mógł się już powstrzymać. Odetchnął z prawdziwą ulgą. Halt i Crowley nie przegapili reakcji młodego podopiecznego. Lewa brew Halta uniosła się w wyrazie zdumienia.

- Przecież nie myślałeś chyba, że rozważaliśmy twoją kandydaturę? - zapytał.

Will pospiesznie zaprzeczył.

- Nie! Nie! Oczywiście, że nie!

- Cóż, gdybyśmy posłali tam ciebie, zapraszałbyś Skandian na kolację i sprzedawał w niewolę każdego, kto ci nie w smak! - westchnął Crowley. - Ani myślę wyrażać zgody na coś takiego akurat w Norgate. Toż to strategiczny posterunek!

- Prawdę rzekłszy - wtrącił natychmiast Halt - on nie sprzedał nikogo w niewolę. Lecz co do istoty sprawy przyznaję ci rację. Nie wolno się godzić, by on ludzi w niewolę oddawał za darmo.

- Nie, zdecydowanie nie - mruknął Crowley.

Dowódca Korpusu nie był już dłużej w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu, który wyginał mu kąciki ust. Will zorientował się, że sobie z niego pokpiwają.

- Może zaparzę kawę? - zaproponował, zachowując tyle godności, ile jeszcze zdołał. Przyszło mu do głowy, że wysoce to niestosowne, by Komendant Korpusu Zwiadowców tak po prostu sobie chichotał.

Tego wieczora, po kolacji, Crowley westchnął. Sięgnął po przybory do pisania. Po wysłuchaniu ustnej relacji Willa o wydarzeniach w Macindaw, musiał osobiście wysłać królowi pełny raport na piśmie.

- Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś - palnął, poprawiając latarnię ustawioną za nim na pniaku tak, by rzucała światło na stronice, które zapisywał.

Halt podniósł się. Zauważył spojrzenie Willa.

- Zróbmy wspólną rundkę wokół miejsca zgromadzeń - zaproponował. - Nie mogę już znieść kwękania Crowleya. Zrzędzi, marudzi, jęczy. A ma po prostu napisać zwykły raport.

Will zaśmiał się. Wstał, przyłączył się do mistrza.

Zostawili Crowleya zmagającego się z raportem. Przez jakiś czas szli obaj, milcząc. W jakiejś chwili zatrzymali się pod olbrzymim dębem, którego rozpostarte konary wyznaczały mroczny kraniec miejsca zgromadzeń. Will wyczuł, że Halt, nawet nie myśląc, od razu wybrał cień. Stary mentor instynktownie unikał otwartej przestrzeni. Część życia zwiadowcy - pomyślał jego uczeń.

- Dobrze się spisałeś - odezwał się wreszcie Halt. - Jestem z ciebie dumny.

Will zerknął na dawnego nauczyciela. Zauważył, że Halt, jak zazwyczaj, kryje twarz w obszernym kapturze. Wszystko, co Will zdołał dojrzeć, to broda. Resztę skrywała ciemność. Niby proste słowa, ale znaczyły dla Willa więcej niż jakiegokolwiek nagrody, medale czy awanse.

- Dziękuję, Halt - odpowiedział.

Halt odwrócił się. Przejechał uważnymi oczami po sylwetce Willa. Oblicze młodego zwiadowcy także pozostawało zakryte, lecz Halt potrafił czytać mowę ciała. Zauważył już wcześniej, że chłopak lekko garbi ramiona. Odkąd przyjechał, był smutny.

- Wszystko u ciebie w porządku? - zapytał. Will drgnął, prawie niezauważalnie. Chyba jednak wzruszył ramionami schowanymi pod peleryną.

- Tak... cóż, nie... Och, chyba tak.

- Cóż, trzy sprzeczne odpowiedzi. Którą każesz mi wybrać? - skomentował Halt, choć bez najmniejszej złośliwości. Czekał. Tylko że Will nie wydawał się chętny do zwierzeń. Znowu więc ruszyli. Milczeli, lecz tak, jak milczą prawdziwi przyjaciele. Po cichu wspominali dawne lata i obu na myśl o nich zrobiło się ciepło, gdy je wspomnieli.

- Halt - odezwał się wreszcie Will. - Mogę zadać ci pytanie?

- Myślę, że właśnie to zrobiłeś - odparł Halt z ulotną nutką rozbawienia w głosie. Odświeżyli stary zwyczaj. Will z początku uśmiechnął się, jednak po chwili westchnął i spoważniał.

- Czy życie zawsze okazuje się trudniejsze, gdy człowiek się starzeje?

- Nie jesteś aż taki wiekowy - odrzekł łagodnie Halt. - Jednak trzeba ci wiedzieć, iż wszelkie sprawy wymagają czasu. I jakoś się z czasem układają. Czas przynosi rozwiązania. Poczekaj, a się doczekasz.

Zgnębiony Will niespokojnie poruszył rękoma.

- Wiem... tylko że, chciałem powiedzieć... Och, nie wiem, co chciałem powiedzieć! - dokończył.

Halt bacznie mu się przyglądał.

- Pauline prosiła, bym ci podziękował za uratowanie jej wychowanki - oznajmił.

Tym razem był pewien. Will zareagował. O to więc chodzi, pomyślał.

- Z radością zrobiłem, co do mnie należało - odparł w końcu chłopak absolutnie obojętnym tonem. - Chyba się już położę. Dobrej nocy, Halt.

- Dobranoc, synu - mruknął Halt.

Z rozmysłem wybrał ostatnie słowo. Patrzył, jak postać jego wychowanka o coraz mniej wyraźnych kształtach sunie wielkimi krokami w stronę ogniska. I spostrzegł, że ramiona się Willowi prostują. Niekiedy życie stawia przed tobą problemy, których nawet najmądrzejszy, najbardziej zaufany mentor nie potrafi za ciebie rozwiązać - pomyślał. To część bólu dorastania.

Zaś jeśli mistrz stoi obok ciebie, przypatruje się bezradnie i nie umie ci pomóc, to jego także bardzo boli.

Rozdział 41

Do lenna Seacliff młody zwiadowca powracał z uczuciem déjà vu. Pod jego nieobecność bardzo niewiele się tutaj zmieniło. Cienie tak samo jak przedtem wydłużały się w świetle późnego popołudnia. Drzewa, które na zimowe miesiące straciły liście, teraz pracowicie wypuszczały nowe. Atmosfera spokoju i bezpieczeństwa opromieniała przyjazne lasy oraz pola. Wszystko tu okazywało się inne niż tam, gdzie się znajdował przez kilka ostatnich miesięcy.

Prom tym razem cumował na drugim brzegu, od strony wyspy. Will uderzył w gong, a potem czekał cierpliwie. Przewoźnik wreszcie ruszył i z powrotem przeciągnął na jego stronę płaskodenną krypę.

- Nie musisz płacić, zwiadowco - odezwał się z przyzwyczajenia przewoźnik, gdy Will wprowadzał Wyrwija. Kopyta drobnego konika zadudniły o pokład promu.

Will pozwolił sobie na słaby uśmiech. Nawet to się nie zmieniło. Wyjął monetę, wręczył ją mężczyźnie.

- Jedna osoba. I jedno zwierzę. Masz tu rojala.

Zaciekawiony przewoźnik gapił się na podróżnych.

- Tym razem bez psa? - zapytał.

- Zgadza się - przytaknął Will. Ton zwiadowcy zdradził promowemu, że z góry odmawia on wszelkich rozmów na temat owczarka.

Przewoźnik wzruszył ramionami. Cieszył się, że nie musi się wdawać w pogwarki z kolejnym zwiadowcą - szczególnie że ten tutaj od początku okazał się nieprzewidywalny. Promowy przecież świetnie znał krążące po okolicy plotła. Wiele pod nieobecność Willa rozprawiano na temat uczyty w Zamku Seacliff, gdzie Skandianie byli honorowymi gośćmi. Promowy nie wiedział, że w plotkach kryło się mnóstwo przesady.

Will zsiadł z konia. Oparł się o sznurowy reling na dziobie promu. Ciężka łódź sunęła przez wąski kanał w kierunku wyspy. Pytanie przewoźnika tylko rozdrażniło chłopaka. Czuł się bardzo, ale to bardzo samotny. Po tygodniach spędzonych w towarzystwie Horace'a, Alyss, Gundara oraz Malcolma, samotność doskwierała szczególnie mocno. A teraz zabrakło mu nawet suki do towarzystwa.

Kiedy Will tak rozczulał się nad sobą, trącił go kosmaty łeb. W oczy Willa zajrzały

ślepia Wyrwija.

„Ja wciąż tu jestem”.

Will uśmiechnął się, pogłaskał konika po aksamitnych chrapach, poczochnął zwierzę za uszami.

- Racja, przyjacielu - westchnął. - Dzięki łasce niebios, wciąż mam ciebie.

Wyrwij przypomniał o swoim istnieniu na koński sposób. Wstrząsnął gwałtownie grzywą, jakby przytakiwał. Zwiadowca spostrzegł, że przewoźnik przygląda się spode łba pasażerowi, który coś pod nosem mamrocze. Na szczęście nie zdołał dosłyszeć, w czym rzecz. Żadna korzyść dla kogokolwiek, gdyby rozeszła się wieść, że małomówny zwiadowca o posępnej twarzy użala się nad sobą z powodu samotności. Natomiast fakt, że szeptał do konia, potwierdzał tylko przekonanie przewoźnika. Zwiadowcy to czarnoksiężnicy. Promowy odwrócił się przezornie. Niby zabobon, ale na wszelki wypadek wykonał gest praktykowany przy zamawianiu złych uroków. Im rychlej ten zwiadowca zejdzie z jego promu, tym lepiej.

Tępo zakończony dziób kropy zaszczał o piach. Przewoźnik zarzucił cumę na wkopany głęboko palik, naciągnął ją i prędko zabezpieczył serią węzłów. Potem odpiął linę na dziobie, wypuszczając Willa na ląd.

- Dziękuję - powiedział zwiadowca.

Promowy nie odzywał się. Spoglądał w milczeniu, jak postać w pelerynie oraz kapturze znika wśród drzew. Raz jeszcze wykonał gest chroniący przed czarami, po czym zabrał się do czekania na następnego pasażera.

Sztandar ozdobiony jelenią głową nadal dumnie łopotał nad zamkiem. Will minął drzewa rosnące na szczycie krętej ścieżki. Wyjechał na otwartą przestrzeń. We wsi nic się nie zmieniło. Wieśniacy gapili się na niego ze zwykłą u nich mieszaniną ostrożności i zaciekawienia. Niektórzy zastanawiali się, gdzie młody zwiadowca bywał i co porabiał. Inni woleli nawet tego nie wiedzieć. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Minął oberżę. Tym razem nigdzie nie dostrzegł dziewczyny. Zaraz, jak ona miała na imię? Delia? Tak, Delia, przypomniał sobie. Za pierwszym razem, gdy się tu zjawiał, uśmiechała się do niego z okna na piętrze. Poczł lekkie rozczarowanie. Dobrze by mu teraz zrobił widok jakiejś życzliwej twarzy.

Dojechał do swej chatki wśród drzew, ale nie zobaczył dymu z komina. Żadnego powitania. Nic dziwnego, pomyślał. Edwina, kobieta najęta jako gospodyni, nie została uprzedzona o przyjeździe zwiadowcy. Will rozsiodłał Wyrwija, wytarł go, nakarmił, napił. Potem wniósł juki do środka.

Przynajmniej czysto i posprzątane. Edwina pod jego nieobecność co najmniej ścierała

kurze. W nos nie uderzała go stęchła woń charakterystyczna dla długo niewietrzonych pomieszczeń. Czyli gospodyni regularnie odwiedzała domostwo. Will rzucił juki na łóżko, wrócił do większej izby. Echo kroków aż dudniło w pustej chacie. Spojrzał na podłogę. Miski na wodę oraz zarcie dla psa nadal czekały, ustawione równo obok kominka. Ze smutkiem wzruszył ramionami, podniósł je, wyniósł na zewnątrz. Postawił obie na małej werandzie, pod ścianą chaty. Nie miał ochoty wpatrywać się przez cały wieczór w niepotrzebne już sprzęty.

„Och, wielkie nieba, weźże się wreszcie w garść!”, przywołał sam siebie do porządku. Owszem jesteś samotny. Ale na swoim. Taki los wybrałeś. Dokonałeś wyboru, kiedy postanowiłeś zostać zwiadowcą. I wybrałeś ponownie, nie podejmując ryzyka wyznania Alyss, co do niej czujesz. Przestań się zatem mazgać, żyj dalej. Zrób coś pożytecznego. Rozpal ogień, ugotuj strawę.

Wziął się więc w garść. Wrócił do chaty, rozpałił ogień w brzuchatym piecyku stojącym pośrodku większej izby. Gdy pierwsze żółtawe płomyczki najpierw liznąwszy szczapy, rosły chciwie, rzucając coraz jaśniejsze blaski, Will od razu poczuł, że wzmaga się również i jego determinacja. Trzeba ogrzać chatę, zapalić kilka lamp, wygonić z kątów spęczniałą ciemność. Postanowił, że przygotuje sobie małą przekąskę. Następnie uda się do oberży, zje porządny obiad, popije go szklanicą wina. Albo dwiema szklanicami. I postara się odświeżyć znajomość ze śliczną, bardzo sympatyczną córką oberżysty. Już wcześniej chętnie dotrzymywała mu towarzystwa. I okazywała niekłamana sympatię, dobrze zapamiętał. Teraz, gdy tak bardzo upadł na duchu, potrzebował podziwu oraz uznania. Doprawdy, nadzwyczaj atrakcyjna mała.

Tak, pomyślał. Oto, czego mu trzeba. Dobrego obiadu, wina, kilku miłych chwil spędzonych z ładną dziewczyną. Jutro stawi się w zamku. Jednak tego wieczora rusza na hulankę!

Nagle usłyszał za sobą kroki. Zwrócił się w stronę drzwi. Czyżby Delia? Właśnie, przecież o niej myślał. Potem, kiedy oczy przywykły do światła padającego z dworu, rozpoznał matkę Delii, Edwinę.

- Wróciłeś, panie. Wybacz, nie miałam pojęcia, że...

Machnięciem ręki uciął dalsze gadanie. Dość przeprosin.

- To nie twoja wina, Edwino - zapewnił. - Powinienem wysłać wiadomość, że wracam. Zresztą, jak widzę, dbałaś o wszystko, kiedy mnie nie było.

- Och tak, panie. Pilnowałam, żeby wietrzyć co parę dni. Należy do izb wpuszczać świeże powietrze. Inaczej w chacie pojawia się stęchlizna. Albo i pleśń.

Rozglądała się z zaciekawieniem. Will dostrzegł, że jej oczy rozpromieniły się, bo

zauważyła dwie psie miski wystawione przed drzwi chaty. Uprzedził pytanie.

- Zostawiłem sukę u przyjaciela - rzucił, a ona pokiwała głową. Nie wiedziała, czy Will się cieszy, czy martwi brakiem owczarka.

- Tak, panie. Cóż, z radością od razu przyniosę ci obiad. Pewnie jesteś głodny, panie? Will uśmiechnął się.

- Konam z głodu. Już właściwie nie mogę się doczekać specjałów z twojej kuchni. Jednak dziś chyba zjem w oberży. Przygotuj mi miejsce. Zjawię się mniej więcej za godzinę.

- Dobrze, panie. Będziemy zaszczyceni, że u nas zjesz. I witaj w domu. - Pospieszenie dygnęła. Odwróciła się, ruszając do wyjścia.

Humor Willa nieco się poprawił. Zdumiewające, co może zdziałać widok przyjaznej twarzy oraz kilka ciepłych, powitalnych słów.

- Edwino? - zawołał. Przystanęła na skraju ganku, odwróciła się do niego.

- Tak, panie?

- Twoja córka, Delia, miewa się dobrze? - Dopilnował, by głos brzmiał obojętnie.

Twarz gospodyni rozświetlił blask matczynej dumy.

- Och, w rzeczy samej, tak, panie! Pewnie już słyszałeś?

- Co niby?

- Szczęsne nowiny, panie! Wyszła za mąż, będzie ze dwa tygodnie. Za Stevena, syna przewoźnika.

Will skinął głową, okazując radość. Do warg natychmiast przykleił uśmiech. Miał w każdym razie nadzieję, że to coś, co przykleił do warg, wygląda na uśmiech.

- Znakomicie - syknął. Słowo „znakomicie” potrafił wysyczeć przez zaciśnięte zęby. - Życzę jej szczęścia.

Niektóre rzeczy w Seacliff jednak się zmieniły. Will ucieszył się tym bardzo. W ciągu kilku następnych tygodni sprawy szły w normalnym, rutynowym trybie. Ot, spokojne małe lenno. Stwierdził, iż w Szkole Rycerskiej przykładano się znacznie bardziej do żołnierskich praktyk. Dyscyplina wzrosła radykalnie. Ćwiczenia dla czeladników prowadzono też należycie. Ogólnie rzecz biorąc, panowała większa czujność. Will uznał, że Baron Argell oraz jego Mistrz Szkoły Rycerskiej, Norris, wyciągnęli wnioski z otrzymanej lekcji, kiedy to omal nie stracili lenna, bo Skandianie Gundara nie patyczkowali się, szukając łupów.

Kiedy, wróciwszy po kilku miesiącach nieobecności, pierwszy raz stawił się w zamku, Argell oraz Norris wypytywali go skwapliwie o przyczyny tak nagłego wyjazdu. Jednak Will uprzejmie zbywał wszelkie pytania ogólnikami.

„Trochę drobnych kłopotów na Północy” - nic więcej nie miał do powiedzenia. Nie należało postronnych wtajemniczać w szczegóły działań Korpusu Zwiadowców. Obaj władarze lenna przyjęli powściągliwość ze zrozumieniem, traktując ją jako naturalną dyskrecję, typową dla ludzi z kręgu zwiadowców.

Zaproponował, że zaprosi do Seacliff Horace'a. Niech trochę pouczy tutejszych, udzielając im lekcji władania mieczem. Rycerz Dębowego Liścia cieszył się powszechnym mirem. Uznawano go za jednego z najlepszych szermierzy Królestwa. Will świetnie wiedział, że Horace regularnie odwiedza Redmont, by prowadzić szkolenia. Norris z entuzjazmem podchwycił pomysł.

- Napiszę do niego - obiecał Will. Perspektywa, że najlepszy przyjaciel wpadnie od czasu do czasu z odwiedzinami, wprawiała Willa w znakomity humor.

Jednak zanim napisał list do Horace'a, sam otrzymał kilka interesujących przesyłek. Wśród kopert wyróżniała się duża paczka, starannie owinięta nieprzemakalną tkaniną oraz na wszelki wypadek wyścielona wełną. Przesyłkę wyjątkowo starannie przygotowywano do długiej drogi. Will z zaciekawieniem zerknął na miejsce nadania. Paczka nadeszła z Zamku Macindaw, w lennie Norgate. Intrygujące.

Z niecierpliwością rozwinął tkaninę. Znalazł futerał z utwardzonej skóry. Spoczywała w nim wysokiej klasy, przepiękna, lśniąca mandola. Dołączono krótki liścik.

Uważam, że jestem ci to winien. Mniemam, iż odpowiednio zacy instrument pomoże ci poprawić grę. Raz jeszcze składam moje podziękowania.

Orman

Will obejrzał mandolę. Wzbudzała szacunek. Przeciągnął po strunach palcami. Na główce ujrzał jedno, jedyne słowo. Kaligraf napisał: Gilet.

Gilet, westchnął Will, ów mistrz lutniczy, twórca najdoskonalszych instrumentów w całym Królestwie. Żwawo nastroił mandolę, zagrał kilka nut. Bogactwo brzmienia oraz jedwabista gładkość instrumentu wprawiała w zachwyt. Mandola budziła niekłamany respekt. Tylko że w tych dniach niekoniecznie odczuwał wielką potrzebę muzyki. Z pewnym smutkiem odłożył mandolę na bok.

Przyszedł też list od Crowleya. Okólnik, który zwracał uwagę wszystkich członków Korpusu na samozwańczego proroka oraz na jego wyznawców, którzy szerzyli swoje poglądy w całym Królestwie, przy okazji wyłudzając od biedaków ciężko uciulane grosiwo. Poza tym

znalazł list od Gundara. Skirl najął zawodowego skrybę, by go dlań napisał. Nowy okręt był już prawie gotów, zawiadamiał Gundar. Postanowili nazwać go „Wolfwill”, co mogło znaczyć „Wilcza wola”... albo „Wilczy Will”. Zwiadowca skrzywił usta w uśmiechu. Bez wątplenia któryś ze Skandian wyrzeźbi jakąś odpowiednio przerażającą figurę, umieszczając ją jako galion na dziobie okrętu. Will miał nadzieję, że Gundar spełni obietnicę, rzuconą żartem przy pożegnaniu, i któregoś dnia zjawi się z wizytą.

Kiedy Will zabrał się do uprzątnięcia tkaniny i zbierał rozerwane koperty, znalazł jeszcze jeden list. Widocznie schował się przed wzrokiem zwiadowcy. Pewnie wtedy, gdy Will odrzucił na bok materiał okrywający mandolę. Rozerwał więc ostatnią kopertę, teraz nawet nie patrząc na imię nadawcy.

Serce skoczyło mu gardła. Przeczytał pierwszych kilka słów. List napisała Alyss.

Najdroższy Willu,

Mam nadzieję, że list ten zastanie Cię w dobrym zdrowiu i pysznym nastroju.

Lady Pauline bardzo się troszczy, abym się nie nudziła. Jednak w zeszłym tygodniu dała mi nieco wolnego, gdyż zjawił się Horace. Przyjechał do nas z wizytą, prowadzi tu jedną z tych swoich lekcji szermierki. Prosił, bym przekazała Ci serdeczności. Opowiedziałam mu o moim dziwnym śnie, bo wciąż do mnie powraca. W tym śnie znowu jesteśmy w wieży, a ja trzymam w ręku miecz Kerena. On każe mi wyrzucić ci krzywdę, ja nie potrafię się przeciwstawić. Wtedy ty mówisz coś nadzwyczajnego. Cudowność twoich słów całkowicie przelamuje władzę Kerena nade mną.

Horace powiada, że może wcale nie chodzi o sen. Uważa, że wspominam jakieś realne wydarzenie. Z całego serca pragnęłabym, by się nie mylił. I żebyś wtedy naprawdę powiedział to, co zdaje mi się, że powiedziałeś. Horace twierdzi, że ludzie tacy jak Ty i ja zbyt wiele czasu marnują, roztrząsając znaczenie ważnych słów, a zbyt rzadko ważne słowa wypowiadają. Sądzę, że ma rację. Proszę, napisz do mnie, powiedz, co wtedy mówiłeś. Tymczasem skorzystam z rady Horace'a i po prostu sama ci wyznam, co pragnę wyznać.

Kocham Cię.

Alyss

Will upuścił list na stół. Długo, długo się weń wpatrywał. Natychmiast napisze. Trzeba mniej więcej tygodnia, aby list dotarł do Alyss. Bardzo długo. Wyrwij stoi przed chatą, osiodłany i gotów do drogi. Will mógłby znaleźć się w Redmont za niecałe trzy dni.

Pognał do sypialni, zaczął wpychać do juków zapasowe ubrania. Po drodze zostawi w oberży wiadomość dla Barona Argella.

Zwiadowca opuszcza lenno na kilka dni.

Albo na tydzień.

Buty załomotały na drewnianej podłodze. Popędził do drzwi, zeskoczył z werandy, zarzucił juki na grzbiet Wyrwija. Konik spojrzał ze zdumieniem. Od bardzo dawna nie oglądał swego pana tak kipiącego radością życia i naładowanego taką energią. Will właśnie miał dosiąść Wyrwija, lecz jeszcze raz się zawahał. Biegiem wrócił do chatki, sięgnął po futerał z Giletem, zarzucił go sobie na ramię. Bo nagle poczuł, że w jego życiu jest, mimo wszystko, miejsce na muzykę.

Znów wybiegł, zatrzymał się, zamknął za sobą drzwi na klucz. Czuł się, doprawdy, osobliwie. Jakby osiągnął nagle pełnię. Czegoś podobnego nie zaznał od dawna. W jednym błysku zrozumienia uzmysłowił sobie, co właściwie czuje. Łagodnie uśmiechnął się sam do siebie.

Był szczęśliwy.